

Arkham Courier





Arkham Courier

TO NIE JEST CZWARTY ARKHAM COURIER

Przed sobą macie zbiór tekstów, jakie otrzymałem podczas przygotowywania czwartego numeru fanzinu **Arkham Courier**. Numeru, który nigdy się nie ukazał.

Kiedy wydawałem **AC #3**, wierzyłem, że na kolejny numer uda się przygotować w pół roku. Niestety, rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana, niż sądziłem. Teksty nie spływały tak szybko, jakbym chciał. Potem ja nie miałem czasu się nimi zająć. Ilustracji nie udało mi się zaś zdobyć nigdy. Potem cała scena **Zewu Cthulhu** w Polsce padła. Nie było komu pisać i dla kogo.

Teksty, które Wam oddaję, są w takiej postaci, w jakiej je otrzymałem. Nie chcę, by leżały dłużej na dysku porastając mchem i czekając, aż znajdę czas na choćby pobieżną redakcję. Nie znalazłem go przez trzy lata.

Ten zbiór to pożegnanie z **Arkham Courierem**. To także moje podziękowanie dla wszystkich, którzy wspierali ten fanzin, przede wszystkim dla Cierzego i GGFF. Mackę (nowego) Roku otrzymuje Drozdal za pomoc przy stworzeniu niniejszej publikacji.

Cthulhu fhthag!

Seji

Spis Treści

“Non Omnis...”, Ulmo & Szy	4
Bestia, Jarosław Pokus.	41
Prawda Dziwniejsza od Fikcji, Kormak	45
Nie Różnij głupa!, Julie Hoverson	49
Mr. Spock, Kurs na R'lyeh!, Czeski	53
Muzyka Mitów, Levir	56
Piwnica, Cezary Czyżewski	62
Nadchodzą, kchemosh	75
Wampir z Lovlisy, kchemosh	79
Katastrofa w Tajdze, kchemosh	84
Cthulu, Autor nieznany	91
Wszystko Dla Sztuki, Bartłomiej ‘Mapeta’ Machuta	93
Calista, Bartłomiej ‘Mapeta’ Machuta	98
Przystanek Greenhill, Bartłomiej ‘Mapeta’ Machuta	102
Zło Zawsze Przychodzi z Lasu, Jadzia i Viktor	106
Tajemnica Pana Stewarta, Jerzy ‘Cierzy’ Cichocki	112
Pocztówka z Paryża, Marcin ‘Szyd’ Wełnicki	117
Cthulhu Monster, Jerzy ‘Cierzy’ Cichocki	121
Anatomia Koszmaru, Jerzy ‘Cierzy’ Cichocki	126
Wywiad z Lynenm Willisem i Brianem Simmonsem, Jerzy ‘Cierzy’ Cichocki	132
Cults Across (Post)America, Jerzy ‘Cierzy’ Cichocki	135
Morr, Jacek ‘Pickman’ Bujko	138
MRRRoczna Książka, Janek	140
I Gwiazdy Stały w Porządku..., Maciej ‘Levir’ Bandelak	141
Syreny i Trytony w Prawdziwym Świecie, Maciej ‘Levir’ Bandelak	143
Miejsca Kultu Cthulhu, Maciej ‘Levir’ Bandelak	144
Miejsca Kultu Cthulhu II, Maciej ‘Levir’ Bandelak	146
Miejsca Kultu Cthulhu III, Maciej ‘Levir’ Bandelak	149
Listy do Redakcji	150

ARKHAM COURIER #4

WYDAWNICTWO NIEDOCHODOWE

Redaktor naczelny: Marcin ‘Seji’ Segit (seji@rpg.pl)

Zastępca red. nac.: Artur ‘Ulmo’ Wszeborowski

Sekretarz redakcji: Marek ‘Surmik’ Spichalski

Projekt logo i ramki: Piotr ‘Rust’ Cieśliński

Okładka: Piotr ‘Rust’ Cieśliński

Korekta: Brak

Skład: Radek ‘Drozdal’ Drozdalski bazując na projekcie Marcina ‘eona’ Lewandowskiego

PDF: Radek ‘Drozdal’ Drozdalski

Miejsce wiecznego spoczynku: Poltergeist (<http://www.polter.pl>)

“NON OMNIS...”

SPACER

Ciemność...Nieodłączny towarzysz mrocznej części jego duszy. Ona była, gdy brał do ręki pędzel, gdy malował Te obrazy...Nigdy jeszcze...Żaden człowiek nie widział tych płócien. Z wyjątkiem jednego...Tak, ale wówczas tylko przekonał się o tym, jak bardzo jego sztuka jest nierozumiana, jak trudno ją zaakceptować i ogarnąć umysłem...

“Dlaczego tu jest tak ciemno? Czuję, że jestem, ale...” coś było nie tak. Patrick w jednej chwili poczuł strach. Ciemność była przyjemna, ale nie do tego stopnia. Nerwowo rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukał...Czerń otaczająca tak szczerlnie jego istnienie (a może nieistnienie?) powoli przerzedzała się. Mógł rozróżnić poszczególne kształty...Tak, coś widział...Ciemny kształt pojawiający się przed nim coś mu przypominał...Zdaje się, że...Ależ...to było płótno...Jedno z jego płócien...

Ze zdumieniem stwierdził, że w jednym ręku trzyma paletę z farbami, a w drugim pędzel. Obraz stawał się coraz bardziej wyraźny. Mógł już wyodrębnić poszczególne elementy całości...Jego szkic...To był jeden z jego ostatnich szkicy...Nie przedstawiał niczego. Tak zwykle zaczynał. W pośpiechu rysował je. Reszta powstawała później. Nagły ruch ręki zdziwił Patricka. Był jakby podświadomy...Pędzel powędrował w kierunku palety i zanurzywszy się w kolorowej mazi rozpoczął magiczny taniec po płótnie. Płynność i szybkość w połączeniu z niezwykłą dokładnością coraz bardziej przerażały młodego artystę. Przecież on jeszcze nigdy tak...

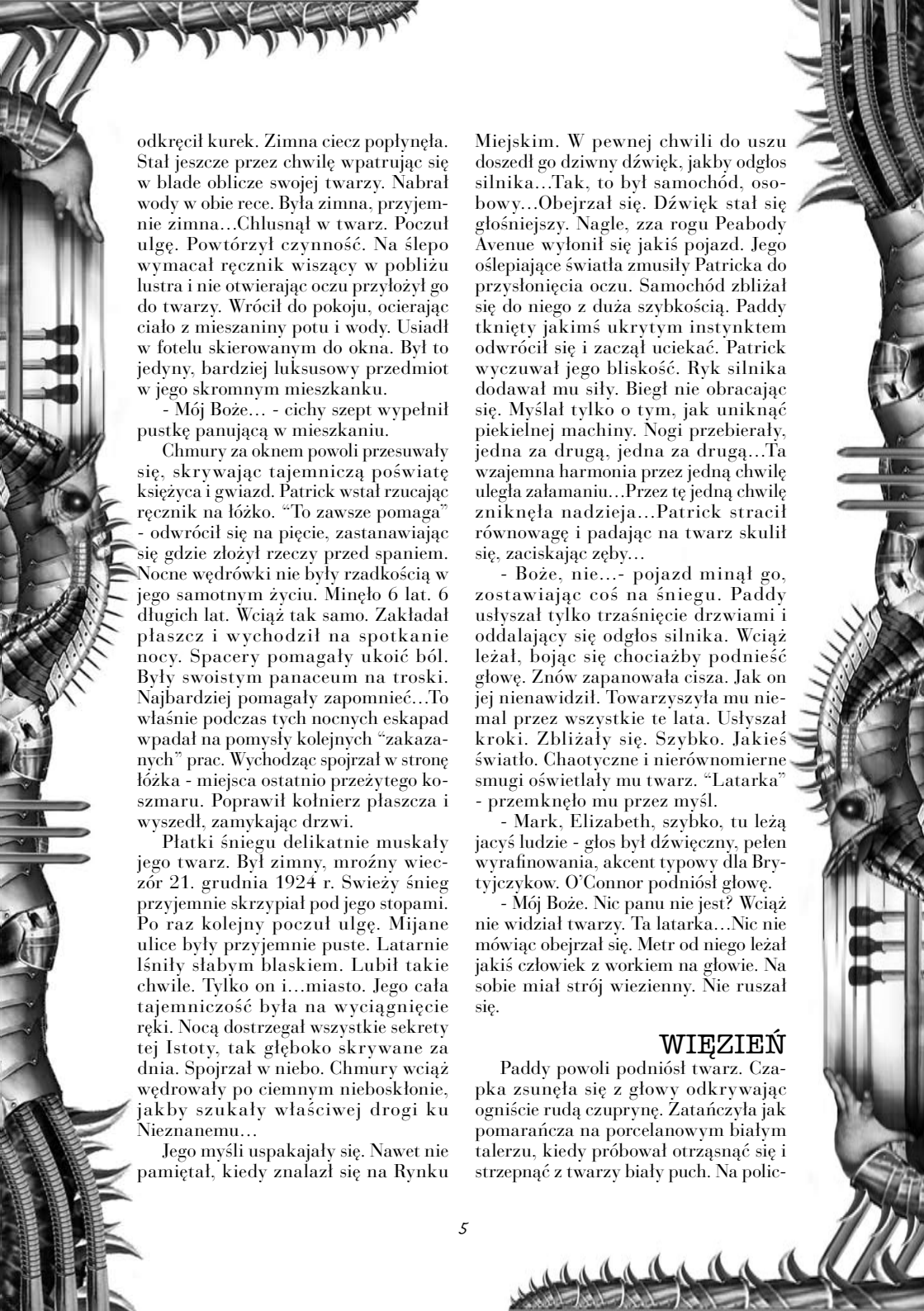
Ruchy stawały się coraz szybsze. Postać...Twarz na płótnie stawała się wyraźniejsza i...przerażająca. Groteskowe rysy, niespotykane barwy i kompozycje poszczególnych elementów

składowych obrazu...TO żyło...“Te przekłete linie...One...ta twarz...Mój Boże...Nnnnnieeeeeeeee!” - niemiły krzyk wypełnił umysł. Obraz zgasł.

Stał przed wejściem do groty. Wokół nie było nic prócz tej czarnej pustki...Był nagi. “Dlaczego On...?” Nogi ruszyły. “Przecież my...” Nie panował nad ciałem.

Podążał ku nieznanemu. Wewnątrz panowała cisza, wokół unosiła się delikatna, zielonkawa poświata. Mijał korytarze, jakby tunele...Nogi prowadziły go dalej...Nie czuł nic prócz żalu, połączonego z przerażeniem. “Wielka sala...jakieś glazy...” - czy to były jego myśli? Pomieszczenie było olbrzymie. Całe wypełnione glazami, jakby wyrastającymi z posadzki...“Na Boga...” - w każdym kamieniu był człowiek...nieczym ukrzyżowany...zrośnięty ze strukturą glazu...bez twarzy...tam...tam była pustka...Nogi podążały dalej mijając te dziwne posągi. Patrick (czy to wciąż był on?) zatrzymał się. Stał przed kamieniem. Takim samym jak te, które mijał. Był pusty...Jego ciało odwróciło się, cofając...Plecami dotknął glazu...Czuł zimno...Kamień ożył. “...!” Przez kilka sekund struktury jednoczyły się. Dziwna, nieprzyjemna masa otulała go coraz bardziej. Chciał krzyczeć...Nie mógł. Ciemność. Znów ciemność. Początek i koniec...

Ciężko sapiąc Patrick siedział na łóżku. Strużki potu spływały po jego przerażonej twarzy. Odgarnąwszy koldrę wstał. “Woda, ochłonać...” - natłok myśli spowodował nagłą dezorientację. Idąc w kierunku łazienki, potknął się parokrotnie o jakiś przedmiot stojący na podłodze. Nawet nie zareagował. Ręka obojętnie sięgnęła po włącznik światła. Nagła jasność oślepiła go na moment. Zbliżył się do lustra. Spojrzał. Był mokry od potu. Twarz, tors, całe ciało pokryte było niewielkimi kroplami potu. W ciszy



odkręcił kurek. Zimna ciecz popłynęła. Stał jeszcze przez chwilę wpatrując się w blade oblicze swojej twarzy. Nabral wody w obie rece. Była zimna, przyjemnie zimna... Chlusnął w twarz. Poczul ulgę. Powtórzył czynność. Na ślepo wymacał ręcznik wiszący w pobliżu lustra i nie otwierając oczu przyłożył go do twarzy. Wrócił do pokoju, ocierając ciało z mieszaniny potu i wody. Usiadł w fotelu skierowanym do okna. Był to jedyny, bardziej luksusowy przedmiot w jego skromnym mieszkanku.

- Mój Boże... - cichy szept wypełnił pustkę panującą w mieszkaniu.

Chmury za oknem powoli przesuwały się, skrywając tajemniczą poświatę księżycą i gwiazd. Patrick wstał rzucając ręcznik na łóżko. "To zawsze pomaga" - odwrócił się na pięcie, zastanawiając się gdzie złożył rzeczy przed spaniem. Nocne wędrówki nie były rzadkością w jego samotnym życiu. Minęło 6 lat. 6 długich lat. Wciąż tak samo. Zakładał płaszcz i wychodził na spotkanie nocy. Spacerować pomagały ukoić ból. Były swasty panaceum na troski. Najbardziej pomagały zapomnieć... To właśnie podczas tych nocnych eskapad wpadał na pomysły kolejnych "zakazanych" prac. Wychodząc spojrzał w stronę łóżka - miejsca ostatnio przeżytego koszmaru. Poprawił kołnierz płaszcza i wyszedł, zamykając drzwi.

Platki śniegu delikatnie muskały jego twarz. Był zimny, mroźny wieczór 21. grudnia 1924 r. Świeży śnieg przyjemnie skrzypiał pod jego stopami. Po raz kolejny poczuł ulgę. Mijane ulice były przyjemnie puste. Latarnie lśniły słabym blaskiem. Lubił takie chwile. Tylko on i... miasto. Jego cała tajemniczość była na wyciągnięcie ręki. Nocą dostrzegał wszystkie sekrety tej Istoty, tak głęboko skrywane za dnia. Spojrzał w niebo. Chmury wciąż wędrowały po ciemnym nieboskłonie, jakby szukały właściwej drogi ku Nieznanemu...

Jego myśli uspakajały się. Nawet nie pamiętał, kiedy znalazł się na Rynku

Miejskim. W pewnej chwili do uszu doszedł go dziwny dźwięk, jakby odgłos silnika... Tak, to był samochód, osobowy... Obejrzał się. Dźwięk stał się głośniejszy. Nagle, zza rogu Peabody Avenue wyłonił się jakiś pojazd. Jego oślepiające światła zmusiły Patricka do przysłonięcia oczu. Samochód zbliżał się do niego z dużą szybkością. Paddy tknięty jakimś ukrytym instynktem odwrócił się i zaczął uciekać. Patrick wyczuwał jego bliskość. Ryk silnika dodawał mu siły. Biegnął nie obliczając się. Myślał tylko o tym, jak uniknąć piekielnej maszyny. Nogi przebiegały, jedna za drugą, jedna za drugą... Ta wzajemna harmonia przez jedną chwilę uległa załamaniu... Przez tę jedną chwilę zniknęła nadzieja... Patrick stracił równowagę i padając na twarz skulił się, zaciskając zęby...

- Boże, nie... - pojazd minął go, zostawiając coś na śniegu. Paddy usłyszał tylko trzaśnięcie drzwiami i oddalający się odgłos silnika. Wciąż leżał, bojąc się chociażby podnieść głowę. Znów zapanała cisza. Jak on jej nienawidził. Towarzyszyła mu niemal przez wszystkie te lata. Usłyszał kroki. Zbliżały się. Szybko. Jakieś światło. Chaotyczne i nierównomierne smugi oświeślały mu twarz. "Latarka" - przemknęło mu przez myśl.

- Mark, Elizabeth, szybko, tu leżą jacyś ludzie - głos był dźwięczny, pełen wyrafinowania, akcent typowy dla Brytyjczyków. O'Connor podniósł głowę.

- Mój Boże. Nic panu nie jest? Wciąż nie widział twarzy. Ta latarka... Nic nie mówiąc obejrzał się. Metr od niego leżał jakiś człowiek z workiem na głowie. Na sobie miał strój wiezienny. Nie ruszał się.

WIEZIEN

Paddy powoli podniósł twarz. Czapka zsunęła się z głowy odkrywając ogniście rudą czuprynę. Zatańczyła jak pomarańcza na porcelanowym białym talerzu, kiedy próbował otrząsnąć się i strzepnąć z twarzy biały puch. Na polic-

zkach topiły się delikatne płatki śniegu. Dla przyglądających się przechodniów wyglądały jak lzy.

- Czy coś się panu stało..? - spytała młoda, ładnie ubrana kobieta. - Pan płacze..?

Patrick spróbował otrzeć twarz, ale nie bardzo mu to wyszło. Nowa porcja śniegu wyładowała na twarzy. Kobieta zaśmiała się, ale od razu zakryła uśmiech ręką i spoważniała.

- Nie, wszystko w porządku - wykrztusił wreszcie podnosząc się. - Przynajmniej ze mną. Ale niech ktoś lepiej wezwie policję.

- Policję..?

- Tak, policję. Czy ktoś z was jest może lekarzem..? - spytał. Pytanie jednak pozostało bez odpowiedzi. - Przecież widzieliście chyba co się stało?

- Wyrzucili was z tego samochodu, prawda? - niepewnie zapytała ta sama kobieta. Przez chwilę czuł jej zapach...

- Nie, tylko...- coś zakłuło go w boku. Na twarzy pojawił się lekki grymas bólu. Widocznie padając uderzył się o kamień albo wystający krawężnik. - Tylko jego. Mnie za to mało nie przejechał, ledwie udało mi się uciec.

Paddy nachylił się przy leżącej obok postaci. Jeszcze przez chwilę przyglądał się w ciszy. W tym czasie wokół nich zebrała się już grupka ludzi. Stali tak na mrozie, w delikatnie padającym z nieba śniegu, przestępując z nogi na nogę. Rudowłosy Irlandczyk zauważył, że worek na głowie leżącego w śniegu człowieka lekko się porusza.

- Odsuńcie się - krzyknął - Ten ktoś żyje.

Przez chwilę zastanawiał się, co powinien zrobić. Jeśli nie zerwie worka, ten człowiek mógł umrzeć. Jeśli to zrobi, być może zabierze policji jedyny ślad. Ale życie tego człowieka było ważniejsze... Szybkim ruchem zaczął rozplatać sznurek, by ściągnąć z jego głowy worek. Ten człowiek jeszcze oddychał. Nie wiadomo jak długo jeszcze. Nie znał się, ale wiedział, że raczej nie jest najlepiej, bo jak by nie patrzeć, został wyrzucony w jadącego samochodu. Znając ciemne

interesy ojca wiedział mniej więcej czego może się spodziewać, choć w głębi serca miał nadzieję, że tym razem się myli. Węzeł rozsuplał się...Zanim jeszcze jednak Patrick zdążył zdjąć z głowy kawałek materiału, coś się wydarzyło. Powróciły wspomnienia sprzed kilku godzin, gdy siedział w swoim pokoju i malował. Wyobraźnia podsunęła znów ciemne obrazy ze snów. Zamiast worka zobaczył wykrzywione w przerażającym grymasie oblicze z wijącymi się jak węże mackami zamiast włosów. Usta, a raczej to, co powinno się znajdować w ich miejscu u normalnego człowieka, śmiały się bezgłośnie ukazując cały garnitur postrzępionych, spróchniałych, pożółkłych zębów. Wypełnione ciemniem oczodoły świeciły przerażającą pustką, w której czaiło się coś bliżej nieokreślonego. Ręka zadrziała w połowie drogi. Patrick zastygł. Ludzie dookoła wstrzymali oddech w wyczekiwaniu.

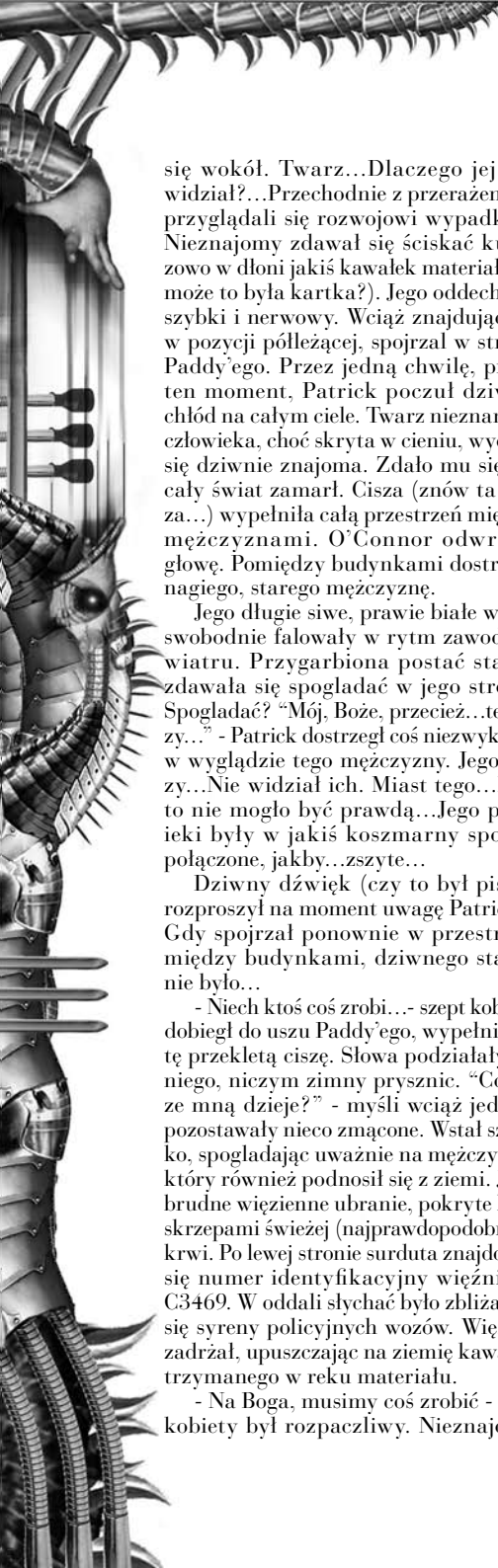
- No...czemu pan nic nie robi..? - rzucił ktoś ze stojących.

Nie potrafił. Bał się, że pod workiem ujrzy oblicze namalowane w podświadomości. Odetchnął głęboko, usiadł w śniegu i ukrył twarz w dłoniach.

C3469

Zadrzął. Tknięty jakimś wewnętrzny impulsem sięgnął ręką do leżącej na śniegu tajemniczej postaci. W jednej chwili wszyscy zgromadzeni wokół przechodnie wstrzymali oddech. Paddy słyszał łomot w klatce piersiowej. "Przecież..." - jego dłoń powędrowała do twarzy nieznajomego i powoli ściągała worek...Nagle, ciało podniosło się, a z ust wydobył się przerażający odgłos łaknienia powietrza. Paddy, niczym porażony odskoczył do tyłu, instynktownie zasłaniając twarz rękoma. Jakiś mężczyzna stojący wśród gapiów, przewrócił się, próbując gwałtownie odskoczyć. Grupka ludzi momentalnie rozprzeczła się.

Patrick podniósł głowę, chcąc rozeznaczyć się w sytuacji. Postać w więziennym surducie nerwowo rozejrzała



się wokół. Twarz...Dlaczego jej nie widział?...Przechodnie z przerażeniem przyglądali się rozwojowi wypadków. Nieznajomy zdawał się ścisnąć kurczowo w dłoń jakiś kawałek materiału (a może to była kartka?). Jego oddech był szybki i nerwowy. Wciąż znajdując się w pozycji półleżącej, spojrzał w stronę Paddy'ego. Przez jedną chwilę, przez ten moment, Patrick poczuł dziwny chłód na całym ciele. Twarz nieznanego człowieka, choć skryta w cieniu, wydała się dziwnie znajoma. Zdalo mu się, że cały świat zamarł. Cisza (znów ta cisza...) wypełniła całą przestrzeń między mężczyznami. O'Connor odwrócił głowę. Pomiędzy budynkami dostrzegł nagiego, starego mężczyznę.

Jego długie siwe, prawie białe włosy swobodnie falowały w rytm zawozeń wiatru. Przygarbiona postać starca zdawała się spoglądać w jego stronę. Spoglądać? "Mój, Boże, przecież...te oczy..." - Patrick dostrzegł coś niezwykle w wyglądzie tego mężczyzny. Jego oczy...Nie widział ich. Miał tego...Nie, to nie mogło być prawdą...Jego powieki były w jakiś koszmarny sposób połączone, jakby...zszycie...

Dziwny dźwięk (czy to był pisk?) rozproszył na moment uwagę Patricka. Gdy spojrzał ponownie w przestrzeń między budynkami, dziwnego starca nie było...

- Niech ktoś coś zrobi...- szeptała kobieta dobiegł do uszu Paddy'ego, wypełniając tę przekletą ciszę. Słowa podziały na niego, niczym zimny prysznik. "Co się ze mną dzieje?" - myśli wciąż jednak pozostawały nieco zmaczone. Wstał szybko, spoglądając uważnie w przestrzeń, który również podnosił się z ziemi. Jego brudne więzienne ubranie, pokryte było skrzepami świeżej (najprawdopodobniej) krwi. Po lewej stronie surduta znajdował się numer identyfikacyjny więźnia... C3469. W oddali słychać było zbliżające się syreny policyjnych wozów. Więzień zadrżał, upuszczając na ziemię kawałek trzymanego w reku materiału.

- Na Boga, musimy coś zrobić - głos kobiety był rozpaczliwy. Nieznajomy

spojrzał w jej stronę. Paddy ruszył w kierunku mężczyzny. Ten, niczym przestraszony zwierz, zerwał się, uciekając w kierunku skrytych w cieniu nocy zaułków. Starał się unikać światła. Materiał, leżący na śniegu, niesiony podmuchem wiatru, pofrunął w stronę oddalającego się powoli mężczyzny, po czym opadł na ziemię.

Syreny stawały się coraz wyraźniejsze...

WIZJE

Nie zastanawiał się długo.

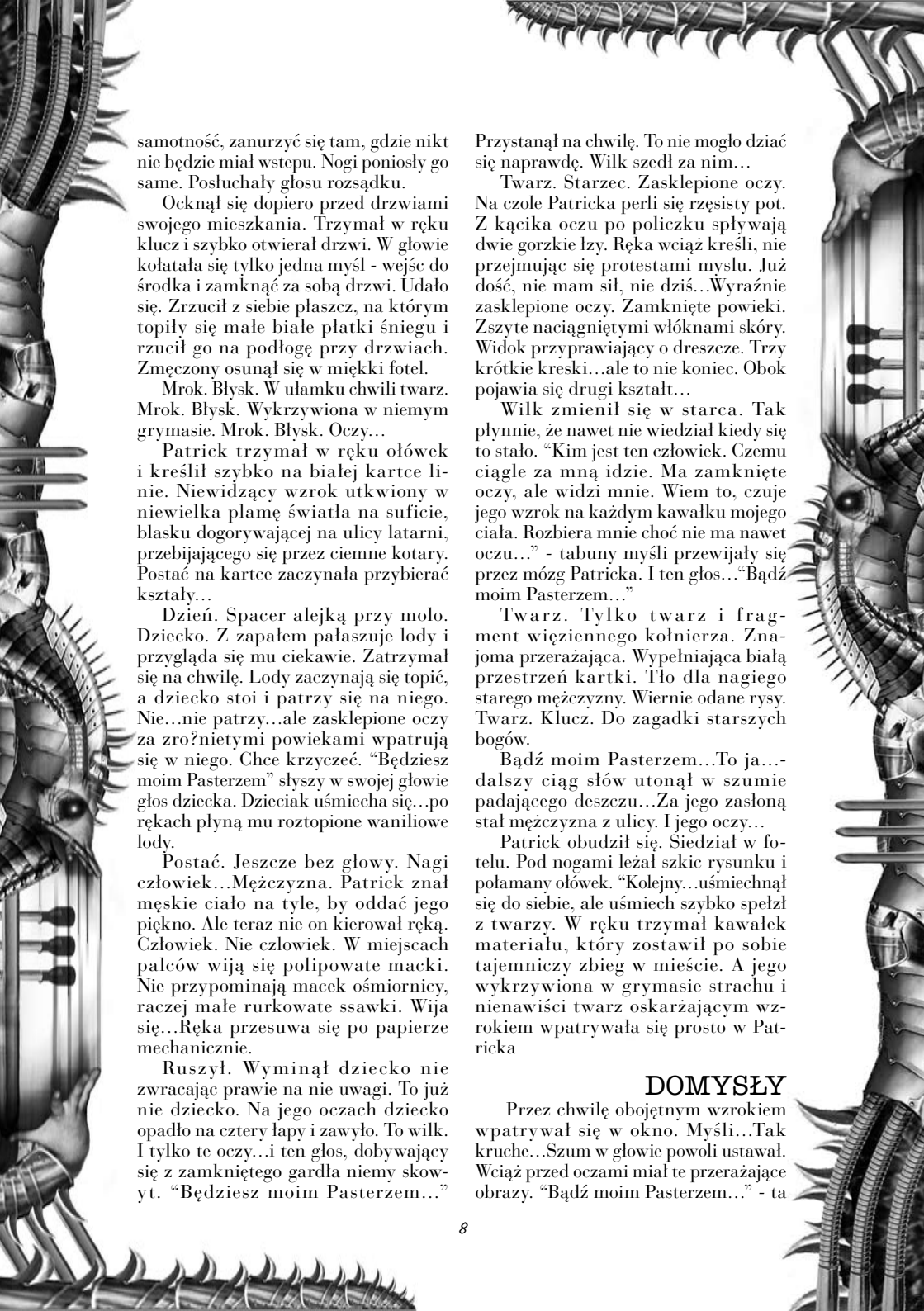
- Niech państwo poczekają na policję. Ten człowiek uciekł chyba z więzienia. - rzucił szybko i ruszył w stronę cienia, w którym skrył się mężczyzna. Jedną z kobiet chwycił go za rękę...

- Przecież nie może pan pójść sam. Ten ktoś jest niebezpieczny!

Patrick odwrócił się.

- Niech się pani nie martwi, dam sobie radę. - delikatnie zdjął jej rękę ze swojej. Była ciepła i delikatna. Kobieta nie miała rękawiczek, a jej dłoń była niemal tak blada, jak ogarniający wszystko wokół śnieg. Jakby na pożegnanie ścisnął ją delikatnie, ale nie spojrzał przy tym w jej oczy i jeszcze szybciej ruszył za uciekającym człowiekiem. Po drodze nie zatrzymując się ani na chwilę podniósł ze ?niegu kawałek materiału (a może kartki...) i wsunął go sobie do kieszeni.

Ślady niknęły w mroku. Nie było ani człowieka, ani tego nagiego starca. Po plecach przesunęły się dreszcze, zabijając ostatnie resztki pewności siebie. Patrick bał się. Bał się jak wtedy, gdy czuł, że coś jest nie tak, że Alexowi coś się przytrafiło. Nie mógł wtedy wiedzieć, bo Alex był przecież tysiące mil od niego, ale mimo wszystko wiedział. I bał się. Bał się już samego tego uczucia strachu, które rosło w nim, wypełniając każdą cząstkę jego duszy. Każdy fragment jego osobowości krzyczał, domagał się zaprzestania pościgu i powrotu do jedynego miejsca, w którym sam czuł się bezpiecznie. Do swojego mieszkania przy Boulevard Avenue. Zanurzyć się w



samotność, zanurzyć się tam, gdzie nikt nie będzie miał wstępu. Nogi poniosły go same. Posłuchały głosu rozsądku.

Ocknął się dopiero przed drzwiami swojego mieszkania. Trzymał w ręku klucz i szybko otwierał drzwi. W głowie kołatała się tylko jedna myśl - wejść do środka i zamknąć za sobą drzwi. Udało się. Zrzucił z siebie płaszcz, na którym topiły się małe białe płatki śniegu i rzucił go na podłogę przy drzwiach. Zmęczony osunął się w miękkiej fotel.

Mrok. Błysk. W ulamku chwili twarz. Mrok. Błysk. Wykrzywiona w niemym grymasie. Mrok. Błysk. Oczy...

Patrick trzymał w ręku ołówek i kreślił szybko na białej kartce linie. Niewidzący wzrok utkwniony w niewielką plamę światła na suficie, blasku dogorywającej na ulicy latarni, przebijającego się przez ciemne kotary. Postać na kartce zaczynała przybierać kształty...

Dzień. Spacer alejką przy molo. Dziecko. Z zapalem pałaszując lody i przygląda się mu ciekawie. Zatrzymał się na chwilę. Lody zaczynają się topić, a dziecko stoi i patrzy się na niego. Nie...nie patrzy...ale zasklepione oczy za zroźnietymi powiekami wpatrują się w niego. Chce krzyczeć. "Będziesz moim Pasterzem" słyszy w swojej głowie głos dziecka. Dzieciak uśmiecha się...po rękach płyną mu roztopione waniliowe lody.

Postać. Jeszcze bez głowy. Nagi człowiek...Mężczyzna. Patrick znalazł męskie ciało na tyle, by oddać jego piękno. Ale teraz nie on kierował ręką. Człowiek. Nie człowiek. W miejscach palców wija się polipowate macki. Nie przypominają macek ośmiornicy, raczej małe rurkowe ssawki. Wija się...Ręka przesuwana się po papierze mechanicznie.

Ruszył. Wyminął dziecko nie zwracając prawie na nie uwagi. To już nie dziecko. Na jego oczach dziecko opadło na cztery łapy i zawył. To wilk. I tylko te oczy...i ten głos, dobywający się z zamkniętego gardła niemy skowyt. "Będziesz moim Pasterzem..."

Przystanął na chwilę. To nie mogło działać się naprawdę. Wilk siedział za nim...

Twarz. Starzec. Zasklepione oczy. Na czole Patricka perli się rzęsisty pot. Z kącika oczu po policzku spływają dwie gorzkie łzy. Ręka wciąż kreśli, nie przejmując się protestami myśli. Już dość, nie mam sił, nie dziś...Wyraźnie zasklepione oczy. Zamknięte powieki. Zszyte naciągniętymi włóknami skóry. Widok przyprawiający o dreszcze. Trzy krótkie kreski...ale to nie koniec. Obok pojawia się drugi kształt...

Wilk zmienił się w starca. Tak płynnie, że nawet nie wiedział kiedy się to stało. "Kim jest ten człowiek. Czemu ciągle za mną idzie. Ma zamknięte oczy, ale widzi mnie. Wiem to, czuje jego wzrok na każdym kawalku mojego ciała. Rozbiera mnie choć nie ma nawet oczu..." - tabuny myśli przewijały się przez mózg Patricka. I ten głos..."Bądź moim Pasterzem..."

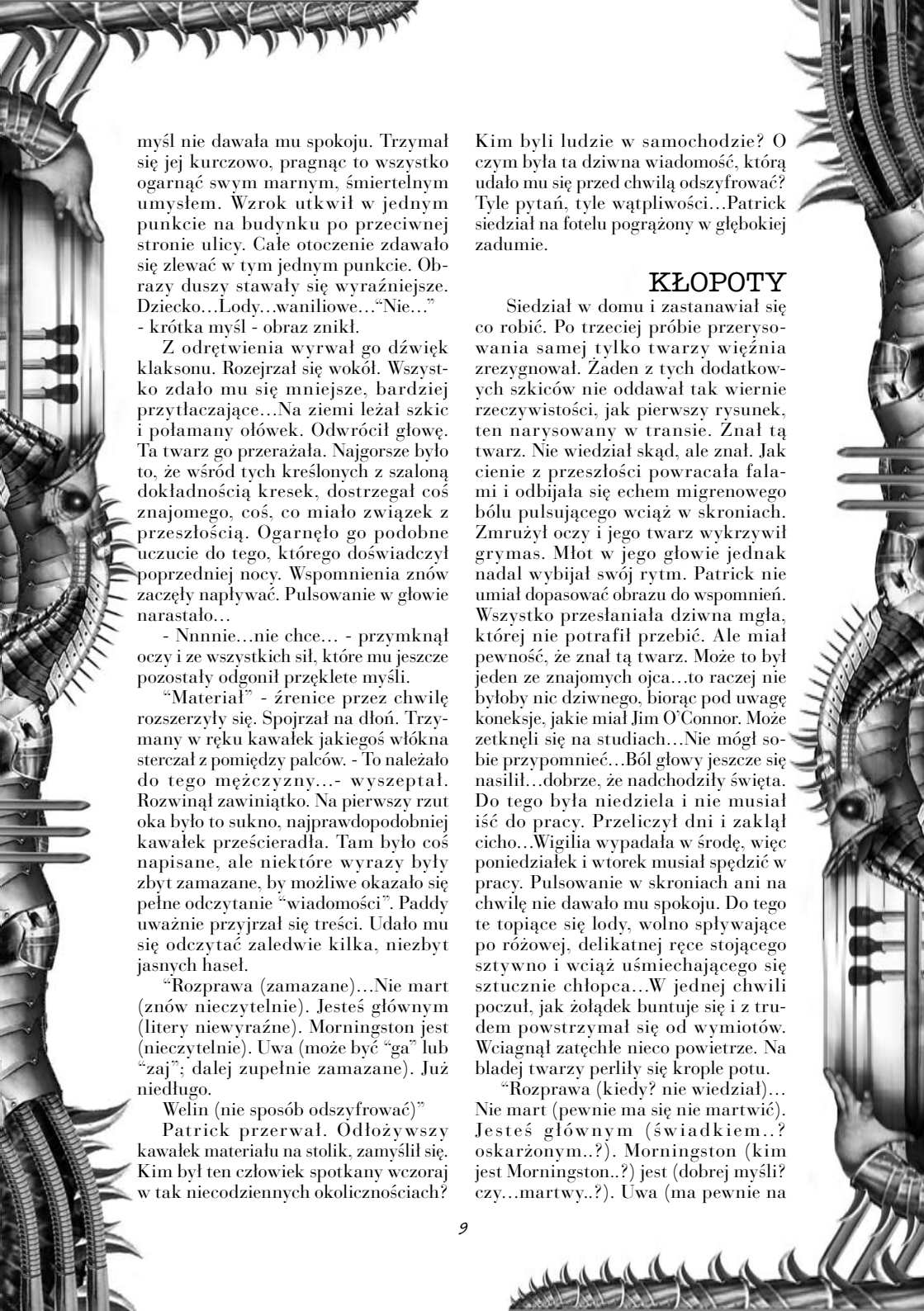
Twarz. Tylko twarz i fragment więziennego kołnierza. Znajoma przerażająca. Wypełniająca białą przestrzeń kartki. Tło dla nagiego starego mężczyzny. Wiernie odane rysy. Twarz. Klucz. Do zagadki starszych bogów.

Bądź moim Pasterzem...To ja...dalszy ciąg słów utonął w szumie padającego deszczu...Za jego zasłoną stał mężczyzna z ulicy. I jego oczy...

Patrick obudził się. Siedział w fotelu. Pod nogami leżał szkic rysunku i połamany ołówek. "Kolejny...uśmiechnął się do siebie, ale uśmiech szybko spęzł z twarzy. W ręku trzymał kawalek materiału, który zostawił po sobie tajemniczy zbieg w mieście. A jego wykrzywiona w grymasie strachu i nienawiści twarz oskarżającym wzrokiem wpatrywała się prosto w Patricka

DOMYSŁY

Przez chwilę obojętnym wzrokiem wpatrywał się w okno. Myśli...Tak kruche...Szum w głowie powoli ustawał. Wciąż przed oczami miał te przerażające obrazy. "Bądź moim Pasterzem..." - ta



myśl nie dawała mu spokoju. Trzymał się jej kurczowo, pragnąc to wszystko ogarnąć swym marnym, śmiertelnym umysłem. Wzrok utkwiał w jednym punkcie na budynku po przeciwnej stronie ulicy. Całe otoczenie zdawało się zlewać w tym jednym punkcie. Obrzyły duszy stawały się wyraźniejsze. Dziecko...Lody...waniliowe...“Nie...” - krótka myśl - obraz znikł.

Z odrętwienia wyrwał go dźwięk klaksonu. Rozejrzał się wokół. Wszystko zdało mu się mniejsze, bardziej przytłaczające...Na ziemi leżał szkic i połamany ołówek. Odwrócił głowę. Ta twarz go przerażała. Najgorsze było to, że wśród tych kreślonych z szaloną dokładnością kresków, dostrzegał coś znajomego, coś, co miało związek z przeszłością. Ogarnęło go podobne uczucie do tego, którego doświadczył poprzedniej nocy. Wspomnienia znów zaczęły napływać. Pulsowanie w głowie narastało...

- Nnnnie...nie chce... - przymknął oczy i ze wszystkich sił, które mu jeszcze pozostały odgonił przekłete myśli.

“Materiał” - źrenice przez chwilę rozszerzyły się. Spojrzał na dłoń. Trzymany w rękę kawałek jakiegoś włókna sterczał z pomiędzy palców. - To należało do tego mężczyzny... - wyszeptał. Rozwinął zawiniątko. Na pierwszy rzut oka było to sukno, najprawdopodobniej kawałek prześcieradła. Tam było coś napisane, ale niektóre wyrazy były zbyt zamazane, by możliwe okazało się pełne odczytanie “wiadomości”. Paddy uważnie przyjrzał się treści. Udało mu się odczytać zaledwie kilka, niezbyt jasnych haseł.

“Rozprawa (zamazane)...Nie mart (znów nieczytelnie). Jesteś głównym (litery niewyraźne). Morningston jest (nieczytelnie). Uwa (może być “ga” lub “zaj”; dalej zupełnie zamazane). Już niedługo.

Welin (nie sposób odszyfrować)”

Patrick przerwał. Odłożywszy kawałek materiału na stolik, zamyślił się. Kim był ten człowiek spotkany wczoraj w tak niecodziennych okolicznościach?

Kim byli ludzie w samochodzie? O czym była ta dziwna wiadomość, którą udało mu się przed chwilą odszyfrować? Tyle pytań, tyle wątpliwości...Patrick siedział na fotelu pogrążony w głębokiej zadumie.

KŁOPOTY

Siedział w domu i zastanawiał się co robić. Po trzeciej próbie przerysowania samej tylko twarzy więźnia zrezygnował. Żaden z tych dodatkowych szkiców nie oddawał tak wiernie rzeczywistości, jak pierwszy rysunek, ten narysowany w transie. Znal tą twarz. Nie wiedział skąd, ale znalazł. Jak cienie z przeszłości powracała falami i odbijała się echem migrenowego bólu pulsującego wciąż w skroniach. Zmrużył oczy i jego twarz wykrzywił grymas. Młot w jego głowie jednak nadal wybijał swój rytm. Patrick nie umiał dopasować obrazu do wspomnień. Wszystko przesłaniała dziwna mgła, której nie potrafił przebić. Ale miał pewność, że znalazł tą twarz. Może to był jeden ze znajomych ojca...to raczej nie byłoby nic dziwnego, biorąc pod uwagę koneksje, jakie miał Jim O'Connor. Może zetknęli się na studiach...Nie mógł sobie przypomnieć...Ból głowy jeszcze się nasilił...dobrze, że nadchodziły święta. Do tego była niedziela i nie musiał iść do pracy. Przeliczył dni i zaklął cicho...Wigilia wypadła w środę, więc poniedziałek i wtorek musiał spędzić w pracy. Pulsowanie w skroniach ani na chwilę nie dawało mu spokoju. Do tego te topiące się lody, wolno spływające po różowej, delikatnej ręce stojącego sztywno i wciąż uśmiechającego się sztucznie chłopca...W jednej chwili poczuł, jak żołądek buntuje się i z trudem powstrzymał się od wymiotów. Wciągnął zatechłe nieco powietrze. Na bladej twarzy perlily się krople potu.

“Rozprawa (kiedy? nie wiedział)... Nie mart (pewnie ma się nie martwić). Jesteś głównym (świadkiem...? oskarżonym...?). Morningston (kim jest Morningston...?) jest (dobrej myśli? czy...martwy...?). Uwa (ma pewnie na

siebie uważać). Już niedługo. (tylko co..?)

Welin (Wellington..?)”

Tylko jak to wszystko ma się do tego, co widział w nocy..? Czemu ten mężczyzna został wyrzucony z samochodu z workiem na twarzy? Kim był Mornington? I kim był ten człowiek..?!

Zastanawiał się co robić. Wiedział, że zanosząc ten rysunek na policję naraża się na zamknięcie w Memorial Hospital na oddziale, na który nie miał zamiaru trafić. Wciąż pamiętał, jakie reakcje wywołały jego szkice pośród tych, którzy je oglądali. Oczywiście szkice, które tworzył pod wpływem swoich wizji. W końcu podniósł się ze swego fotela. Musiał coś zrobić. Podniósł rzucony w nocy w pośpiechu płaszcz i powiesił go na wieszaku. Za oknem szarzał świt. Całą noc spędził nad rysunkami...Zebrał je z podłogi i wpakował do torby. Zanotował jeszcze raz numer, który zapamiętał. C3469. Przez chwilę wahał się, ale w końcu zdecydował się choć chwilę przespać.

Rozebrał się do naga i poszedł do łazienki. Gdy zapalił światło, kilka karaluchów rozbiegło się i pochowało po szparach. Nienawidził ich. Brzydził się nimi. Spojrzał w lustro wiszące naprzeciw. Nie lubił swojego ciała. Nikt nie lubił jego ciała. Przypominał sobie, jak reagowały dziewczyny. Zdawały się go nie zauważać albo otwarcie śmiały się w twarz. Nie należał do najpiękniejszych ludzi na ziemi. Przyglądał się sobie przesuwając rękę od twarzy w dół, dotykał gładkiej szyi. Zmrużył oczy i ręka powędrowała niżej. Poczuł lekkie podniecenie i...w lustrze nagle pojawił się kształt. Patrzył na siebie...ale nie był już sobą. Pomarszczona skóra, zgrzybiałe ręce, długie siwe włosy i pionowo sterzający członek. I zarośnięte, zasklepione chorobą oczy. Lustro zafalowało. W tle ukazała się pokryta cieniem twarz więźnia. Widział ją tak wyraźnie. C3469 stał za nim z twarzą wykrzywioną nienawiścią... lub może przerażeniem...Nagi starzec wybuchnął histerycznym śmiechem...

Ten odgłos wwiercał się w głowę podsycając jeszcze ból. Patrick odwrócił się wystraszony, ale nikogo za nim nie było. Krzyknął i nagle pokój zawirował, a ziemia uciekła mu spod stóp. Otoczyła go ciemność...

Ocknął się drżąc z zimna i spojrzał na zegar. Minęło już południe. Trzesąc się cały czas nagrzał wody i wszedł do wypełnionej w połowie wanny. Ciepło miękkim płaszczem otuliło wychłodzone ciało i sprawiło, że krew znów zaczęła w nim krążyć szybko. Po kilkunastu minutach wytarł porządnie w ręcznik zaróżowione ciało i nie zwlekając ubrał się w czyste rzeczy. Jeszcze nie było za późno, by iść na mszę do pobliskiego kościoła. Założył białą koszulę i ciemne spodnie. Przed wyjściem rozejrzał się jeszcze, wziął płaszcz i wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Kościół stał na wzgórzu dziesięć minut drogi od domu. Początkowo nie zwrócił na to uwagi, ale po chwili rzuciło mu się w oczy, że ulice są niemal puste. W nocy spadło chyba wiele śniegu, bo ulice były białe, a jego buty tonęły w nim po kostki. Zdziwił się widząc, że droga do kościoła nie jest wydeptana. Przed wejściem zatrzymał się. Msza powinna się już zacząć, ale nie słyszał żadnych odgłosów. Sięgnął do klamki i nacisnął ją. Drzwi jednak pozostały zamknięte. Na twarzy Patricka odmalował się wyraz zaskoczenia. Szarpnął raz jeszcze, ale drzwi trwały niewzruszenie.

- Słucham pana...- z tyłu dobiegł głos. - Pan w jakiej sprawie? - Patrick odwrócił się. Przed nim stał ksiądz. - A, to ty Patricku. Nie widziałem cię wczoraj na mszy, coś się stało..? Byłeś chory..?

Patrick wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Nic nie rozumiał...

- Wczoraj..?

- Wczoraj. Nie pracujesz dzisiaj..? Wziąłeś sobie wolne przed świętami? - pytał dalej ksiądz. Skoro tak, to może mogłbyś nam pomóc w przystrajaniu złóbka..?

Patrick patrzył gdzieś w nieistniejący punkt. Ksiądz zaniepokoił się.

- Patricku...czy wszystko jest w porządku...?

- Tak...tak... - odpowiedział niepewnie Irlandczyk i ruszył znów do domu. Więc zgubił gdzieś cały dzień...Prawdopodobnie przeleżał go na podłodze łazienki. To wyjaśniało dlaczego wokół było tak mało ludzi. Wszyscy robili przedświąteczne zakupy lub...pracowali. "Rany boskie...zabiją mnie..." - pomyślał. Przed samymi świętami mieli w biurze mnóstwo pracy. Może to właśnie z przemęczenia wynikła cała ta sytuacja. "No to wpakowałem się w niezłą kabalę...". Nie myśląc wiele ruszył na policję. Przynajmniej w ten sposób będzie mógł się wytłumaczyć w pracy i nie zwolnił go. I tak już musiał tłumaczyć się, dlaczego zgłasza się na policję dopiero po całym dniu. Czy ktoś mu uwierzy...? Na pewno nie w pełną wersję. Zastanawiał się, co może powiedzieć. Nie mógł wspomnieć o starcu. Nie mógł wspomnieć o swych wizjach. Musiał jakoś wytłumaczyć swoje spóźnienie - najlepiej...chorobą. Nie mógł nawet pokazać rysunku, był przecież na nim razem ze starcem. Miał tylko numer i kawałek prześcieradła z zamazanym tekstem. I cichą nadzieję, że nikt nie wplące go w żadną aferę. Z tą nadzieją stanął na progu komisariatu...

KOMISARIAT

Ze środka dochodził hałas. Dźwięk telefonów, liczne rozmowy, czasami ktoś podnosił głos. Patrick powoli przekroczył próg komisariatu. Drzwi za nim nie zdążyły się dobrze zamknąć, gdy pchnięte silnie otworzyły się raz jeszcze. Mężczyzna nie zdążył się odwrócić, gdy potrącony potknął się.

- Przepraszam...- wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w granatowym mundurze obojętnie rzucił w jego stronę. Spieszył się. Nawet bardzo. Paddy przez chwilę odprowadził go wzrokiem, po czym wszedł w głąb pomieszczenia, "poczekalnie". Zgiełk panujący na komisariacie ani na chwilę nie cichł. Paddy przez moment stał

obojętnie przyglądając się niewielkiemu tłumowi. Czy dobrze zrobił przychodząc tutaj? Musiał pójść przecież do pracy, jakoś wytłumaczyć swoją nieobecność. Gdzie się podział ten jeden, cały dzień?! Te wizje...One były coraz wyraźniejsze. Nie dawały mu spokoju. I dlaczego ta postać, spotkana sobotniego wieczoru była częścią tych majaków? Co ten więzień i czy na pewno więzień, miał z tym wszystkim wspólnego? Po co tu przyszedł? Przecież ten ktoś nie zrobił mu niczego złego. On nikomu nie wyrządził krzywdy. Można rzec, że sam był ofiarą. Więc po co...? Jakaś częśćka kazała mu tu jednak przyjść. Być może było to jego obywatelskim obowiązkiem, zgłosić ucieczkę więźnia (czy tak właśnie było?)? Nie mógł opowiedzieć o wizjach, starcu i dziecku. Zostałby wyśmiany lub uznany za psychicznie nie zrównoważonego. Tylko, że to wszystko było częścią tej dziwnej układanki!

Wolnym krokiem udał się w stronę punktu informacyjnego.

- Przepraszam...

- Detektyw Stevenson, gabinet nr 4, na końcu korytarza po lewej - postać w mundurze siedząca po drugiej stronie blatu nie podniosła nawet głowy.

- Ale...

- W sprawie pożaru, gabinet nr 4 - po raz kolejny młody funkcjonariusz przerwał Paddy'emu w połowie.

- Jakiego pożaru? - Patrick rzucił w stronę mężczyzny. Ten podniósł głowę, spoglądając na niego znużonym wzrokiem.

- Pożaru budynku "Arkham Gazette". Nie pan o tym nie wie? - spytał zdziwiony.

- Kiedy? - Paddy odpowiedział pytaniem na pytanie. Mężczyzna wrócił do papierów na biurku.

- W niedzielę wieczorem...Właściwie to można powiedzieć, że w poniedziałek rano. Koło pierwszej.

"Przecież wtedy..." - krótka myśl przemknęła przez głowę. Funkcjonariusz ponownie podniósł głowę znad sterty papierów.

[illegible][illegible]

czego nie słyszał. Żadnej rozmowy, ruchu, poruszenia... Nagły zgrzyt metalu... Drzwi od jednej z cel stanęły otworem. Przez chwilę poczuł ulgę w policach nadgarstków. Lekko pchnięty przez policjanta wpadł do pomieszczenia. Odgłos zamykanych wierzei był jedynie przeraźliwy jak ich otwieranie. Dalszące się kroki funkcjonariusza woli cichyly zostawiając go sam na sam z ciszą...

- Jest tu kto? - jego pytanie cichym echem odbiło się od ścian. Powiedziało mu lekkie poruszenie. Nic więcej. Widział kształty, zarysy takich postaci, ale nic poza tym. - ...lo...- w powietrzu usłyszał delikatne buczenie, jakby zawodzenie. Głosy szły się, tworząc niezwykle rozbudowany kanon. Otaczały go zewsząd. Nie mógł określić ich źródła. Po prostu były wszędzie... Patrick panicznie rozglądał się. Dźwięki narastały zagłuszając ciszę. W bliskim sążu. Wśród tego chaosu mógł jednak wyróżnić... słowa. Tak, były wyraźne, ale słyszał je. "Będziesz im Pasterzem..." - hukowało mu pod uszka niczym ogromny dzwon. Paddy oparł się za głowę, przymykając oczy. ...był coraz większy. Nie mógł go zobaczyć.

- Nnnnnnnnnnnnieeeeeee!...

- ...bądź pewny, że o wszystkim dowiem się od twój zwierzchnik. Raport dostarczę ci na biurko jeszcze dzisiaj - Patrick woli otwierał oczy.

- Poruczniku, on się chyba budzi... strzegaj wszystko, jak za mgłą... światło... Zmrużył oczy, przechylając głowę na prawy bok. Postacie. Tu były takie postacie.

- Czy wszystko w porządku? - On słyszał wyraźnie. Otworzył oczy patrząc na siebie. Znajdował się w pomieszczeniu z dużą ilością oszkłonych kolumn. Wyglądało to na jakiś medyczny obiekt. On sam leżał chyba na jakimś stole... Stole? Momentalnie otrzeźwiał. Chciał się podnieść, ale uderzył w swoją głowę.

- Ostrożnie, pomogę panu...- ręka białym, nieco zakrwawionym kitlu

[illegible]

- czego nie słyszał. Żadnej rozmowy, ruchu, poruszenia... Nagły zgrzyt metalu... Drzwi od jednej z cel stanęły otworem. Przez chwilę poczuł ulgę w policach nadgarstków. Lekko pchnięty przez policjanta wpadł do pomieszczenia. Odgłos zamykanych wierzei był jedynie przeraźliwy jak ich otwieranie. Dalszące się kroki funkcjonariusza woli cichyly zostawiając go sam na sam z ciszą...

- Jest tu kto? - jego pytanie cichym echem odbiło się od ścian. Odpowiedziało mu lekkie poruszenie. Nic więcej. Widział kształty, zarysy takich postaci, ale nic poza tym. - ...lo...- w powietrzu usłyszał delikatne buczenie, jakby zawodzenie. Głosy szły się, tworząc niezwykle rozbudowany kanon. Otaczały go zewsząd. Nie mógł określić ich źródła. Po prostu były wszędzie... Patrick panicznie rozglądał się. Dźwięki narastały zagłaszając ciszę. W bliskim sążu. Wśród tego chaosu mógł jednak wyróżnić... słowa. Tak, były wyraźne, ale słyszał je. "Będziesz im Pasterzem..." - hukowało mu pod maską niczym ogromny dzwon. Paddy oparł się za głowę, przymykając oczy. ...był coraz większy. Nie mógł go zobaczyć.

- Nnnnnnnnnnieeeeeee!...

- ...bądź pewny, że o wszystkim dowiedzi twój zwierzchnik. Raport dostarczę ci na biurko jeszcze dzisiaj - Patrick woli otwierał oczy.

- Poruczniku, on się chyba budzi... strzegaj wszystko, jak za mgłą... iatło... Zmrużył oczy, przechylając głowę na prawy bok. Postacie. Tu były takie postacie.

- Czy wszystko w porządku? - On słyszał wyraźnie. Otworzył oczy patrząc na siebie. Znajdował się w pomieszczeniu z dużą ilością oszkłonych kolumn. Wyglądało to na jakiś medyczny obiekt. On sam leżał chyba na jakimś stole... Stole? Momentalnie otrzeźwiał. Chciał się podnieść, ale uderzył w swoją głowę.

- Ostrożnie, pomogę panu...- ręka białym, nieco zakrwawionym kitlu

czego nie słyszał. Żadnej rozmowy, ruchu, poruszenia... Nagły zgrzyt metalu... Drzwi od jednej z cel stanęły otworem. Przez chwilę poczuł ulgę w policach nadgarstków. Lekko pchnięty przez policjanta wpadł do pomieszczenia. Odgłos zamykanych wierzei był niewinnie przeraźliwy jak ich otwieranie. Dalszące się kroki funkcjonariusza woli cichyly zostawiając go sam na sam z ciszą...

- Jest tu kto? - jego pytanie cichym echem odbiło się od ścian. Odpowiedziało mu lekkie poruszenie. Nic więcej. Widział kształty, zarysy, ale nie postaci, ale nie poza tym. W powietrzu usłyszał delikatne stuknięcie, jakby zawołanie. Głosy szłały się, tworząc niezwykle rozbudowany kanon. Otaczały go zewsząd. Nie mógł określić ich źródła. Po prostu były wszędzie... Patrick panicznie rozglądał się wokół siebie. Dźwięki narastały zaglušając ciszę. W bliskim sążu. Wśród tego chaosu mógł jednak wyróżnić... słowa. Tak, były wyraźne, ale słyżał je. "Będziesz im Pasterzem..." - huczało mu pod uszka niczym ogromny dzwon. Paddy oparł się za głowę, przymykając oczy. Cisza była coraz większa. Nie mógł go już zobaczyć.

- Nnnnnnnnnnieeeeeee!...

- ...bądź pewny, że o wszystkim dowiesz się od twojego zwierzchnika. Raport dostarczę ci jutro na biurko jeszcze dzisiaj - Patrick wolał otwierać oczy.

- Poruczniku, on się chyba budzi... - strzegął wszystko, jak za mgłą... - Zmrużył oczy, przechylając głowę na prawy bok. Postacie. Tu były i tamte postacie.

- Czy wszystko w porządku? - On nie słyszał wyraźnie. Otworzył oczy, patrząc na siebie. Znajdował się w pośroczczeniu z dużą ilością oszkłonionych powierzchni. Wyglądało to na jakiś medyczny obiekt. On sam leżał chyba na jakimś stole... Stole? Momentalnie otrzeźwiał. Chciał się podnieść, ale uderzył w sufit głową.

- Ostrożnie, pomożę panu... - ręka biała, nieco zakrwawionym kitlu

[illegible]

pomogła mu zejść ze stołu. - Tylko spokojnie, znajduje się pan w policyjnej kostnicy. - Patrick cofnął się, potrącając stolicek ze znaczną ilością różnych fiolek. Kilka z nich spadło na posadzkę, tłukąc się.

- Nic panu nie jest? - ten sam głos ponowił pytanie - Proszę się nie niepokoić. Jest pan bezpieczny. Sytuacja nie była jednak zbyt przekonująca. Ostatnie co pamiętał, to te przekłete głosy. Teraz stał w pomieszczeniu... kostnicy w towarzystwie faceta w zakrwawionym kitlu, jednego umundurowanego policjanta, zdaje się, że był to ten sam, który wpakował go do celi, oraz nieco grubszego mężczyzny, ubranego w spodnie od marynarki i koszule.

- Najmocniej przepraszamy za okoliczności, w których pan się znalazł. Detektyw Kowalski - mężczyzna przy tuszy podał mu rękę. Patrick nawet nie spojrzał na nią. - Tak... - policjant cofnął dłoń - Wszystko wyjaśnię jednak w drodze do gabinetu, jeśli pan pozwoli. Skroń Patricka wciąż jeszcze pulsowała. Nie mógł zebrać myśli. Przytaknął.

- Świetnie, a więc chodźmy. Nie lubię miejsc takich jak te. - Szli oświetlonym korytarzem, znajdującym się zapewne w piwnicach komisariatu. - Zaszło ogromne nieporozumienie. Funkcjonariusz Cook, nazwijmy to, błędnie zinterpretował pański list gończy - przerwał zaciągając się wstretnym kubańskim cygarem. Paddy niemal się nie potknął.

- List gończy?...

- Tak. Jest... Był pan poszukiwany, jako jeden z głównych świadków niedzielnego zdarzenia przy Rynku Miejskim. Ten dureń...Przepraszam, funkcjonariusz Cook zadziałał zbyt pochopnie. Stąd to nieporozumienie. W imieniu policji przepraszam pana ogromnie, mając nadzieję, że nie wniesie pan stosownego oskarżenia. Mamy teraz tak duży nawal pracy, że ciężko by nam było ciągać się jeszcze po sądach.

Patrick nic nie odpowiedział, w zamyśleniu podążając korytarzem.

- Musi pan jednak wyjaśnić parę rzeczy. Przede wszystkim co stało się w nocy, 21 grudnia 1924 r. na Rynku Miejskim oraz poda przyczynę swojego zasłabnięcia w celi - Kowalski gęstownie wypuścił kolejną chmurę dymu. Był niezwykle spokojny. Na jego twarzy rysowało się wieloletnie doświadczenie. Powoli wracał mu spokój.

- Proszę...- porucznik otworzył drzwi od swojego gabinetu, zapraszając Patricka gestem ręki. Wewnątrz, na krześle siedziała kobieta. Paddy znał ją. Była to ta sama, którą spotkał tamtego wieczoru...Artysta dostrzegł jednak niezwykle bladą rysującą się na jej twarzy. Przez chwilę poczuł, jakby spoglądał w lustro. Ich spojrzenia spotkały się i Patrick doznał dziwnego uczucia chłodu, emanującego wręcz od tej niepozornej istotki. To jednak nie było złe...

- Poznaje pan? - głos detektywa przerwał rozmyślania i dziwne uczucie minęło.

- Tak...- odparł, odwracając głowę w stronę policjanta.

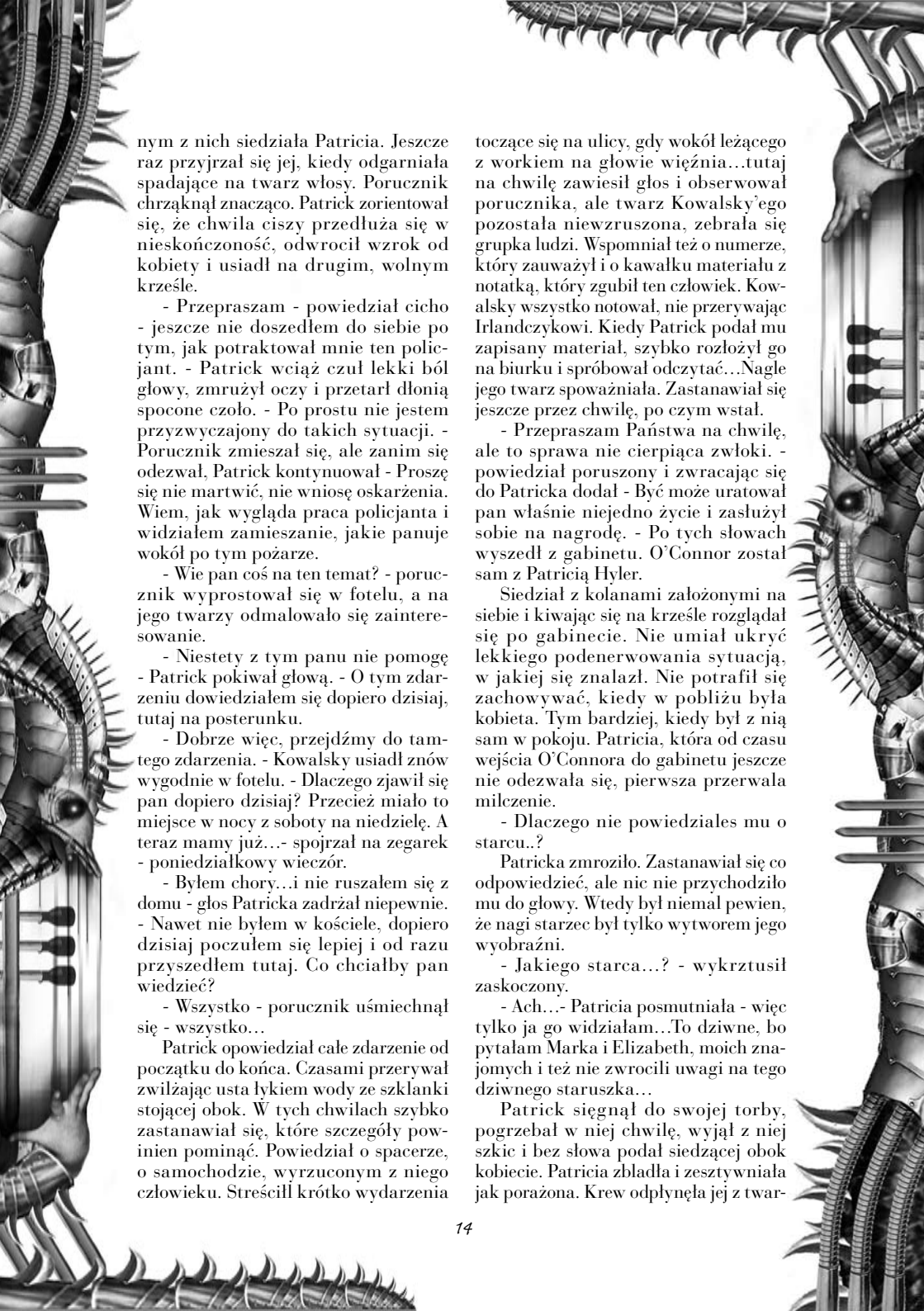
- Patricia Hyler - kobieta wyciągnęła rękę w kierunku Paddy'ego.

- Patrick O'Connor...- mężczyzna ucałował dłoń. "Ten zapach..." - jego nozdrza wypełnił niesamowity, fiołkowy aromat jej ciała.

- Skoro formalności mamy za sobą, przejdźmy do szczegółów - detektyw rozsiadł się wygodnie w fotelu na przeciwko dwójki ludzi.- Proszę wszystko mi opowiedzieć...

PRZESŁUCHANIE

Patrick rozejrzał się po gabinecie ogarniając szybko wzrokiem całe pomieszczenie. Pokój był niewielki, dość skromnie urządzone, zwykły gabinet. Porucznik Kowalski siedział w fotelu za biurkiem. W rękę trzymał pióro, gotowy do notowania wszystkich szczegółów dziwnego zdarzenia, które miał mu podać jego główny świadek, Patrick O'Connor...Po drugiej stronie biurka stały dwa wygodne, wyłożone gąbką i okryte materiałem krzesła. Na jed-



nym z nich siedziała Patricia. Jeszcze raz przyjrzał się jej, kiedy odgarniała spadające na twarz włosy. Porucznik chrząknął znacząco. Patrick zorientował się, że chwila ciszy przedłuża się w nieskończoność, odwrócił wzrok od kobiety i usiadł na drugim, wolnym krześle.

- Przepraszam - powiedział cicho - jeszcze nie doszedłem do siebie po tym, jak potraktował mnie ten policjant. - Patrick wciąż czuł lekki ból głowy, zmrużył oczy i przetrął dłonią spocone czoło. - Po prostu nie jestem przyzwyczajony do takich sytuacji. - Porucznik zmieszał się, ale zanim się odezwał, Patrick kontynuował - Proszę się nie martwić, nie wniosę oskarżenia. Wiem, jak wygląda praca policjanta i widziałem zamieszanie, jakie panuje wokół po tym pożarze.

- Wie pan coś na ten temat? - porucznik wyprostował się w fotelu, a na jego twarzy odmalowało się zainteresowanie.

- Niestety z tym panu nie pomogę - Patrick pokiwał głową. - O tym zdarzeniu dowiedziałem się dopiero dzisiaj, tutaj na posterunku.

- Dobrze więc, przejdźmy do tamtego zdarzenia. - Kowalski usiadł znów wygodnie w fotelu. - Dlaczego zjawił się pan dopiero dzisiaj? Przecież miało to miejsce w nocy z soboty na niedzielę. A teraz mamy już... - spojrzał na zegarek - poniedziałkowy wieczór.

- Byłem chory...i nie ruszałem się z domu - głos Patricka zadrżał niepewnie. - Nawet nie byłem w kościele, dopiero dzisiaj poczułem się lepiej i od razu przyszedłem tutaj. Co chciałby pan wiedzieć?

- Wszystko - porucznik uśmiechnął się - wszystko...

Patrick opowiedział całe zdarzenie od początku do końca. Czasami przerywał zwilżając usta łykiem wody ze szklanki stojącej obok. W tych chwilach szybko zastanawiał się, które szczegóły powinien pominąć. Powiedział o spacerze, o samochodzie, wyrzuconym z niego człowieku. Streścili krótko wydarzenia

toczące się na ulicy, gdy wokół leżącego z workiem na głowie więźnia...tutaj na chwilę zawiesił głos i obserwował porucznika, ale twarz Kowalskiego pozostała niewzruszona, zebrała się grupka ludzi. Wspomniał też o numerze, który zauważył i o kawałku materiału z notatką, który zgubił ten człowiek. Kowalski wszystko notował, nie przerywając Irlandczykowi. Kiedy Patrick podał mu zapisany materiał, szybko rozłożył go na biurku i spróbował odczytać...Nagle jego twarz spoważniała. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym wstał.

- Przepraszam Państwa na chwilę, ale to sprawa nie cierpiąca zwłoki. - powiedział poruszony i zwracając się do Patricka dodał - Być może uratował pan właśnie niejedno życie i zasłużył sobie na nagrodę. - Po tych słowach wyszedł z gabinetu. O'Connor został sam z Patricją Hyler.

Siedział z kolanami założonymi na siebie i kiwając się na krześle rozglądał się po gabinecie. Nie umiał ukryć lekkiego podenerwowania sytuacją, w jakiej się znalazł. Nie potrafił się zachowywać, kiedy w pobliżu była kobieta. Tym bardziej, kiedy był z nią sam w pokoju. Patricia, która od czasu wejścia O'Connora do gabinetu jeszcze nie odezwała się, pierwsza przerwała milczenie.


- Dlaczego nie powiedziałes mi o starcu..?

Patricka zmroziło. Zastanawiał się co odpowiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wtedy był niemal pewien, że nagi starzec był tylko wytworem jego wyobraźni.

- Jakiego starca...? - wykrztusił zaskoczony.

- Ach...- Patricia posmutniała - więc tylko ja go widziałam...To dziwne, bo pytałam Marka i Elizabeth, moich znajomych i też nie zwrócili uwagi na tego dziwnego staruszka...

Patrick sięgnął do swojej torby, pogrzebał w niej chwilę, wyjął z niej szkie i bez słowa podał siedzącej obok kobiecie. Patricia zbładła i zeszytywniała jak porażona. Krew odpłynęła jej z twar-



zy, otworzyła szeroko usta i próbowała łapać powietrze, jak wyciągnięta z wody ryba. Patrick patrzył przerażony. Rysunek wypadł z jej dłoni, gdy chwyciła się za serce. Kobieta najwyraźniej się dusiła, na jej twarz z wolna zaczynał wpełzać sinawy odcień. Patrick rzucił się do drzwi...Wypadł na korytarz i zaczął wzywać pomocy przeraźliwie krzycząc. Jednak nikt się nie pojawiał...

PANNA HYLER

Przez chwilę stał w pustym korytarzu, wsłuchując się w szybki i nierównomierny oddech własnych płuc. "Tam...w gabinecie leżała kobieta...ona...dlaczego zemdlła?...Rysunek...może on..." - krótkie myśli chaotycznie przelatwały przez jego udręczony umysł. Ruszył, rozpaczliwie szukając kogoś, kto mógł mu...jej pomóc. Gdzie był Kowalski? Wyszedł tak szybko, że nawet nie zdążył zapytać go, co to wszystko oznacza. Przez chwilę zdało mu się, że słyszy odgłos zamykanych drzwi. Stał, nasłuchując. Odgłos miarowych kroków dochodził z końca korytarza.

- Poruczniku...- jego niepewny głos wypełnił powietrze. - Poruczniku Kowalski, jest pan tu? - zagrmiał, wyczekując spoglądając w stronę zbliżających się kroków.

- O co chodzi? - otyła postać funkcjonariusza policji wyłoniła się zza winkła. Patrick odetchnął.

- Szybko, pani Hyler...Ona straciła przytomność - policjant natychmiast przyspieszył kroku coraz szybciej zbliżając się do Paddy'ego.

Biegli w milczeniu. Porucznik nawet nie spojrzał się w stronę architekta. Strużki potu spływały po jego otyłej twarzy. W rękę trzymał jakieś dokumenty. Drzwi do gabinetu były otwarte. Obaj mężczyźni niemal jednocześnie przekroczyli próg pomieszczenia. Ciało kobiety leżało bezwładnie na podłodze obok krzesła, na którym siedziała. Obok niej leżał szkic...Patrick zdraźał. Był tak zaaferowany całym zdarzeniem, że nie zdążył podnieść go z podłogi i schować do torby. Kowalski schylił się nad jej

ciałem, przykładając dwa złęczone palce do tętnicy szyjnej.

- Żyje - jego głos był nie zdradzał żadnych uczuć. Był wyrafinowany. Obojętnie podniósłszy kartkę papieru, leżącą obok dłoni kobiety, położył ją na biurku. Sięgnął do szuflady, wyjmując z niej jakąś buteleczkę. Otarł chustką drobiny potu z twarzy i zbliżył się do ciała, schylając pozycję. Odkręcił zakrętkę i przyłożył do nosa kobiety butelkę. Patrick przyglądał się całej sytuacji z niezwykłą dokładnością. Ani razu ten mężczyzna nie zawahał się, choćby na moment. Wszystko pracowało jak w zegarku. Policjant swoim wyglądem nie zdradzał tak wielkiego opanowania. Patrick w przeciwieństwie do niego cały się trząsł. W pewnym momencie Patricia otworzyła oczy, kaszląc. Kowalski wstał i zbliżył się do biurka. Podniósł rzucony uprzednio rysunek i zaczął mu się przyglądać. Paddy schylił się nad kobietą, która powoli wracała do siebie.

- Co tu się do cholery stało? - głos porucznika był pełen gniewu.

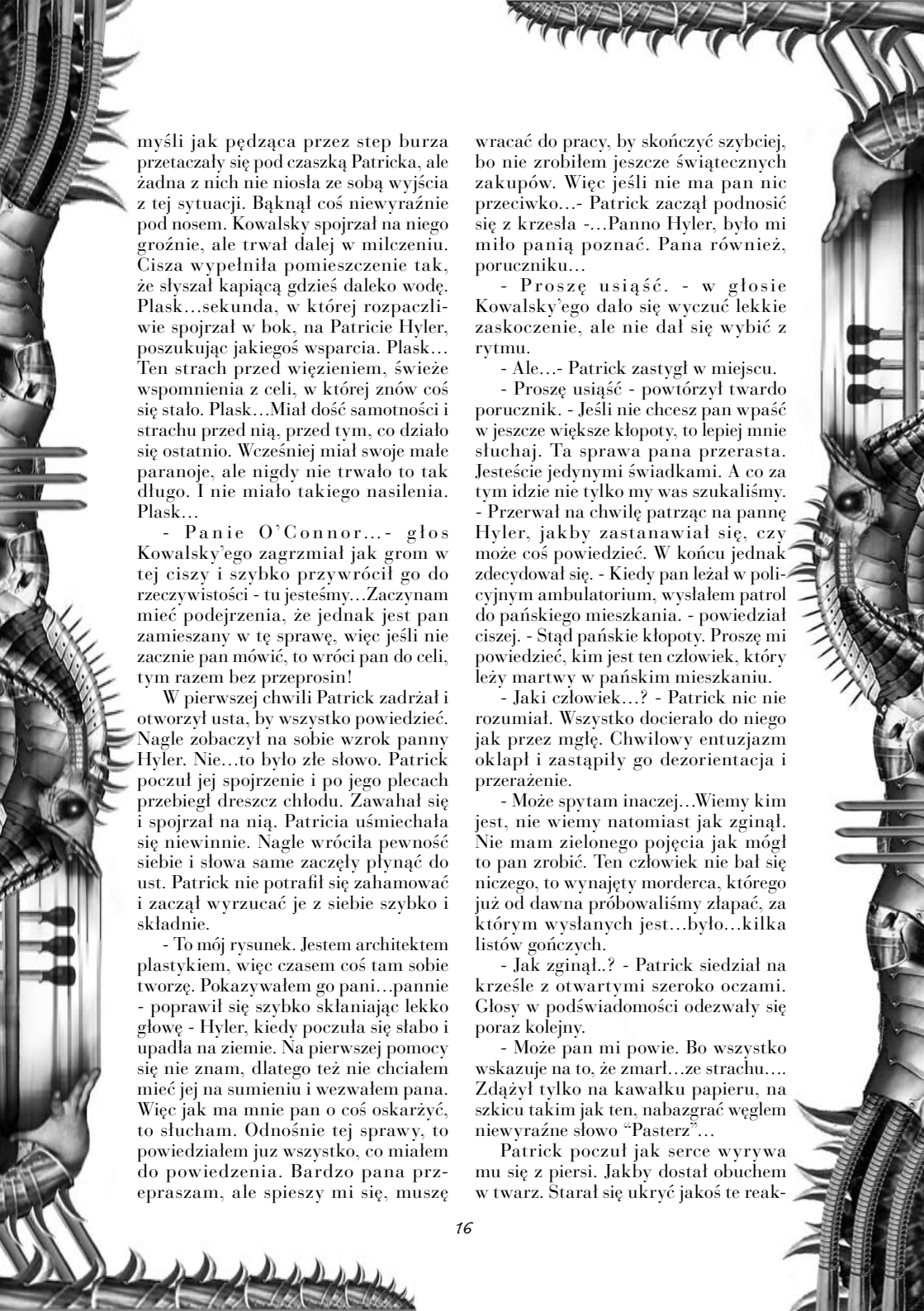
Nastąpiła chwila wyczekiwania, która Patrickowi wydała się wiecznością. Całe jego ciało w jednej chwili ogarnął ogień. Pot obficie wystąpił na czoło.

- Nic...- kobiety szepł ledwo dotarł do uszu artysty - Zasląblam i wszystko - przez moment spojrzenia Patricka i Patricii spotkały się. Paddy po raz kolejny poczuł to niezwykle uczucie chłodu. "Ona..."

- I co to jest? - porucznik zdawał się jej nie słyszeć. Nagłym ruchem ręki rzucił na biurko szkic. - Czekam na wyjaśnienia - głos detektywa był stanowczy. Przez krótką chwilę w pomieszczeniu zapanowała cisza. Szkic leżący na biurku spoglądał swym złowieszczym i pełnym szaleństwa wzrokiem na zgromadzonych. Patrick wyraźnie z czymś walczył. Oboje milczeli.

RYSUNEK

"Myśl...myśl...jak sam się w to wkopałeś, to teraz myśl...". Tabuny



myśli jak pędząca przez step burza przetaczały się pod czaszką Patricka, ale żadna z nich nie nosła ze sobą wyjścia z tej sytuacji. Bąknął coś niewyraźnie pod nosem. Kowalski spojrzał na niego groźnie, ale trwał dalej w milczeniu. Cisza wypełniła pomieszczenie tak, że słyszał kapiącą gdzieś daleko wodę. Plask...sekunda, w której rozpaczliwie spojrzał w bok, na Patricie Hyler, poszukując jakiegoś wsparcia. Plask... Ten strach przed więzieniem, świeże wspomnienia z celi, w której znów coś się stało. Plask...Miał dość samotności i strachu przed nią, przed tym, co działo się ostatnio. Wcześniej miał swoje małe paranoje, ale nigdy nie trwało to tak długo. I nie miało takiego nasilenia. Plask...

- Panie O'Connor...- głos Kowalski'ego zagrzmiał jak grom w tej ciszy i szybko przywrócił go do rzeczywistości - tu jesteśmy...Zaczynam mieć podejrzenia, że jednak jest pan zamieszany w tę sprawę, więc jeśli nie zacznie pan mówić, to wróci pan do celi, tym razem bez przeprosin!

W pierwszej chwili Patrick zadrzał i otworzył usta, by wszystko powiedzieć. Nagle zobaczył na sobie wzrok panny Hyler. Nie...to było złe słowo. Patrick poczuł jej spojrzenie i po jego plecach przebiegł dreszcz chłodu. Zawahał się i spojrzał na nią. Patricia uśmiechała się niewinnie. Nagle wróciła pewność siebie i słowa same zaczęły płynąć do ust. Patrick nie potrafił się zahamować i zaczął wyrzucać je z siebie szybko i składnie.

- To mój rysunek. Jestem architektem plastycznym, więc czasem coś tam sobie tworzę. Pokazywałem go pani...pannie - poprawił się szybko skłaniając lekko głowę - Hyler, kiedy poczuła się słabo i upadła na ziemię. Na pierwszej pomocy się nie znam, dlatego też nie chciałem mieć jej na sumieniu i wezwałem pana. Więc jak ma mnie pan o coś oskarżyć, to słucham. Odnosnie tej sprawy, to powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia. Bardzo pana przepraszam, ale spieszy mi się, muszę

wracać do pracy, by skończyć szybciej, bo nie zrobiłem jeszcze świątecznych zakupów. Więc jeśli nie ma pan nic przeciwko...- Patrick zaczął podnosić się z krzesła - ...Panno Hyler, było mi miło panią poznać. Pana również, poruczniku...

- Proszę usiąść. - w głosie Kowalski'ego dało się wyczuć lekkie zaskoczenie, ale nie dał się wybić z rytmu.

- Ale...- Patrick zastygł w miejscu.

- Proszę usiąść - powtórzył twardo porucznik. - Jeśli nie chcesz pan wpaść w jeszcze większe kłopoty, to lepiej mnie słuchaj. Ta sprawa pana przerasta. Jesteście jedynymi świadkami. A co za tym idzie nie tylko my was szukaliśmy.

- Przerwał na chwilę patrząc na pannę Hyler, jakby zastanawiał się, czy może coś powiedzieć. W końcu jednak zdecydował się. - Kiedy pan leżał w policyjnym ambulatorium, wysłałem patrol do pańskiego mieszkania. - powiedział ciszej. - Stąd pańskie kłopoty. Proszę mi powiedzieć, kim jest ten człowiek, który leży martwy w pańskim mieszkaniu.

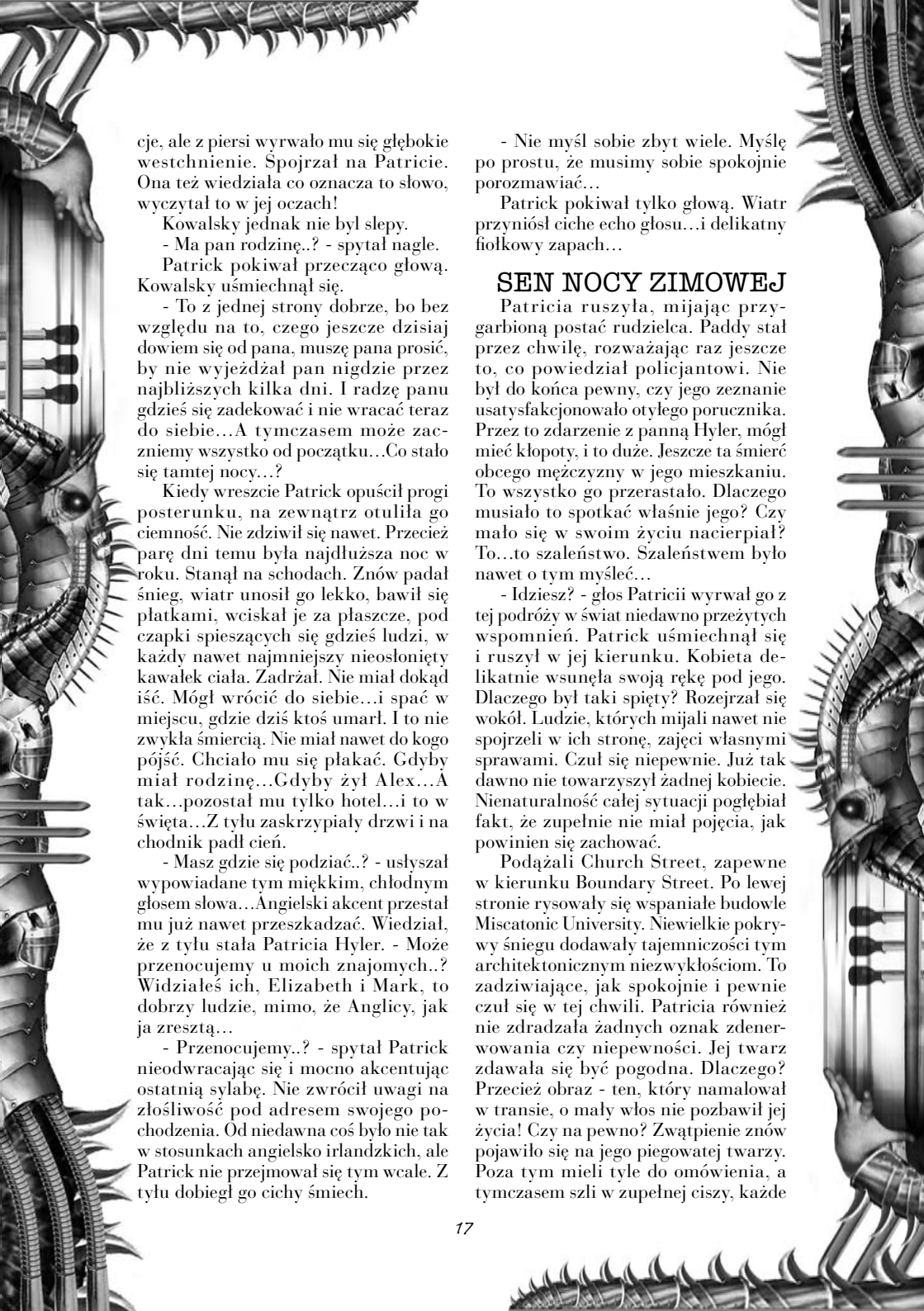
- Jaki człowiek...? - Patrick nie nie rozumiał. Wszystko docierało do niego jak przez mgłę. Chwilowy entuzjazm oklapł i zastąpiły go dezorientacja i przerażenie.

- Może spytam inaczej...Wiemy kim jest, nie wiemy natomiast jak zginął. Nie mam zielonego pojęcia jak mógł to pan zrobić. Ten człowiek nie bał się niczego, to wynajęty morderca, którego już od dawna próbowaliśmy złapać, za którym wysłanych jest...było...kilka listów gończych.

- Jak zginął...? - Patrick siedział na krześle z otwartymi szeroko oczami. Głosy w podświadomości odezwały się poraz kolejny.

- Może pan mi powie. Bo wszystko wskazuje na to, że zmarł...ze strachu... Zdążył tylko na kawałku papieru, na szkicu takim jak ten, nabazgrać węglem niewyraźne słowo "Pasterz"...

Patrick poczuł jak serce wyrwa mu się z piersi. Jakby dostał obuchem w twarz. Starał się ukryć jakoś te reak-



cje, ale z piersi wyrwało mu się głębokie westchnienie. Spojrzał na Patricie. Ona też wiedziała co oznacza to słowo, wyczytało to w jej oczach!

Kowalski jednak nie był ślepy.

- Ma pan rodzinę..? - spytał nagle.

Patrick pokiwał przecząco głową. Kowalski uśmiechnął się.

- To z jednej strony dobrze, bo bez względu na to, czego jeszcze dzisiaj dowiem się od pana, muszę pana prosić, by nie wyjeżdżał pan nigdzie przez najbliższych kilka dni. I radzę panu gdzieś się zadekować i nie wracać teraz do siebie...A tymczasem może zaczniemy wszystko od początku...Co stało się tamtej nocy..?

Kiedy wreszcie Patrick opuścił progi posterunku, na zewnątrz otuliła go ciemność. Nie zdziwił się nawet. Przecież parę dni temu była najdłuższa noc w roku. Stał na schodach. Znow padł śnieg, wiatr unosił go lekko, bawił się płatkami, wciskał je za płaszcze, pod czapki spieszących się gdzieś ludzi, w każdy nawet najmniejszy nieosłonięty kawałek ciała. Zadrżał. Nie miał dokąd iść. Mógł wrócić do siebie...i spać w miejscu, gdzie dziś ktoś umarł. I to nie zwykła śmiercią. Nie miał nawet do kogo pójść. Chciało mu się płakać. Gdyby miał rodzinę...Gdyby żył Alex...A tak...pozostał mu tylko hotel...i to w święta...Z tyłu zaskrzypiały drzwi i na chodnik padł cień.

- Masz gdzie się podziać..? - usłyszał wypowiediane tym miłym, chłodnym głosem słowa...Angielski akcent przestał mu już nawet przeszkadzać. Wiedział, że z tyłu stała Patricia Hyler. - Może przenocujemy u moich znajomych..? Widziałeś ich, Elizabeth i Mark, to dobrzy ludzie, mimo, że Anglicy, jak ja zresztą...

- Przenocujemy..? - spytał Patrick nieodwracając się i mocno akcentując ostatnią sylabę. Nie zwrócił uwagi na złośliwość pod adresem swojego pochodzenia. Od niedawna coś było nie tak w stosunkach angielsko irlandzkich, ale Patrick nie przejmował się tym wcale. Z tyłu dobiegł go cichy śmiech.

- Nie myśl sobie zbyt wiele. Myślę po prostu, że musimy sobie spokojnie porozmawiać...

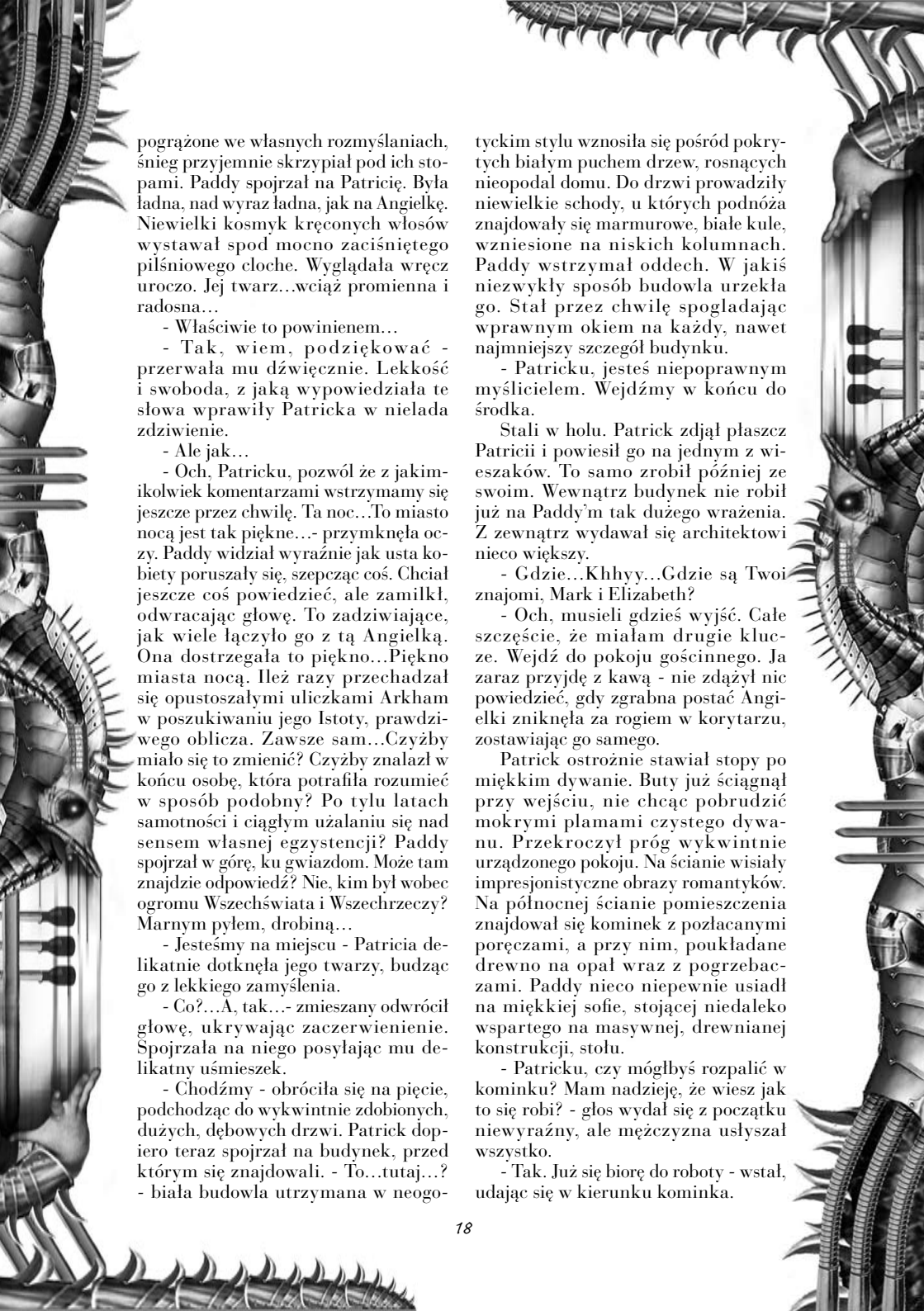
Patrick pokiwał tylko głową. Wiatr przyniósł ciche echo głosu...i delikatny fiołkowy zapach...

SEN NOCY ZIMOWEJ

Patricia ruszyła, mijając przygarbioną postać rudzielca. Paddy stał przez chwilę, rozważając raz jeszcze to, co powiedział policjantowi. Nie był do końca pewny, czy jego zeznanie usatysfakcjonowało otyłego porucznika. Przez to zdarzenie z panną Hyler, mógł mieć kłopoty, i to duże. Jeszcze ta śmierć obcego mężczyzny w jego mieszkaniu. To wszystko go przerastało. Dlaczego musiało to spotkać właśnie jego? Czy mało się w swoim życiu nacierpiał? To...to szaleństwo. Szaleństwem było nawet o tym myśleć...

- Idziesz? - głos Patricii wyrwał go z tej podróży w świat niedawno przeżytych wspomnień. Patrick uśmiechnął się i ruszył w jej kierunku. Kobieta delikatnie wsunęła swoją rękę pod jego. Dlaczego był taki spięty? Rozejrzał się wokół. Ludzie, których mijali nawet nie spojrzeli w ich stronę, zajęci własnymi sprawami. Czuł się niepewnie. Już tak dawno nie towarzyszył żadnej kobiecie. Nienaturalność całej sytuacji pogłębiał fakt, że zupełnie nie miał pojęcia, jak powinien się zachować.

Podążali Church Street, zapewne w kierunku Boundary Street. Po lewej stronie rysowały się wspaniałe budowle Miscatonie University. Niewielkie pokrywy śniegu dodawały tajemniczości tym architektonicznym niezwykłościom. To zadziwiające, jak spokojnie i pewnie czuł się w tej chwili. Patricia również nie zdradzała żadnych oznak zdenerwowania czy niepewności. Jej twarz zdawała się być pogodna. Dlaczego? Przecież obraz - ten, który namalował w transie, o mały włos nie pozbawił jej życia! Czy na pewno? Zwątpienie znow pojawiło się na jego piegawatej twarzy. Poza tym mieli tyle do omówienia, a tymczasem szli w zupełnej ciszy, każde



pogrążone we własnych rozmyślaniach, śnieg przyjemnie skrzypiał pod ich stopami. Paddy spojrział na Patricię. Była ładna, nad wyraz ładna, jak na Angielkę. Niewielki kosmyk kręconych włosów wystawał spod mocno zaciśniętego piłśniowego cloche. Wyglądała wręcz uroczo. Jej twarz...wciąż promienna i radosna...

- Właściwie to powinienem...

- Tak, wiem, podziękować - przerwała mu dźwięcznie. Lekkość i swoboda, z jaką wypowiedziała te słowa wprawiły Patricka w nielada zdziwienie.

- Ale jak...

- Och, Patricku, pozwól że z jakimikolwiek komentarzami wstrzymamy się jeszcze przez chwilę. Ta noc...To miasto nocą jest tak piękne...- przymknęła oczy. Paddy widział wyraźnie jak usta kobiety poruszały się, szepcząc coś. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamknął, odwracając głowę. To zadziwiające, jak wiele łączyło go z tą Angielką. Ona dostrzegała to piękno...Piękno miasta nocą. Ileż razy przechadzał się opustoszałymi uliczkami Arkham w poszukiwaniu jego Istoty, prawdziwego oblicza. Zawsze sam...Czyżby miało się to zmienić? Czyżby znalazł w końcu osobę, która potrafiła rozumieć w sposób podobny? Po tylu latach samotności i ciągłym uzalaniu się nad sensem własnej egzystencji? Paddy spojrział w górę, ku gwiazdom. Może tam znajduje odpowiedź? Nie, kim był wobec ogromu Wszechświata i Wszechrzeczy? Marnym pyłem, drobiną...

- Jesteśmy na miejscu - Patricia delikatnie dotknęła jego twarzy, budząc go z lekkiego zamyślenia.

- Co?...Á, tak...- zmieszany odwrócił głowę, ukrywając zaczerwienienie. Spojrzała na niego posyłając mu delikatny uśmiešek.

- Chodźmy - obróciła się na pięcie, podchodząc do wykwintnie zdobionych, dużych, dębowych drzwi. Patrick dopiero teraz spojrział na budynek, przed którym się znajdowali. - To...tutaj...? - biała budowla utrzymana w neogo-

tyckim stylu wznosiła się pośród pokrytych białym puchem drzew, rosnących nieopodal domu. Do drzwi prowadziły niewielkie schody, u których podnóża znajdowały się marmurowe, białe kule, wzniesione na niskich kolumnach. Paddy wstrzymał oddech. W jakiś niezwykle sposób budowla urzekła go. Stał przez chwilę spoglądając wprawnym okiem na każdy, nawet najmniejszy szczegół budynku.

- Patricku, jesteś niepoprawnym myślicielem. Wejźdźmy w końcu do środka.

Stali w holu. Patrick zdjął płaszcz Patricii i powiesił go na jednym z wieszaków. To samo zrobił później ze swoim. Wewnątrz budynek nie robił już na Paddy'm tak dużego wrażenia. Z zewnątrz wydawał się architektowi nieco większy.

- Gdzie...Khhyy...Gdzie są Twoi znajomi, Mark i Elizabeth?

- Och, musieli gdzieś wyjść. Całe szczęście, że miałam drugie klucze. Wejść do pokoju gościnnego. Ja zaraz przyjdę z kawą - nie zdążył nic powiedzieć, gdy zgrabna postać Angielki zniknęła za rogiem w korytarzu, zostawiając go samego.

Patrick ostrożnie stawiał stopy po miękkim dywanie. Buty już ściągnął przy wejściu, nie chcąc pobrudzić mokrymi plamami czystego dywanu. Przekroczył próg wykwintnie urządzonego pokoju. Na ścianie wisiały impresjonistyczne obrazy romantyków. Na północnej ścianie pomieszczenia znajdował się kominek z pozłacanymi poręczami, a przy nim, poukładane drewno na opał wraz z pogrzebaczami. Paddy nieco niepewnie usiadł na miękkiej sofie, stojącej niedaleko wspartego na masywnej, drewnianej konstrukcji, stołu.

- Patricku, czy mógłbyś rozpałić w kominku? Mam nadzieję, że wiesz jak to się robi? - głos wydał się z początku niewyraźny, ale mężczyzna usłyszał wszystko.

- Tak. Już się biorę do roboty - wstał, udając się w kierunku kominka.

Gdy kończył płomień przyjemnie trząsał, rozgrzewając pomieszczenie. W jednej chwili Patrick zadrażał. Poczuł chłód i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Obejrzał się. Na sofie siedziała Patricia i bacznie mu się przyglądała.

- Czas najwyższy, abyśmy porozmawiali...- jej głos zdradzał zdenerwowanie. To nie była już ta radosna kobietka, z którą razem wędrował wśród cieniów nocy. Na twarzy pojawiły się zmarszczki powagi.

- Tak, to prawda...- Paddy wstał, siadając po przeciwnej stronie stołu, na fotelu. Jemu również było ciężko o tym wszystkim rozmawiać. Wiedział jednak, że jest to konieczne. Ta kobieta wiedziała o starcu, a być może i o czymś więcej. Dlaczego w taki sposób zareagowała na jego szkic? Czyżby wydał się jej zbyt realny, a może zbyt przerażający?

- Jesteś niezwykle uzdolnionym artystą - odpowiedziała, jakby czytając w jego myślach - Ten szkic...On był tak realnie przerażający...Ja...Po prostu nie mogłam...Wybac...- kobieta skryła twarz w dłoniach. Patrick kompletnie nie wiedział w jaki sposób zareagować.

- Ten starzec...- Patricia podniosła wzrok. Jej oczy były mokre od łez - On był taki niehumaniczny...

Patrick wciąż milczał, przyglądając się kobiecie.

- Dlaczego nic nie wspomniałeś o nim Kowalskiemu? On by zrozumiał...

- Nie sądzę - ku swojemu zdumieniu, głos miał spokojny i opanowany - Nikt by nie zrozumiał. Pomyśl tylko, czy Ty uwierzyłabyś komuś, kto mówiłby Tobie podobne rzeczy? - nastąpiła chwila ciszy.

- Nie...- odpowiedziała niepewnie kobieta spoglądając swymi zielonymi oczami na Patricka. "Mój Boże, jaka ona piękna..."

- Ale dlaczego...?

- Nie wiem - Paddy'emu wróciła pewność siebie - Nie widzę w tym wszystkim sensu i racjonalnego wytłumaczenia. To wszystko jest szalone i pozbawione logiki. Jeszcze te wizje...

- Wizje? - głos Patricii zdradzał

zdziwienie, a zarazem zainteresowanie - Mówisz o małym chłopcu z podobnymi do starca oczami? O lodach...? Waniliowych...?

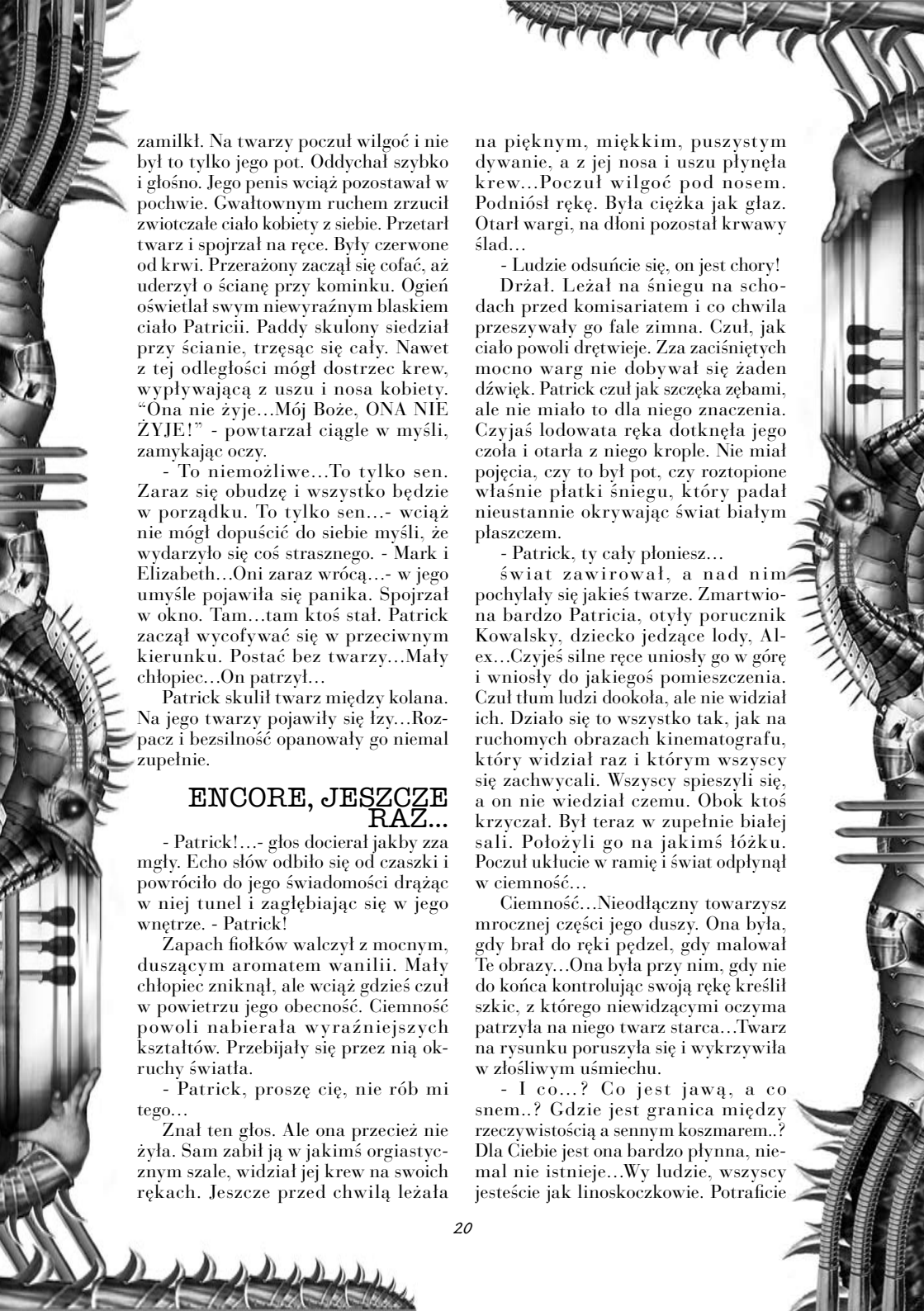
Mężczyzna zadrażał. W jego umyśle pojawiła się kolejna wątpliwość.

- Skąd na Boga...?

- O przeklętym pomieszczeniu wypełnionym głazami z ukrzyżowanymi doń ludźmi bez twarzy? - głos Patricii wyraźnie narastał. Był pełen gniewu, a zarazem bezsilności - O przeklętym Howardzie, którego dusza smaży się teraz w najgłębszych czeluściach piekielnych? "Jej oczy...Co się z nią dzieje?" - O słowach i pieśniach inkantowanych na Ich cześć? O ludziach-cieniach, których ośligłe ciała gwałciły mą duszę?! O tych, których nie ma, lecz są?! - kobieta już stała, wznosząc do góry ręce. - O martwych, którzy powstaną z grobów, by dać świadectwo Prawdzie?! Dlaczego?! - niemal krzyczała, zwracając się do przerażonego mężczyzny.

Jednym susem przeskoczyła przez stół, przewracając zdeorientowanego mężczyznę na ziemię. Patrick próbował się bronić, ale Patricia dysponowała niezwykłą wręcz siłą. Zaczęła rozdzierać na nim ubranie wciąż powtarzając jedno słowo, "Dlaczego". Nie miał siły, by się bronić. Za bardzo był przerażony całą tą sytuacją, by móc się przeciwstawić. Był już nagi, gdy dostrzegł, że ta kobieta, wciąż będąc w jakimś dziwnym, szalonym transie, zaczęła zdzierać ubranie...z siebie. Jej ciało było tak delikatne i gładkie. Mimo to, Patrick bał się. Ta kobieta wzbudzała w nim pożądanie. Jej szalony taniec po jego nagim ciele spowodował zwzód członka, który zesztyniał niezwykle szybko znalazł się w pochwie. Jej ruchy stawały się coraz szybsze. Głowa uniosła się w górę, a z ust wydobywał się jęk. Ona zdawała się coś intonować..."Mój Boże..." - ta myśl pojawiła się na krótko przed spełnieniem. Momentalnie urwał się głos kobiety, a jej ciało opadło na Patricka.

- Rrraauj...sss...- cichy, niewyraźny szept doszedł do jego ucha i po chwili



zamilkł. Na twarzy poczuł wilgoć i nie był to tylko jego pot. Oddychał szybko i głośno. Jego penis wciąż pozostawał w pochwie. Gwałtownym ruchem rzucił zwiotczone ciało kobiety z siebie. Przetarł twarz i spojrzał na ręce. Były czerwone od krwi. Przerażony zaczął się cofać, aż uderzył o ścianę przy kominku. Ogień oświetlał swym niewyraźnym blaskiem ciało Patricii. Paddy skulony siedział przy ścianie, trzęsąc się cały. Nawet z tej odległości mógł dostrzec krew, wypływającą z uszu i nosa kobiety. "Ona nie żyje...Mój Boże, ONA NIE ŻYJE!" - powtarzał ciągle w myśli, zamykając oczy.

- To niemożliwe...To tylko sen. Zaraz się obudzę i wszystko będzie w porządku. To tylko sen...- wciąż nie mógł dopuścić do siebie myśli, że wydarzyło się coś strasznego. - Mark i Elizabeth...Oni zaraz wrócą...- w jego umyśle pojawiła się panika. Spojrzał w okno. Tam...tam ktoś stał. Patrick zaczął wycofywać się w przeciwnym kierunku. Postać bez twarzy...Mały chłopiec...On patrzył...

Patrick skulił twarz między kolana. Na jego twarzy pojawiły się łzy...Rozpacz i bezsilność opanowały go niemal zupełnie.

ENCORE, JESZCZE RAZ...

- Patrick!...- głos docierał jakby zza mgły. Echo słów odbiło się od czaszki i powróciło do jego świadomości drżąc w niej tunel i zagłębiając się w jego wnętrzu. - Patrick!

Zapach fiołków walczył z mocnym, duszącym aromatem wanilii. Mały chłopiec zniknął, ale wciąż gdzieś czuł w powietrzu jego obecność. Ciemność powoli nabierała wyraźniejszych kształtów. Przebijały się przez nią okrucieństwa światła.

- Patrick, proszę cię, nie rób mi tego...

Znał ten głos. Ale ona przecież nie żyła. Sam zabił ją w jakimś orgiastycznym szale, widział jej krew na swoich rękach. Jeszcze przed chwilą leżała

na pięknym, miękkim, puszystym dywanie, a z jej nosa i uszu płynęła krew...Poczuł wilgoć pod nosem. Podniósł rękę. Była ciężka jak glaz. Otarł wargi, na dłoni pozostał krwawy ślad...

- Ludzie odsuńcie się, on jest chory!

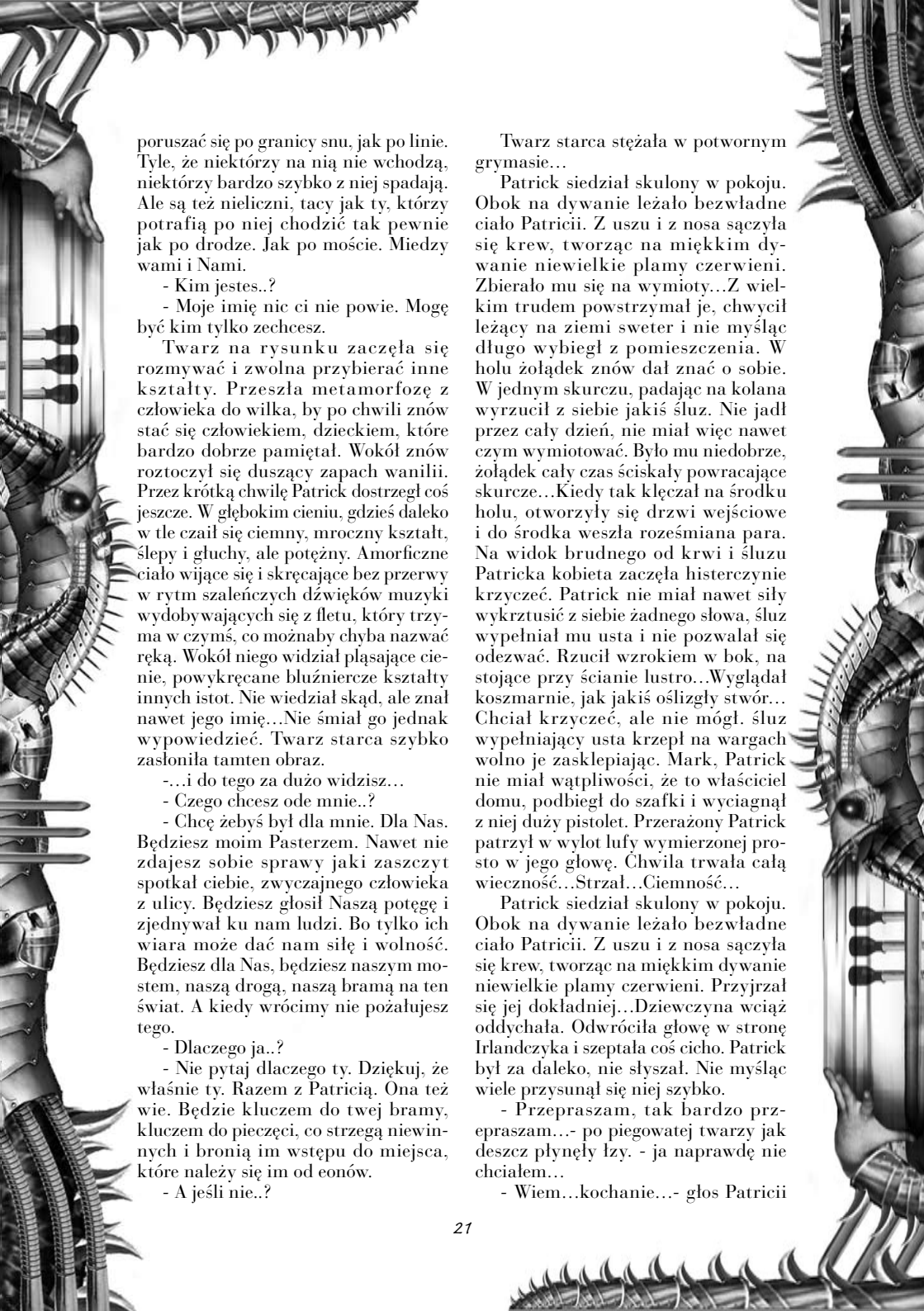
Drżał. Leżał na śniegu na schodach przed komisariatem i co chwila przeszywały go fale zimna. Czuł, jak ciało powoli dętwieje. Zza zaciśniętych mocno warg nie dobywał się żaden dźwięk. Patrick czuł jak szczeka zębami, ale nie miało to dla niego znaczenia. Czyjaś lodowata ręka dotknęła jego czoła i otarła z niego krople. Nie miał pojęcia, czy to był pot, czy roztopione właśnie płatki śniegu, który padał nieustannie okrywając świat białym płaszczem.

- Patrick, ty cały płoniesz...

Świat zawirował, a nad nim pochylały się jakieś twarze. Zmartwiona bardzo Patricia, otyły porucznik Kowalski, dziecko jedzące lody, Alex...Czyjeś silne ręce uniosły go w górę i wnieśli do jakiegoś pomieszczenia. Czuł tłum ludzi dookoła, ale nie widział ich. Działo się to wszystko tak, jak na ruchomych obrazach kinematografu, który widział raz i którym wszyscy się zachwycali. Wszyscy spieszyli się, a on nie wiedział czemu. Obok ktoś krzyczał. Był teraz w zupełnie białej sali. Położyli go na jakimś łóżku. Poczuł ułucie w ramię i świat odpłynął w ciemność...

Ciemność...Nieodłączny towarzysz mrocznej części jego duszy. Ona była, gdy brał do ręki pędzel, gdy malował Te obrazy...Ona była przy nim, gdy nie do końca kontrolując swoją rękę kreślił szkic, z którego niewidzącymi oczyma patrzyła na niego twarz starca...Twarz na rysunku poruszyła się i wykrzywiła w złośliwym uśmiechu.

- I co...? Co jest jawą, a co snem...? Gdzie jest granica między rzeczywistością a sennym koszmarem...? Dla Ciebie jest ona bardzo płynna, niemal nie istnieje...Wy ludzie, wszyscy jesteście jak linokoszkowie. Potraficie



poruszać się po granicy snu, jak po linie. Tyle, że niektórzy na nią nie wchodzią, niektórzy bardzo szybko z niej spadają. Ale są też nieliczni, tacy jak ty, którzy potrafią po niej chodzić tak pewnie jak po drodze. Jak po moście. Miedzy wami i Nami.

- Kim jesteś..?

- Moje imię nie ci nie powie. Mogę być kim tylko zechcesz.

Twarz na rysunku zaczęła się rozmywać i zwolna przybierać inne kształty. Przesła metamorfozę z człowieka do wilka, by po chwili znów stać się człowiekiem, dzieckiem, które bardzo dobrze pamiętało. Wokół znów roztoczył się duszący zapach wanilii. Przez krótką chwilę Patrick dostrzegł coś jeszcze. W głębokim cieniu, gdzieś daleko w tle czaił się ciemny, mroczny kształt, ślepy i głuchy, ale potężny. Amorficzne ciało wijące się i skręcające bez przerwy w rytm szaleńczych dźwięków muzyki wydobywających się z fletu, który trzyma w czymś, co możnaby chyba nazwać ręką. Wokół niego widział pływające cienie, powykrepane bluznierze kształty innych istot. Nie wiedział skąd, ale znalazł nawet jego imię...Nie śmiał go jednak wypowiedzieć. Twarz starca szybko zasłoniła tamten obraz.

-...i do tego za dużo widzisz...

- Czego chcesz ode mnie..?

- Chcę żebyś był dla mnie. Dla Nas. Będziesz moim Pasterzem. Nawet nie zdajesz sobie sprawy jaki zaszczyt spotkał ciebie, zwyczajnego człowieka z ulicy. Będziesz głosił Naszą potęgę i zjednywał ku nam ludzi. Bo tylko ich wiara może dać nam siłę i wolność. Będziesz dla Nas, będziesz naszym mostem, naszą drogą, naszą bramą na ten świat. A kiedy wrócimy nie pożałujesz tego.

- Dlaczego ja..?

- Nie pytaj dlaczego ty. Dziękuj, że właśnie ty. Razem z Patricią. Ona też wie. Będzie kluczem do twojej bramy, kluczem do pieczęci, co strzegą niewinnych i bronią im wstępu do miejsca, które należy się im od eonów.

- A jeśli nie..?

Twarz starca stężała w potwornym grymasie...

Patrick siedział skulony w pokoju. Obok na dywanie leżało bezwładne ciało Patricii. Z uszu i z nosa sączyła się krew, tworząc na miękkim dywanie niewielkie plamy czerwieni. Zbierało mu się na wymioty...Z wielkim trudem powstrzymał je, chwycił leżący na ziemi sweter i nie myśląc długo wybiegł z pomieszczenia. W holu żołądek znów dał znać o sobie. W jednym skurczu, padając na kolana wyrzucił z siebie jakiś śluz. Nie jadł przez cały dzień, nie miał więc nawet czym wymiotować. Było mu niedobrze, żołądek cały czas ścisnął powracające skurcze...Kiedy tak klęczał na środku holu, otworzyły się drzwi wejściowe i do środka weszła roześmiana para. Na widok brudnego od krwi i śluzu Patricka kobieta zaczęła histerycznie krzyczeć. Patrick nie miał nawet siły wykrztusić z siebie żadnego słowa, śluz wypełniał mu usta i nie pozwalał się odezwać. Rzucił wzrokiem w bok, na stojące przy ścianie lustro...Wyglądał koszmarnie, jak jakiś oślizgły stwór...Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Śluz wypełniający usta krzepł na wargach wolno je zasklepiając. Mark, Patrick nie miał wątpliwości, że to właściciel domu, podbiegł do szafki i wyciągnął z niej duży pistolet. Przerażony Patrick patrzył w wylot lufy wymierzonej prosto w jego głowę. Chwila trwała całą wieczność...Strzał...Ciemność...

Patrick siedział skulony w pokoju. Obok na dywanie leżało bezwładne ciało Patricii. Z uszu i z nosa sączyła się krew, tworząc na miękkim dywanie niewielkie plamy czerwieni. Przyjrzał się jej dokładniej...Dziewczyna wciąż oddychała. Odwróciła głowę w stronę Irlandczyka i szeptala coś cicho. Patrick był za daleko, nie słyszał. Nie myśląc wiele przysunął się niej szybko.

- Przepraszam, tak bardzo przepraszam...- po piegawatej twarzy jak deszcz płynęły łzy. - ja naprawdę nie chciałem...

- Wiem...kochanie...- głos Patricii

był bardzo cichy. - Nie nie mów, nawet mnie już nie boli...

- Nie wiem co się stało...Mówiłaś jakieś straszne rzeczy, mówiłaś o starcu, o dziecku, o jakichś...- Patricia podniosła do góry rękę i położyła palec na ustach Patricka.

- Nie mów nic...tylko mnie przytul...

Patrick usiadł, podniósł głowę Angielki i ułożył ją sobie na kolanach. Patricia oddychała ciężko. Nagle jej twarz wykrzywił grymas bólu. Z jej ust wyrwał się cichy jęk i chwyciła się za brzuch.

- Patricku, coś się dzieje...Mój brzuch...- nagle w jej zielonych oczach pojawiło się zrozumienie -...Ale to niemożliwe...nie od razu! Patrick nie wiedział co się dzieje. Patricia z niedowierzaniem pomieszany z przerażeniem kręciła głową...

- To nie może być prawda...- jej brzuch zaczynał nabierać krągłych kształtów i co chwila wstrząsały nią skurcze. Patrick trzymał wciąż jej głowę na kolanach i gładził jej włosy. Dziewczyna wiała się w bólu a jej brzuch robił się coraz większy. Wreszcie rozpostarła szeroko nogi i krzyżąc zaczęła ścisnąć ręce Patricka. Paznokcie wbiły się głęboko przebijając jego skórę, aż do krwi. Czuł przeszywający ból, ale zagryzł tylko wargi i dalej próbował utrzymać Patricię. Jej krzyk stawał się nie do zniesienia. Parła z całą siłą wciągając głęboko powietrze i wypychając je z siebie w krzyku. Wreszcie wypchnęła z siebie dziecko. Patrick położył jej głowę na poduszce i sięgnął w kierunku leżącego w cieniu ud dziecka. Podniósł je i...zastygł w przerażeniu i obrzydzeniu...Chłopiec miał głowę ośmiornicy. Macki objęły jego dłoń oplatając się wokół niej błyskawicznie. Po pokoju rozszedł się duszący zapach wanilii. W kącie stał dzieciak, po jego rękę płynęły roztopione lody...

Patrick siedział skulony w pokoju. Obok na dywanie leżało bezwładne ciało Patricii. Z uszu i z nosa sączyła się krew, tworząc na miękkim dywanie niewielkie

plamy czerwieni...Z gardła Patricka wydobył się jęk, który przerodził się w potworny krzyk - Dooooość.....!

- Jest pan pewien, że wszystko jest w porządku? - porucznik Kowalski przyglądał się ubierającemu się powoli Patrickowi, na którego czole perlił się pot. Pod ścianą stała Patricia Hyler. To ona znalazła go zaraz po wyjściu z posterunku, leżącego na schodach.

- Nie powinien pan być sam, - Kowalski nie rezygnował - to zwykle przeziębienie, ale może stać się poważniejsze. Mogę zatrzymać pana w naszym szpitaliku na posterunku.

- Jestem pewien. Wszystko będzie dobrze. - Patrick mówił cicho, ale wyraźnie. - Ten posterunek przyprowadza mnie o dreszcze. Nie wracam do domu, gdyby mnie pan szukał zatrzymam się pewnie w hotelu. W "Trzech Koronach", przy nadbrzeżu portowym.

Wychodząc z pokoju spojrzął jeszcze raz na Patricię. W jej oczach była litość. Poraz kolejny wyszedł przed posterunek. Znowu padał śnieg...

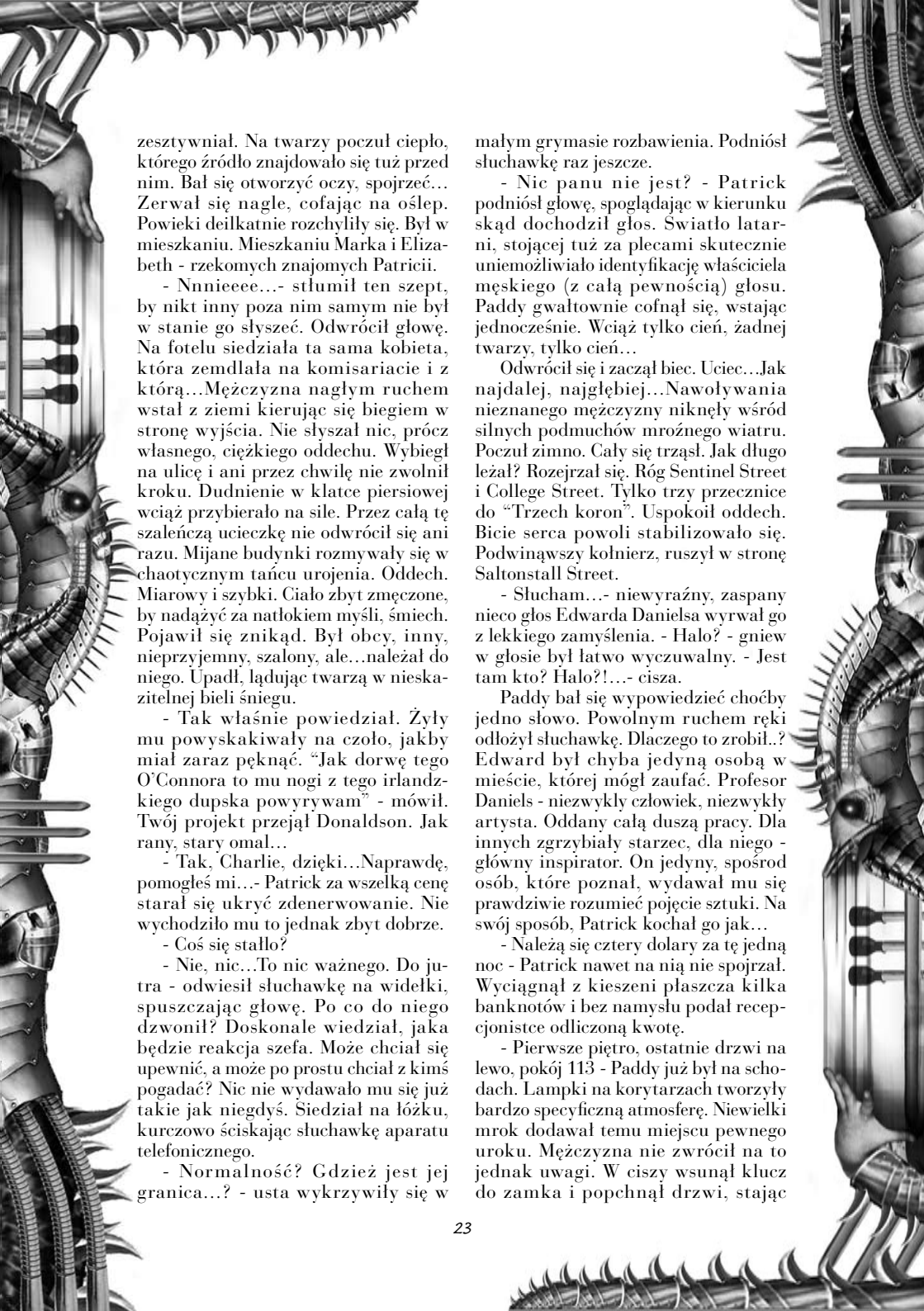
Patricia ruszyła, mijając przygarbioną postać rudzielca. Paddy stał przez chwilę, rozważając raz jeszcze to, co powiedział policjantowi. Nie był do końca pewny, czy jego zeznanie usatysfakcjonowało otyłego porucznika. Przez to zdarzenie z panną Hyler, mógł mieć kłopoty i to duże. Jeszcze ta śmierć obcego mężczyzny w jego mieszkaniu. To wszystko go przerażało. Dlaczego musiało to spotkać właśnie jego? Czy mało się w swoim życiu nacierpiał? To...szaleństwo. Szaleństwem było nawet o tym myśleć...

- Idziesz? - głos Patricii wyrwał go z tej podróży w świat niedawno przeżytych wspomnień. Patrick wzdygnął się na sama myśl...

NIE TO JEST UMARŁYM...

Patrick przymknął na chwilę oczy. Starał się w jakiś sposób zebrać te wszystkie chaotyczne myśli w jedną, logiczną całość.

- Patricku, oto kawa...- Paddy



zesztywniał. Na twarzy poczuł ciepło, którego źródło znajdowało się tuż przed nim. Bał się otworzyć oczy, spojrzeć... Zerwał się nagle, cofając na oślep. Powieki deilkatnie rozchyliły się. Był w mieszkaniu. Mieszkaniu Marka i Elizabeth - rzekomych znajomych Patricii.

- Nnnieeee...- stłumił ten szept, by nikt inny poza nim samym nie był w stanie go słyszeć. Odwrócił głowę. Na fotelu siedziała ta sama kobieta, która zemdliała na komisariacie i z którą...Męczycyna nagłym ruchem wstał z ziemi kierując się biegiem w stronę wyjścia. Nie słyszał nic, prócz własnego, ciężkiego oddechu. Wybiegł na ulicę i ani przez chwilę nie zwolnił kroku. Dudnienie w klatce piersiowej wciąż przybierało na sile. Przez całą tę szaleńczą ucieczkę nie odwrócił się ani razu. Mijane budynki rozmywały się w chaotycznym tańcu urojenia. Oddech. Miarowy i szybki. Ciało zbyt zmęczone, by nadażyć za natłokiem myśli, śmiech. Pojawił się znikąd. Był obcy, inny, nieprzyjemny, szalony, ale...należał do niego. Upadł, łapiąc twarzą w nieskazitelnej bieli śniegu.

- Tak właśnie powiedział. Żyli mu powyskakiwały na czoło, jakby miał zaraz pęknąć. "Jak dorwę tego O'Connora to mu nogi z tego irlandzkiego dupska powyrywam" - mówił. Twój projekt przejął Donaldson. Jak rany, stary omal...

- Tak, Charlie, dzięki...Naprawdę, pomogłeś mi...- Patrick za wszelką cenę starał się ukryć zdenerwowanie. Nie wychodziło mu to jednak zbyt dobrze.

- Coś się stało?

- Nie, nie...To nic ważnego. Do jutra - odwiesił słuchawkę na widelki, spuszczając głowę. Po co do niego dzwonił? Doskonale wiedział, jaka będzie reakcja szefa. Może chciał się upewnić, a może po prostu chciał z kimś pogadać? Nic nie wydawało mu się już takie jak niegdyś. Siedział na łóżku, kurczowo ściskając słuchawkę aparatu telefonicznego.

- Normalność? Gdzież jest jej granica...? - usta wykrzywiły się w

małym grymasie rozbawienia. Podniósł słuchawkę raz jeszcze.

- Nic panu nie jest? - Patrick podniósł głowę, spoglądając w kierunku skąd dochodził głos. Światło latarni, stojącej tuż za plecami skutecznie uniemożliwiało identyfikację właściciela męskiego (z całą pewnością) głosu. Paddy gwałtownie cofnął się, wstając jednocześnie. Wciąż tylko cień, żadnej twarzy, tylko cień...


Odwrócił się i zaczął biec. Uciec...Jak najdalej, najgłębiej...Nawoływania nieznanego mężczyzny niknęły wśród silnych podmuchów mroźnego wiatru. Poczuł zimno. Cały się trząsł. Jak długo leżał? Rozejrzył się. Róg Sentinel Street i College Street. Tylko trzy przecznice do "Trzech koron". Uspokoił oddech. Bicie serca powoli stabilizowało się. Podwinawszy kołnierz, ruszył w stronę Saltonstall Street.

- Słucham...- niewyraźny, zaspany nieco głos Edwarda Daniela wyrwał go z lekkiego zamyślenia. - Halo? - gniew w głosie był łatwo wyczuwalny. - Jest tam kto? Halo?!...- cisza.

Paddy bał się wypowiedzieć choćby jedno słowo. Powolnym ruchem ręki odłożył słuchawkę. Dlaczego to zrobił..? Edward był chyba jedyną osobą w mieście, której mógł zaufać. Profesor Daniels - niezwykle człowiek, niezwykle artysta. Oddany całą duszą pracy. Dla innych zgrzybiały starzec, dla niego - główny inspirator. On jedyny, spośród osób, które poznał, wydawał mu się prawdziwie rozumieć pojęcie sztuki. Na swój sposób, Patrick kochał go jak...

- Należą się cztery dolary za tę jedną noc - Patrick nawet na nią nie spojrzał. Wyciągnął z kieszeni płaszcza kilka banknotów i bez namysłu podał recepcjonistce odliczoną kwotę.

- Pierwsze piętro, ostatnie drzwi na lewo, pokój 113 - Paddy już był na schodach. Lampki na korytarzach tworzyły bardzo specyficzną atmosferę. Niewielki mrok dodawał temu miejscu pewnego uroku. Męczycyna nie zwrócił na to jednak uwagi. W ciszy wsunął klucz do zamka i popchnął drzwi, stając



jednocześnie w progu niewielkiego pomieszczenia. Wewnątrz znajdowało się łóżko, stolik nocny wraz z niewielkimi rozmiarów lampką nocną oraz telefonem. Za drzwiami stała natomiast okazałych rozmiarów szafa. Patrick zdjął płaszcz i położył go na łóżku, sam siadając obok. Drzwi cicho trzasnęły, zostawiając Paddy'ego pogrążonego we własnych rozmyślaniach. Wspomnienia powoli napływały z najbardziej odległych zakamarków jego umysłu...

- Nie, tak nie może być... - za wszelką cenę starał się rozproszyć myśli, by nie wracać już do niedawno przeżytego koszmaru. - Charlie...tak, muszę do niego zadzwonić. Dowiedzieć się co w pracy... - słysząc swój własny głos poczuł się pewniej. Po chwili usłyszał w słuchawce sygnał oczekiwania na połączenie. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się północ. "Może jeszcze nie śpi?"

- Foster, słucham...

Dlaczego więc odłożył tę przekłętą słuchawkę? Ten człowiek, jeśli mu nawet nie pomoże, to przynajmniej wysłucha, doradzi...Opadł na łóżko. Sen był mu potrzebny, ale bał się zasnąć. Wciąż rozważał możliwość skontaktowania się z profesorem. Nie mógł tego przecież trzymać w sobie! Czekał...

ZAPOMNIEĆ JUTRO


Zegar w wieży pobliskiego kościoła uderzył raz i jego przytłumiony lekko dźwięk leniwie potoczył się po ciemnych, pogrążonych w półśnie portowych alejach. Patrick wyjrzał przez niedomknięte okiennice...Widział brukowane kamieniami nabrzeże, o które raz poraz uderzały niewielkie fale. Zaczął się przyplw...Szum morza lekko kołysał rozdygotane nerwy Irlandczyka. Ciepleszy prąd przyniósł ze sobą lekką mgłę. Wisiała sennie nad wodą i wolno wpelzała na nadbrzeża rozmywając granice między bielą śniegu i czernią morskiej otchłani. Wiatr umilkł niemal zupełnie, czasem tylko bawiąc się, pieszcząc białe kłęby przy krótkim, drewnianym molo, nadając im najdziwniejsze kształty. Nawet śnieg przestał

padać. Skrzył tylko w bladym świetle ulicznych latarni.

To wszystko nie miało sensu. Ostatnie kilka dni, koszmar, który pojawił się nagle, znikąd...to wszystko nie miało sensu. Starzec nie istniał. Nie miał prawa istnieć. Tak samo jak dzieciak z lodami w środku zimy. Patrick był zmęczony. Zanim to wszystko się stało, nie spał dobrze. Kilkanaście godzin ślęczenia nad projektami, które powinien kończyć ktoś inny tylko dlatego, że nie miał rodziny, a co za tym idzie nie musiał przygotowywać się do świąt. Rok wcześniej było tak samo i już wtedy obiecywał sobie, że to ostatni raz, że więcej nie da zrzucić na siebie takiego nawału pracy. Ale przyszedł ten rok i nie umiał odmówić Jimmy'emu, gdy ten poprosił go o pomoc. Albo gdy żona Cole'a akurat teraz trafiła do szpitala i nie miał się kto zająć jego dziećmi...Dlatego był zmęczony. Dlatego miał wszystkie te zwidy. Patrick odprężony usiadł na łóżku. Brakowało mu...nie wiedział czego. Rozebrał się do naga. Czuł jakąś potrzebę, ale nie potrafił jej sprecyzować. Westchnął tylko cicho, uklęknął i zaczął się modlić cicho...

Stłumiony stukot końskich kopyt i dźwięk portowej syreny wyrwały go ze snu. Patrick otworzył oczy. W bladym świetle poranka hotelowy pokój wyglądał jeszcze bardziej obskurnie. Było w miarę ciepło, nie czuł chłodu, więc bez trudu wstał i przeciągnął się. Podeszedł do okna. Zegar na kościelnej wieży wskazywał kwadrans po szóstej. Spał pięć godzin, ale czuł się wypany jak nigdy. Dawno już nie miał tak spokojnej nocy, ze snem pozbawionym sennych koszmarów. Nie pamiętał, by coś mu się śniło. Uśmiechnął się do siebie i sięgnął po leżącą w bezładzie na podłodze bieliznę.

- O'Connor, kurwa...do mnie! - Anthony Blackhawk, właściciel biura projektów, w którym pracował Patrick był wściekły. Kiedy przyszedł, Patrick ślęczał już nad rysunkami. W wydłubionym biurze jego głos zabrzmiał bardzo



doñośnie. Oszklone drzwi gabinetu z napisem "główny architekt" trzasnęły złowrogo. Patrick wahał się chwilę, ale wiedział, że prędzej czy później i tak będzie musiał stawić temu czoła. Zwilżył usta wodą z kubka i po chwili zapukał do drzwi.

- Jeszcze jeden taki numer i wylecisz. Gdyby nie to, że są święta, to już szorowałbyś bruk przed tym budynkiem i szkicował węglem po śniegu.

- Panie Blackhawk, to nie jest moja wina. Od tego nawału pracy i siedzenia tutaj po nocach każdy by się rozchorował. Miałem ciężkich kilka dni, ale jestem z powrotem, więc niech pan nie krzyczy, tylko pozwól mi wrócić do tego, co jeszcze mam do zrobienia. - Patrick był spokojny, chociaż w środku cały drżał. - Dobrze pan wie, że beze mnie nie dalby pan rady, zwłaszcza przed świętami, kiedy wszyscy biorą wolne. Nie wiem, czy pan zauważył, ale teraz też prawie sami jesteśmy w biurze. Jutro wigilia, a jeszcze trochę pracy zostało przed końcem roku. Jeśli potrzebuje pan wyjaśnienia, to przyniosę je panu na piśmie. A jeśli chce mnie pan zwolnić, to proszę bardzo! To nie praca marzeń. Jestem dobry i pan to wie. Może najlepszy ze wszystkich pracujących tutaj. Dlatego właśnie nie zwolni mnie pan, bo mnie pan potrzebuje. A teraz chciałbym dokończyć co zacząłem...Do widzenia...

Drzwi trzasnęły ponownie...

Ręka pewnie kresliła szkice. Z wolna nadciągała noc. Niewiele już mu zostało. W biurze znów był sam, wszyscy wyszli jakiś czas temu. Nie wiedział dokładnie która jest godzina, wołał nie patrzeć na zegarek. Na skrawkach kartek tańczyły fragmenty obliczeń. Nie potrzebował ich. Wszystko, co było mu potrzebne miał w głowie. Tak było zawsze. Sięgnął pamięcią wstecz i uśmiechnął się. Tak było z jego pierwszym projektem. Pamiętał słowa, które wypowiedział jeden z oceniających go profesorów. "Nie ma prawa wytrzymać...rozleci się przy stawianiu...". Ale Patrick wiedział, że wytrzyma. Spytali go o obliczenia. Nie

miał ich. Wtedy chyba właśnie dostrzegł go Ed Daniels...Patrick widział, jak profesor przygląda mu się z zaciekawieniem...I kiedy reszta komisy chciała odesłać go z brakiem zaliczenia, Daniels szepnął coś w ucho przewodniczącemu i Patrick dostał tydzień na zapisanie wszystkich obliczeń. Zdążył na czas i teraz miał dyplom uniwersytetu Miskatonic w Arkham...Z tych wspomnień wyrwał go dźwięk telefonu.

- Patrick O'Connor, słucham...

- Witaj...- angielski akcent sprawił, że jego serce mocno zabolało. - Szukałam cię cały dzień...Nie było cię w hotelu, nie zjawiłeś się w domu...Wszystko w porządku...? - w głosie Patricji słychać było troskę...Patrick milczał i dopiero po dłuższej chwili odpowiedział.

- Tak, u mnie wszystko OK, nie musisz się martwić.

- Jeszcze w pracy...?

- Muszę nadrobić zaległości z wczoraj. Niewiele brakowało a przez to wszystko wyleciałbym z pracy. To chyba zmęczenie, nigdy wcześniej nie miałem takich zwiódów. Cała ta sprawa z uciekającym więźniem, z jakimś dziwnym, nagim starcem i jeszcze to...

-...dziecko z łodami...? - Patricja weszła mu w słowa. Zadrżał.

- Nie było żadnego dziecka. - powiedział zimno. - To wszystko się nam tylko wydawało. Rozumiesz...?

- Ale...- w głosie Patricji usłyszał niedowierzanie...- przecież...

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Patrick był zdecydowany - Jakoś nie mam ochoty robić za świra. Mam robotę do zrobienia. Zadzwoń kiedy indziej, gdy to wszystko już się jakoś uspokoi. Muszę końć...

- Patrick, nie odkładaj słuchawki. Chciałam zaprosić cię do nas na święta... Przecież i tak nie masz gdzie iść...A już jutro wigilia...

- Tak...? - Patrick zdenerwował się, ale starał się nie okazywać tego po sobie...- Niby skąd to wiesz...?

- Wiem. Wiedz, że my kobiety, jeśli czegoś chcemy, to potrafimy to osiągnąć.

- Czyżby...? Więc wiedz, że wy kobiety, nie interesujecie mnie wcale. A teraz zrozum proszę, że przez wczorajszy dzień mam teraz mnóstwo zaległości i muszę je jak najszybciej nadrobić. Baw się dobrze i ucałuj Marka i Beth. Ja wam do szczęścia nie jestem potrzebny. Do usłyszenia.

Sluchawka opadła na widelki.

Po chwili jazgot dzwonka znów rozdarł ciszę biura. Patrick ścisnął mocno ołówek i podniósł sluchawkę.

- Powiedziałem ci, że teraz nie mam cza...

- Zamknij się... - ochryply szept sprawił, że Irlandczyk zastygł w przerażeniu. - Wysłuchasz mnie, albo nigdy już nie posłuchasz nikogo. Nie wiem co zrobiłeś z Jackiem, ale nasz gliniarz, który widział jego ciało w twoim wszawym mieszkaniu rzygał jak kot na samo wspomnienie. Powiedział, że nie chciałby być na jego miejscu...

Patrick zamknął oczy i głośno przełknął ślinę...

NOCNE ZDARZENIE

Dźwięk dzwonka po odłożeniu sluchawki zahuczał w jego głowie niczym grzmot. "Już jesteś martwy, cwaniaczku..." - te słowa tajemniczego mężczyzny docierały do niego z oddali. Pogrążony w ciszy biura kontemplanował każdą, pojedynczą sylabę tej...groźby. Spojrzał na projekt. Powoli kończył. Linie zdawały się przybierać konkretne kształty. Nietypowość tego budynku polegała na...

- Przestań!...- Patrick podniósł się z krzesła, odchodząc od stołu kreślarskiego. - Przecież oni chcą cię zabić...Zrób coś, działaj!...- gwałtownie chwycił papierowy kubek z wodą i za jednym razem opróżnił jego zawartość. Telefon. Ze wstrętem odwrócił od niego głowę. W panice zaczął rozglądać się, szukając...No właśnie, czego? Porwał płaszcz, wiszący na wieszaku w kącie pomieszczenia i szybkim krokiem udał się w kierunku wyjścia.

- Panie O'Connor, pan się kiedyś przepracuje - Marcel, pięćdziesięcioletni

strażnik, zawsze miły, zawsze pogodny...W jednej chwili Paddy dostrzegł w jego rękę broń - trzydziestka ósemka lśniła niczym pochodnia. Mężczyzna celował...w niego. Patrick potknął się uderzając w drzwi, z lekka je uchylając. Z przerażeniem w oczach obejrzał się. Zza strażniczego biurka uśmiechała się do niego pogodna twarz starszego mężczyzny. Nie było pistoletu, nie było celu...


- Wesołych świąt, panie O'Connor - Patrick wstał, zamykając za sobą drzwi. "To jakaś paranoja, muszę natychmiast przestać" - mimo uspokajających myśli nerwowo rozglądał się wokół w poszukiwaniu...zabójcy. "Już jesteś martwy..."

Uwielbiał zapach morza. Miał on bowiem coś z magii. Coś niesamowitego, pociągającego, ale i przerażającego zarazem. Stał przez chwilę, wpatrując się w bezkresną taflę tego nieokiełznanego żywiołu. Gdzieś daleko na horyzoncie dostrzegł pływający statek. Odgłos syreny dotarł do niego, niesiony przez wiatr. Spojrzał w lewo, ku krążącemu w oddali światłu latarni morskiej. Jej majestat wzbudzał podziw, szczególnie teraz, pod wieczór. Patrick westchnął i ruszył w kierunku hotelu. Wciąż jednak musiał się mieć na baczności. Niebezpieczeństwo mogło czyhać na każdym kroku...

- Uspokój się dzieciaku, słyszysz? - głos starca był stanowczy i pełen mocy. Patrick przez chwilę jeszcze się szamotał, ale po chwili zrezygnowany opadł na miękki fotel. Edward Daniels ze spokojem sięgnął po filiżankę herbaty i z wyszukaną starannością przyłożył ją do ust.

- A teraz powiedz mi, co się stało...- wydobył z siebie po krótkiej chwili milczenia. Paddy spojrzał w jego stronę. W jego oczach wciąż dostrzegalna była nuta przerażenia. Powoli się już jednak uspokajał. Profesor wyciągnął w jego kierunku dłoń. Filiżanka gorącego napoju niepewnie zadrżała. Patrick chwycił ją i delikatnie przystawił do ust.

- Teraz lepiej - twarz starca



rozpogodziła się - A więc słucham - mężczyzna wygodnie rozsiadł się w fotelu, zapalając fajkę.

- Dziękuję, profesorze...- wykrztusił wreszcie - Jestem wielce zobowiązany, że...

- Do rzeczy, chłopcze - przerwał mu mężczyzna - Nie marnujmy czasu na rzeczy zbędne i niepotrzebne.

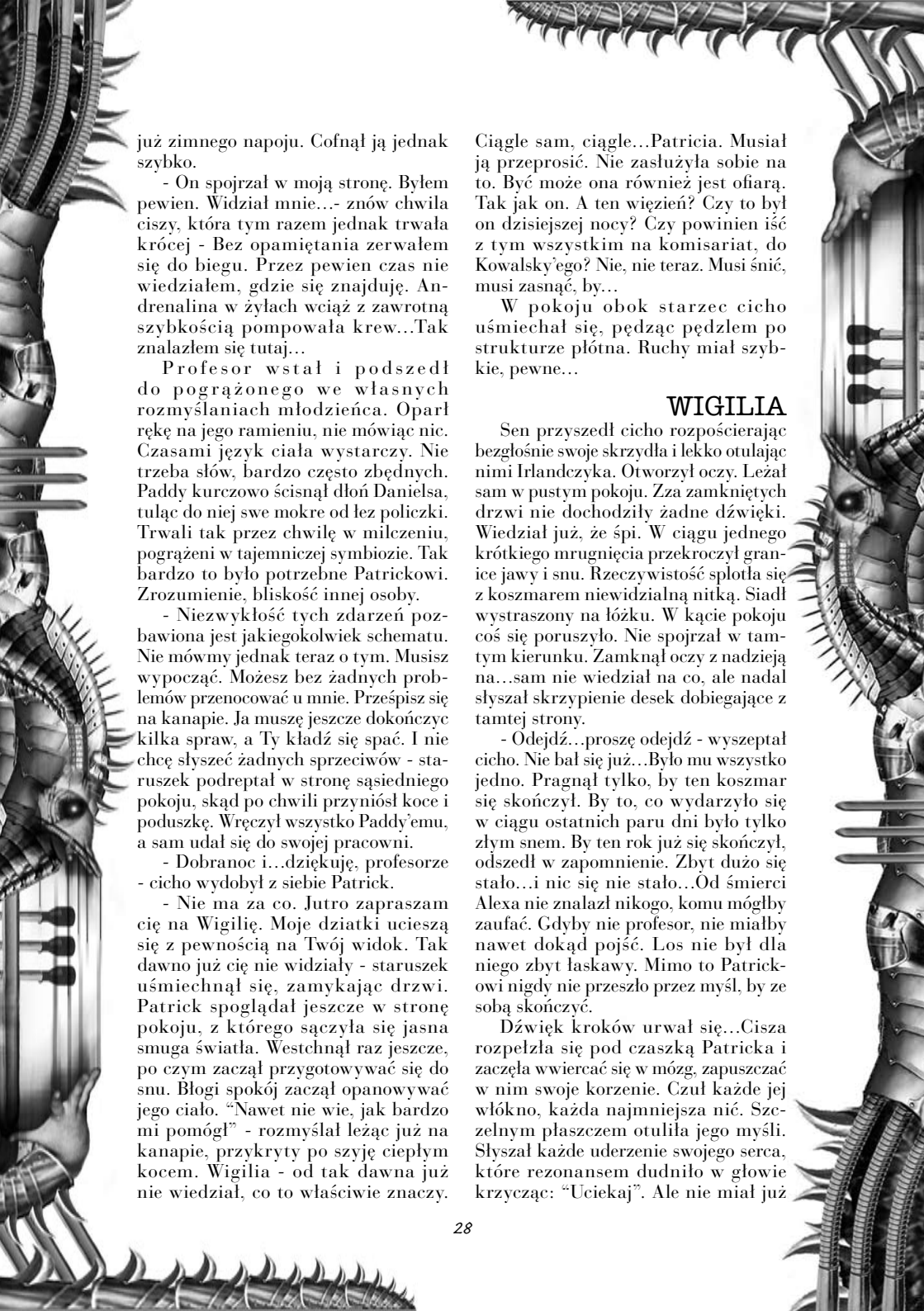
“Stary, dobry profesor Daniels” - przemknęło przez myśl Patrickowi. Teraz wiedział, że trafił pod właściwy adres. Do właściwej osoby. Był już niemal zupełnie spokojny. Westchnął, odkładając filiżankę.

- Ostatnie kilka dni mojego życia to istny koszmar. Jeszcze nigdy nie przeżyłem tak wiele, w tak krótkim czasie. Do rzeczy jednakże. Wszystko zaczęło się od...

Patrick opowiedział wszystko, co wydarzyło się na przestrzeni ostatnich kilku dni. Sny, zwidy, opowiedział o więźniu, nagim starcu, zdarzeniu w łazience i związanym z nim, nieoczekiwanym przespaniu całego dnia. O komisarzacie, detektywie Kowalskim, Patricii...W tym miejscu zatrzymał się, biorąc głęboki oddech. Opowieść sprawiała mu wyraźnie ból. Starał się jednak przedstawić ją w sposób najbardziej racjonalny, a co za tym idzie i wiarygodny. Przerosło to jego nadwątlone siły. Starzec dostrzegł, iż ta część historii wywarła największy wpływ na psychice młodego człowieka. Podczas całego zeznania nie odezwał się jednak ani razu. Czekał, aż chłopak wszystko wyrzuci z siebie, niczym zepsuty owoc. Wiedział, że to częściowo pomoże. Mimo chaosu wypowiedzi, starzec zdołał wydobyć najważniejsze elementy zdarzenia. Były przerażające i nawet w nim, człowieku, który widział już wiele, wzbudziły strach. Nastąpiła chwila ciszy. Misternie zdobiony, stary zegar, stojący w rogu pokoju, oznajmiał swymi donośnymi, przenikliwymi uderzeniami godzinę dziesiątą. Profesor Daniels wyjrzał przez okno. Płatki śniegu zabawnie tańczyły na szybie, przykrywając coraz większą część jej

powierzchni. Puszyste kożuchy zdawały się uśmiechać w stronę patrzącego.

- To jednak jeszcze nie wszystko...- głos byłego studenta wyrwał mężczyznę z lekkiej zadumy - Gdy myślałem już, że wszystko wróciło do normy, że wszystkie te sny i halucynacje, to efekt zmęczenia i przepracowania, pojawił się telefon...Nieznany mężczyzna, o głosie bardzo przenikliwym, zagroził mojemu życiu. Wszystko to w związku ze śmiercią jakiegoś Jack'a w moim mieszkaniu, której to ja rzekomo byłem przyczyną. Pośpiesznie wyszedłem z biura i udałem się w kierunku “Trzech koron” - hoteliku, w którym wynająłem pokój po ostatnich wydarzeniach. Wówczas wydarzyło się To...Przed budynkiem zauważyłem zaparkowany samochód. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że przy nim stał mężczyzna w długim prochowcu z podwiniętym kołnierzem i mocno zaciśniętym kapeluszu na głowie. Wiatr był bowiem silny, niesiony od strony morza. Przewrażliwiony na punkcie własnego bezpieczeństwa, wciąż jeszcze mając w głowie ten głos ze słuchawki: “Jesteś już martwy”, schowałem się za winklem sąsiadującego z hotelem budynku. W duchu modliłem się, by stojący mężczyzna nie zwrócił na mnie uwagi. Ciekawość jednak przeważała. Ostrożnie wychyliłem głowę spoglądając w kierunku tajemniczej postaci. W jednej chwili, wśród cieni budowli dostrzegłem jakąś postać...Pojawiła się około pięciu, może sześciu metrów od mężczyzny, który wzbudził moje podejrzenia. Nagle, ten ktoś ruszył w stronę osobnika, przypalającego sobie akurat papierosa. Jednym susem doskoczył do niego, wykonując gwałtowny ruch ręką. Później następny i następny...Nawet z takiej odległości mogłem dojrzeć niezwykle, zwierzęcą wręcz furję w ruchach postaci z cienia. Jakież było moje przerażenie, gdy dostrzegłem krew na dłoniach mężczyzny ubranego w...wielki kitel - po raz kolejny głos młodego architekta urwał się. Trzęsącą się dłonią sięgnął po filiżankę, nieco



już zimnego napoju. Cofnął ją jednak szybko.

- On spojrzał w moją stronę. Byłem pewien. Widział mnie...- znów chwila ciszy, która tym razem jednak trwała krócej - Bez opamiętania zerwałem się do biegu. Przez pewien czas nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Andrenalina w żyłach wciąż z zawrotną szybkością pompowała krew...Tak znalazłem się tutaj...

Profesor wstał i podeszedł do pogrążonego we własnych rozmyślaniach młodzieńca. Oparł rękę na jego ramieniu, nie mówiąc nic. Czasami język ciała wystarczy. Nie trzeba słów, bardzo często zbędnych. Paddy kurczowo ścisnął dłoń Daniela, tuląc do niej swe mokre od łez policzki. Trwali tak przez chwilę w milczeniu, pogrążeni w tajemniczej symbiozie. Tak bardzo to było potrzebne Patrickowi. Zrozumienie, bliskość innej osoby.

- Niezwykłość tych zdarzeń pozabawiona jest jakiegokolwiek schematu. Nie mówmy jednak teraz o tym. Musisz wypocząć. Możesz bez żadnych problemów przenoćować u mnie. Prześpisz się na kanapie. Ja muszę jeszcze dokończyć kilka spraw, a Ty kładź się spać. I nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów - starsuszek podreptał w stronę sąsiedniego pokoju, skąd po chwili przyniósł koc i poduszkę. Wręczył wszystko Paddy'emu, a sam udał się do swojej pracowni.

- Dobranoc i...dziękuję, profesorze - cicho wydobyl z siebie Patrick.

- Nie ma za co. Jutro zapraszam cię na Wigilię. Moje dziatki ucieszą się z pewnością na Twój widok. Tak dawno już cię nie widziały - starsuszek uśmiechnął się, zamykając drzwi. Patrick spoglądał jeszcze w stronę pokoju, z którego sączyła się jasna smuga światła. Westchnął raz jeszcze, po czym zaczął przygotowywać się do snu. Błogi spokój zaczął opanowywać jego ciało. "Nawet nie wie, jak bardzo mi pomógł" - rozmyślał leżąc już na kanapie, przykryty po szyję ciepłym kocem. Wigilia - od tak dawna już nie wiedział, co to właściwie znaczy.

Ciągle sam, ciągle...Patricia. Musiał ją przeprosić. Nie zasłużyła sobie na to. Być może ona również jest ofiarą. Tak jak on. A ten więzień? Czy to był on dzisiejszej nocy? Czy powinien iść z tym wszystkim na komisariat, do Kowalskiego? Nie, nie teraz. Musi śnić, musi zasnąć, by...

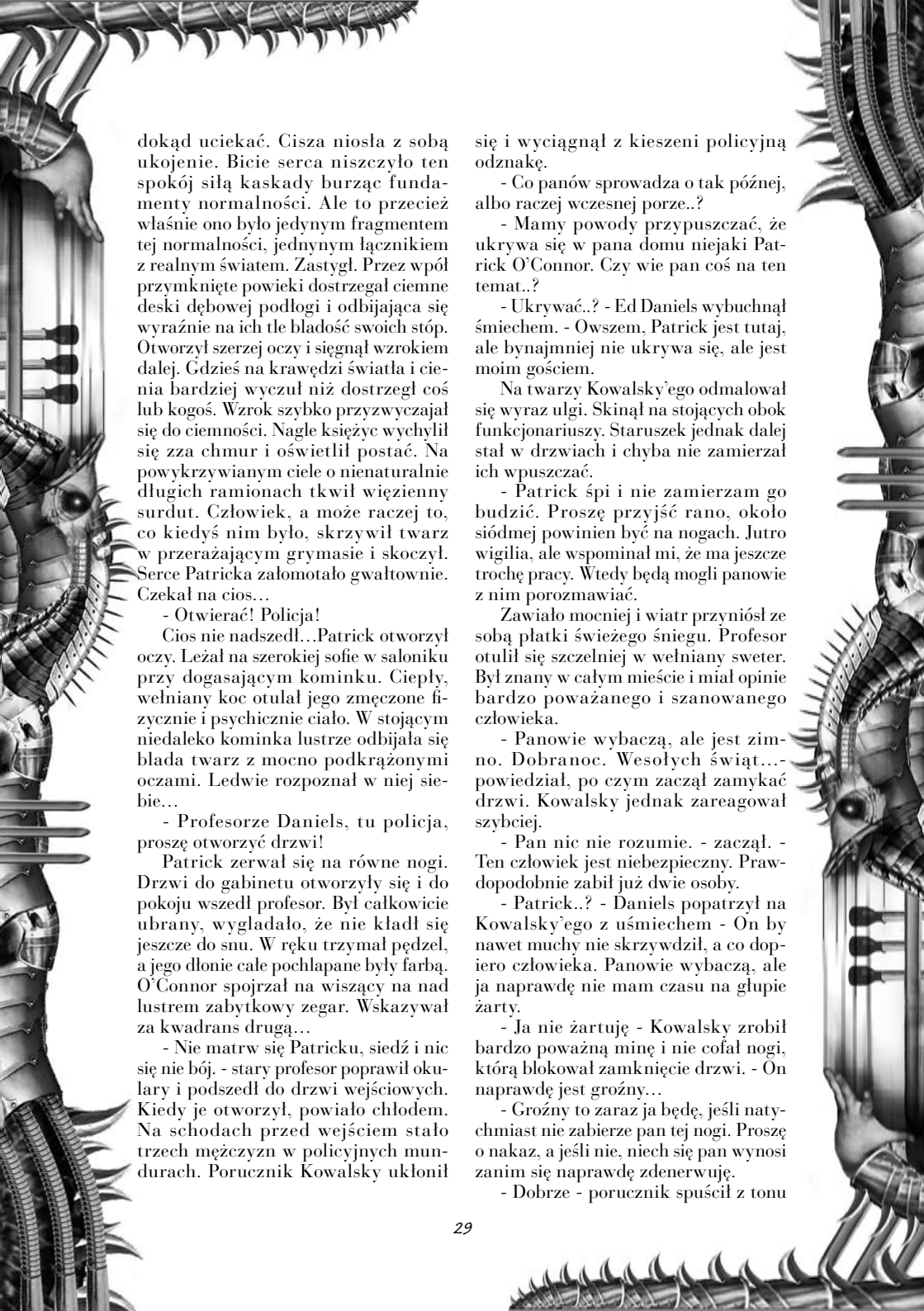
W pokoju obok starzec cicho uśmiechał się, pędząc pędzlem po strukturze płótna. Ruchy miał szybkie, pewne...

WIGILIA

Sen przyszedł cicho rozpościerając bezgłośnie swoje skrzydła i lekko otulając nimi Irlandczyka. Otworzył oczy. Leżał sam w pustym pokoju. Zza zamkniętych drzwi nie dochodziły żadne dźwięki. Wiedział już, że śpi. W ciągu jednego krótkiego mrugnienia przekroczył granicę jawy i snu. Rzeczywistość spłotała się z koszmarem niewidzialną nitką. Siadł wystraszony na łóżku. W kącie pokoju coś się poruszyło. Nie spojrzał w tamtym kierunku. Zamknął oczy z nadzieją na...sam nie wiedział na co, ale nadal słyszał skrzypienie desek dobiegające z tamtej strony.

- Odejdź...proszę odejdź - wyszeptał cicho. Nie bał się już...Było mu wszystko jedno. Pragnął tylko, by ten koszmar się skończył. By to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich paru dni było tylko złym snem. By ten rok już się skończył, odszedł w zapomnienie. Zbyt dużo się stało...i nie się nie stało...Od śmierci Alexa nie znalazł nikogo, komu mógłby zaufać. Gdyby nie profesor, nie miałby nawet dokąd pojsć. Los nie był dla niego zbyt łaskawy. Mimo to Patrickowi nigdy nie przeszło przez myśl, by ze sobą skończyć.

Dźwięk kroków urwał się...Cisza rozpełzła się pod czaszką Patricka i zaczęła wcierać się w mózg, zapuszczając w nim swoje korzenie. Czuł każde jej włókno, każda najmniejsza nić. Szczelnym płaszczem otuliła jego myśli. Słyszał każde uderzenie swojego serca, które rezonansem dudniło w głowie krzycząc: "Uciekaj". Ale nie miał już



dokąd uciekać. Ciska niosła z sobą ukojenie. Bicie serca niszczyło ten spokój siłą kaskady burząc fundamenty normalności. Ale to przecież właśnie ono było jedynym fragmentem tej normalności, jedynym łącznikiem z realnym światem. Zastygł. Przez wpół przymknięte powieki dostrzegał ciemne deski dębowej podłogi i odbijająca się wyraźnie na ich tle błądź swoich stóp. Otworzył szerzej oczy i sięgnął wzrokiem dalej. Gdzieś na krawędzi światła i cienia bardziej wyczuł niż dostrzegł coś lub kogoś. Wzrok szybko przyzwyczajał się do ciemności. Nagle księżyc wychylił się zza chmur i oświetlił postać. Na powykrzywianym ciełe o nienaturalnie długich ramionach tkwił więzienny surdut. Człowiek, a może raczej to, co kiedyś nim było, skrzywił twarz w przerażającym grymasie i skoczył. Serce Patricka załomotało gwałtownie. Czekał na cios...

- Otwierać! Policja!

Cios nie nadszedł... Patrick otworzył oczy. Leżał na szerokiej sofie w saloniku przy dogasającym kominku. Ciepły, welniany koc otulał jego zmęczone fizycznie i psychicznie ciało. W stojącym niedaleko kominka lustrze odbijała się blada twarz z mocno podkrążonymi oczami. Ledwie rozpoznał w niej siebie...

- Profesorze Daniels, tu policja, proszę otworzyć drzwi!

Patrick zerwał się na równe nogi. Drzwi do gabinetu otworzyły się i do pokoju wszedł profesor. Był całkowicie ubrany, wyglądało, że nie kładł się jeszcze do snu. W rękę trzymał pędzel, a jego dłonie całe pochłapane były farbą. O'Connor spojrzał na wiszącą na nad lustrem zabytkowy zegar. Wskazywał za kwadrans drugą...

- Nie matrw się Patricku, siedź i nie się nie bój. - stary profesor poprawił okulary i podszedł do drzwi wejściowych. Kiedy je otworzył, powiało chłodem. Na schodach przed wejściem stało trzech mężczyzn w policyjnych mundurach. Porucznik Kowalski uklonił

się i wyciągnął z kieszeni policyjną odznakę.

- Co panów sprowadza o tak później, albo raczej wczesnej porze...?

- Mamy powody przypuszczać, że ukrywa się w pana domu niejaki Patrick O'Connor. Czy wie pan coś na ten temat...?

- Ukrywać...? - Ed Daniels wybuchnął śmiechem. - Owszem, Patrick jest tutaj, ale bynajmniej nie ukrywa się, ale jest moim gościem.

Na twarzy Kowalskiego odmalował się wyraz ulgi. Skinał na stojących obok funkcjonariuszy. Staruszek jednak dalej stał w drzwiach i chyba nie zamierzał ich wpuszczać.

- Patrick śpi i nie zamierzam go budzić. Proszę przyjść rano, około siódmej powinien być na nogach. Jutro wigilia, ale wspominał mi, że ma jeszcze trochę pracy. Wtedy będą mogli panowie z nim porozmawiać.

Zawiało mocniej i wiatr przyniósł ze sobą płatki świeżego śniegu. Profesor otulił się szczerzej w welniany sweter. Był znany w całym mieście i miał opinie bardzo poważanego i szanowanego człowieka.

- Panowie wybaczą, ale jest zimno. Dobranoc. Wesołych świąt... - powiedział, po czym zaczął zamykać drzwi. Kowalski jednak zareagował szybciej.

- Pan nic nie rozumie. - zaczął. - Ten człowiek jest niebezpieczny. Prawdopodobnie zabił już dwie osoby.

- Patrick...? - Daniels popatrzył na Kowalskiego z uśmiechem - On by nawet muchy nie skrzywdził, a co dopiero człowieka. Panowie wybaczą, ale ja naprawdę nie mam czasu na głupie żarty.

- Ja nie żartuję - Kowalski zrobił bardzo poważną minę i nie cofał nogi, którą blokował zamknięcie drzwi. - On naprawdę jest groźny...

- Groźny to zaraz ja będę, jeśli natychmiast nie zabierze pan tej nogi. Proszę o nakaz, a jeśli nie, niech się pan wynosi zanim się naprawdę zdenerwuję.

- Dobrze - porucznik spuścił z tonu

i niechętnie puścił drzwi.- ale powinien pan wiedzieć, w co się pakuje. Z Patrickiem O'Connorem jest powiązane już nie jedno, ale dwa morderstwa. Jedno miało miejsce w jego domu, drugie przed hotelem, w którym zatrzymał się na ostatnią noc. Obie ofiary wyglądały podobnie i niech mi pan uwierzy, wołałby pan tego nie widzieć. I nie chcę być złym wróżbitą, ale boję się, że i pana znajdziemy rano w takim stanie.

- Dość tego! - oburzył się Daniels - gdyby Patrick chciał mnie zabić, już dawno by to zrobił. Szukacie kogoś innego, wierzcie mi. A teraz żegnam.

- Proszę mu tylko przekazać, by rano zgłosił się na posterunek. Zna moje nazwisko. Oto moja wizytówka.

Profesor spojrział na kartkę papieru, odczytał nazwisko i zawałał się przez chwilę. Porucznik dostrzegł ten moment i czekał.

- Myślałem, że pan jest bardziej inteligentny - powiedział po chwili starszek. - Tak przynajmniej wynikało z tego, co opowiadał mi Paddy. Ale jak widać pomylił się...Znam całą historię i niech pan wierzy, przerasta ona nie tylko Patricka i pana, ale przerasta i mnie. A już swoje przeżyłem na tym świecie.

- Niech pan słucha, profesorze - zaczął Kowalski - Patrick jest chory i potrzebuje...

- Nie, to pan niech słucha. - przerwał mu Daniels. - To dobry chłopak, ale niewiele mu brakuje do granicy wytrzymałości. Wierzę we wszystko, co mi powiedział, choć wydaje się to niewiarygodne. Niech pan go już dziś nie męczą, a obiecuje, że poproszę go, by opowiedział panu całą historię. Proszę tylko, by pan w nią uwierzył, obojętnie jak bardzo absurdalna się panu wyda. Chociaż nie sądzę, by mogło to panu jakoś pomóc. Patrick zgłosił się do pana z samego rana. I niech pan załatwi, by nie miał z tego powodu kłopotów w pracy. Poraz ostatni dobranoc, panie Kowalski.

- Dobranoc, profesorze. - Kowalski

zasalutował szybko i skierował się w noc.

Kowalski siedział w fotelu. Kiedy Patrick skończył mówić otarł dłonią pot z czoła, a na jego twarzy rozkwitł uśmiech.

- I ja mam w to wszystko uwierzyć..?

Patrick tylko wzruszył ramionami.

- Gdybym myślał, że pan w to uwierzy, to opowiedziałbym to, kiedy trafiłem tu pierwszy raz. - na czołe Patricka również perlił się pot. Podkrążone oczy mocno podkreślały błądliwość twarzy. - Wtedy usłyszał pan fragment, który i tak był zbyt nieprawdopodobny, by w niego tak po prostu uwierzyć. Dlatego nie chciałem mówić tego. Przyszedłem tu tylko dlatego, że poprosił mnie o to profesor Daniels. Proszę pytać pannę Hyler, ona przynajmniej częściowo potwierdzi to, co mówiłem.

- Niestety będę musiał pana zatrzymać. Przynajmniej na jakiś czas. Wiem, że dziś jest wigilia, ale nie mogę pozwolić, by coś się znów stało. To ze względu na bezpieczeństwo...pana - dodał Kowalski po chwili.

- Niech się pan nie tłumaczy - Patrick uśmiechnął się smutno. - tak myślałem, że tak się to skończy. Nie mam rodziny, nie musi się więc pan trudzić powiadomianiem nikogo, że nie zjawię się na wigilijną kolację...Mam tylko prośbę - kontynuował Irlandczyk. - Chciałbym pójść do swojego biura i zabrać stamtąd swoją pracę. Tu miałbym czas, by ją dokończyć.

- Obawiam się, że nie mogę pana puścić...- Kowalski popatrzył na wrak człowieka...- chyba że ja pójde z panem.

- Dziękuję - wyszeptał Patrick i jeszcze raz uśmiechnął się.

Powoli zapadał półmrok. Uliczne latarnie jarzyły się słabym blaskiem i śnieg skrzypiał pod nogami. Miasto pustoszało, gdzieś tam tylko ktoś wracał do domu spiesznym krokiem. Patrick zebrał pod pachę swoje papiery, wpakował do kieszeni kilka ołówków i przyrządy kreślarskie. Kowalski z

jeszcze jednym policjantem rozglądali się po biurze.

- Jestem gotów. - powiedział Patrick.
- Więc chodźmy - porucznik zapiał płaszcz i ruszyli w dół po schodach. Policjanci rozmawiali o zbliżających się świętach, o indyku i prezentach. Patrick zauważył coś... Na portierni nie było Marcela. Dziś też miał dyżur. Zatrzymał się w pół kroku. Kowalski przystanął i spojrzał w górę. Rozejrzał się i również dostrzegł pusty fotel strażnika. Zaniepokojony jeszcze raz spojrzał na stojącego wyżej na schodach Patricka i nagle na jego twarzy wymalował się strach. Sięgnął do kabury...

Patrick bardziej poczuł niż usłyszał czyjaś obecność za plecami. Nie zastanawiając się ruszył pędem po schodach. Kowalski krzyczał coś, ale Patrick go nie słyszał. Wypuścił z rąk szkiei i gnał przed siebie w dół. Nagle na plecach poczuł uderzenie. Ból sprawił, że potknął się i zwałił na ziemię. Usłyszał jeszcze tylko strzały i brzęk tłuczonego szkła... Resztkę pochłonęła ciemność...

NIEOCZEKIWANY SWIADEK

Glazy... zimno... oczy... twarz... nie ma... - Patrick powoli dochodził do siebie. Głos w głowie nie był jego. Pochodził z zewnątrz. Otaczała go ciemność. Ostrożnie uchylił powiekę, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Leżał na starym, zapluskwionym materacu. Wokół unosił się zapach stęchlizny. Nagły dreszcz przeszył jego ciało. Było zimno, ale znajdował się w jakimś pomieszczeniu. Przynajmniej takie odniósł wrażenie.

- Agrhh... nnnie... proszę... - ten sam głos. Dochodził z prawej strony. Spojrzał i zadrżał. Dziesięć stóp od niego, na podobnym materacu leżał człowiek ubrany w więzienny kitel. Patrick wstrzymał oddech, z trwogą wpatrując się w cień kulący się w kącie. Ale nic się nie działo. Mężczyzna rozejrzał się. Był w piwnicy. Po przeciwnej stronie pomieszczenia dostrzegł niewielkich rozmiarów okienko. Najciszej jak tylko

mógł zmusił nogi do uniesienia wychudzonego ciała.

- Dokąd chcesz iść? - zahuczało w jego głowie, niczym dzwon. Patrick potknął się o jakąś pustą skrzynię i przewrócił - Czyżbyś już zapomniał o naszej małej umowie? - rozległ się śmiech.

- Odejdź... Ty nie istniejesz! Ciebie nie ma... To... to tylko moja wyobraźnia... - tracił pewność. Nie wierzył słowom, które wypowiadał.

- Czyżby? - szyderczo odpowiedział głos.

- Patricku... Nic Ci nie jest?

- Patricia? - mężczyzna nerwowo rozglądał się po pogrążonym w ciemności pomieszczeniu.

- Tak, kochany, jestem tu...

- Nnie, to niemożliwe...

- Ależ tak, to ja, chodź do mnie...

- Ale...

- Przytul mnie, proszę... Jestem taka samotna i taka zagubiona... Patricku... Ja się boję... - głos był pełen smutku i przygnębienia. W jednej chwili O'Connor poczuł nieodpartą chęć spełnienia prośby. Zniknęły gdzieś obawy i strach. Tak bardzo zapragnął poczuć bliskość jej ciała, ukoić żal...

- Tak, już dobrze... Bliżej... - jego myśli niemal zupełnie pogrzażyły się w chwili zatracenia - A teraz wejdź we mnie, chcę go mieć wewnątrz... Już! - na twarzy Patricka pojawił się grymas niedowierzania.

- Ale...


- Słyszysz?! Włóż go w końcu do cholery! Wypełnij mnie nim, pieprzony pedale! - mężczyzna przygnał do ściany, zwijając się do pozycji embrionalnej.

- Nie, proszę...

- Chcę mieć go wewnątrz!!! Słyszysz?!

Cisza, a pośród niej tylko śmiech Starca, unoszący się na granicy słuchu. Patrick płakał.

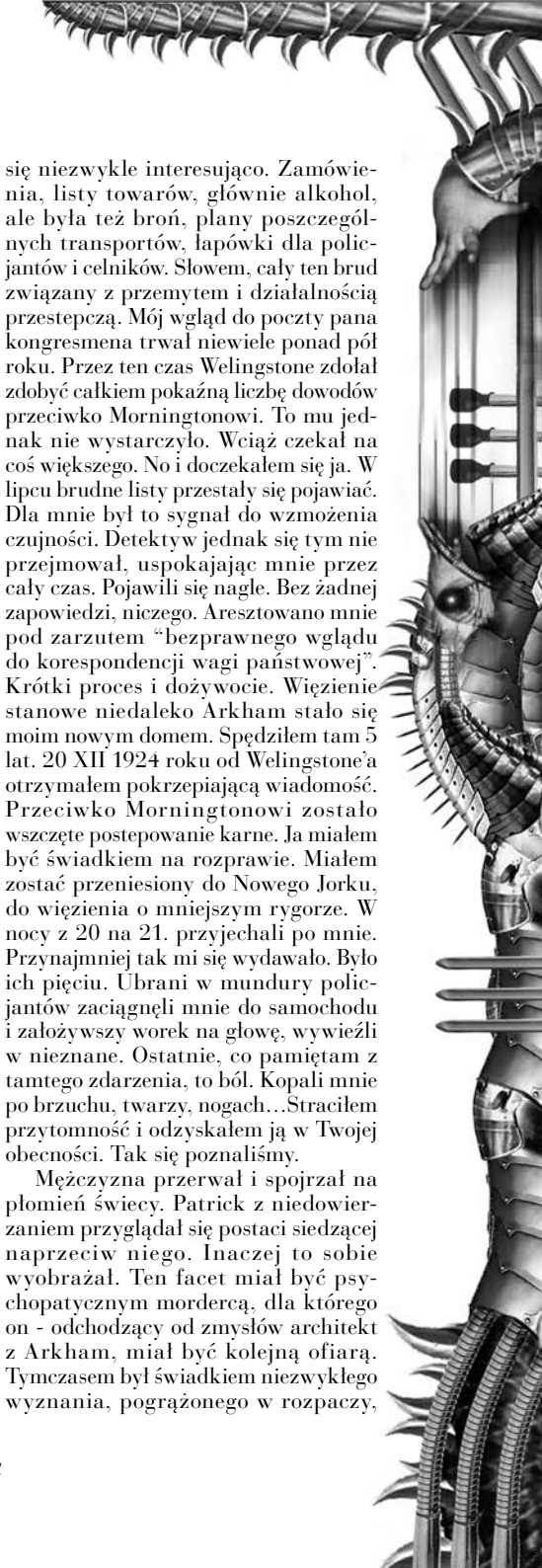
To wszystko było ponad jego siły. Obojętnie spojrzał w stronę więźnia. Obcy równie beznamiętnie podniósł się z materaca i zapalił świecę. Trzęsący się płomień rozświetlił w niewielkim



stopniu pomieszczenie, które w istocie musiało być kamieniczną piwnicą. Nie to jednak przykuło uwagę architekta. Płócienne ubranie więźnia całe było poplamione krwią. Na lewej piersi znajdowała się naszywka z numerem. C3469. Ta twarz... Rysy mężczyzny przypominały mu postać z obrazu, rysowanego we śnie. Patrick nie czuł strachu. W jakiś dziwny i niespotykany dotąd sposób, więzień przykuwał jego uwagę. Niczym model, pozujący do ilustracji. Przez chwilę trwali w milczeniu. Patrick zdawał sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później on musi mu wyjaśnić, co się wydarzyło. Tak działają seryjni zabójcy-psychopaci. Muszą czuć się docenieni. Tak z pewnością było i w tym przypadku.

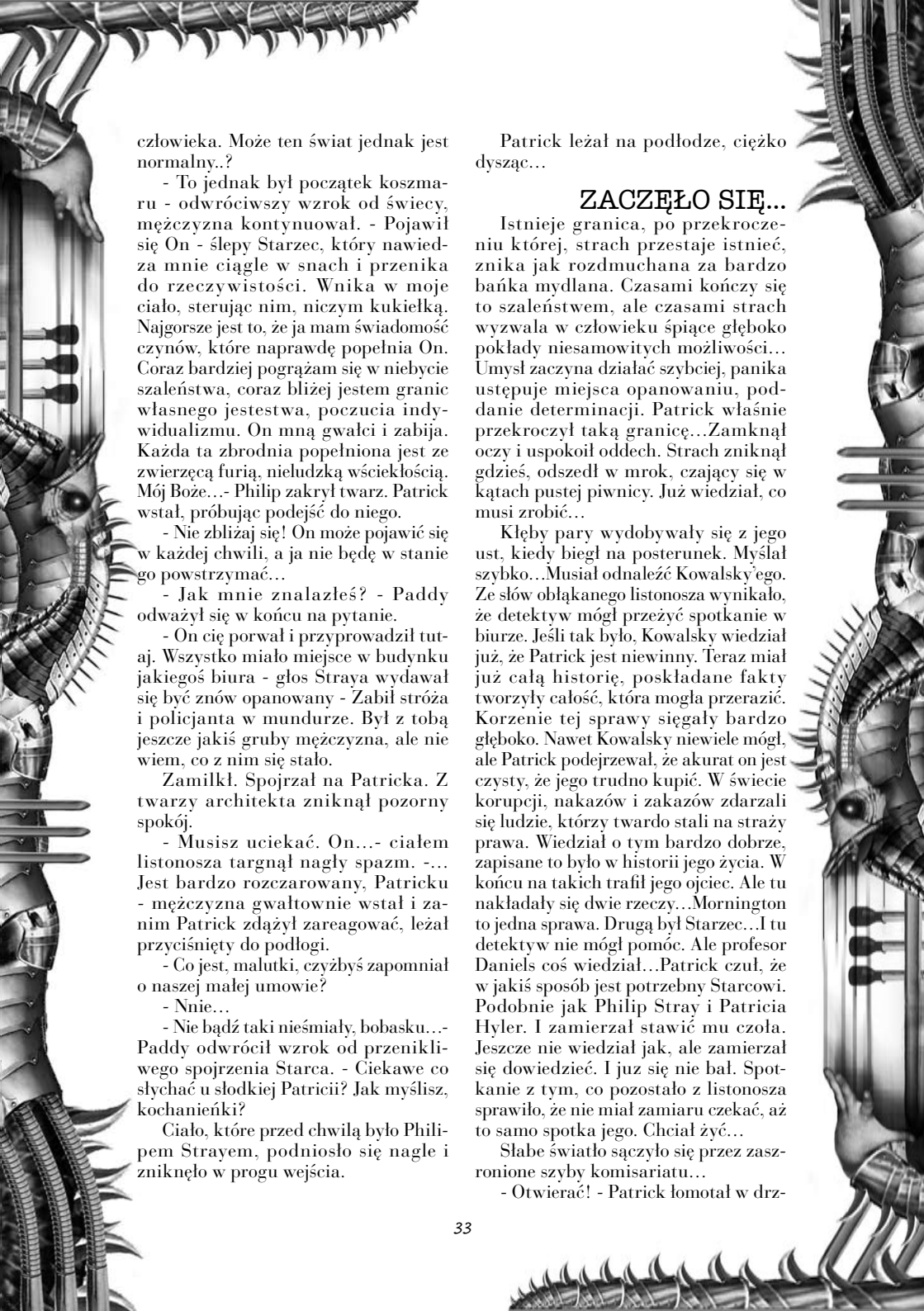
- Nazywam się Philip Stray i jestem... a raczej byłem listonoszem jednego z oddziałów poczty w Nowym Jorku. Zanim wyjaśnimy sobie ostatnie wydarzenia, pozwól, że przedstawię Ci swoją historię, zanim On znów przejmie kontrolę nad moim ciałem - jego głos był nad wyraz opanowany i spokojny. Miał nawet przyjemną barwę. Paddy z zacięciem przyglądał się każdemu szczegółowi anatomii tego człowieka.

- Wszystko zaczęło się od wizyty detektywa Welingtona w moim mieszkaniu na początku stycznia 1919. Pracował on nad sprawą kongresmena Fridericka Morningtona. Podejrzewał go, jak się później okazało słusznie, o handel i przemyt alkoholu z Kanady. Z pewnego źródła dowiedział się, że wszystkie służbowe korespondencje Morningtona przechodzą przez oddział poczty, na której pracowałem. Jego zlecenie było proste. Miałem infiltrować tę pocztę, przekazując wszystkie "podejrzane" wiadomości i informacje detektywowi. Zadanie było niezwykle niebezpieczne, ale cóż mogłem zrobić? Utrzymanie się ze skromnej pensyjki poczciarza graniczyło wręcz z cudem. To między innymi była główna przyczyna mojego roztkania z żoną. Wciąż jeszcze ludziłem się, że do mnie wróci... Korespondencja Morningtona w istocie przedstawiała



się niezwykle interesująco. Zamówienia, listy towarów, głównie alkohol, ale była też broń, plany poszczególnych transportów, łapówki dla policjantów i celników. Słowem, cały ten brud związany z przemysłem i działalnością przestępczą. Mój wgląd do poczty pana kongresmena trwał niewiele ponad pół roku. Przez ten czas Welington zdołał zdobyć całkiem pokaźną liczbę dowodów przeciwko Morningtonowi. To mu jednak nie wystarczyło. Wciąż czekał na coś większego. No i doczekałem się ja. W lipcu brudne listy przestały się pojawiać. Dla mnie był to sygnał do wzmożenia czujności. Detektyw jednak się tym nie przejmował, uspokajając mnie przez cały czas. Pojawili się nagle. Bez żadnej zapowiedzi, niczego. Aresztowano mnie pod zarzutem "bezprawnego wglądu do korespondencji wagi państwowej". Krótki proces i dożywocie. Więzienie stanowe niedaleko Arkham stało się moim nowym domem. Spędziłem tam 5 lat. 20 XII 1924 roku od Welingtona otrzymałem pokrzepiającą wiadomość. Przeciwno Morningtonowi zostało wszczęte postępowanie karne. Ja miałem być świadkiem na rozprawie. Miałem zostać przeniesiony do Nowego Jorku, do więzienia o mniejszym rygorze. W nocy z 20 na 21. przyjechali po mnie. Przynajmniej tak mi się wydawało. Było ich pięciu. Ubrani w mundury policjantów zaciągnęli mnie do samochodu i założywszy worek na głowę, wywieźli w nieznane. Ostatnie, co pamiętam z tamtego zdarzenia, to ból. Kopali mnie po brzuchu, twarzy, nogach... Straciłem przytomność i odzyskałem ją w Twojej obecności. Tak się poznailiśmy.

Mężczyzna przerwał i spojrzał na płomień świecy. Patrick z niedowierzaniem przyglądał się postaci siedzącej naprzeciw niego. Inaczej to sobie wyobrażał. Ten facet miał być psychopatycznym mordercą, dla którego on - odchodzący od zmysłów architekt z Arkham, miał być kolejną ofiarą. Tymczasem był świadkiem niezwyklego wyznania, pogrążonego w rozpacz,



człowieka. Może ten świat jednak jest normalny..?

- To jednak był początek kosmaru - odwróciwszy wzrok od świecy, mężczyzna kontynuował. - Pojawił się On - ślepy Starzec, który nawiedza mnie ciągle w snach i przenika do rzeczywistości. Wnika w moje ciało, sterując nim, niczym kukiełką. Najgorsze jest to, że ja mam świadomość czynów, które naprawdę popełnia On. Coraz bardziej pograżam się w niebycie szaleństwem, coraz bliżej jestem granic własnego jestestwa, poczucia indywidualizmu. On mną gwałci i zabija. Każda ta zbrodnia popełniona jest ze zwierzęcą furią, nieludzką wściekłością. Mój Boże... - Philip zakrył twarz. Patrick wstał, próbując podejść do niego.

- Nie zbliżaj się! On może pojawić się w każdej chwili, a ja nie będę w stanie go powstrzymać...

- Jak mnie znalazłeś? - Paddy odważył się w końcu na pytanie.

- On cię porwał i przyprowadził tutaj. Wszystko miało miejsce w budynku jakiegoś biura - głos Straya wydawał się być znów opanowany - Zabił stróża i policjanta w mundurze. Był z tobą jeszcze jakiś gruby mężczyzna, ale nie wiem, co z nim się stało.

Zamilkł. Spojrzał na Patricka. Z twarzy architekta zniknął pozorny spokój.

- Musisz uciekać. On...- ciałem listonosza targnął nagły spazm. -... Jest bardzo rozczerwony, Patricku - mężczyzna gwałtownie wstał i zanim Patrick zdążył zareagować, leżał przyciśnięty do podłogi.

- Co jest, malutki, czyżbyś zapomniał o naszej małej umowie?

- Nnie...

- Nie bądź taki nieśmiały, bobasku...- Paddy odwrócił wzrok od przenikliwego spojrzenia Starca. - Ciekawe co słyhać u słodkiej Patricii? Jak myślisz, kochanieńki?

Ciało, które przed chwilą było Philipem Strayem, podniosło się nagle i zniknęło w progu wejścia.

Patrick leżał na podłodze, ciężko dysząc...

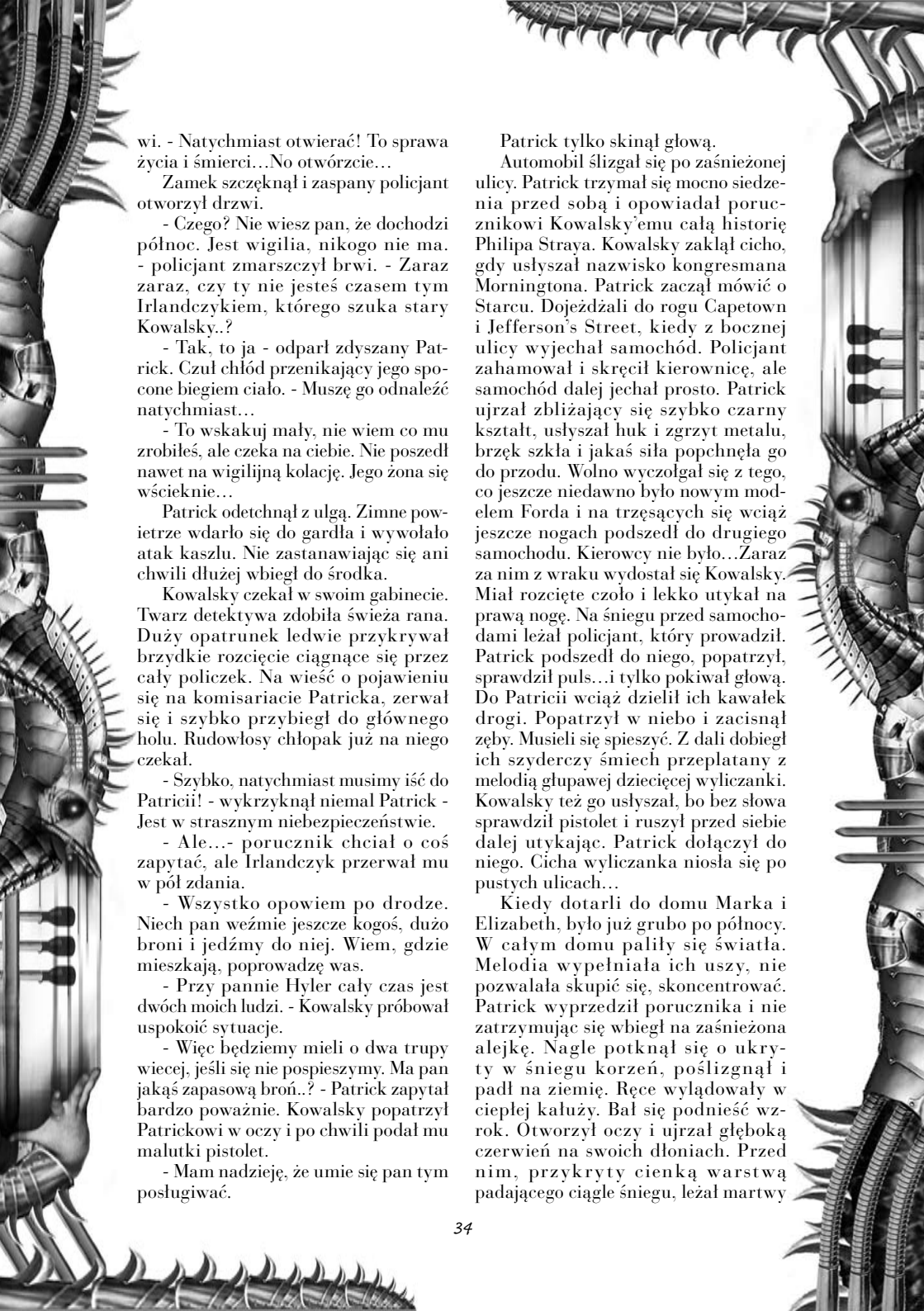
ZACZEŁO SIĘ...

Istnieje granica, po przekroczeniu której, strach przestaje istnieć, znika jak rozdmuchana za bardzo bańka mydlana. Czasami kończy się to szaleństwem, ale czasami strach wyzwala w człowieku śpiące głęboko pokłady niesamowitych możliwości... Umysł zaczyna działać szybciej, panika ustępuje miejsca opanowaniu, poddanie determinacji. Patrick właśnie przekroczył taką granicę... Zamknął oczy i uspokoił oddech. Strach zniknął gdzieś, odszedł w mrok, czający się w kątach pustej piwnicy. Już wiedział, co musi zrobić...

Kłęby pary wydobywały się z jego ust, kiedy biegł na posterunek. Myślał szybko... Musiał odnaleźć Kowalsky'ego. Ze słów obłąkanego listonosza wynikało, że detektyw mógł przeżyć spotkanie w biurze. Jeśli tak było, Kowalsky wiedział już, że Patrick jest niewinny. Teraz miał już całą historię, poskładane fakty tworzyły całość, która mogła przerazić. Korzenie tej sprawy sięgały bardzo głęboko. Nawet Kowalsky niewiele mógł, ale Patrick podejrzewał, że akurat on jest czysty, że jego trudno kupić. W świecie korupcji, nakazów i zakazów zdarzali się ludzie, którzy twardo stali na straży prawa. Wiedział o tym bardzo dobrze, zapisane to było w historii jego życia. W końcu na takich trafil jego ojciec. Ale tu nakładały się dwie rzeczy... Mornington to jedna sprawa. Drugą był Starzec... I tu detektyw nie mógł pomóc. Ale profesor Daniels coś wiedział... Patrick czuł, że w jakiś sposób jest potrzebny Starcowi. Podobnie jak Philip Stray i Patricia Hyler. I zamierzał stawić mu czoła. Jeszcze nie wiedział jak, ale zamierzał się dowiedzieć. I już się nie bał. Spotkanie z tym, co pozostało z listonosza sprawiło, że nie miał zamiaru czekać, aż to samo spotka jego. Chciał żyć...

Słabe światło sączyło się przez zasłonione szyby komisariatu...

- Otwierać! - Patrick łomotał w drz-



wi. - Natychmiast otwierać! To sprawa życia i śmierci...No otwórzcie...

Zamek szczęknął i zaspany policjant otworzył drzwi.

- Czego? Nie wiesz pan, że dochodzi północ. Jest wigilia, nikogo nie ma. - policjant zmarszczył brwi. - Zaraz zaraz, czy ty nie jesteś czasem tym Irlandczykiem, którego szuka stary Kowalsky..?

- Tak, to ja - odparł zdyszany Patrick. Czuł chłód przenikający jego spoczone biegiem ciało. - Muszę go odnaleźć natychmiast...

- To wskakuj mały, nie wiem co mu zrobiłeś, ale czeka na ciebie. Nie poszedł nawet na wigilijną kolację. Jego żona się wścieknie...

Patrick odetchnął z ulgą. Zimne powietrze wdarło się do gardła i wywołało atak kaszlu. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej wbiegł do środka.

Kowalsky czekał w swoim gabinecie. Twarz detektywa zdobiła świeża rana. Duży opatrunek ledwie przykrywał brzydkie rozcięcia ciągnące się przez cały policzek. Na wieść o pojawieniu się na komisariacie Patricka, zerwał się i szybko przybiegł do głównego holu. Rudowłosy chłopak już na niego czekał.

- Szybko, natychmiast musimy iść do Patricii! - wykrzyknął niemal Patrick - Jest w strasznym niebezpieczeństwie.

- Ale...- porucznik chciał o coś zapytać, ale Irlandczyk przerwał mu w pół zdania.

- Wszystko opowiem po drodze. Niech pan weźmie jeszcze kogoś, dużo broni i jedźmy do niej. Wiem, gdzie mieszka, poprowadzę was.

- Przy pannie Hyler cały czas jest dwóch moich ludzi. - Kowalsky próbował uspokoić sytuację.


- Więc będziemy mieli o dwa trupy więcej, jeśli się nie pospieszymy. Ma pan jakąś zapasową broń..? - Patrick zapytał bardzo poważnie. Kowalsky popatrzył Patrickowi w oczy i po chwili podał mu małą pistolet.

- Mam nadzieję, że umie się pan tym posługiwać.

Patrick tylko skinął głową.

Automobil ślizgał się po zaśnieżonej ulicy. Patrick trzymał się mocno siedzenia przed sobą i opowiadał porucznikowi Kowalskiemu całą historię Philipa Straya. Kowalsky zaklął cicho, gdy usłyszał nazwisko kongresmana Morningtona. Patrick zaczął mówić o Starcu. Dojeżdżali do rogu Capetown i Jefferson's Street, kiedy z bocznej ulicy wyjechał samochód. Policjant zahamował i skrzył kierownicę, ale samochód dalej jechał prosto. Patrick ujrzał zbliżający się szybko czarny kształt, usłyszał huk i zgrzyt metalu, brzęk szkła i jakaś siła popchnęła go do przodu. Wolno wyczołgał się z tego, co jeszcze niedawno było nowym modelem Forda i na trzęsących się wciąż jeszcze nogach podszedł do drugiego samochodu. Kierowcy nie było...Zaraz za nim z wraku wydosłał się Kowalsky. Miał rozcięte czoło i lekko utykał na prawą nogę. Na śniegu przed samochodem leżał policjant, który prowadził. Patrick podszedł do niego, popatrzył, sprawdził puls...i tylko pokiwał głową. Do Patricii wciąż dzielił ich kawałek drogi. Popatrzył w niebo i zacisnął zęby. Musieli się spieszyć. Z dali dobiegł ich szyderczy śmiech przeplatany z melodią głupawej dziecięcej wylczanki. Kowalsky też go usłyszał, bo bez słowa sprawdził pistolet i ruszył przed siebie dalej utykając. Patrick dołączył do niego. Cicha wylczanka niosła się po pustych ulicach...

Kiedy dotarli do domu Marka i Elizabeth, było już grubo po północy. W całym domu paliły się światła. Melodia wypełniała ich uszy, nie pozwalając skupić się, skoncentrować. Patrick wyprzedził porucznika i nie zatrzymując się wbiegł na zaśnieżoną alejkę. Nagle potknął się o ukryty w śniegu korzeń, poślizgnął i padł na ziemię. Ręce wylądowały w ciepłej kałuży. Bał się podnieść wzrok. Otworzył oczy i ujrzał głęboką czerwień na swoich dłoniach. Przed nim, przykryty cienką warstwą padającego ciągle śniegu, leżał martwy



policjant. Z rozprutego gardła jeszcze sączyła się krew, a szkliste, zimne oczy wpatrywały się z wyrzutem w Patricka. Z trudem powstrzymał krzyk, kłębiący się w piersiach. "Więc zaczęło się..." pomyślał. "Zaczęło się...". Podniósł się, wytarł zakrwawione ręce w śnieg, popatrzył w tył na stojącego za nim porucznika. Wokół rozszedł się mocny, duszący zapach wanilii...Patrick wyciągnął pistolet i odbezpieczył go. Zaczęło się...

NIGDY NIE BĘDZIE JUŻ TAK JAK NIEGDIŚ...

Niedbale zagięty kołnierz rozpiętego płaszcza wystawał detektywowi zza szyi. On zdawał się jednak nie przykładać do tego wagi. Stał nieruchomo, z przerażeniem przyglądając się ciału martwego policjanta.

- Ty przekłeta bestio, ty pozabawiona jakichkolwiek uczuć namiastko człowieka! - głos Patricka przepelniony był nienawiścią, płynącą z najgłębszych pokładów jego zmęczonej tym wszystkim duszy. I nie było już strachu w jego słowach. Tylko złość. Wszechogarniające uczucie złości, które z każdą sekundą narastało.

- Pieprzony staruchu...Ile krwi musi jeszcze popłynąć, by zaspokoić twe szalone żądze?

Melodia wyliczanki i inne dźwięki, które w jednej chwili dołączyły do tej kanonady dysonansów, stawały się nie do zniesienia. Jakby w odpowiedzi na słowa Patricka jakaś tajemnicza siła wprowadziła w ruch piekielną maszynę kakofonii.

- Tylko na tyle cię stać, bezmyślna pokrako? - O'Connor poczuł wilgoć w w okolicy uszu.

- Patricku...- Patrick dostrzegł kątem oka, jak Kowalski pada na ziemię.

- Ty...- nic więcej już nie zdołał wypowiedzieć. Ból w głowie był nie do zniesienia. Niezwykłe wysokie dźwięki, niemal na granicy słuchu wwiercał się w zakamarki umysłu, nie

pozwalając się skupić, nie pozwalając wypowiedzieć słowa...Wszystko zdawało się zanikać...

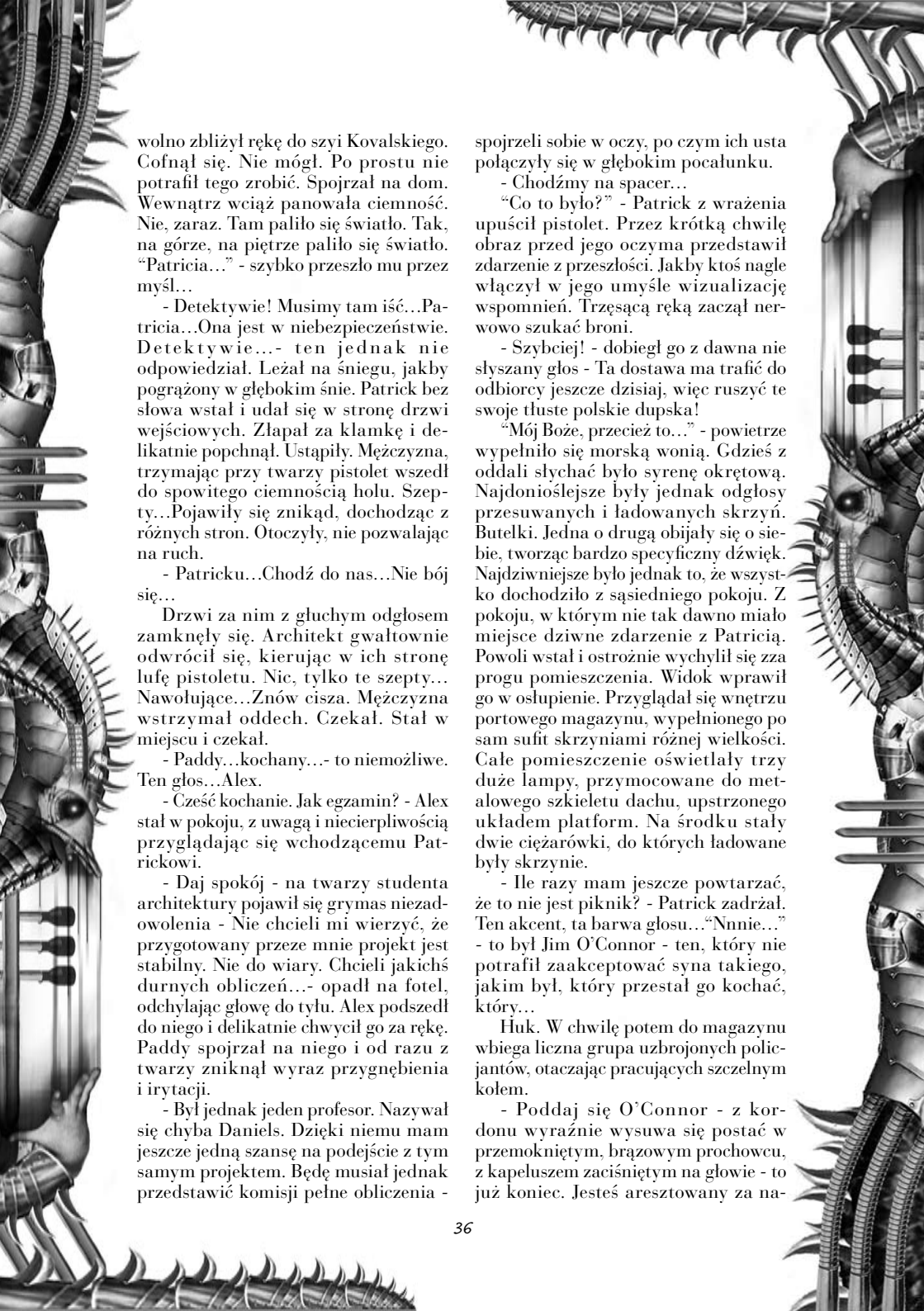
- Ratuuuunkuuuu...ludzieeee...pomocyyy! - w jednej chwili wszystko ucichło. Patrick spojrzał w stronę budynku. W całym domu panowała ciemność. Na śniegu, obok niego leżała nieruchoma postać porucznika Kowalskiego.

- Ludzieeee...pali się...pożar! - dopiero teraz zainteresował się kobiecym krzykiem dochodzącym z ulicy. Głos odbijał się od ścian budynków i niknął, zagłuszany przez ciszę. Patrick odwrócił głowę i ujrzał...nagą kobietę, biegnącą w jego stronę. Zdziwienie tak opanowało jego ciało, że nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Ona tymczasem podbiegła do niego...

- Nareszcie...- dysząc odezwała się do niego - nareszcie jest ktoś, kto będzie mógł mi pomóc...- pochyliła się, a jej piersi zafalowały, wprowadzając mężczyznę w zakłopotanie. Wciąż milczał.

- Trzy ulice stąd wybuchł pożar... Niech pan pójdzie szybko ze mną. Nie ma chwili do stracenia. Pan się przecież na tym zna. Jest pan architektem, Patricku...- chwyciła go mocno za rękę, próbując ciągnąć w swoją stronę. O'Connor oprzytomniał. "Skąd ona..." - krótka myśl pozwoliła mu otrząsnąć się z osłupienia. Gwałtownie pociągnął tajemniczą kobietę za rękę, aż ta przylgnęła do niego. Natychmiast odepchnął ją od siebie.

- Gdzie ten pożar...- nie zdążył dokończyć zdania, gdy nagle jedna z kamienic stanęła w płomieniach. Patrick z przerażenia upadł na ziemię. Kobieta krzycząc zaczęła uciekać. Potężny słup ognia unosił się nienaturalnie wysoko. Mężczyzna odprowadzał wzrokiem kobietę do momentu, aż zniknęła za rogiem ulicy. Cisza. Wszystko gwałtownie ucichło. O'Connor słyszał nawet własny oddech. Niepewnie wstał i zbliżył się do leżącego na ziemi detektywa. Stracił gdzieś pewność siebie. Odwrócił ciało. Potężny brzuch zakolał się. Patrick odgarnął rudy puklerz włosów z czoła i



wolno zbliżył rękę do szyi Kowalskiego. Cofnął się. Nie mógł. Po prostu nie potrafił tego zrobić. Spojrzał na dom. Wewnątrz wciąż panowała ciemność. Nie, zaraz. Tam paliło się światło. Tak, na górze, na piętrze paliło się światło. "Patricia..." - szybko przeszło mu przez myśl...

- Detektywie! Musimy tam iść... Patricia... Ona jest w niebezpieczeństwie. Detektywie... - ten jednak nie odpowiedział. Leżał na śniegu, jakby pograżony w głębokim śnie. Patrick bez słowa wstał i udał się w stronę drzwi wejściowych. Złapał za klamkę i delikatnie popchnął. Ustąpiły. Mężczyzna, trzymając przy twarzy pistolet wszedł do swobodnego ciemnością holu. Szepety... Pojawiły się znikąd, dochodząc z różnych stron. Otoczyły, nie pozwalając na ruch.

- Patricku... Chodź do nas... Nie bój się...

Drzwi za nim z głuchym odgłosem zamknęły się. Architekt gwałtownie odwrócił się, kierując w ich stronę lufę pistoletu. Nic, tylko te szepety... Nawołujące... Znów cisza. Mężczyzna wstrzymał oddech. Czekał. Stał w miejscu i czekał.

- Paddy... kochany... - to niemożliwe. Ten głos... Alex.

- Cześć kochanie. Jak egzamin? - Alex stał w pokoju, z uwagą i niecierpliwością przyglądając się wchodzącemu Patrickowi.

- Daj spokój - na twarzy studenta architektury pojawił się grymas niezadowolenia - Nie chcieli mi wierzyć, że przygotowany przeze mnie projekt jest stabilny. Nie do wiary. Chcieli jakichś durnych obliczeń... - opadł na fotel, odchylając głowę do tyłu. Alex podszedł do niego i delikatnie chwycił go za rękę. Paddy spojrzał na niego i od razu z twarzy zniknął wyraz przygnębienia i irytacji.

- Był jednak jeden profesor. Nazywał się chyba Daniels. Dzięki niemu mam jeszcze jedną szansę na podejście z tym samym projektem. Będę musiał jednak przedstawić komisji pełne obliczenia -

spojrzeli sobie w oczy, po czym ich usta połączyły się w głębokim pocałunku.

- Chodźmy na spacer...

"Co to było?" - Patrick z wrażenia upuścił pistolet. Przez krótką chwilę obraz przed jego oczyma przedstawił zdarzenie z przeszłości. Jakby ktoś nagle włączył w jego umyśle wizualizację wspomnień. Trzęsącą ręką zaczął nerwowo szukać broni.

- Szybciej! - dobiegł go z dawna nie słyszany głos - Ta dostawa ma trafić do odbiorcy jeszcze dzisiaj, więc ruszyć te swoje tłuste polskie dupska!

"Mój Boże, przecież to..." - powietrze wypełniło się morską wonią. Gdzieś z oddali słychać było syrenę okrętową. Najdawniejsze były jednak odgłosy przesuwanych i ładowanych skrzyń. Butelki. Jedna o drugą obijały się o siebie, tworząc bardzo specyficzny dźwięk. Najdziwniejsze było jednak to, że wszystko dochodziło z sąsiedniego pokoju. Z pokoju, w którym nie tak dawno miało miejsce dziwne zdarzenie z Patricia. Powoli wstał i ostrożnie wychylił się za progu pomieszczenia. Widok wpadł go w osłupienie. Przyglądał się wnętrzu portowego magazynu, wypełnionego po sam sufit skrzyniami różnej wielkości. Całe pomieszczenie oświetlały trzy duże lampy, przymocowane do metalowego szkieletu dachu, upstrzonego układem platform. Na środku stały dwie ciężarówki, do których ładowane były skrzynie.

- Ile razy mam jeszcze powtarzać, że to nie jest piknik? - Patrick zadrżał. Ten akcent, ta barwa głosu... "Nnnie..." - to był Jim O'Connor - ten, który nie potrafił zaakceptować syna takiego, jakim był, który przestał go kochać, który...

Huk. W chwilę potem do magazynu wbiega liczna grupa uzbrojonych policjantów, otaczając pracujących szczelnym kołem.

- Poddaj się O'Connor - z kordonu wyraźnie wysuwa się postać w przemokniętym, brązowym prochowcu, z kapeluszem zaciśniętym na głowie - to już koniec. Jesteś aresztowany za na-

A GDYBY JUTRA MIAŁO NIE BYĆ...

Pokój był otwarty. Przez cienką szparę sączyło się mdłe światło. Zaciśnął w rękę pistolet, palce zatańczyły na spuście. Jeszcze raz odetchnął głęboko i pchnął drewniane drzwi. Pokój był kopią tego, który widział na dole i który pamiętał ze snu. Patricia naga leżała na podłodze. Rozebrany do pasa Philip Stray pochylał się nad nią. Z rozpiętych i opuszczonych spodni wystawał nabrzmiały, sterzący sztywno penis. Nie zwracając uwagi na dźwięk skrzypiących drzwi dalej namiętnie całował prawy sutek dziewczyny, by po chwili płynnym, ale zdecydowanym ruchem wejść w jej ciało.

Patrick stał jak zamurowany i patrzył. Nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Angielka leżała bezwładnie, a jej głowa stukala o podłogę w takt szybkich i mocnych ruchów listonosza. Jego spodnie osunęły się odsłaniając blade pośladki rytmicznie opuszczające się i podnoszące do góry. Purpurowy penis zanurzał się cały w trupio białym ciele Patricii. Wszystko odbywało się w nienaturalnej ciszy, jakby wszystkie dźwięki wygłuszały przyglądające się tej scenie posępne ściany pokoju. Przy płonącym kominku stał mały chłopiec i uśmiechał się, bacznie obserwując poczynania mężczyzny. Podniósł twarz i skierował w stronę drzwi. Jego oczy były zasklepione, jak oczy starca. Jak na zawołanie Philip spojrział na Patricka i również uśmiechnął się szeroko. Rysy jego twarzy zafalowały i pomarszczyły się. Niewidzącymi oczami spoglądał na niego przerażający staruch, którego wcześniej widział w swoim lustrze.

- Niecee!!! - Patrick krzyknął i ruszył przed siebie podnosząc do góry pistolet. Padły strzały. Philip uniósł się, chwycił za pierś i opadł w tył po okno. Patrick z obrzydzeniem strzelił raz jeszcze. Półnagi mężczyzna znieruchomiał. Wilgotny penis przez chwilę stał pionowo mierząc w sufit, jak nędzny wyrzut sumienia, by zaraz opaść na zarośnięty brzuch...

Chłopiec nie odezwał się ani słowem. Patrick spojrział na Patricię. Z wysiłkiem utworzyła oczy.

- Patricku... - powiedziała z bólem

- Patricku... - powiedział leżący na podłodze Alex...

- Alex...? przecież ty...

- Ciii...nie mów nic...- Alex położył palec na ustach - nie mów już nic. Może to ostatni raz, kiedy jesteśmy razem. Proszę...nie mów nic, chodź tylko do mnie.

W Patricku coś pękło. Opuścił rękę trzymającą pistolet i opadł na kolana lkając jak dziecko. Alex siadł z wysiłkiem i silnym ramieniem objął Patricka. Irlandczyk wtulił się w niego całym sobą. Czuł na szyi, na ramionach i policzkach ciepły oddech przyjaciela. Łzy same potoczyły się po piegowej twarzy. W końcu ich usta zamknęły się i Patrick poczuł smak gorących pocałunków. Ręce zaczęły błądzić po ciele i świat przestał istnieć. Po chwili leżeli już razem nago, spleceni w namiętnym uścisku. Patrick łapczywie spiął każdą chwilę, przeżywał każdy pocałunek. Jego usta błądziły po szyi Alexa, palce przeczesywały krótkie ciemne włosy. Badał każdy fragment jego ciała próbując raz jeszcze zapamiętać je, wyryc głęboko w pamięci. Już tak dawno nie był z nikim...A teraz miał przy sobie Alexa, którego kochał ponad wszystko, za którym tęsknił ostatnich kilka długich lat. Płakał, ale płakał ze szczęścia ciesząc się tą chwilą. Leżał na podłodze, a Alex pochylał się nad nim. Kochali się jak kiedyś. Czuł jego ciepło, czuł przyjemność, jakiej nie czuł nigdy wcześniej. Alex wolno poruszał biodrami. Przez przymrużone z rozkoszy oczy widział jego piękne ciało, idealnie wyrzeźbiony brzuch, ostre rysy twarzy. Położył jedną ręką na jego biodrach i zmusił do szybszych ruchów. Druga objęła jego sztywny członek. Czuł napływającą falę pożądania i zbliżający się szczyt. Jęknął cicho. Alex dyszał głęboko, ale nie przestawał. Patrick czuł, jak płomień ogarnia jego ciało,

sam mocniej poderwał biodra i pchnął. W tej samej chwili poczuł ciepłą wilgoć na swym brzuchu. Alex wyprężył się i opadł na podłogę obok.

Patrick leżał jeszcze chwilę z przymrużonymi oczami. Odpoczywał. Uśmiechnął się do siebie i przewrócił na bok obejmując Alexa...

- Kocham cię...tylko ciebie...

- Ja też cię kocham - powiedziała Patricia...

Przerażony Patrick usiadł błyskawicznie odsuwając się pod okno.

- Kim ty...

- To On...- z tyłu dobiegł cichy charkot. Broczący krwią Philip Stray szeptał coś. - Posłużył się mną, by cię tu zwać, a potem zrobił wszystko, byś dał mu życie. Teraz już za późno...On narodzi się znowu. Zakaszał cicho. Z kącika ust popłynęła krew. Mówienie przychodziło mu z trudem.

- Nie...to niemożliwe...- Patrick z niedowierzaniem kiwał głową.

- Od początku chodziło o ciebie... Jesteś kimś szczególnym...nie wiem, co w sobie masz...ale to ty miałeś pomóc mu przyjść na ten świat...to dziecko...to...twój...

Nie dokończył. Jego głowa opadła na ramiona. Mały chłopiec stał dalej przy kominku i nie mówiąc nic uśmiechał się.

- Nie...- Patrick popatrzył na zakrwawione ręce i skierował wzrok na Patricię - powiedz...powiedz, że to nieprawda.

Patricia zaśmiała się głosem starca.

- Dzięki, tatuśku...

Jego ciało nagle wyprężyło się w gwałtownym spazmie. Brzuch wolno, ale wyraźnie zaczął się powiększać. Patrick odsuwając się trafił ręką na metal. Spojrzał na podłogę. Zimnym blaskiem lśnił pistolet. Bez wahania podniósł się trzymając pistolet w sztywno wyprostowanej dłoni. Nagi, umazany krwią musiał wyglądać jak demon zniszczenia.

- Patricku...o Boże...- przerażona dziewczyna szlochała zanosząc się z

bólu. - Co się dzieje...? Patricku...co ty robisz...?

Patrick zawałał się, ręka trzymająca pistolet zadrzęła.

- Patricku...pomóż mi...ja...ja rodzę!

Nagle pokój wypełnił się szeptami... Niezliczone głosy wypowiadały dziwne słowa w nieznanym języku.

phlungwi...r'leyh...mglw'hai...

hnaf'glanai...ghandwa...p'lagwani...fthagn...

Patrick wychwycił powtarzające się najczęściej frazy. n'rla alai...t'tep alai...

Z łona dziewczyny chlusnęła zgnilozielona woda wypełniając pokój przeraźliwym odorem. Chłopiec zniknął gdzieś...

- Wybacz...- powiedział zamykając oczy. Pokój cały zadrzął od nieludzkiego ryku, gdy padły strzały. Pociągał za spust raz za razem. Kule rwaly naprężony brzuch Patricii i to, co w sobie krył. Krew wymieszana z zielonkawym szlalem załala podłogę.

- Wybacz...Alex...- przyłożył lufę do swojej skroni i jeszcze raz pociągnął za spust...

EPILOG

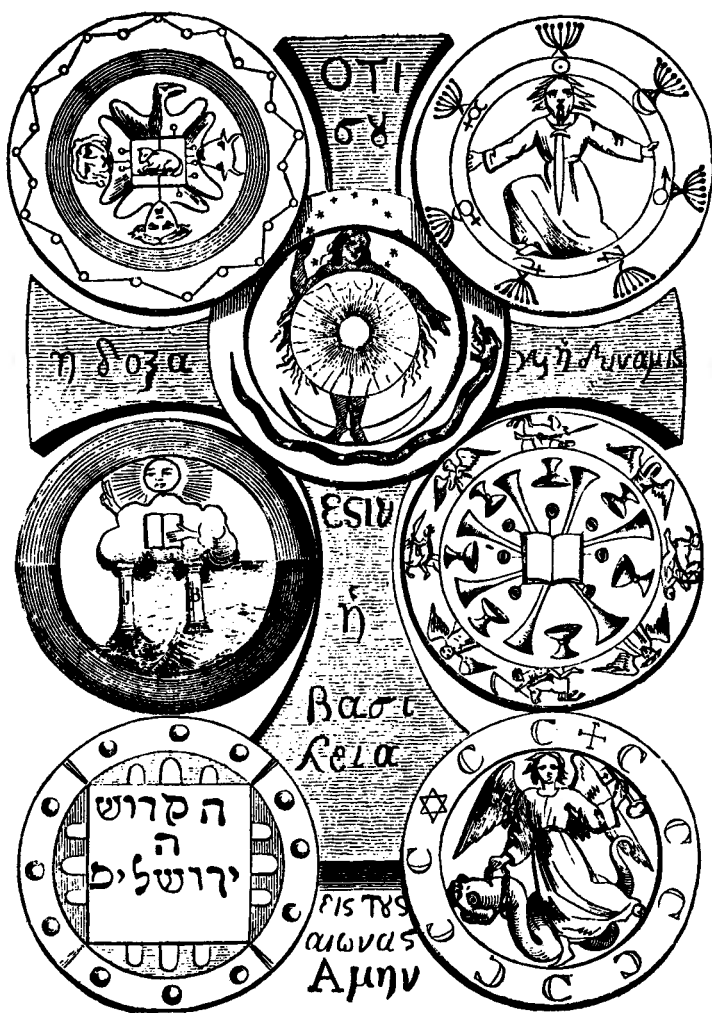
Czuł ból w całym ciele. Suchym językiem otarł spierzchnięte wargi. W ustach pozostał metaliczny smak krwi. Stał przed wejściem do groty. Wokół nie było nic prócz tej czarnej pustki...Był nagi. "Dlaczego On...?" Nagle zrozumiał. Znal ten obraz...i wiedział, co zaraz się stanie, ale nie umiał temu zapobiec. Nogi ruszyły. "Przecież my..." Nie panował nad ciałem. Wokół słyszał szept. Dźwięki nieuchronności...nieskończoności...Z zaciśniętego gardła wydarł się szloch rozpaczy i bezsilności.

Podązał ku nieznanemu. Wewnątrz panowała cisza, wokół unosiła się delikatna, zielonkawa poświata. Mijał korytarze, jakby tunele...Nogi prowadziły go dalej...Nie czuł nic prócz żalu, połączonego z przerażeniem. "Wielka sala...jakieś glazy..." - czy to były

jego myśli? Pomieszczenie było olbrzymie. Całe wypełnione głazami, jakby wyrastającymi z posadzki... "Na Boga..." - w każdym kamieniu był człowiek... niczym ukrzyżowany... zrosnięty ze strukturą głazu... bez twarzy... tam... tam była pustka... Nogi podążały dalej mijając te dziwne posagi. Patrick (czy to wciąż był on?) zatrzymał się. Stał przed kamieniem.

Takim samym jak te, które mijal. Był pusty... Jego ciało odwróciło się, cofając... Plecami dotknął głazu... Czuł zimno... Kamień ożył. "...!" Przez kilka sekund struktury jednoczyły się. Dziwna, nieprzyjemna masa otulała go coraz bardziej. Chciał krzyczeć... Nie mógł. Ciemność. Znow ciemność. Początek i koniec...

Koniec? ;)



JAROSŁAW POKUS

BESTIA

CHOROBA ZWANA WŚCIEKLIŻNĄ

Nie jestem świadomy jakim cudem to widziałem. Raczej niemożliwe jest by mi się to przysniło czy przywidziało. Owszem siedziałem wtedy na miękkim, wygodnym fotelu i być może byłem senny, ale relacje, a raczej opowieść człowieka, który brał udział w tej scenie potwierdziło moje obawy. W tą ciepłą noc, kiedy gwiazdy rozświetlały niebo, a księżyc krył się za piętrowymi budynkami widziałem okno, które było mniej więcej naprzeciwko mojego okna. Przez kilka lat mogłem wieczorami obserwować, to co się dzieje w budynku naprzeciwko, jednak moja godność jako iż jestem dżentelmenem nie pozwalała mi za wiele. Przyznam się, że czasem zerknąłem, ale szybko kiwałem ramionami i odchodziłem zajmując się własnymi sprawami. Do czasu kiedy pewnej nocy było inaczej.

Trochę jestem zaniepokojony; czasem przerażony; czasem staram się po prostu nie patrzeć w okno.

Na głośne, bardzo głośne pukanie do drzwi, nerwowo przybliżyłem się do nich. Był wtedy wieczór mniej więcej taki jak teraz czyli gwiazdy na niebieskiej pokrywie nieba. Otworzyłem je na oścież by zasugerować nadwrażliwość na tak głośne pukanie. Uczucie te szybko nabrało łamliwego spojrzenia i musu cofnięcia się o krok. Jonathan Clarens spadkobierca domu po swoich zmarłych rodzicach zapukał do moich drzwi. Nadto wpatrywał mi się głęboko w oczy. Trzymał w ręku берет, który zawsze przykrywał jego prawie, że niedostrzegalną łysinę. Ściśkał go mocno jakby chciał zaznaczyć, że ma ważną sprawę.

- O co chodzi? - spytałem pobieżnie.

- Widzi Pan. - na chwilę wziął dłuższy oddech - Możemy wejść do

środką? - wykrztusił jakby zapowiadało się na poważną rozmowę.


Niewysoki, niższy o głowę, dość szczupłej postury, co zwłaszcza było widoczne na jego wklęsłych policzkach podszedł szybko do mojego okna by zobaczyć swoje. Sam również się przyglądałem i widziałem tą ciemność w mieszkaniu jaką zawsze teraz staram się unikać. Jonathan zaczął od tego dnia w którym przyszedł do niego doktor. Wtedy wówczas grasowała po mieście wściekliwość, co odstraszało miejscowych chodzenia po nocy. Jonathan mówił o jakimś doktorze, który żądał od niego by poszedł z nim do ciężko umierającego. Doktor Marcel wręczył list od chorego. Pokazał mi ten stary kawałek papieru. Jednak dalej nie wiedziałem o co mu chodzi.

Proszę przybądź do mnie. Umieram. Chciałbym abyś mi towarzyszył w moich ostatnich chwilach. Nie piszę za dużo, bo brak mi sił. Proszę Cię Jonathan, przybądź natychmiast.

Frank McJones.

Gość opowiadał dalej.

Nie miałem pojęcia kim może być ten Frank McJones, ale widać może po mnie, że dobry chłop i poszedł do niego. Nim jeszcze wyszedłem z dwa razy większym doktorem Marcelem musiałem przyjąć zastrzyk przeciwko wściekliwości. Podobno była to choroba nowa i okrutna, że tylko głupcy wychodzili by do miasta chociażby na spacer. Po zastrzyku zrobiło mi się słabiej. Usiadłem na tapczanie, a grube ręce śmierzącego potem doktora złapały mnie szybko przed upadkiem na ziemię. Ocknąłem się zaraz, całkiem beził z zamglonym widokiem. Powoli wszystko nabierało kształtu. Cały pokój wyglądał jakby był zanurzony głęboko w wodzie, ale to uczucie z chwilą zanikało. Po chwili widziałem już wszystko w tym twarz Marcela. Była dość ciemnej karnacji, a



jednak jego wysokie czoło nabierało dla twarzy trochę bardziej jasnych kolorów. W końcu udaliśmy się do umierającego. Wyszliśmy z bloku i wsiadliśmy do białego Forda. Po drodze doktor milczał, a ja tym czasem zastanawiałem się kim jest ten, który mnie prosi o ostatnią wizytę. Wszakże nie odmówię w jego ostatnich chwilach. Może to zapomniany przyjaciel? Po niespełna 20 minutach szybkiej brawurowej jazdy zajechaliśmy w dość brudne dzielnice. Gazety jak w jakimś czarno-białym westernie latały po między dwoma blokami. Doktor poganiał mnie bym szybciej szedł za nim, bo nigdy nic nie wiadomo czy jeszcze warto. Weszliśmy oboje na klatkę schodową. Marcel nie zapalił na niej światła. Być może nawet go nie było. Jedynie co rozświetlało te dwa piętra to blask księżyca przedzierający się przez matowe okno. I w dodatku w taki sposób, że trudno było dostrzec twarz kompana. Czasami gdy próbowałem odtworzyć w myślach doktora nadochodziły mi dziwne, czasem nawet makabryczne myśli. Szedłem z tyłu, a lekarz mnie wyprzedził jakby chciał zobaczyć stan zdrowia Franka McJones. Medyk stanął przed drzwiami i nastawił uszy. Przystawił je do drewna i przez chwilę nasłuchiwał. Ja również, tak aby nie narobić zbędnego hałasu złapałem drzwi ręką i spojrzałem. Zobaczyłem wówczas krzesło, a na nim siedzącego człowieka. Było zbyt ciemno, chociaż przez okno wpadało ponure światło księżyca. Wsadziłem głowę bardziej w głąb by się przyjrzeć. Osoba siedziała nieruchomo na krześle. Ręce miała założone z tyłu. Głowę spuszczoną w dół. Nie widziałem twarzy, bo czarne długie włosy zasłaniały ją w każdy możliwy

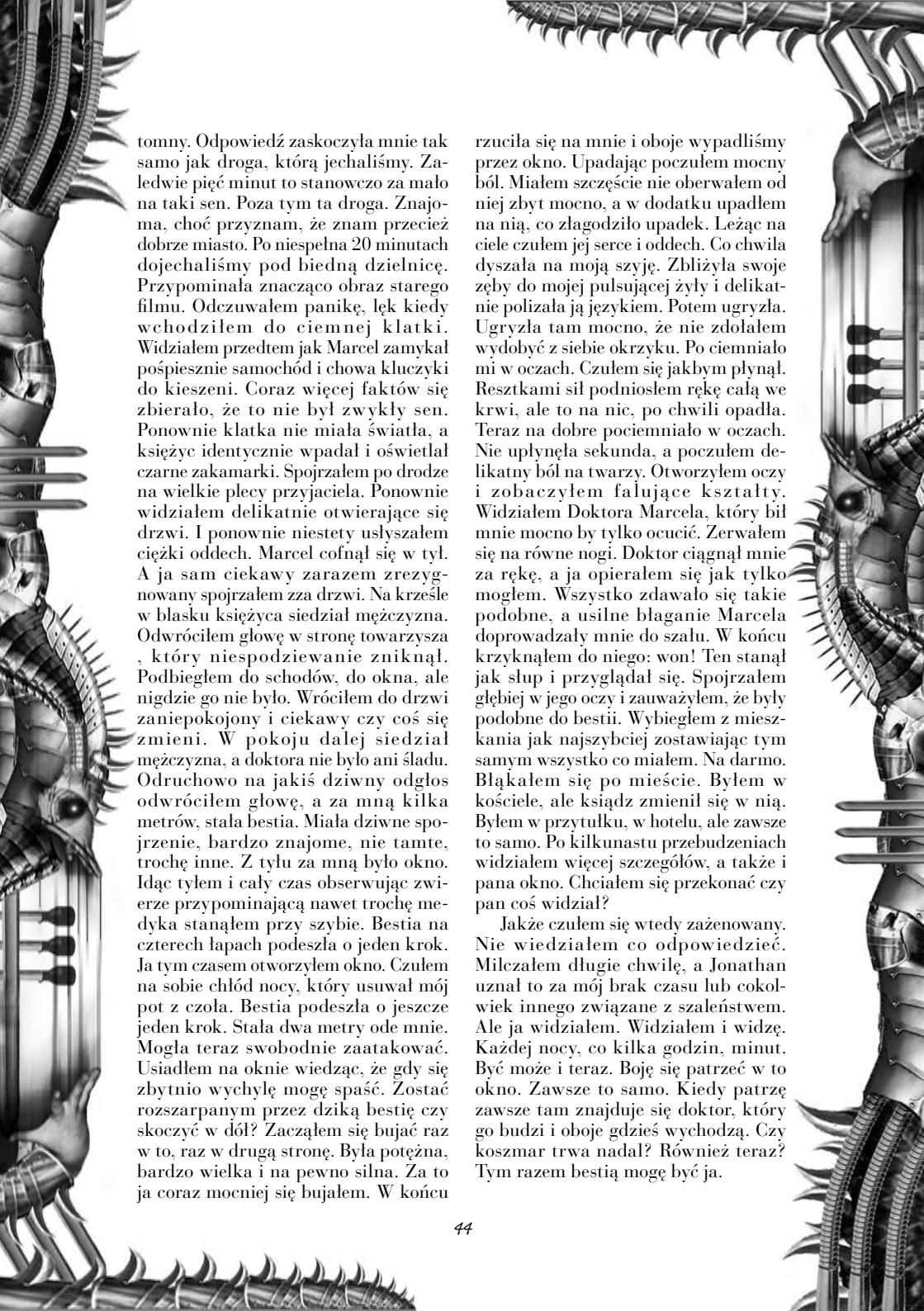
sposób. Cała ta sytuacja wyczekiwania w ciszy zmęczyła mnie do tego stopnia, że nogi zaczęły mi drętwieć. Odwróciłem się w stronę Marcela, ten jednak wyglądał jakby zobaczył ducha. Z wrażenia nie mógł zamknąć oczy, a sam jego bezruch towarzyszył mi bardzo źle z zaistniałą sceną. Spojrzałem ponownie na mężczyznę, który znajdował się w ubogim pokoju. Nagle teraz, bardzo gwałtownie podniósł głowę. Ale zaraz całkiem bezwładnie opadła. Wszedłem do pokoju. Dałem dwa kroki i teraz widziałem go już całkiem dobrze. Zdziwiło mnie to, że miał łańcuchy opłatanе wokół krzesła. Znowu podniósł głowę, ale jak przedtem po chwili mi opadła. Dałem jeszcze jeden krok by przyjrzeć mu się bliżej. On znowu podniósł głowę tym razem szybko zobaczyłem jego twarz i wydała mi się znajoma. Słyszałem jak jego serce uderza niczym wielki metalowy młot. Dostrzegłem, że jego ciało nabrało ciepłego czerwonego koloru. Jego mięśnie naprężyły się, a on sam z podniesioną głową próbował rozzerwać łańcuch. W końcu jedna pętla puściła. Chciałem mu pomóc, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. Zobaczyłem, że jego muskularne ręce zaczynają nabierać owłosienia. Z jego karku również zaczęło wyrastać owłosienie. Jego głowa teraz już krwistoczerwona zaczęła również poddawać się procesowi zarastania. Puściła kolejna pętla łańcucha. I teraz ten człowiek, wilkołak czy cokolwiek to było trzymało się na nogach z podniesionym krzesłem na plecach. Uciekłem z stamtąd jak szybko mogłem. Wybiegając zauważyłem Marcela, który dalej stał w bezruchu. Podniósł rękę chcąc chyba tym samym pomocy. Byłem dobrym człowiekiem, ale moje ciało odmawiało posłuszeństwa. Zbiegałem po schodach po omacku. W jednej chwili rozległ się głośny ryk zwierzęcia. Zatrzymałem się i dysząc nasłuchiwałem. Chciałem usłyszeć kroki Doktora Marcela który by uciekał, jednak słyszałem tylko dźwięki roztrzaskujących się przedmiotów, a także i drzwi. Usłyszałem wówczas



Andrew D. Chumbley

jakieś skomlenie, prawdopodobnie Marcela. I jego euforyczny krzyk, który urwał się w połowie. Słyszałem powoli jak coś rozdziera mojego kompana na strzępy. Wszystko ucichło. Bałem się uciekać by nie narobić zbyt wiele hałasu. Zaczął lecieć ze mnie zimny pot. Krople spadały z mojego czoła na schody klatki. Po minucie, kiedy wszystko mi zubojećniało rzuciłem się do ucieczki. Razem z moim, albo później, ruchem ucieczki widziałem jak coś owłosionego schodzi obok mnie, wyżej na schodach. Biegłem do drzwi wyjściowych. Po sekundach wybiegłem z ciemnego budynku. Podbiegłem do samochodu, ale drzwi wejściowe były zamknięte. Stałem, spocony na małym wietrze zastanawiając się co robić. Księżyc mocno świecił i wydawało mi się, że to koniec. Bestia wyszła lwim powolnym krokiem. Szła do mnie. Cała owłosiona na czterech łapach patrzyła się na mnie jak na posiłek. Była mniej więcej na piątym metrze, gdy swobodnie mogłem zobaczyć jej oczy. Piękne jak kryształy, porównywałem je w owej chwili do diamentu. Przypominały mi trochę surowe spojrzenie ojca. Były bardzo drapieżne, a zarazem nieruchome. Po chwili bestia była już dwa metry ode mnie. Nie uciekałem. Wiedziałem, że raczej nie mam szans, oddałem się jej cały kłękając

na kolana. Rozłożyłem bezwładnie ręce. Zamknąłem oczy i czekałem, aż mnie weźmie w swoje szpony. W czerni swoich oczu starałem się myśleć o czymś pozytywnym i mającym nadzieję. O rodzicach i dzieciństwie mile spędzonym. Wyobrażałem sobie niebo. Czekając na śmierć zdałem sobie sprawę, że chce jej spojrzeć jeszcze raz w oczy. Podniosłem do góry powieki, ale przeszył je niezrozumiany błysk. Zobaczyłem Marcela, który bije mnie ręką po policzku. Wszystko było takie zamazane. Mówił żeby się ocknął. Otworzyłem z wrażenia usta. Doktor jakże mile mi widziana osoba, w dodatku jeszcze żyje klepała mnie delikatnie po policzku. Po chwili obraz stał się bardziej ostry. Zobaczyłem go zdrowego. Jakby nic się nie stało. Nie mogłem uwierzyć. Rozejrzałem się po swoim pokoju. Nie dowierzałem, że to tylko sen. Uśmiechnąłem się. Jednak silny mężczyzna nalegał powtarzając, że umierający czeka. Z ciekawością wstałem i spojrzałem na świstek papieru. Frank McJones. Miałem obawy co do tej wizyty. Uspokoilem się jednak, bo byłem realistą i wierzyłem, że to tylko sen. Wyszliśmy z hotelu i udaliśmy się dziwnie znajomym białym Fordem pod adres, który znał tylko Doktor Marcel. Spytałem po drodze, ile byłem nie przy-



tomny. Odpowiedź zaskoczyła mnie tak samo jak droga, którą jechaliśmy. Zaledwie pięć minut to stanowczo za mało na taki sen. Poza tym ta droga. Znajoma, choć przyznam, że znam przecież dobrze miasto. Po niespełna 20 minutach dojechaliśmy pod biedną dzielnicę. Przypominała znacząco obraz starego filmu. Odczuwałem panikę, lęk kiedy wchodziłem do ciemnej klatki. Widziałem przedtem jak Marcel zamykał pośpiesznie samochód i chowa kluczyki do kieszeni. Coraz więcej faktów się zbierało, że to nie był zwykły sen. Ponownie klatka nie miała światła, a księżyc identycznie wpadał i oświetlał czarne zakamarki. Spojrzałem po drodze na wielkie plecy przyjaciela. Ponownie widziałem delikatnie otwierające się drzwi. I ponownie niestety usłyszałem ciężki oddech. Marcel cofnął się w tył. A ja sam ciekawym zarazem zrezygnowany spojrzałem zza drzwi. Na krześle w blasku księżyca siedział mężczyzna. Odwróciłem głowę w stronę towarzysza, który niespodziewanie zniknął. Podbiegłem do schodów, do okna, ale nigdzie go nie było. Wróciłem do drzwi zaniepokojony i ciekawy czy coś się zmieni. W pokoju dalej siedział mężczyzna, a doktora nie było ani śladu. Odruchowo na jakiś dziwny odgłos odwróciłem głowę, a za mną kilka metrów, stała bestia. Miała dziwne spojrzenie, bardzo znajome, nie tamte, trochę inne. Z tyłu za mną było okno. Idąc tyłem i cały czas obserwując zwierze przypominającą nawet trochę medyka stanąłem przy szybie. Bestia na czterech łapach podeszła o jeden krok. Ja tym czasem otworzyłem okno. Czułem na sobie chłód nocy, który usuwał mój pot z czoła. Bestia podeszła o jeszcze jeden krok. Stała dwa metry ode mnie. Mogła teraz swobodnie zaatakować. Usiadłem na oknie wiedząc, że gdy się zbyt długo wychylę mogę spaść. Zostać rozszarpanym przez dziką bestię czy skoczyć w dół? Zacząłem się bujać raz w to, raz w drugą stronę. Była potężna, bardzo wielka i na pewno silna. Za to ja coraz mocniej się bujałem. W końcu

rzuciła się na mnie i oboje wypadliśmy przez okno. Upadając poczułem mocny ból. Miałem szczęście nie oberwałem od niej zbyt mocno, a w dodatku upadłem na nią, co złagodziło upadek. Leżąc na ciele czułem jej serce i oddech. Co chwila dyszała na moją szyję. Zbliżyła swoje zęby do mojej pulsującej żyły i delikatnie polizła ją językiem. Potem ugryzła. Ugryzła tam mocno, że nie zdołałem wydobyć z siebie okrzyku. Po ciemniało mi w oczach. Czułem się jakbym płynął. Resztkami sił podniosłem rękę całą we krwi, ale to na nic, po chwili opadła. Teraz na dobre pociemniało w oczach. Nie upłynęła sekunda, a poczułem delikatny ból na twarzy. Otworzyłem oczy i zobaczyłem falujące kształty. Widziałem Doktora Marcela, który bił mnie mocno by tylko ocucić. Zerwałem się na równe nogi. Doktor ciągnął mnie za rękę, a ja opierałem się jak tylko mogłem. Wszystko zdawało się takie podobne, a usilne błaganie Marcela doprowadzały mnie do szału. W końcu krzyknąłem do niego: won! Ten stanął jak słup i przyglądał się. Spojrzałem głębiej w jego oczy i zauważyłem, że były podobne do bestii. Wybiegłem z mieszkania jak najszybciej zostawiając tym samym wszystko co miałem. Na darmo. Błąkałem się po mieście. Byłem w kościele, ale ksiądz zmienił się w nią. Byłem w przytułku, w hotelu, ale zawsze to samo. Po kilkunastu przebudzeniach widziałem więcej szczegółów, a także i pana okno. Chciałem się przekonać czy pan coś widział?

Jakże czułem się wtedy zażenowany. Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Milczałem długie chwile, a Jonathan uznał to za mój brak czasu lub cokolwiek innego związane z szaleństwem. Ale ja widziałem. Widziałem i widzę. Każdej nocy, co kilka godzin, minut. Być może i teraz. Boję się patrzeć w to okno. Zawsze to samo. Kiedy patrzę zawsze tam znajduje się doktor, który go budzi i oboje gdzieś wychodzą. Czy koszmara trwa nadal? Również teraz? Tym razem bestią mogę być ja.



KORMAK

PRAWDA DZIWNIEJSZA OD FIKCJI

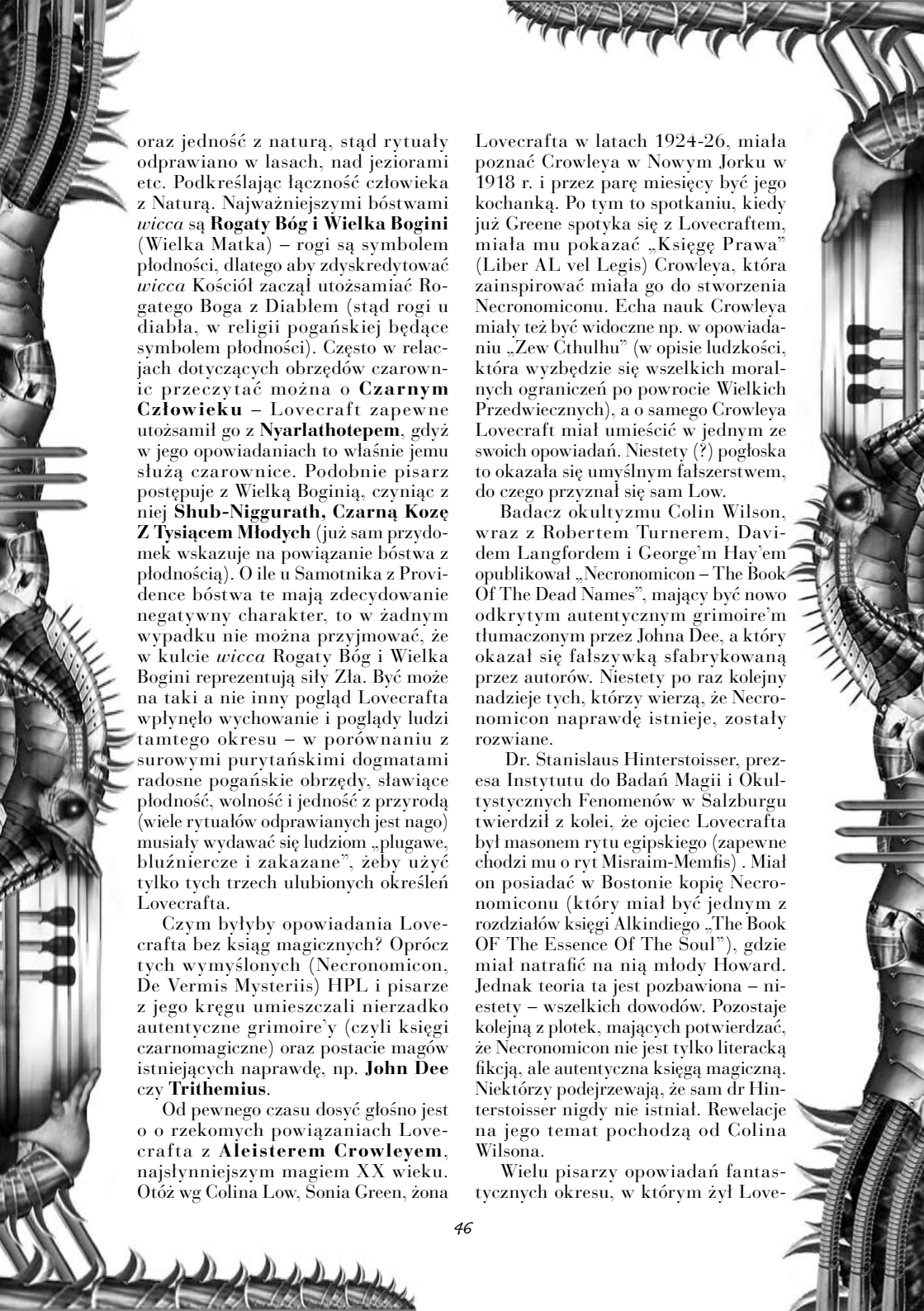
Opowiadania H.P.Lovecrafta i kręgu jego naśladowców powołały do życia coś, co później zostało nazwane przez Augusta Derletha Mitologią Cthulhu. Zaraz, zaraz – czy aby na pewno? A może autorzy ci jedynie opisywali coś, o czym słyszeli? Czyżby w przerażających opisach plugawych bóstw i bluźnierczych rytuałów kryło się żdźbło prawdy? Nie chcę wam mieszać w głowach ani sugerować niczego. Macie własne mózgi, więc nimi ruszcie. I tak za dużo mówi się o graczach rpg, dla których zaciera się różnica między rzeczywistością a grą. Nie chcę przeciwnikom dawać kolejnych argumentów.

Wśród badaczy tematu i miłośników autora istnieje nierozwiązany spór – Lovecraft był okultystą czy nie? Jedni twierdzą, że był agnostykiem, słabo znającym się na okultyzmie, przynajmniej się otwarcie do tego, że nie wierzy w paranormalne zjawiska. Przeciwnicy tego poglądu z kolei utrzymują, że w rzeczywistości Samotnik z Providence mniej lub bardziej świadomie był odbiorcą i „zbiornikiem” tajemnej wiedzy, którą otrzymywał poprzez swoje szalone wizje i dręczące go przez całe życie koszmary. Być może stąd w jego opowiadaniach tak często pojawiają się postaci będące niemalże jego kopią – młodzi, chorowici i nad wyraz wrażliwi ludzie, stroniący od towarzysstwa, prowadzący prawie pustelnicze życie. Są to artyści, naukowcy, pasjonujący się naukami tajemnymi – dzięki niezwyklej wrażliwości są w stanie wylapać ze sfer niedostępnych zwykłym śmiertelnikom przekazy od Wielkich Przedwiecznych.

W historiach opowiadanych przez Lovecrafta często przewijają się czarownice. Stare kobiety mieszkające w zapomnianych wioskach, praktykujące zakazane zabobony, czczące Starych

Bogów. Nie jest to dziwne, jeśli spojrzymy na mapę: to właśnie w okolicach, w których mieszkał HPL miały miejsce słynne pogromy czarownic, owoc purytańskiego fanatyzmu emigrantów i echo słynnej nagonki przeciwko „czciicielkom Szatana” w Europie. Związki z magią są tu oczywiste – więdźmy u Lovecrafta są wyznawczyniami Zła, żyjąc w zapadłych, wyludnionych wioskach, do których nie dochodzą nawet drogi, odpowiadają nocą swoje bluźniercze rytuały, przywołując Wielkich Przedwiecznych. Być może są to wpływy dawnych przekazów, z pewnością Lovecraft czytał o procesach czarownic, z najsłynniejszym w Salem chociażby (wiadomo także, że właśnie Salem posłużyło pisarzowi jako model do stworzenia Arkham). W czasach HPLa czarownice nadal były jednoznacznie utożsamiane z kultem diabła. Pogląd ten ulegał jednak powoli zmianie dzięki książkom **Margaret Murray** („The Witch-Cult In Western Europe” z 1921, „The God Of The Witches” z 1931), która stara się nam udowodnić, że więdźmi kult jest niczym innym jak prastarą, naturalną religią panującą w Europie w wielkiej liczbie lokalnych odmian od niepamiętnych czasów. Te tzw. kultы dianiczne z początku były tolerowane przez chrześcijaństwo, nawet włączano ich elementy do obrządków chrześcijańskich. Później Kościół przypuścił brutalny i bezpardonowy atak na ten kult, który M. Murray nazwała „wicca”. Uchodzący z Europy kontynentalnej purytanie przynieśli ze sobą do Ameryki zarówno szaleństwo religijnego fanatyzmu, jak i cudem ocalałe resztki więdźmiego kultu, który zachował się częściowo w ludowej medycynie i obrzędach.

W kultach dianicznych najważniejszą rolę pełni kult płodności



oraz jedność z naturą, stąd rytuały odprawiano w lasach, nad jeziorami etc. Podkreślając łączność człowieka z Naturą. Najważniejszymi bóstwami *wicca* są **Rogaty Bóg i Wielka Bogini** (Wielka Matka) – rogi są symbolem płodności, dlatego aby zdyskredytować *wicca* Kościół zaczął utożsamiać Rogatego Boga z Diabłem (stąd rogi u diabła, w religii pogańskiej będące symbolem płodności). Często w relacjach dotyczących obrzędów czarownic przeczytać można o **Czarnym Człowieku** – Lovecraft zapewne utożsamił go z **Nyarlahotepem**, gdyż w jego opowiadaniach to właśnie jemu służyły czarownice. Podobnie pisarz postępuje z Wielką Boginią, czyniąc z niej **Shub-Niggurath, Czarną Kozę Z Tysiącem Młodych** (już sam przydomek wskazuje na powiązanie bóstwa z płodnością). O ile u Samotnika z Providence bóstwa te mają zdecydowanie negatywny charakter, to w żadnym wypadku nie można przyjmować, że w kulcie *wicca* Rogaty Bóg i Wielka Bogini reprezentują siły Zła. Być może na taki a nie inny pogląd Lovecrafta wpłynęło wychowanie i poglądy ludzi tamtego okresu – w porównaniu z surowymi purytańskimi dogmatami radosne pogańskie obrzędy, sławiące płodność, wolność i jedność z przyrodą (wiele rytuałów odprawianych jest nago) musiały wydawać się ludziom „plugawe, bluźniercze i zakazane”, żeby użyć tylko tych trzech ulubionych określeń Lovecrafta.

Czym byłyby opowiadania Lovecrafta bez ksiąg magicznych? Oprócz tych wymyślonych (*Necronomicon*, *De Vermis Mysteriis*) HPL i pisarze z jego kręgu umieszczali nierzadko autentyczne grimoire'y (czyli księgi czarnomagiczne) oraz postacie magów istniejących naprawdę, np. **John Dee** czy **Trithemius**.


Od pewnego czasu dosyć głośno jest o o rzekomych powiązaniach Lovecrafta z **Aleisterem Crowleyem**, najsłynniejszym magiem XX wieku. Otóż wg Colina Low, Sonia Green, żona

Lovecrafta w latach 1924-26, miała poznać Crowleya w Nowym Jorku w 1918 r. i przez parę miesięcy być jego kochanką. Po tym to spotkaniu, kiedy już Greene spotyka się z Lovecraftem, miała mu pokazać „Księgę Prawa” (*Liber AL vel Legis*) Crowleya, która zainspirować miała go do stworzenia *Necronomiconu*. Echa nauk Crowleya miały też być widoczne np. w opowiadaniu „Zew Cthulhu” (w opisie ludzkości, która wyzbędzie się wszelkich moralnych ograniczeń po powrocie Wielkich Przedwiecznych), a o samego Crowleya Lovecraft miał umieścić w jednym ze swoich opowiadań. Niestety (?) pogłoska to okazała się umyślnym fałszerstwem, do czego przyznał się sam Low.

Badacz okultyzmu Colin Wilson, wraz z Robertem Turnerem, Davidem Langfordem i George'm Hay'em opublikował „*Necronomicon – The Book Of The Dead Names*”, mający być nowo odkrytym autentycznym grimoire'm tłumaczonym przez Johna Dee, a który okazał się fałszywką sfabrykowaną przez autorów. Niestety po raz kolejny nadzieje tych, którzy wierzą, że *Necronomicon* naprawdę istnieje, zostały rozwiane.

Dr. Stanislaus Hinterstoisser, preesa Instytutu do Badań Magii i Okultystycznych Fenomenów w Salzburgu twierdził z kolei, że ojciec Lovecrafta był masonem rytu egipskiego (zapewne chodzi mu o ryt Misraim-Memfis). Miał on posiadać w Bostonie kopię *Necronomiconu* (który miał być jednym z rozdziałów księgi Alkindiego „*The Book Of The Essence Of The Soul*”), gdzie miał natrafić na nią młody Howard. Jednak teoria ta jest pozbawiona – niestety – wszelkich dowodów. Pozostaje kolejną z plotek, mających potwierdzać, że *Necronomicon* nie jest tylko literacką fikcją, ale autentyczna księgą magiczną. Niektórzy podejrzewają, że sam dr Hinterstoisser nigdy nie istniał. Rewelacje na jego temat pochodzą od Colina Wilsona.

Wielu pisarzy opowiadań fantastycznych okresu, w którym żył Love-



craft, czerpało natchnienie z książek **Heleny Pietrowny Bławatskiej**, twórczyni **teozofii** – ezoterycznego ruchu, mocno inspirującego się tajemnymi naukami Wschodu. Najważniejsze dzieła Bławatskiej, „Tajemna Doktryna” i „Izyda Odsłonięta” to skarbnica wiedzy ezoterycznej, niestety w większości nieprzydatnej, chaotycznej i momentami zupełnie niezrozumiałej. Ale czyż może być coś lepszego dla pisarza, potrzebującego natchnienia? A Bławatska pisze m.in. o zatopionych ładach, wymarłych rasach, tajemniczych istotach pochodzących z innych wymiarów... wszystko to odnajdujemy w dziełach Lovecrafta i innych pisarzy z jego kręgu. Po więcej informacji na temat teozofii w prozie Lovecrafta i innych autorów Mitów Hsydam do przedmowy „**Księgi lodu**” **H.Kuttnera**, wydanej u nas przez MAG’a.

Czy zastanawialiście się kiedyś, skąd Lovecraft wziął pomysł na umieszczenie w głębinach naszej planety ludzkich i przedludzkich cywilizacji? Skąd wzięła się oświetlona niebieskim światłem kraina **K’n-yan** z opowiadania „**Wzgórze**” **Zealii Bishop** (poprawionego przez Lovecrafta), w której mieści się podziemne miasto **Tsath**, skąpana w czerwonej poświacie **Yoth** czy czarna, pozbawiona światła **N’kai**, gdzie przebywa **Tsathhogguu**?

O ile te nazwy są jedynie literacką fikcją, to sam pomysł na istnienie podziemnych krain jest równie stary jak ludzka cywilizacja. Odnajdujemy ich ślad w mitach tybetańskich, gdzie możemy przeczytać o mieście **Szambala**, w której przebywa Król Świata i Niewidzialni Przywódcy, kierujący z ukrycia rozwojem ludzkości. Szambala jest stolicą podziemnej krainy, zwanej **Agharti**. Podobne mity odnajdujemy w mitologii indyjskiej, Indian południowoamerykańskich, ludów Azji i wielu innych. No i w końcu w czasach już nam bliższych wielu pisarzy, a nawet poważnych odkrywców, podróżników i naukowców pisało o odkrytych przez siebie wejść

do podziemnych tuneli, wiodących do legendarnych krain ukrytych głęboko pod ziemią. Wśród najsłynniejszych nazwisk należy wymienić wspomnianą już **H.P.Bławacką**, **Mikołaja Roericha** (o którym mówi się, że odnalazł Szambalę), **L.Jaccoliota** (który pierwszy opisał świat **Agharti**), **F.Ossendowskiego** i lorda **Edwarda George’a Bulwera Lyttona**. Ten ostatni w książce „**The Coming Race**” opisał podziemną cywilizację ludu **Vril-ya**. Ten oświetlony zielonym światłem świat zamieszkują niezwykle zaawansowani technicznie ludzie (a raczej nadludzie), potrafiący kontrolować potężną moc, zwaną **Vril**. Niektórzy uważają, że książka Lyttona nie jest fikcją, a raczej traktatem, uchyleniem rąbka tajemnicy. Lord Lytton, członek bractwa Różokrzyżowców, parający się alchemią, miał w „**The Coming Race**” wyjawić sekrety skrywane przez swoich współbraci. Jakkolwiek takie teorie mogą wydać się wielu niedorzeczne (choć zgódźmy się – stanowią doskonały materiał dla pisarzy), wielu uwierzyło w to, że pod ziemią mieszkają nadludzie, dysponujący potężną mocą i próbujący odnaleźć wejście do tego świata. Najsłynniejszym z takich ludzi niewątpliwie był **Adolf Hitler**, na którego „**The Coming Race**” wywarła ogromny wpływ. Nie tylko na niego, ale także na sporą ilość jego współpracowników. W czasach Hitlera na terenie Niemiec działały przeróżne tajne organizacje okultystyczne, w większości składające się z nazistów, które marząc o stworzeniu nowej, tysiącletniej Rzeszy (rządzonej przez aryjskich nadludzi) usiłowały skontaktować się z Niewidzialnymi Przywódcami. Najsłynniejsze z tych organizacji to **Thule**, **Czarne Słońce** i (nomen omen) **Vril**. Hitler przez wiele lat słał do Tybetu jedną wyprawę za drugą, jako że właśnie w Himalajach ma znajdować się Szambala. Na szczęście dla nas, wszystkie wyprawy wróciły z niczym. Żeby daleko nie szukać, powiązania nazistów z Wielkimi Przedwiecznymi odnaleźć możemy chociażby

w grze „Prisoner Of Ice” czy komiksie „Hellboy” Mike’a Mignoli.

Wśród bóstw wymyślonych przez Lovecrafta, a używanych w magicznych rytuałach przez współczesnych okultystów, oprócz Dagona, Cthulhu i Shub-Niggurath spotkać możemy **Azathotha**. Pełni on ważną rolę w niektórych odmianach magii chaosu, łatwo się zorientować dlaczego tak jest – Zidiociała Bestia sama reprezentuje Chaos, siłę niszczenia oraz tworzenia zarazem. Wszak aby coś zbudować najpierw należy coś zburzyć... Istnieje również wiele zakonów magicznych, w swych rytuałach nawiązujących do Mitów Cthulhu, np. **Ezoteryczny Zakon Dagona** (bazujący głównie na kulcie właśnie tego Deep One’a, czerpiący z twórczości Clarka Ashtona Smitha), tyfoniczny odłam **Ordo Templi Orientis**, czy Ordre de Coulevre Noire Michaela Bertiaux, w swych rytuałach przywołujący Shub-Niggurath czy Wielkiego Cthulhu. Istnieje też np. **Zakon Kubicznego Kamienia**, a poza tym jest reszta okultystów, na własną rękę szukających kontaktu z Wielkimi Przedwiecznymi, korzystając m.in. z tzw. **Necronomiconu Simona**, księgi magicznej

będącej zbiorem zaklęć bazujących na magii babilońskiej. Nawet Kościół Szatana La Vey’a w kilku rytuałach odwołuje się do Wielkich Przedwiecznych.

Jak widać, nie trzeba zaglądać do podręcznika ZC, żeby trafić na „szalonych kultystów”. Prawdziwie istniejące zakony mogą być doskonałą inspiracją do napisania przygody czy poprowadzenia sesji, czy to będzie rok 1920, 1990 czy też zdecydujecie się na Deltę Green.

Czasem prawda jest dziwniejsza od fikcji...



JULIE HOVERSON

NIE RŹNIJ GŁUPA!

Tłumaczenie: Julia Juraszek i Jerzy 'Cierzy' Cichocki

W systemach grozy zdarzają się sytuacje, kiedy gracze i Mistrzowie Gry muszą wcielić się w role nie zrównoważonych psychicznie postaci. Tendencją zarówno wśród graczy, jak i MG, którzy nie mieli zbyt dużo do czynienia z takimi ludźmi, jest odgrywanie efektów chorób umysłowych, dążąc do tendencyjności i robiąc z tych chorób parodię. Szkoda, bo subtelności psychicznych przypadłości mogą być znacznie bardziej dramatyczne niż rzucające się w oczy tiki na twarzy.

Wielu graczy (i Mistrzów) nie zauważa tragedii tkwiącej w szaleństwie, bagatelizuje ją, dopóki choroba nie powoduje jakiegoś zagrożenia. Odgrywając rolę w tak dziecinny sposób, nawet niebezpieczny dla otoczenia psychopata będzie wywoływał salwy śmiechu zamiast niepokoju. Po prostu gracze, przy odgrywaniu takich postaci zapominają o emocjonalnym podłożu swej roli. W ten sposób traci się "głębię" charakteru tych bohaterów.

Odgrywanie szaleńców może stać się efektowne, jeśli będziecie pamiętać o dwóch sprawach: po pierwsze – o pominięciu pewnych zasad podczas tworzenia postaci, po drugie – o wyrażaniu tej postaci poprzez zachowanie adekwatne do przyczyn jej choroby.

Tworzenie chorych umysłowo postaci graczy i bohaterów niezależnych

Po pierwsze trzeba sobie uświadomić przyczyny szaleństwa, które opętało generowanego przez nas bohatera. Czy bierze się ono ze strachu (fobia, paranoja), wściekłości (psychopatia), zmieszania (schizofrenia, megalomania), czy jeszcze czegoś innego? Czy źródło choroby ma podłoże psychiczne (stres, nadwrażliwość), czy biologiczne (choroba, narkotyki)?


Należy również zastanowić się nad natężeniem choroby – słaba i

krótkotrwała (nerwica), czy poważna i powodująca duże osłabienie (psychoza) lub zupełną niesprawność (oblęd)?

Wybór źródła i nasilenia przypadłości pomoże Wam ustalić odpowiedzi na całą masę pozostałych pytań, które tworzą wizerunek tej osoby w społeczeństwie i przed samym sobą: Jak inni ją postrzegają i czy ta osoba zdaje sobie sprawę ze swojej odmienności, czy rozumie (a może podejrzewa, obawia się), że jest szalona, jak jej stan wpływa na osobiste i zawodowe życie? Im więcej pytań podczas tworzenia takiego bohatera, tym łatwiej będzie go później prowadzić.

Jeśli ktoś przejawia objawy szaleństwa i nadal zamierza funkcjonować poza murami szpitala psychiatrycznego, musi przedsięwziąć pewne środki, które pozwolą mu walczyć z chorobą. Takie środki są zazwyczaj determinowane przez naturę danej przypadłości. Dla przykładu, oblęd mający swe źródła w niepewności może być naturalnym rezultatem kompensacji, stąd wewnętrzny przymus zamykania w każdym miejscu drzwi lub noszenia przy sobie amuletu na szczęście. Bardziej poważne przypadki mogą wymuszać tak odbiegające od normy zachowania, jak zakładanie do każdego zadania nieprzemakalnego uniformu w obawie przed rozpuszczeniem. Dzięki tym obronnym mechanizmom, delikwent może powrócić do względnej normalności. Zaspokojenie urojonych potrzeb pozwoli mu skupić się na prawdziwym, teraźniejszym celu.

Niektóre z umiejętności takiej postaci mogą się nawet wiązać z tymi zaradczymi środkami, jeśli choroba ciągnie się już jakiś czas. Na przykład, jeśli ktoś, aby walczyć ze swoimi dolegliwościami zmienia swą osobowość, podszywa się pod znaną z historii postać (dajmy na to Napoleona), wtedy szybciej przyswaja sobie wiadomości z tego okresu.



Studiuje epokę, z którą się utożsamia. Inny przykład – osoba, która cierpi na krótkotrwałe zaniki pamięci, szybko nauczy się kłamać jak z nut, by zapobiec kłopotliwym sytuacjom. Wszystko to sprowadza się do faktu, że chore umysłowo osoby często muszą ciężko pracować, by nie dać po sobie poznać swojej przypadłości i tak jak u niewidomych wyostrza się słuch, tak czasem i u ludzi szalonych zdarzają się niespodziewane talenty.

ODGRYWAJĄC SZALEŃSTWO...


Znajdziecie tutaj kilka przykładów, dotyczących postaw i sposobów zachowania, które mogą sugerować chorobę psychiczną. Każdy z opisanych przypadków może być odgrywany oddzielnie, bądź w połączeniu z pozostałymi, choć nagromadzenie zbyt wielu cech w jednej postaci może spowodować efekt odwrotny od zamierzonego.

Konsekwencja – Choć szaleńcy orientują się zazwyczaj, że ich zachowanie jest inne, to wszyscy, oprócz najbardziej obłąkanych, są w stanie stworzyć sobie spójny obraz świata, w którym znajduje się dla nich miejsce. Dla przykładu, Marta – bohater niezależny cierpiący na wewnętrzny przymus do atakowania pocztowców, może tłumaczyć sobie to pragnienie przez szczere przekonanie, że rząd, a urzędy pocztowe w szczególności, oprowadzane są przez demony... Zatem, dzięki takiemu złudzeniu, zachowanie które w innym przypadku wskazywałoby na szaleństwo, jest zamiast tego traktowane jako racjonalne (aczkolwiek nie normalne). To najczęściej stosowane wyjście – kłamstwo, które wmawiamy sobie, by wytłumaczyć niedopuszczalną prawdę. W przypadku Marty, to pragnienie jest szaleństwem – paranoja jest jedynie objawem. O ile ofiara nie zachowuje się irracjonalnie, będzie bronić swych racji tak silnie jak tylko potrafi, wprowadzając się w jeszcze bardziej zawiłe wyobrażenia. Wobec tego, konsekwencja postępowania jest

ważniejsza dla szaleńca, niż nawet dla zdrowego człowieka, ponieważ dzięki tej konsekwencji przekonują samych siebie, że nie są chorzy. Bohaterowie z problemami na tle psychicznym powinni zatem opanować umiejętność konsekwentnego postępowania, zwłaszcza przy mało ważnych czynnościach – na przykład otwierać kefir od spodu, podczas gdy wszyscy odrywają po prostu wieczko. To zwiększa przyjemność prowadzenia takiej postaci i powoduje, że jest ona bardziej wiarygodna w oczach kolegów.

Przesada – Najłatwiejszym sposobem wyrażenia szaleństwa jest umiarkowana przesada; niewielka, taka tylko, by pokazać, że dana osoba nie postrzega świata w ten sam sposób co inni. Zazwyczaj takie przesadzone zachowanie jest próbą zrównoważenia jakiegoś dostrzeganego przez bohatera braku, w taki sposób tchórz mógłby próbować zachowywać się odważnie, jednak postrzegane byłoby to jako zwykła brawura. Na przykład osoba z patologicznym strachem przed seksem mogłaby maskować go nieznosną osobowością opartą na fikcyjnych uprzedzeniach... co paradoksalnie dałoby jej pewność, że nigdy nie będzie musiała stawić czoła swoim lękom.

Tajemnica – Jedną z trudności odgrywania postaci szaleńca jest fakt, że większość obłąkanych osób śmiertelnie obawia się uznania za chore psychicznie. Gdyby nie to, już dawno podane by były leczeniu. (Oczywiście nie odnosi się to do obłąkanych ulicznych lumpów lub ludzi, którzy dobrowolnie zdeklarowali się jako szaleńcy). W przypadku osób obawiających się, że są szalone, jest to zazwyczaj największy sekret, prowadzący do życia w gorzkiej samotności, nawet wśród przyjaciół. Jeśli zaś chodzi o tych, którzy wątpią, że są szaleni, na przykład paranoików, może to bardzo szybko wyjść na jaw w chwili, gdy szaleniec znajdzie kogoś, kogo uzna za pokrewną duszę. Choć z drugiej strony, desperacka nadzieja zdobycia towarzysza, który postrzega



świat w ten sam sposób, może prowadzić do dostrzegania najdrobniejszych wskazówek...

Próby – Mimo, iż często paraliżująco niepewni samych siebie, obłąkani zazwyczaj formułują natychmiastowe i niepodważalne opinie o innych. Ponieważ ich życie jest często pozorem normalności, psychicznie chorzy szybko stają się mistrzami “czytania” ludzi, odkrywania ich ukrytych nastrojów lub podejrzeń na podstawie tak pozornie nieznanych szczegółów, jak modulacja głosu czy kontakt wzrokowy. Oczywiście takie osądy nie muszą być właściwe, niemniej jednak mogą się one stać drugą naturą. Obłąkany bohater może wtykać w rozmowie pewne pytania czy komentarze, które wydają się nieco dziwne, jednak dla niego są bardzo ważne, gdyż reakcja na nie wyjawia mu jakieś informacje o rozmówcy. Może również aranżować swoiste testy, takie jak upuszczenie magnesu w celu zobaczenia, czy go podniesiesz... a jeśli tak, czy przyłgnie do twojej ręki. Takie próby oglądania świata w sposób ponadracjonalny pomagają osobom szalonym oderwać się od tych części ich życia, na które nie śmiały nawet spojrzeć.

Strach i Samotność – Nawet ludzie zdrowi psychicznie panicznie boją się myśli o byciu zamkniętym; możliwość utraty wolności i bycia traktowanym jak osoba upośledzona wywołuje (lub intensyfikuje) podejście “ja przeciw światu”. Choć nie wszyscy szaleńcy zdają sobie sprawę ze swego nietypowego zachowania, wielu z nich podejrzewa, że w jakiś sposób odstają od standardu normalności. Może to być źródłem ciągłego stresu, ponieważ trzeba wciąż strzec się przed zrobieniem lub powiedzeniem czegoś, co może odkryć tajemnicę. Tak jest jednak tylko w miejscach publicznych. W odosobnieniu, bez wskazówek w postaci reakcji normalnych ludzi, istnieje jeszcze większe ryzyko wpadnięcia w zachowania nieakceptowane, zachowania, które zmuszają do konfrontacji z myślą o możliwości choroby psychicznej.

Tak więc osoby obawiające się, że są szalone mają właściwie tendencję do bycia bardziej towarzyskimi, jako że niebezpieczeństwo bycia sam na sam ze sobą dużo przewyższa ryzyko przebywania wśród innych.

Mimikra – Ponieważ tak ważne jest udawanie normalności, bohater obłąkany powinien być bardzo wnikliwym i skrupulatnym obserwatorem ludzkich zachowań, jak również utalentowanym i dobrze czującym się w swej roli aktorem, umiejącym te zachowania naśladować. Tak przynajmniej byłoby w idealnej sytuacji. W rzeczywistości jednak bohater chory psychicznie ma raczej tendencję do zachowania sztucznego i przekolorowanego, nie zauważa pewnych niuansów i nadużywa szerokich gestów. Dzieje się tak zwłaszcza u postaci psychopatycznych, którym brak naturalnego wycucia emocji bardziej skomplikowanych niż wściekłość i euforia. Oznacza to, że na przykład będąc świadkiem wyrażenia aprobaty wobec stanowczej postawy moralnej znajomego prawdopodobnie zaprezentują podobną postawę w zupełnie nieestosownej sytuacji.

Szczerłość i Zwątpienie – W zależności od rodzaju choroby psychicznej, na którą cierpi postać, może ona być niezbiecie przeświadczona o najbardziej niesamowitych absurdach, lub przeciwnie, tak zniechęcona przez lata zagubienia, że nie ma zaufania nawet do najbardziej podstawowych faktów. Czasem oba przypadki zachodzą jednocześnie. W momencie, kiedy bohater odkrywa wreszcie swe szaleństwo, ważne jest przedstawienie tych przekonań z całą szczerością. Dużo bardziej niepokojąco niż odegranie tego dla śmiechu jest na przykład spojrzenie komuś głęboko w oczy i stwierdzenie z kamienną twarzą, że widzisz zło w jego prawym oku i trzeba je będzie usunąć, choć lewe jest w porządku. I przeciwnie, ktoś odsuwający od siebie istnienie snu zabrzmi niepokojąco tylko jeżeli potrafisz oświadczyć to bez śladu ironii w głosie. Jeżeli wywiąże się

dyskusja o przeświadczeniach bohatera pamiętaj, że dla postaci obłąkanej przekonanie innych (a w ten sposób również siebie) o swojej racji, a więc i o tym, że jest zdrowa psychicznie, jest

czymś o największym, fundamentalnym znaczeniu

artykuł pochodzi z magazynu Serendipity's Circle



CZESKI

MR. SPOCK, KURS NA R'LYEH!

Wielcy Przedwieczni szaleli w najlepszym w latach dwudziestych XX wieku, ich macki sięgały też dziewiętnastowiecznej wiktoriańskiej Anglii. Rok 1990 nie był wolny od bluźnierczych i niewypowiedzianie obrzydliwych kultów, a w niektórych tajemniczych pismach i księgach opisywano nawet CyberCthulhu AD 2020. Skoro jednak Wielcy Przedwieczni są tacy Wielcy i Przedwieczni, czemu by nie mieli istnieć i w dalszej przyszłości?

Wiele systemów RPG dzieje się w przyszłości. Z grubsza nazywamy je wszystkie SF RPG. Mam na myśli uniwersa będące przyszłością naszego, jakże nudnego i spokojnego świata (?). Pomijam więc np. taki system jak „Star Wars RPG”, który jak wiadomo, dzieje się dawno dawno temu i w dodatku w odległej galaktyce. Światy owe pełne są laserów, blasterów, mikserów i nieustraszonych bohaterów, przemierzających czerny kosmos. Czasem jednak może się to znudzić, nieprawdaż?

I właśnie dlatego chcę niniejszym zaproponować Mistrzom Gry a także Graczom delikatną modyfikację klimatu klasycznych SF. Modyfikację pełną macek i szaleństwa. Modyfikację pełną tego wszystkiego, co miłośnicy Lovecrafta kochają najbardziej. Opiszę tu podstawowe elementy tego pomysłu, które zmyślny MG rozwinie z pewnością we wspaniałe i niezapomniane, niewypowiedzianie bluźniercze przygody.

Jeśli wierzyć prastarym księgom i legendom, Wielcy Przedwieczni i cała masa ich pomiotów istnieli na długo przed ludzkością i pewnie będą istnieć długo po niej. Czają się nie tylko w głębinach oceanów staruszeki Ziemi, ale też pewnie w niezliczonych zakątkach kosmosu. A ludzkość ma to do siebie, że lubi sięgać tam gdzie wzrok nie sięga i otwierać to, co przed nią zamknięte. A awangardę ludzkości stanowią oczywiście bohaterowie gier RPG. Siłą rzeczy powinni


tu i ówdzie trafić na ślady - ba! - nawet oko w oko mierzyć się z tym i owym Nieznanym i Nienazwanym. Przestrzeń kosmiczna idealnie nadaje się do tego typu przygód.

Jak to powinno wyglądać? Mamy wiele składników, które możemy wrzucić do naszego RPGarnka i ugotować w nim istny smakołyk. Pustka kosmosu, w której załoga zdana jest tylko na siebie, to jeden z najważniejszych elementów. Nieznane planety ze śladami tajemniczych cywilizacji, to też rzecz godna polecenia. Stątki obcych? Dziwaczne obiekty, dryfujące w kosmosie? Istoty, odporne na brak ciśnienia, przemierzające przestrzeń międzyplanetarną? Każdy z tych elementów może stać się kluczem do poznania tajemnicy. Albo początkiem zagłady załogi.

Przygody powinny zachowywać atmosferę horroru lub thrillera. Przykładem niech posłużą, znany wszystkim cykl filmów z Sigourney Weaver w roli głównej. Nawet tytułowy Obcy wygląda trochę jakby był siostrzeńcem Wielkiego Cthulhu. Nie do końca natomiast polecam klimaty wzięte z takich filmów jak „Starship Troopers”. Ciężkie karabiny i działka plazmowe przeciwko Cthulhu? Może i tak, ale w ferworze walki zaginie gdzieś delikatny zapach tajemniczości i bagiennej zgnilizny, a sam Wielki Przedwieczny stanie się kolejnym kosmicznym paskudztwem, które załoga rozmienia na drobne.

O wiele lepszym rozwiązaniem może być delikatne dawkowanie szaleństwa poprzez sny lub dziwne, niewyjaśnione zdarzenia. Coś, czego nie potrafi wyjaśnić ziemaska nauka to przecież kanwa większości opowiadań spod znaku macki i grozy. A w kosmosie czai się niejedno.

Inną ciekawą pomocą mogą być komiksy i opowiadania fantastyczne, które dziś uważa się bądź za klasykę



bądź za słabe literacko śmiecie. Piloci nie znający strachu, ekspedycje na nowo odkryte planety, pierwsze kontakty z obcymi lub walki z kosmicznymi stworami mogą stać się ciekawym archiwum pomysłów na przygody. Nie mówiąc już o klasyce filmu fantastycznego jakim jest cykl „Star Trek”, zwłaszcza jego pierwsze części, powstające w latach sześćdziesiątych, kiedy to modne były opowieści o kosmicznych pionierach i podboju wszechświata. Oczywiście nie wszystko będzie pasować, ale też nikt nie każe bezkrytycznie kopiować każdy pomysł.

COŚ DLA GRACZY:

Poniżej podaję pomysły na postacie, które mogłyby wziąć udział w przygodzie będącej połączeniem klasycznego SF i horroru rodem z powieści Lovecrafta. Oczywiście są to jedynie szkice, które należałoby odpowiednio ubrać i dopasować do konkretnego systemu. Jest to już zadanie dla samych Graczy.

Nieustraszony, gwiazdny kapitan.

„Mr. Spock! Kurs na R'lyeh! Gdziekolwiek to miało być!” Człowiek – bohater rodem z komiksów Marvela z lat trzydziestych, niezachwianie wierzący w potęgę myśli ludzkiej i moc silników swego statku. Nie dla niego bajki o magii i czarach, wszystko sprowadza do kategorii: obcy/swój, przyjazny/wrogi. Jest przekonany, że nikt tak dobrze nie obroni ludzkości przed obcymi jak on sam.

Twardy weteran. „Wierz mi, synu. Czasem lepiej wziąć nogi za pas, by móc później opowiadać o tym takim żołtodziobom jak ty.”

Stary żołnierz lub doświadczony astronauta. Zęby zjadł na służbie w wojsku lub flocie. Wykształcił w sobie instynkt przetrwania i pokorę wobec tego, co kryje wszechświat. Ale nie lubi, kiedy mu macki zaglądają do pokoju.

Młody ksenobiolog, entuzjasta.

„Będziemy potrzebować całego basenu formaliny, żeby zakonserwować TO COŚ”.

Człowiek patrzący na świat „szkiełkiem i okiem”. Wierzący we

wszystko, co uda się zbadać i opisać. Gotów podjąć każde ryzyko dla dobra nauki. Jego instynkt samozachowawczy zdaje się być tłumiony przez żądę wiedzy. (opcjonalnie może być to naukowiec zajmujący się ksenoarcheologią, obcymi kulturami itp.).

Emerytowany agent, alkoholik.

„Widziałem dużo. Chyba za dużo. Nie chce o tym mówić. Należ mi jeszcze”.

Facet służący niegdyś w jakiejś tajnej komórce jakiejś tajnej agencji. Lata stresu odbiły się na jego psychice. Najlepszym lekarstwem na dręczące go wspomnienia jest alkohol. Wie dużo, ale nie chce o tym mówić. Czasem jednak robi użytek ze swej wiedzy...

Duchowny, egzorcysta – okultysta,

niezachwiany w wierze. „W Biblii nie ma ani słowa o stworach z mackami, z pewnością nie są dziełem Pana. Można strzelać.”

Człowiek głęboko wierzący w Boga, w siłę egzorcyzmów i magii oraz w moc swego ręcznego blastera. Posiada dużą wiedzę na temat okultyzmu i doskonale zdaje sobie sprawę, że powinna ona pozostać nieznana dla ogółu.

COŚ DLA MISTRZA GRY:

Poniżej podaję pomysły na przygody, które mogą przydarzyć się nieustraszonej załodze astronautów-badaczy. Pomysły do przetrwania i przystosowania do konkretnego klimatu.

Czy leci z nami Cthulhu?

Klasyka. Statek, którym podróżują bohaterowie wiezie jakiś tajny ładunek. Nie wiadomo, co to jest. Pilnujący go, uzbrojeni po zęby żołnierze nie dopuszczają nikogo w pobliże ładowni. Nieoficjalnie mówi się o tajnej broni. Jednak kiedy eskorta zostaje rozmażana na ścianach a wielka skrzynia w ładowni otwarta, sprawa się komplikuje. Zaczynają umierać kolejni członkowie załogi i pasażerowie. Pikanterii dodaje fakt, że przy każdym trupie ktoś lub coś zostawia krwawy napis w nieznanym języku...

Czy bohaterowie urządzają polowanie?

A może sami staną się zwierzyną? Czy, mając do dyspozycji okultystę pokuszą się o odesłanie „tego czegoś”, czy też uciekną w kapsule ratunkowej, wysadzając reaktor w maszynowni? **No, przypomina nieco egipskie piramidy, ale...**

Ekspedycja ląduje na nowoodkrytej planecie. Natrafia na ślady dawno wymarłej cywilizacji. Jej budowle do złudzenia przypominają starożytną architekturę ziemian. Niemniej w hieroglifach, płaskorzeźbach i innych pozostałościach widać pewne niepokojące szczegóły. Ofiary z ludzi przed dziwnymi stworzeniami, sceny walk z mackowatymi stworami, a może nie walk? Badacze trafiają do podziemnej krypty lub świątyni, gdzie znajdują wielkie stalowe wrota. Za nimi może czekać się wszystko...

Za wrotami może znajdować się sarkofag ze szczątkami jakiegoś stwora, lub nawet żywy stwór. Lub coś, co wymyślił Mistrz Gry. Jeśli chcesz urozmaicić przygodę, a w drużynie jest ksenoarcheolog, możesz sprawić, że hieroglify na ścianach będą możliwe do odczytania, np. przy pomocy specjalistycznego komputera, znającego języki starożytne, używane na Ziemi. Jaka będzie ich treść? Czy zachęci badaczy do otworzenia wrót, czy też sprawi, że wezmą nogi za pas?

Sny.

Statek bohaterów przemierza kosmos. Jednemu z załogantów (dobrze, żeby była to kobieta) co noc śni się głos. Wzywa pomocy. Z czasem co raz więcej osób ma sny. Pojawiają się wizje. Obrazy planety o trzech księżycach. Wizje przedstawiają gigantyczną podwodną kopułę / piramidę w dżungli / co tam Mistrz Gry wymyślił. Pewnej nocy, ktoś zmienia kurs statku. A może statek sam zmienił kurs? Próby powrotu na poprzednią trasę spелzają na niczym. Bohaterowie docierają wreszcie na orbitę planety ze snów. Sny stają się niemal rzeczywistością, trudno je już odróżnić od jawy.

W starożytnym sarkofagu na powierzchni planety spoczywa prastara istota.

Może kontaktować się z innymi jedynie przy pomocy snów (coś to nam przypomina, nie?). Sarkofag to olbrzymia machineria obcej cywilizacji z setkami urządzeń, rur, światełek, bulgoczących zbiorników itp. Istota pragnie powrócić do życia, ale obudzić musi ją ktoś z zewnątrz. Dlatego ściągnęła tu załogę. Czy bohaterowie będą tak naiwni, żeby spełnić pragnienie obcego?

Inne sugestie:

Do wykorzystania jest wiele pomysłów. W skrócie podam jeszcze kilka:

- szalony naukowiec, który przywiózł coś tajemniczego z ekspedycji na inną planetę
- kolonia górnicza, opanowana przez nieznaną epidemię
- prymitywna cywilizacja na obcej planecie, czcząca „wodnego boga o tysiącu ramion”
- tajemnicza mapa gwiezdna, znaleziona przy zwłokach obcego, gdzieś w tawernie na końcu galaktyki
- dziwna grupa ludzi i obcych spotykająca się gdzieś w zakamarkach stacji orbitalnej lub kolonii na powierzchni planety i związane z nią tajemnicze zdarzenia.
- awaryjne lądowanie na podmokłej, bagnistej planecie pełnej niewypowiedzianych bluźnierczych paskudztw i prastarych budowli.

Oczywiście Mistrz Gry może uznać, że proponowany przeze mnie klimat zupełnie nie pasuje do prowadzonego przezeń świata. Jego prawo. Dlatego podsuwam inny pomysł: można zagrać jedną, dwie przygody w oderwaniu od jakiegokolwiek systemu. Liczy się przecież klimat opowieści. Mechanikę można wziąć z dowolnego erpega albo zupełnie sobie podarować. Niemniej włączenie mackowatej przygody do np. „Gasnących Słońc” będzie o wiele ciekawsze, niż jednostrzałówka oderwana od konkretnego uniwersum. No i oczywiście, jeżeli ktoś nie lubi w ogóle klimatów lovecraftowskich, to i tak nie zagra. Ale nie ma przecież przymusu, prawda?

Milego szaleństwa!

LEVIR

MUZYKA MITÓW

WSTĘP

Proza H.P. Lovecrafta stanowiła inspirację dla wielu twórców na równie wielu płaszczyznach szeroko pojętej kultury. Na jego twórczości oparto filmy fabularne, filmy dokumentalne, gry fabularne, gry karciane no i oczywiście muzykę. Tę ostatnią postaram się nieco wam przybliżyć.

Generalnie twórców muzyki, którzy czerpią ze spuścizny Samotnika z Providence możnaby podzielić na dwie kategorie. Pierwsza to ci, którzy przemycili do swych albumów pojedyncze kawałki, dla radochy, dla odskoczni od normalnego grania, dla ciekawości i dla wielu różnych innych powodów.

Druga to ci artyści, którzy stworzyli tzw. koncept-albumy czyli pełne wydawnictwa, których utwory łączą się ze sobą tworząc zwartą całość i opowiadając jakąś historię.

Na początek zajmę się tymi pierwszymi.

METALLICA

Zacznę od legendy metalowego grania, bo ktoś nie słyszał o Metallice. Człowiekiem, który z wielką pasją oddaje się mrocznym stronom rozrywki czyli horrorowi, zarówno literackiemu jak i filmowemu jest Kirk Hammet - gitarzysta zespołu. W wywiadach podkreśla on swoje uwielbienie dla tego rodzaju twórczości, deklaruje się jako fan prozy Lovecrafta oraz perypetii „Rodziny Adamsów”. Jak widać spektrum jest dość szerokie, od czarnego humoru do psychodelicznej mitologii, jednak najważniejsze jest to, że miało to wpływ na twórczość zespołu.

Macki wielkiego Cthulhu sięgnęły dwóch utworów, z dwóch różnych płyt. Pierwszym z nich jest „The Call of Ktulu” instrumentalny majstersztyk z płyty „Ride the Lightning”, drugim „The Thing That Should Not Be” z wydawnictwa „Master of Puppets”.

„THE CALL OF KTULU”

Jest to utwór instrumentalny, który początkowo miał się nazywać „When the Hell Frozen”. Rozpoczyna się jedną gitarą, która wygrywa melodie mając za tło powiew wiatru (przynajmniej mnie tak się to kojarzy), następnie przyłącza się bas, potem perkusja a na końcu dochodzi druga gitara i utwór się rozpoczyna. Ciekawe riffy i dobra perkusja tworzą świetny nastrój, całość jest dość szybka i intrygująca, opiera się na jednym elastycznym temacie, który wygrywany jest w różnych wariacjach. Gitary zmieniają się solówkami i nie dają sobie ani odrobiny odpoczynku. Pod koniec utworu następuje zwolnienie lecz nie zlagodzenie, aż w końcu gitary i perkusja zaczynają ze sobą dokładnie współpracować, tworząc troszkę hałasu i zamieszania, który przechodzi w początkową melodię wygraną przez jedną gitarę, ta zaś kończy się efektowną kakofonią. Słuchając tego prawie dziewięć minutowego utworu można ujrzeć przed oczami scenę przebudzenia Cthulhu i ucieczki Badaczy, którzy tego dokonali. Niestety w moim scenariuszu pod koniec utworu zostają oni pozbawieni możliwości dalszego egzystowania na tym świecie. Ale żeby naprawdę docenić ten utwór trzeba go samemu przesłuchać, polecam.

“THE THING THAT SHOULD NOT BE”

Utwór „The Thing That Should Not Be” pochodzi z trzeciego albumu o nazwie „Master of Puppets”. Kawałek po brzegi przesiąknięty jest mitologią Cthulhu, warstwa tekstowa utworu pełna jest odniesień do twórczości Samotnika z Providence i jego mitologicznych wyobrażeń. Mamy tu więc śpiącego Wielkiego Przedwiecznego, obłąd i szaleństwo jakie niesie ze sobą obcowanie z mitologiczną spuścizną.

Mamy wreszcie słynny i wielu dobrze znany dwuwiersz z „Necronomiconu”:

*„Nie ten jest umarły kto spoczywa wiekami
Nawet śmierć może umrzeć wraz z
dziwnymi conami”*

*“Not is dead which can eternal lie
With strange cons even death may die”*

Jeżeli chodzi o brzmienie utworu, to tak jak wszystkie pozostałe kompozycje na tej płycie jest on ciekawy i świetnie wykonany (Metallica jest znana ze swojego doskonałego technicznego warsztatu). Jeszcze jeden fakt, także ten utwór został wykonany przy akompaniamencie symfonii i w tym wykonaniu kapela postarała się jeszcze bardziej niż w wersji oryginalnej aby nadać kawałkowi pozory szaleństwa, myślę, że im się to udało.

THERION „CTHULHU”

Fanom metalu i mrocznych (ale i pięknych symfonicznych) dźwięków Theriona nie trzeba szerzej przedstawiać. Zespół działa już od wielu lat i przeszedł ewolucję od death metalowego (a wręcz trashowego) grania po dzisiejsze symfoniczno-metalowe dźwięki.

Teksty Theriona już od pierwszych albumów inspirowane były legendami i mitologiami pochodzącymi z różnych kultur, z tego najczęściej wykorzystywali legendy babilońskie i sumeryjskie (co najmniej połowa albumów odnosi się do nich).

I choć u Theriona roi się wprost od dziwnych, mało znanych nazw, wydarzeń, legend i innych mrocznych rzeczy to tylko raz sięgnęli oni po mitologię Lovecrafta. We wczesnych latach swej działalności na płycie Beyond Sanctorem zamieścili kawałek pod wymownym (dla wtajemniczonych) tytułem „Cthulhu”.

Niestety nie dokopałem się liryków tego utworu więc nie mogę nic napisać o czym dokładnie on traktuje (choć ciężko się nie domyślić :). W warstwie muzycznej jest to ciężkie, black metalowe granie z potężnym, mało

zrozumianym growlingiem, szybka metalowa jazda przez dobre 6 minut.

ORPHANAGE



Orphanage to holenderska kapela metalowa składająca się z 6 muzyków. Powstała w 1994 roku i powoli pięła się pod górę kariery do dnia dzisiejszego

wydając 2 dema, 3 albumy studyjne i 1 album 'Live'.

Orphanage poświęcił dwa utwory Lovecraftowi. Pierwszy z nich to „The Case of Charles Dexter Ward” z płyty Oblivion. Utwór opowiada o nikim innych jak o Charlesie Wardzie, czarnoksiężniku parającym się mroczną magią.

Drugi utwór to „At the Mountains of Madness” z albumu 'By time alone'. Opowiada o pewnym badaczu, który wyruszył na wyprawę na Górę Yaneek gdzie napotkał wiele przerażających i odejmujących zmysły rzeczy. Utwór utrzymany w ciężkiej, mrocznej i przytłaczającej tonacji dobrze eksponuje wątek opowieści o Górach Szaleństwa.

Druga grupa zespołów to ci, którzy zdecydowali się nagrać albumy w całości poświęcone Lovecraftowi, a oto i oni.

DARKEST OF THE HILLSIDE THICKETS

Jakiś czas temu tuż przed wydaniem podręcznika do Zewu Cthulhu, którego mechanika opiera się na systemie d20, czyli znanym nam już z III Edycji Dungeons & Dragons, zamieszczono informację o promocji dla tych, którzy w przedsprzedaży zamówią rzeczony podręcznik. W ramach tej promocji do podręcznika dodawano płytę audio z nagraniami zespołu o dość długiej nazwie - The Darkest of the Hillside Thickets.

Zaciekawiony tym, że jakiś zespół z powodzeniem tworzy Cthulhowe utwory,

postanowiłem doszperać się czegoś o tym zespole i w miarę możliwości dobrać się do ich utworów. Co też uczyniłem, a poniżej opisuję.

Zespół powstał 10 lat temu i w dorobku ma dwie płyty + muzykę do filmu „Spaceship Zero” (nie przypominam sobie, żeby grali ten film w Polsce). Zanim panowie rozpoczęli przygodę z Mitami tworzyli muzykę dla siebie nie licząc na jakiś rozgłos. Jednak los bywa przewrotny i na ich twórczość natrafił pewien człowiek, który przekazał wieść innemu i tak w końcu doszło do tego iż zaproponowano im stworzenie podkładu muzycznego pod film „Spaceship Zero”.

Zespół długo się nie namyślał i przyjął propozycję. Warto zaznaczyć, że „Spaceship Zero” to kultowy niemiecki serial sci-fi z lat 70, na podstawie którego chciano stworzyć wersję kinową (jak się okazało film nigdy nie ujrzał światła dziennego, no przynajmniej ja nic o tym nie wiem, ale soundtrack pozostał).

Soundtrack w końcu ukazał się na rynku a krytycy zgodnie stwierdzili, że jest co najmniej dziwny. Początkowo każdy z nich po pierwszym odsłuchaniu krzywił się, lecz po wnikliwej analizie dochodził do wniosku, że jednak w tej muzyce można znaleźć coś interesującego. Album ten można zaliczyć do gatunku alternatywnego rocka, w którym od czasu do czasu muzyka zbliża się do popu lub metalu, w zależności od potrzeb. Większość liryków to opowieści, będące epizodami serialu, śpiewane każda z takim samym uczuciem. Po wysłuchaniu nie można mieć wątpliwości o czym jest film.

Już pierwszy utwór jest dość niesamowity. „20 minutes of Oxygen” to sama esencja opowiadanej historii, bitowe uderzenia przeplatają się z klasycznym rockiem, dodając do tego trochę współczesnego mixu. Im dalsze pozycje tym muzyka staje się coraz bardziej fantastyczna i dziwna co ma swój kulminacyjny punkt w teście utworu „The

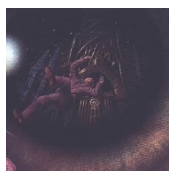
Math Song” („...x by the tangent of n, n minus pi over 10...”).

Pomimo swej dziwności, muzyka ta powinna się spodobać każdemu kto lubi klimaty związane z kosmosem, obcymi rasami itd. Być może będziemy mogli jej posłuchać na filmie (o ile film kiedykolwiek się ukáže).

Druga płyta wydana przez zespół to już pełna inspiracja H.P. Lovecraftem. Nosi tytuł „Great Old Ones” i zawiera 22 utwory, z których około 10 jest naprawdę bardzo dobrych. Pewnym minusem może być głos wokalisty, który delikatnie mówiąc nie jest najwyższych lotów lecz mimo to można tego posłuchać.

Kontynuacją „Great Old Ones” jest kolejny album zatytułowany „Cthulhu Strikes Back”. Sam styl muzyczny nie zmienił się za bardzo, wciąż mamy tutaj granie rockowe w stylu kapel takich jak Antrax czy też Gwar. Zmianą która da się dość szybko zauważyć to pójście w stronę punku, styl ten przejawia się w kilku utworach np. w „Yig Snake Daddy”, „Burrow Your Way to My Heart”, czy też „Worship Me Like a God”. Cały album jednak traci swe walory ze względu na to iż słysząc tu mniej „powera”, który jest znakiem firmowym zespołu. Pomimo tego Cthulhuści powinni być zadowoleni z tego krążka, jak i z wcześniejszego albumu.

PAYNE'S GRAY “KADATH DECODED”

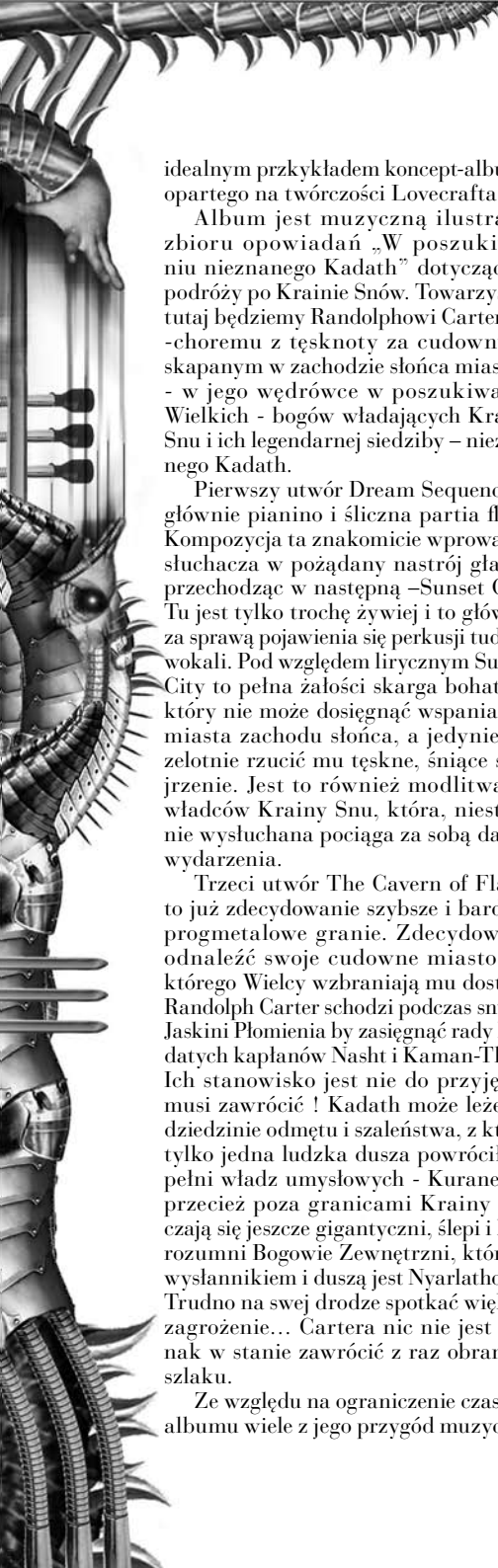


Ten zespół jest znany tylko nielicznym amatorom muzyki a dokładniej rzecz biorąc progresywnego.

Powstali w 1990 roku w Niemczech

lecz i my Polacy mamy swego przedstawiciela gdyż klawiszowcem zespołu jest Polak, Tomasz Turek.

Zespół w dorobku ma jedynie płytę demo z 1992 roku pt. „Infinity” oraz wydaną w 1995 roku pełną płytę pt. „Kadath decoded”, która właśnie jest



idealnym przykładem koncept-albumu opartego na twórczości Lovecrafta.

Album jest muzyczną ilustracją zbioru opowiadań „W poszukiwaniu nieznanego Kadath” dotyczącego podróży po Krainie Snów. Towarzyszyć tutaj będziemy Randolphowi Carterowi - choremu z tęsknoty za cudownym, skąpanym w zachodzie słońca miastem - w jego wędrówce w poszukiwaniu Wielkich - bogów władających Krainą Snu i ich legendarnej siedziby - nieznanego Kadath.

Pierwszy utwór Dream Sequence to głównie pianino i słiczna partia fletu. Kompozycja ta znakomicie wprowadza słuchacza w pożądany nastrój gładko przechodząc w następną - Sunset City. Tu jest tylko trochę żywiej i to głównie za sprawą pojawienia się perkusji tudzież wokali. Pod względem lirycznym Sunset City to pełna żalości skarga bohatera, który nie może dosięgnąć wspaniałego miasta zachodu słońca, a jedynie przelotnie rzucić mu tęskne, śniące spojrzenie. Jest to również modlitwa do władców Krainy Snu, która, niestety, nie wysłuchana pociąga za sobą dalsze wydarzenia.

Trzeci utwór The Cavern of Flame to już zdecydowanie szybsze i bardziej progmetalowe granie. Zdecydowany odnaleźć swoje cudowne miasto, do którego Wielcy wzbraniają mu dostępu Randolph Carter schodzi podczas snu do Jaskini Plomienia by zasięgnąć rady brodatych kapłanów Nasht i Kaman-Thah. Ich stanowisko jest nie do przyjęcia: musi zawrócić! Kadath może leżeć w dziedzinie odmetu i szaleństwa, z której tylko jedna ludzka dusza powróciła w pełni władz umysłowych - Kuranos. A przecież poza granicami Krainy Snu czają się jeszcze giganty, ślepi i bezrozumni Bogowie Zewnętrzni, których wysłannikiem i duszą jest Nyarlathotep. Trudno na swej drodze spotkać większe zagrożenie... Cartera nie jest jednak w stanie zawrócić z raz obranego szlaku.

Ze względu na ograniczenie czasu albumu wiele z jego przygód muzyczna

ilustracja pomija, niemniej odnajdujemy go jako więźnia na Czarnej Galerze zmierzającej w stronę Księżyca. Przekracza ona Ostateczny Wodospad, gdzie ocean Krainy Snu wlewa się w otchłań spadając przez setki gwiazd i światów aż do domeny króla Zewnętrznych Bogów - Azathotha. Galera zaś płynie naprzód, prując skąpane w blasku księżycowej wody, do swojego portu przeznaczenia.

W tej to malowniczej scenarii rozgrywa się kompozycja - Moonlight Waters, w którą przechodzi wspomniany The Cavern Of Flame. Tu jest wszystko - zrazu spokojne i zadumane, potem zaś zadziorne i ostre partie wokalne, delikatne (znów akustyczna gitara wraz z pianinem) tudzież pełne progmetalowej pasji fragmenty instrumentalne zdradzające kunszt muzyków. Randolph Carter zostaje wysadzony w porcie i zamknięty w okragłym pomieszczeniu. Czekaj na przyście Wielkiego Posłańca i duszy Zewnętrznych Bogów - Nyarlathotepa, któremu chęć go wydać ośliże, galaretowate Żabołudy - właściciele Czarnych Galer. Formuje się procesja zmierzająca na porośniętą groteskowymi grzybami księżycową równinę.

Zaczyna się Procession. Następuje diametralna zmiana nastroju - następujące po sobie kosmicznie - psychodeliczne dźwięki. Należy zwrócić uwagę na chlupoczące efekty - to zapewne odgłosy przemieszczania się galaretowatych ciał Żabołudów. A za niedługo następuje istna feria stylizowanych kocich odgłosów - oto przybywa na pomoc Carterowi armia kotów z miasta Ulthar wyrrywająca naskok bohatery z rąk oprawców.

Kompozycja A Hymn To The Cats - spokojna i podniosła z wyeksponowanym dźwiękiem pianina, a zwłaszcza fletu, to oczywiście muzyczne podziękowanie dla wybawców.

Znów pełne gracji przejście, po czym następuje piękny, pulsujący jednostajnym rytmem, lekko orientalizujący The Way To Ngranek ze śpiewem na tle głosów zawodzących złowróżbne inkantacje. Mowa tu o górze, na której zbrocu wyrzeźbiono olbrzymie wyobrażenia

twarży Wielkich - w czasach, gdy tańczyli tam w świetle Księżyca. Plan Cartera zakłada odnalezienie ludzi o zbliżonych rysach, gdyż muszą oni mieszkać w pobliżu siedziby bogów Krainy Snu - nie unikających kontaktów z córkami rodzaju ludzkiego. Utwór opowiada też o locie bohatera ze zbocza w dół - do zakazanych trzewi Ziemi, o spotkaniu z widmami i przerażającej wędrówce przez domeny Duchów i Gugów.

Within The Vault to kawałek instrumentalny będący przede wszystkim popisem polskiego klawiszowca - Tomka Turka odstawiającego znakomite, klasycyzujące solo.

Kolej już na Reaching Kadath z klimatycznym początkiem przerażającym się progmetalową jazdą. Orkiestrowe brzmienia syntezatora idą w parze z gwałtownymi zmianami nastroju oraz trudnymi zrazu do ogarnięcia melodiami wokali. Niepokój tej muzyki dobrze oddaje lot armii Cartera w kierunku Kadath. Bohater marzy sobie, że osiągnie onyksowy zamek pośród orszaku widm i nocnych koszmarów, że wkroczy do tronowej sali Wielkich, by odmówić swe modlitwy nieczym mistrz pośród marzycieli.

Nic z tego - potężny wir zniewala jego oddział, a w końcu rzuca go, samotnego, do upragnionego miejsca. Ale na onyksowym zamku nie ma Wielkich, pojawia się za to procesja czarnoskórych niewolników z trąbami. Właśnie ich dźwięk, zapowiedź przybycia kogoś dostojnego, rozpoczyna Nyarlathoteps Reception. Już wiadomo kim jest dostojnik. Chcąc nie chcąc bohater staje twarzą w twarz z Wielkim Posłańcem. Na początek dużo tu ładnego, neoprogresywnego grania z wyeksponowanymi klawiszami. Muzyka gęstnieje stając się cięższą i mroczniejszą podczas przemowy Duszy Bogów - głosy celowo zniekształcone mieszają się z normalnym śpiewem i powrotem inkantacji. Utwór rozwija się w kierunku przygotowującym nas na

najważniejsze słowa całej płyty - cytaty z Lovecrafta:

„Wiedz bowiem, że twoje złote i marmurowe miasto cudów jest tylko sumą tego, co widziałeś i kochałeś w młodości. Ta miłość stapia się, krystalizuje i poleruje przez lata wspomnień i marzeń, jest twoim tarasowatym cudem nieuchwytnych zachodów słońca”.

Tak bardzo tęsknił Carter za swoim Zabłąkanym Dzieciństwem, że wyśnił miasto, które oczarowało samych Wielkich, aż przenieśli tam z Kadath swoją siedzibę. Czas zawrócić ich do domu - w tym celu bohater ma osiągnąć potwornego Shantaka i wraz z nim odwiedzić bogów, potem cudowne miasto będzie już tylko należało do niego. Przybywa ogromny, luskowaty ptak z końskim łbem i słuchamy Riding The Shantak - doskonałego, progmetalowego, instrumentalnego kawałka oddającego szaleńczą gonitwę poprzez kosmiczne otchłanie kończącą się zeskokiem marzyciela. Zabłąkane, tęskne dzieciństwo i myśli ku niemu biegnące dają Carterowi siłę na wyrwanie się z ostatniej pulapki zastawionej przez Nyarlathotepa tudzież powrót do swego uśpionego ciała w Bostońskim mieszkaniu.

A podniosły, finalny Sunset City Part 2 ? Może sugerować szczęśliwe panowanie śmiałka w cudownym mieście zachodu słońca na wzór panowania Kuranesa w Celephais oraz Serannianie, ale kto wie...

MUSICA CTHULHIANA „THE FOURTH”



Jest to nowiułki projekt stworzony przed dwójką niemieckich zapaleńców z wykształcenia inżynierów dźwięku. Ich ulubioną rozrywką jest oczywiście Cthulhu RPG i pewnego dnia postanowili stworzyć ścieżkę dźwiękową, która mogłaby zostać wykorzystana jako podkład pod sesję w ŻC.

I tak powstał projekt pod nazwą 'Musica Cthulhiana' i pod tym szyldem wydali album pt. 'The Fourth'.

Soundtrack ten to elektroniczne i akustyczne eksperymenty połączone w mrocznymi chórkami, dziwnymi odgłosami oraz nowo wyodrębnionym gatunkiem muzycznym - doom-jazem. Dźwięki te tworząc psychodeliczną całość idealnie wpasowują się w każdą niepojętą sytuację zbliżającą postać do utraty zmysłów. Mimo tego, że każdy utwór jest unikalny to każdy z nich pasuje nie tylko do jednej sytuacji a to pozwala na ciągłe odtwarzanie bez konieczności żonglowania ścieżkami by znaleźć tę najbardziej adekwatną.

MIDNIGHT SYNDICATE



Właściwie to ten projekt mógłby się tu nie znaleźć gdyż nie występuje w nim żaden bezpośredni o d n o ś n i k do twórczości Lovecrafta. Jednak jeden z albumów wydanych pod tym szyldem jest ilustracją muzyczną mroków szpitala psychiatrycznego (więc już wiadomo czemu o tym piszę).

Midnight Syndicate to projekt wyłącznie instrumentalny, ich niezwykle mroczna muzyka stanowi muzyczną podróż po gotyckim horrorze. Do tej pory wydali pięć płyt (Born of the Night, Gates of Delirium, Midnight Syndicate, Realm of Shadow i Vampyre).

To właśnie album Gates of Delirium jest rzeczoną ilustracją szpitala.

Na albumie znajduje się 21 ścieżek. Każda skomponowana z wielką dbałością o szczegóły.

Warto zapoznać się z przedstawionymi powyżej utworami i albumami bo muzyka wprowadza nas w głębszy wymiar zrozumienia tego o czym pisał Lovecraft. Polecam.



Zdjęcie powierzchni Plutona (NASA)

PIWNICA


Spotkałem Tadeusza jakiś czas temu. Nie widziałem go dobrych kilka lat. Studiował w Toruniu, na Wydziale Sztuk Pięknych. Wrócił do Bydgoszczy i szczerze powiedziawszy nie wiem, czym się zajmował do tej pory. Letnia praktyka po piątym roku studiów zmieniła go bardzo. Bardziej nawet niż śmierć ojca, ponad pół roku wcześniej. Stał się skryty i mało mówny. Zdarzało mu się być takim i przedtem, ale zwykle pełen był wigoru i chęci do życia. Kiedy rozmawiałem z nim po wakacjach, gdzieś na przełomie września i października, wydawał się zupełnym przeciwieństwem siebie sprzed kilku lat. Nie bawiły go dawne żarty, mówił cicho, jakby będąc wiecznie zamyślonym. Nie wytrzymałem długo. Zapytałem go wprost, co się stało, myśląc, że szczerza rozmowa z przyjacielem pomoże mu. Jakże się myliłem. Nie chciał ze mną rozmawiać. Grzecznie, ale stanowczo poprosił, bym więcej nie próbował wywoływać tego tematu. Nie naciskałem, dokończyliśmy piwo i pożegnaliśmy się.

Zapomniałbym o całej sprawie, gdyby nie e-mail od Tadeusza, który dostałem tydzień później. Mój przyjaciel nie wytrzymał. Zapraszał mnie na piwo, w tej samej knajpie. Już wtedy miałem przeczuć, że to nie będzie zwykłe spotkanie przy browarze. Miałem rację. To, co mi opowiedział, wyjaśniłoby jego stan, gdyby było prawdziwe. Gdyby ktośkolwiek chciał uwierzyć w jego słowa. Wysłuchałem go spokojnie, kiwając głową, ale w głębi duszy wiedząc, że gość mógł nieco sfiksować. Zawsze za dużo czytał fantastyki. Oto jego historia.

To, co ci teraz powiem, może wyda ci się głupie, ale ja to widziałem na własne oczy. Benek zresztą też. Dwa sierpniowe tygodnie spędziłem w malborskim zamku, odkopując zasypaną piwnicę i prowadząc w niej badania architektoniczne. W piwnicach zachodniego skrzydła zamku, od strony Nogatu, badałem

niepozorną ścianę działową. W jednej z jej wnęk, być może jeszcze w wiekach średnich, przebito wąskie przejście do następnej piwnicy, dziś zasypanej gruzem. Później wnękę prawie całkowicie zamurowano. Rozmiar i wygląd cegieł świadczył, że stało się to w XIX wieku, prawdopodobnie podczas prac niejakiego Konrada Steinbrechta, wieloletniego badacza zamku i jego renowatora. Podczas moich badań, wraz z Benedyktem Jemiółowskim, fachowcem z zamkowego działu konserwacji, przyjęliśmy za rzecz oczywistą, że niepotrzebna piwnicę zasypano gruzem. Ale po dłuższym zastanowieniu się, zacząłem patrzeć na całą historię zupełnie inaczej. Uświadomiłem sobie, że takie działanie, z punktu widzenia konserwacji zamku było absurdalne. Który konserwator bez powodu likwidowałby piwnicę? Zwłaszcza dziewiętnastowieczny badacz, dla którego każde wnętrze gotyckiego zamczyska stanowiło tajemnicę i atrakcję. Przekonałem Benka, że warto zajrzeć do owej piwnicy. Sprawa była nieco skomplikowana, gdyż wymagana była zgoda dyrektora muzeum, ale Jemiółowski podjął się uzyskać odpowiednie przyzwolenie. Niestety, zmuszony byłem również wykonać pracę przewidzianą w programie praktyk, więc stało się jasne, że dopiero po ich zakończeniu będę mógł zająć się piwnicą. Tak więc, w połowie sierpnia, kiedy moi koledzy z roku opuszczali Malbork, ja pozostałem, poświęcając zamkowi kolejne dwa tygodnie wakacji. Gdybym wtedy wiedział, co odkryjemy w tej piwnicy...

Po tygodniu usuwania gruzu udało nam się odsłonić całe pomieszczenie. Była to niewielka izba, około sześciu metrów na trzy. Gole, nietynkowane ściany wzniesiono z dużych, średniowiecznych cegieł. Jemiółowski i ja zwróciliśmy jednak uwagę na dokładne ułożenie wątku oraz zniszczone spoiny między cegłami. Same lica cegieł wyglądały, jakby ktoś



skul z nich tynk. Kiedy wymietliśmy resztki pyłu i piachu, okazało się, że piwnica ma posadzkę z równo ułożonych cegieł. Nie były to jednak wielkie, krzyżackie cegły, ale współczesne, dziewiętnastowieczne maszynówki. Po co Steinbrecht układał równą podłogę w piwnicy, którą postanowił zasypać? Jemiołowski nie potrafił tego wyjaśnić, tym bardziej ja.

Myśleliśmy początkowo, że odpowiedź znajdzie się w aktach niemieckich z dziewiętnastego wieku, ale okazało się, że na temat niewielkiej piwniczki w północno zachodniej części zamku wysokiego nie ma w nich żadnej wzmianki. Jakby nigdy nie istniała. Nie zdziwiło nas to zbytnio, gdyż wbrew pozorom, Steinbrecht nie prowadził sumiennych notatek z prowadzonych przez siebie prac. Uznaliśmy, że początkowo chciał zagospodarować to pomieszczenie, ale rozmyślił się. Nie powiedzieliśmy, dlaczego. Szczerze powiedziawszy, ta teoria wydawała mi się nielogiczna i naciągana, ale nie byliśmy w stanie wymyślić żadnej innej.

Tej nocy miałem sen. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ja go na prawdę śniłem. Zresztą nie jestem pewien, czy to był sen, czy jakieś siły wyrwały mój umysł z ciała i poprowadziły nocą przez uspijony zamek.

Szedłem, a raczej sunąłem nad ziemią w zupełnej ciszy. Strażników przy bramie nie było. Żadne alarmy nie włączały się. Przeniknąłem przez bramy na zamek średni tak, jakby ich nie było. Urządem dziedziniec, ale nieco inny niż normalnie. Budynek miały inne dachy i okna. To nadadł by gotyk, ale różnił się od dzisiejszych rekonstrukcji. Zbliżając się do bramy zamku wysokiego dostrzegłem, że most zwodzony jest podniesiony, ale jak się okazało, nie stanowiło to dla mnie przeszkody. Uniosłem się nad fosą i przeniknąłem drewno mostu niczym duch. W ścianach przejścia na dziedziniec tkwiły pochodnie. Ich blask nie był jednak zwykłym blaskiem ognia. Płomienie miały kolor zieleni, przemieszanej z fioletem. To

byłby nawet fajny sen, wiesz, taki klimatyczny, gdyby nie wrażenie, że to wszystko jest tak cholernie realne.

Kiedy dotarłem do dziedzińca, poczułem niepokój. Trochę jak niepokój dziecka, które budząc się w nocy, jest przekonane, że zostało samo w ciemnym domu. W jakiś dziwny sposób znalazłem się w zamkowej kuchni, a potem spłynąłem przez podłogę w dół, do piwnicy. Wiesz, normalnie zastawiona jest półkami z elementami detalu architektonicznego, ale w moim śnie była pusta. Wnęka była zamurowana.

Od tej chwili jakbym odzyskał panowanie nad sobą. Mogłem wrócić, ale zamiast tego zrobiłem najgłupszą rzecz, jaką mogłem zrobić. Z własnej woli przeniknąłem przez północną ścianę i znalazłem się w piwniczce, odkopwanej przeze mnie za dnia. Wierz mi, to było głupie.

W pomieszczeniu znajdowała się lśniąca, glazurowana posadzka z granatowego jakby szkła. Pod nią lśniły najróżniejszymi kolorami dziesiątki dziwacznych znaków, otaczających krąg z wpisaną weń ośmioramienną gwiazdą. Poczułem się nagle ciężki, niczym ołów. Chciałem uciec w górę, przez sklepienie, ale nie byłem w stanie poderwać się. Moje ciało zaczęło zapadać się w tę granatową posadzkę niczym w bagno. Nogi przeszły mi upiornie zimno. I właśnie uczucie tego zimna zapamiętałem najlepiej.

Nie wiem w jaki sposób udało mi się dobudzić. Z nosa płynęła mi krew. Wiesz, że nie jestem chorowity i raczej nigdy mi się to nie zdarza, ale wtedy krwawiłem, jakby mi ktoś w nos przywalił. Właścicielka domku, gdzie mieszkalem, mówiła na drugi dzień, że podobno strasznie krzychałem przez sen. I jeszcze jedno. Moje nogi do kolan były sztywne i przerażająco zimne. Dopiero nad ranem odzyskałem w nich czucie.

Nikomu nie opowiedziałem o moim śnie. Zresztą, w świetle dnia zamek wyglądał najzupełniej zwyczajnie. Jednak, kiedy zszedłem do piwnicy, chłód wydał mi się bardziej intensywny, niż

zwykle. Benek przyszedł kilka minut później. Obwieścił mi, że konsultował się z dyrektorem zamku i ten zabronił jakiegokolwiek ingerencji w substancję zabytku, dopóki sam nie obejrzy piwnicy. A miał zrobić to dopiero po powrocie z Gdańska, z jakiegoś ważnego przetargu. Staliśmy więc w świetle lampy halogenowej i patrzyliśmy na cegły pod nami. Nie wiem, co mnie podkuśilo, by powiedzieć:

- Ja bym tak jedną cegłę usunął. Przecież mogła sama się obluźować...

Benedykt spojrział na mnie. Po wyrazie jego twarzy mogłem poznać, że myśli tak samo.

- Ale tylko jedną – rzekł w końcu.

Byliśmy idiotami.

Przygotowania nie trwały długo. W świetle dwóch lamp, Benedykt zaczął wydłubywać zaprawę spomiędzy cegieł. Szło opornie, jakby podłoga nie chciała oddawać swych sekretów. Moze i tak było. Nie byłem wcale zdziwiony, kiedy wreszcie po usunięciu cegły Benek zaświecił w głąb halogenem i powiedział zdumiony:

- Tu jest świetnie zachowana, granatowa posadzka.

Stałem jak kamień, patrząc na to, co tak doskonale widziałem w nocy...

- Panie Benedykcie, muszę panu coś opowiedzieć – powiedziałem po chwili ciszy. Jemiolowski spojrział na mnie.

- No? - zagadnął.

- Nie tutaj. Moze u pana w biurze – widziałem jego zdziwienie, ale zgodził się od razu. Wyłączyliśmy halogeny i opuściliśmy pogrążoną w ciemności piwnicę. Mówię ci, stary, trzeba było ją wtedy na powrót zasypać gruzem, tak jak to zrobił Steinbrecht. Ale kto mógł wiedzieć?

Do domku, gdzie mieściło się biuro Jemiolowskiego, dobiegliśmy w strugach deszczu. Gdzieś nad miastem odezwał się pierwszy pomruk letniej burzy. Usiedliśmy w gabinecie a ja opowiedziałem mój wczorajszy sen.

- Pan żartuje – powiedział tylko Jemiolowski, gdy skończyłem.

- Nie. Właścicielka domu moze zaświadczyć, że miałem ciężką noc.

- Szczerze powiedziawszy, wierzyć mi się nie chce – Benedykt oparł się o ścianę ze starą, pruską boazerią.

- Mnie też, ale to naprawdę mi się śniło.

- No cóż, zobaczymy jak to wygląda, gdy odsłoniemy całą posadzkę. Ale dlaczego Krzyżacy ułożyli ją w pomieszczeniu gospodarczym i to jeszcze w piwnicy?

- Moze to nie było pomieszczenie gospodarcze? – zapytałem.

Jemiolowski spojrział na mnie z lekko drwiącym uśmiechem.

- A niby co?

Nabrałem tchu i zacząłem mówić o tym, co od dłuższej chwili krążyło mi po głowie.

- Piwnica powstała w średniowieczu. Była to epoka, gdy ludzie wierzyli w różne rzeczy. Demony i takie inne. Krzyżacy przybyli z Ziemi Świętej. Bliski wschód do dzisiaj pełen jest opowieści o magii, zresztą arabowie jak najbardziej wierzą w czary. Nasz kościół też.

- Ale to wszystko bajki – przerwał mi Benedykt.


- Tak, ale ja nie mówię, że oni rzeczywiście rzucali czary. Skoro Templariuszy oskarżono o herezję i uprawianie czarnej magii, czemu nie mieliby tego robić i Krzyżacy? Pamiętajmy, że wieki średnie to był bardzo mistyczny okres. Kto zaprzeczy, że któryś z wielkich mistrzów nie mógł w tajemnicy przed innymi braćmi bawić się w jakieś rytuały?

Benedykt milczał przez chwilę.

- Ale kto to potwierdzi? – rzekł w końcu. - I dlaczego od razu magia? Nie mogło to być pomieszczenie o innym przeznaczeniu? A moze ta posadzka powstała w zupełnie innym okresie? Zamek by przebudowywany wielokrotnie...

- Ja się nie upieram. Tak tylko mi przyszło do głowy. Moze za bardzo zasugerowałem się tym snem...

- Moze – przytaknął Jemiolowski.



Do końca dnia nie robiłem zupełnie nic, jeżeli nie liczyć zakupów w mieście i wieczornego spaceru dookoła zamku.

Jednak, gdy zapadła noc, pogodna z pozoru i ciepła, powróciły lęki. Siedziałem na progu domu, patrząc na jasno oświetlony zamek i gwiazdy ponad nim. Gdzieś z knajpy nad Nogatem dochodziły przytłumione dźwięki muzyki. Wyraźnie słyszałem jedynie jej rytm. Pamiętam, że spojrzałem na gwiazdy. Lubię spoglądać w nocne niebo. Mam wtedy uczucie, że jestem częścią wielkiego wszechświata. Jednak tym razem moje wrażenia były zupełnie inne. Poczulem się jak mała, nic nie znacząca istotka pośród przepastnej, obcej pustki, na planecie, która tak na prawdę nigdy nie należała do nas.

Tak, widzę, że się uśmiechasz. Może to teraz wydaje ci się zabawne, ale wtedy mi nie było do śmiechu. Miałem wrażenie, nie, miałem pewność, że kiedy tylko położę się spać, znowu jakaś siła zaciągnie mnie na zamek. Mogłem niemalże dotknąć jej, czającej się gdzieś w mroku. Bo ona tam była. Zerwałem się i wpadłem do domu, zamykając z trzaskiem drzwi. Zapaliłem światła w przedpokoju, kuchni i pokoju, w którym nocowałem. Żałowałem, że nie mam żadnego radia. Jedynym ukojeniem były odgłosy z góry, z mieszkania właścicielki. Ale i one koło północy umilkły. Zrobiłem sobie kawę a potem herbatę. Jedną i drugą. Starając się nie zasnąć, czytałem pozostawione przez kumpli z roku gazety. Stary, to była najgorsza noc w moim życiu, jaką pamiętam.

Nie wiem, jak udało mi się dotrzeć do pierwszego brasku. W końcu musiałem zasnąć, siedząc przy stole. Ale nie był to spokojny sen, przynoszący odpoczynek. Co chwilę budziłem się, patrząc z przestrawieniem w okno, czy aby na pewno jest świt. W końcu podniosłem się, wziąłem prysznic i przyczepiwszy identyfikator do koszuli, ruszyłem na zamek. Ciepła woda orzeźwiła mnie nieco. Kiedy poczułem ciepło słońca, wszystkie strachy wydały mi się wytworami mojej wyobraźni. Było mi nawet nieco głupio

przed samym sobą, że wczorajszego wieczoru byłem taki miękki.

Mój w miarę dobry nastrój prysł, gdy ujrzałem Benedykta. Zwykle przychodził do pracy około dziewiętej, dziś jednak czekał na mnie pod bramą średniego zamku już o ósmej trzydziestej. Wyglądał, jakby spędził całą noc na imprezie. Istotnie zalaływało od niego jakimś alkoholem. Pamiętam, że spojrzał na mnie podkrążonymi oczyma i zapytał:

- Czy ja wyglądam tak samo źle jak ty?

- Nie wiem – odpowiedziałem wtedy. – Ale jeżeli ja wyglądam tak samo jak pan, to wyglądamy naprawdę beznadziejnie.

Nikły uśmiech zagościł na jego twarzy. Przeszliśmy przez bramę, witając się ze strażnikami. Kiedy wkraczaliśmy na brukowany dziedziniec średniego zamku, Jemiołowski zapytał mnie:

- Jak tam noc? – czułem, że w tym pytaniu zawarte jest coś więcej.

- Nieprzespana – odparłem, wpatrując się w dachy wysokiego zamku.

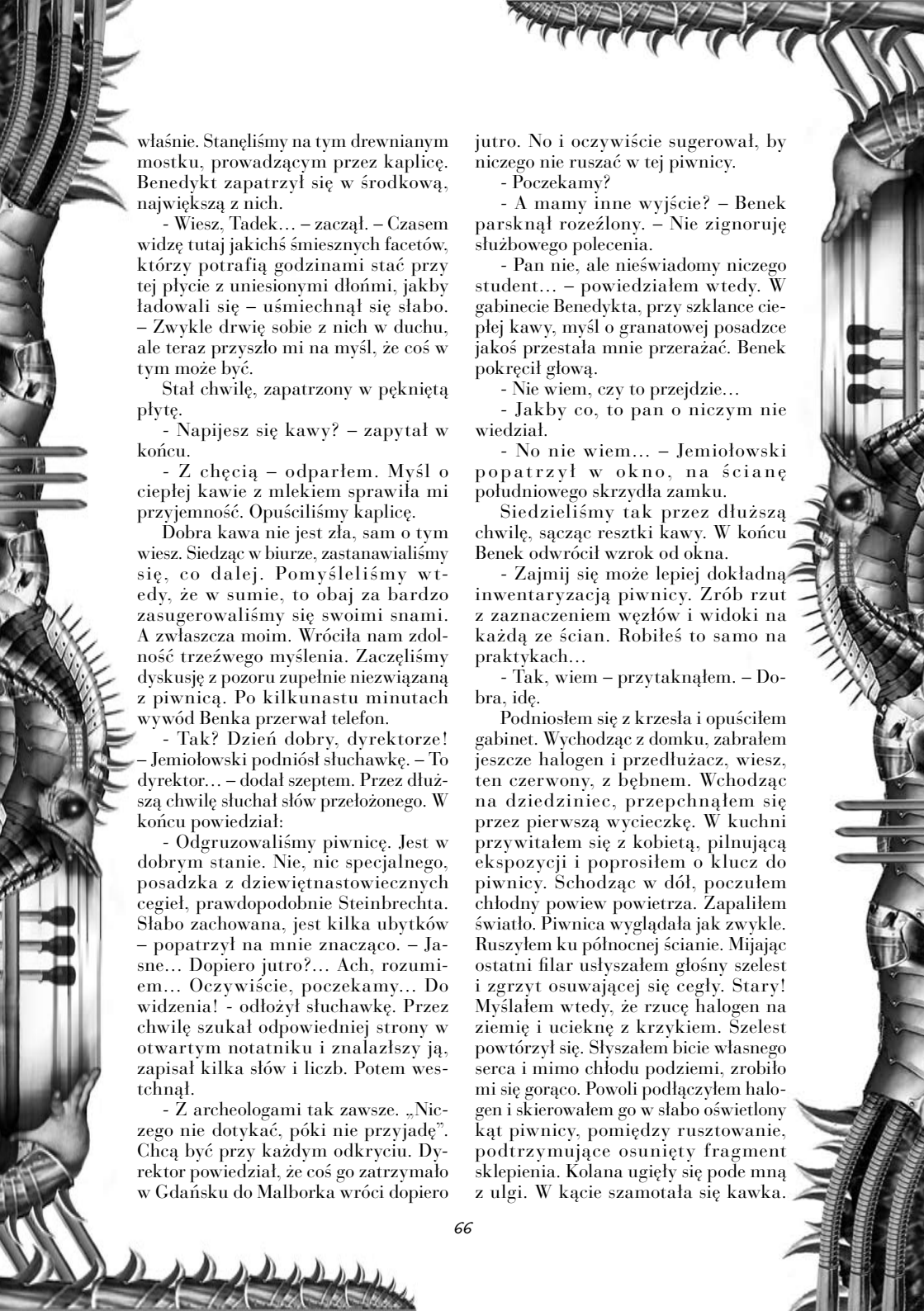
- Ja spałem. I miałem sen – Benek przystanął na chwilę. Z niesionej teczki wyjął niewielką piersiówkę i odkręcił ją. Upił łyk i podał mi butelkę. Skosztowałem. To było coś lepszego niż zwykła wódka. Dopiero w tym momencie zauważyłem, że zaczął zwracać się do mnie per „ty”. Oddałem flaszkę. Ruszyliśmy ku drugiej bramie.

- Sen? – zapytałem, chociaż wiedziałem dokładnie, o co mu chodzi.

- O piwnicy, bardzo podobny do twojego. Myślisz, że naprawdę coś w niej jest?

- Nie wiem. Na świecie dzieją się różne dziwne rzeczy. Jeżeli czegoś nie rozumiemy, wcale to nie znaczy, że to nie istnieje. Ja dzisiaj nie zmrużyłem oka aż do świtu.

Przeszliśmy most i skrociliśmy w lewo, na północny taras. Tutaj wczesnym rankiem panował miły chłód. Chwilę później zatrzymaliśmy się w kaplicy Świętej Anny, prowadzącej na taras wschodni. Leżą tam trzy płyty nagrobne, pamiętasz to miejsce? No



właśnie. Stanęliśmy na tym drewnianym mostku, prowadzącym przez kaplicę. Benedykt zapatrzył się w środkową, największą z nich.

- Wiesz, Tadek... - zaczął. - Czasem widzę tutaj jakichś śmiesznych facetów, którzy potrafią godzinami stać przy tej płycie z uniesionymi dłońmi, jakby ładowali się - uśmiechnął się słabo. - Zwykle drwię sobie z nich w duchu, ale teraz przyszło mi na myśl, że coś w tym może być.

Stał chwilę, zapatrzonego w piękniętą płytę.

- Napijesz się kawy? - zapytał w końcu.

- Z chęcią - odparłem. Myśl o ciepłej kawie z mlekiem sprawiła mi przyjemność. Opuściliśmy kaplicę.

Dobra kawa nie jest zła, sam o tym wiesz. Siedząc w biurze, zastanawialiśmy się, co dalej. Pomyśleliśmy wtedy, że w sumie, to obaj za bardzo zasugerowaliśmy się swoimi snami. A zwłaszcza moim. Wróciła nam zdolność trzeźwego myślenia. Zaczęliśmy dyskutować z pozoru zupełnie niezwiązaną z piwnicą. Po kilkunastu minutach wywód Benka przerwał telefon.

- Tak? Dzień dobry, dyrektorze! - Jemiółowski podniósł słuchawkę. - To dyrektor... - dodał szeptem. Przez dłuższą chwilę słuchał słów przełożonego. W końcu powiedział:

- Odgruzowaliśmy piwnicę. Jest w dobrym stanie. Nie, nie specjalnego, posadzka z dziewiętnastowiecznych cegieł, prawdopodobnie Steinbrechta. Słabo zachowana, jest kilka ubytków - popatrzył na mnie znacząco. - Jasne... Dopiero jutro?... Ach, rozumiem... Oczywiście, poczekamy... Do widzenia! - odłożył słuchawkę. Przez chwilę szukał odpowiedniej strony w otwartym notatniku i znalazłszy ją, zapisał kilka słów i liczb. Potem westchnął.

- Z archeologami tak zawsze. „Niczego nie dotykać, póki nie przyjadę”. Chcą być przy każdym odkryciu. Dyrektor powiedział, że coś go zatrzymało w Gdańsku do Malborka wróci dopiero

jutro. No i oczywiście sugerował, by niczego nie ruszać w tej piwnicy.

- Poczekamy?

- A mamy inne wyjście? - Benek parsknął rozeźlony. - Nie zignoruję służbowego polecenia.

- Pan nie, ale nieświadomy niczego student... - powiedziałem wtedy. W gabinecie Benedykta, przy szklance ciepłej kawy, myśl o granatowej posadzce jakoś przestała mnie przerażać. Benek pokręcił głową.

- Nie wiem, czy to przejdzie...

- Jakby co, to pan o niczym nie wiedział.

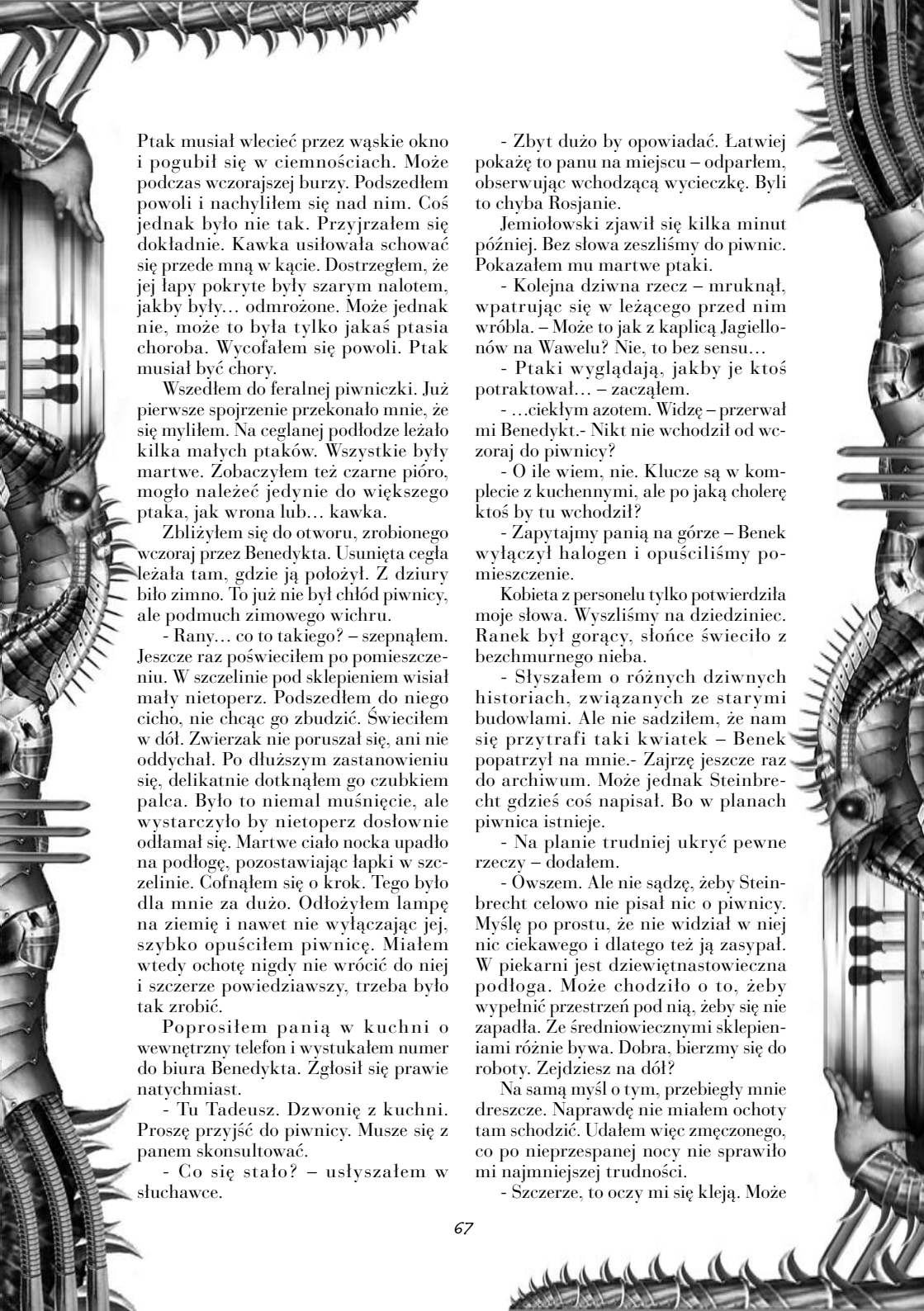
- No nie wiem... - Jemiółowski popatrzył w okno, na ścianę południowego skrzydła zamku.

Siedzieliśmy tak przez dłuższą chwilę, sącząc resztki kawy. W końcu Benek odwrócił wzrok od okna.

- Zajmij się może lepiej dokładną inwentaryzacją piwnicy. Zrób rzut z zaznaczeniem węzłów i widoki na każdą ze ścian. Robiłeś to samo na praktykach...

- Tak, wiem - przytaknąłem. - Dobra, idę.

Podniosłem się z krzesła i opuściłem gabinet. Wychodząc z domku, zabrałem jeszcze halogen i przedłużacz, wiesz, ten czerwony, z bębniem. Wchodząc na dziedziniec, przepchnąłem się przez pierwszą wycieczkę. W kuchni przywitałem się z kobietą, pilną ekspozycji i poprosiłem o klucz do piwnicy. Schodząc w dół, poczułem chłodny powiew powietrza. Zapaliłem światło. Piwnica wyglądała jak zwykle. Ruszyłem ku północnej ścianie. Mijając ostatni filar usłyszałem głośny szelest i zgrzyt osuwającej się cegły. Stary! Myślałem wtedy, że rzucę halogen na ziemię i ucieknę z krzykiem. Szelest powtórzył się. Słyszałem bicie własnego serca i mimo chłodu podziemi, robiło mi się gorąco. Powoli podłączyłem halogen i skierowałem go w słabo oświetlony kąt piwnicy, pomiędzy rusztowanie, podtrzymujące osunięty fragment sklepienia. Kolana ugięły się pod moją wagą. W kącie szamotała się kawka.



Ptak musiał wlecieć przez wąskie okno i pogubił się w ciemnościach. Może podczas wczorajszej burzy. Podeszedłem powoli i nachyliłem się nad nim. Coś jednak było nie tak. Przyjrzałem się dokładnie. Kawka usiłowała schować się przede mną w kącie. Dostrzegłem, że jej łapy pokryte były szarym nalotem, jakby były... odmrożone. Może jednak nie, może to była tylko jakaś ptasia choroba. Wycofałem się powoli. Ptak musiał być chory.

Wszedłem do feralnej piwniczki. Już pierwsze spojrzenie przekonało mnie, że się myliłem. Na ceglanej podłodze leżało kilka małych ptaków. Wszystkie były martwe. Zobaczyłem też czarne pióro, mogło należeć jedynie do większego ptaka, jak wrona lub... kawka.

Zbliżyłem się do otworu, zrobionego wczoraj przez Benedykta. Usunięta cegła leżała tam, gdzie ją położył. Z dziury biło zimno. To już nie był chłód piwnicy, ale podmuch zimowego wichru.

- Rany... co to takiego? - szepnąłem. Jeszcze raz poświęciłem po pomieszczeniu. W szczelinie pod sklepieniem wisiał mały nietoperz. Podeszedłem do niego cicho, nie chcąc go zbudzić. Świeciłem w dół. Zwierzak nie poruszał się, ani nie oddychał. Po dłuższym zastanowieniu się, delikatnie dotknąłem go czubkiem palca. Było to niemal muśnięcie, ale wystarczyło by nietoperz dosłownie odłamał się. Martwe ciało nocka upadło na podłogę, pozostawiając łapki w szczelinie. Cofnąłem się o krok. Tego było dla mnie za dużo. Odłożyłem lampę na ziemię i nawet nie wyłączając jej, szybko opuściłem piwnicę. Miałem wtedy ochotę nigdy nie wrócić do niej i szczerze powiedziawszy, trzeba było tak zrobić.

Poprosiłem panią w kuchni o wewnętrzny telefon i wystukałem numer do biura Benedykta. Zgłosił się prawie natychmiast.

- Tu Tadeusz. Dzwonię z kuchni. Proszę przyjść do piwnicy. Muszę się z panem konsultować.

- Co się stało? - usłyszałem w słuchawce.

- Zbyt dużo by opowiadać. Łatwiej pokażę to panu na miejscu - odparłem, obserwując wchodzącą wycieczkę. Byli to chyba Rosjanie.

Jemiółowski zjawił się kilka minut później. Bez słowa zeszliśmy do piwnicy. Pokazałem mu martwe ptaki.

- Kolejna dziwna rzecz - mruknął, wpatrując się w leżącego przed nim wróbla. - Może to jak z kaplicą Jagiellońców na Wawelu? Nie, to bez sensu...

- Ptaki wyglądają, jakby je ktoś potraktował... - zacząłem.

- ...ciekłym azotem. Widzę - przerwał mi Benedykt. - Nikt nie wchodził od wczoraj do piwnicy?

- O ile wiem, nie. Klucze są w komplecie z kuchennymi, ale po jaką cholerę ktoś by tu wchodził?

- Zapytajmy panią na górze - Benek wyłączył halogen i opuściliśmy pomieszczenie.

Kobieta z personelu tylko potwierdziła moje słowa. Wyszliśmy na dziedziniec. Ranek był gorący, słońce świeciło z bezchmurnego nieba.

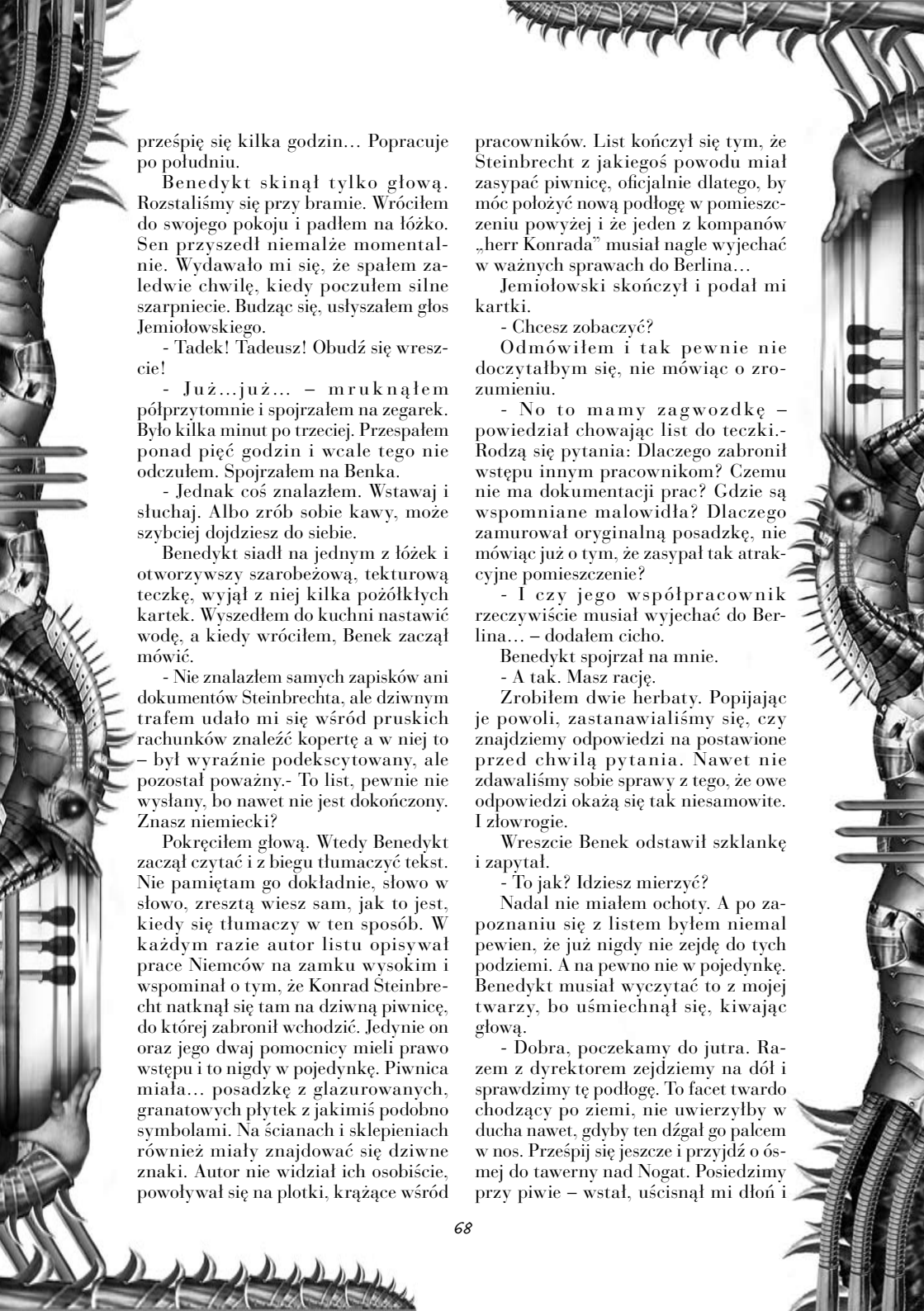
- Słyszałem o różnych dziwnych historiach, związanych ze starymi budowlami. Ale nie sadiłem, że nam się przytrafi taki kwiatek - Benek popatrzył na mnie. - Zajrzę jeszcze raz do archiwum. Może jednak Steinbrecht gdzieś coś napisał. Bo w planach piwnica istnieje.

- Na planie trudniej ukryć pewne rzeczy - dodałem.

- Owszem. Ale nie sądzę, żeby Steinbrecht celowo nie pisał nic o piwnicy. Myślę po prostu, że nie widział w niej nic ciekawego i dlatego też ją zasypał. W piekarni jest dziewiętnastowieczna podłoga. Może chodziło o to, żeby wypełnić przestrzeń pod nią, żeby się nie zapadła. Ze średniowiecznymi sklepieniami różnie bywa. Dobra, bierzmy się do roboty. Zejdźmy na dół?

Na samą myśl o tym, przebiegły mnie dreszcze. Naprawdę nie miałem ochoty tam schodzić. Udałem więc zmęczonego, co po nieprzespanej nocy nie sprawiło mi najmniejszej trudności.

- Szczerze, to oczy mi się kleją. Może



prześpię się kilka godzin... Popracuję po południu.

Benedykt skinał tylko głową. Rozstaliśmy się przy bramie. Wróciłem do swojego pokoju i padłem na łóżko. Sen przyszedł niemalże momentalnie. Wydawało mi się, że spałem zaledwie chwilę, kiedy poczułem silne szarpnięcie. Budząc się, usłyszałem głos Jemiółowskiego.

- Tadek! Tadeusz! Obudź się wreszcie!

- Już...już... - mruknąłem półprzymkniętymi oczami i spojrzałem na zegarek. Było kilka minut po trzeciej. Przespałem ponad pięć godzin i wcale tego nie odczułem. Spojrzałem na Benka.

- Jednak coś znalazłem. Wstawaj i słuchaj. Albo zrób sobie kawy, może szybciej dojdiesz do siebie.

Benedykt siadł na jednym z łóżek i otworzywszy szarobieżową, tekturową teczkę, wyjął z niej kilka poślizniętych kartek. Wyszedłem do kuchni nastawić wodę, a kiedy wróciłem, Benek zaczął mówić.

- Nie znalazłem samych zapisków ani dokumentów Steinbrechta, ale dziwnym trafem udało mi się wśród pruskich rachunków znaleźć kopertę a w niej to - był wyraźnie podekscytowany, ale pozostał poważny. - To list, pewnie nie wysłany, bo nawet nie jest dokończony. Znasz niemiecki?

Pokręciłem głową. Wtedy Benedykt zaczął czytać i z biegu tłumaczyć tekst. Nie pamiętam go dokładnie, słowo w słowo, zresztą wiesz sam, jak to jest, kiedy się tłumaczy w ten sposób. W każdym razie autor listu opisywał prace Niemców na zamku wysokim i wspominał o tym, że Konrad Steinbrecht natknął się tam na dziwną piwnicę, do której zabronił wchodzić. Jedynie on oraz jego dwaj pomocnicy mieli prawo wstępu i to nigdy w pojedynkę. Piwnica miała... posadzkę z glazurowanych, granatowych płytek z jakimiś podobno symbolami. Na ścianach i sklepieniach również działały dziwne znaki. Autor nie widział ich osobiście, powoływał się na plotki, krążące wśród

pracowników. List kończył się tym, że Steinbrecht z jakiegoś powodu miał zasypać piwnicę, oficjalnie dlatego, by móc położyć nową podłogę w pomieszczeniu powyżej i że jeden z kompanów „herra Konrada” musiał nagle wyjechać w ważnych sprawach do Berlina...

Jemiółowski skończył i podał mi kartki.

- Chcesz zobaczyć?

Odmówiłem i tak pewnie nie doczytałbym się, nie mówiąc o zrozumienu.

- No to mamy zagwozdkę - powiedział chowając list do teczki. - Rodzą się pytania: Dlaczego zabronił wstępu innym pracownikom? Czemu nie ma dokumentacji prac? Gdzie są wspomniane malowidła? Dlaczego zamurował oryginalną posadzkę, nie mówiąc już o tym, że zasypał tak atrakcyjne pomieszczenie?

- I czy tego współpracownik rzeczywiście musiał wyjechać do Berlina... - dodałem cicho.

Benedykt spojrzał na mnie.

- A tak. Masz rację.


Zrobiłem dwie herbaty. Popijając je powoli, zastanawialiśmy się, czy znajdziemy odpowiedzi na postawione przed chwilą pytania. Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że owe odpowiedzi okazały się tak niesamowite. I złowrogie.

Wreszcie Benek odstawił szklankę i zapytał.

- To jak? Idziesz mierzyć?

Nadal nie miałem ochoty. A po poznananiu się z listem byłem niemal pewien, że już nigdy nie zejść do tych podziemi. A na pewno nie w pojedynkę. Benedykt musiał wyczytać to z mojej twarzy, bo uśmiechnął się, kiwając głową.

- Dobra, poczekamy do jutra. Razem z dyrektorem zejdziemy na dół i sprawdzimy tę podłogę. To facet twardego chodzący po ziemi, nie uwierzyłby w ducha nawet, gdyby ten dźgał go palcem w nos. Przespój się jeszcze i przyjdź o ósmej do tawerny nad Nogat. Posiedzimy przy piwie - wstał, uściśnął mi dłoń i



wyszedł. Zostałem sam. Sam ze swoimi myślami. I narastającym strachem przed kolejną nocą. Próbowalem jeszcze zasnąć, ale myśli krążące po głowie nie dały mi spokoju. Cały czas wydawało mi się, że w tej trefnej piwnicy jest coś więcej, niż zwykła posadzka sprzed kilkuset lat.

Poszedłem do miasta coś zjeść. Pizza na chwilę pozwoliła mi zapomnieć o strachach, podobnie jak telefon do rodziny. Miło było usłyszeć głos mamy. Ale wracając, kiedy pomiędzy drzewami ujrzałem wieżę zamkową, powrócił niejasny lęk. Miałem wrażenie, że zamek spogląda na mnie swoimi oczyma ostrołukowych okien. I, mimo że popołudnie było słoneczne, poczułem chłód bijący od ceglanych murów. Chłód bardziej przenikliwy niż grudniowe zimno.


W tawernie siedzieliśmy z Benkiem do północy. Jakoś żadnemu z nas nie chciało się wracać do domu. Może, gdybyśmy wiedzieli, co nas spotka po dwudziestej czwartej, czym prędzej opuścilibyśmy tamto miejsce...

Już po zachodzie słońca niebo zasnuły chmury. Od Nogatu wiał chodny wiatr. Niósł delikatną woń bagien, ale zapach tawernianego grilla oraz dużej ilości papierosów palonych przez gości, zagłuszał tę niemiłą nutę. Przyjemnie było siedzieć wśród ludzi. Co prawda muzyka, jaką serwowali właściciele daleka była od moich upodobań, ale lepsze to niż nic. Tuż po północy znad rzeki zerwał się silny jednostajny wiatr. Był tak mocny, że przewrócił dwa parasole. Z ziemi podniósł się kurz, dodatkowo zwiększając zamieszanie. Wzburzone nagle fale rzeki zaczęły raz po raz uderzać w brzeg, szumiąc przy tym nieprzyjemnie. Nagle zgasło światło i umilkła muzyka. Pogasyły nawet lampy uliczne po drugiej stronie Nogatu. Ktoś krzyknął, że prądu nie ma, ktoś inny, że bezpieczniki wysiadły. Mimowolnie z Benedyktem popatrzyliśmy w niebo. Miałem wrażenie, że gwiazdy na niebie przedstawiają zupełnie inne konstelacje niż zwykle. Ale możliwe, że

zmyliły mnie chmury, zasłaniające część nieba. I właśnie na tle tych ciemnych obłoków zobaczyłem jeszcze czarniejszą plamę. Dookoła było ciemno, ale to, co nad nami przeleciało, było czarniejsze niż bezkسیężycowa noc. Możesz mi nie wierzyć, jak chcesz, zadzwoni do Jemiołowskiego. On też to widział. Nie wiem, co to mogło być. Za duże na ptaka, za ciche na samolot. Zresztą one nie zmieniają kształtu tak szybko, jak to coś. Czarna plama poszybowała nad zamek. Miałem wrażenie, że opada nań, jak ptak powracający do gniazda. Tuż potem od rzeki zadął tak lodowaty wiatr, że poczułem, jak drętwieją mi palce, zacisnięte na plastikowym kubku z piwem. Trwało to zaledwie chwilę. Niemal natychmiast powietrze uspokoiło się a z głośników huknęła jakaś piosenka. Zapaliły się lampy. Wszystko na pozór wróciło do normy. Ludzie chyba nie zauważyli tego, co my. Zamawiając nowe napoje, głośno komentowali ostatnie minuty.

Razem z Benkiem opuściliśmy tawernę. Pod zamkiem pożegnaliśmy się ustalając, że Benedykt przyjdzie po mnie jutro rano. Nie wiem jak on, ale ja nawet bałem się spojrzeć na zamek.

O nocy nie będę ci opowiadał. Wyglądała niemal tak samo jak poprzednia. Benedykt nie zjawił się, tylko zadzwonił, że umówił się z dyrektorem na piętnastą. Odłożyłem słuchawkę, nastawiłem budzik w zegarku i runąłem na łóżko. Przespałbym właściwą porę, gdyby nie kolejny telefon Benka. Dobrze, że zadzwonił. Dzięki temu punktualnie o trzeciej spotkaliśmy się z dyrektorem muzeum. Zabraliśmy odpowiedni sprzęt i udaliśmy się do piwnicy. Oczywiście dyrektor, wybaczone, ale nie pamiętam jego nazwiska, wysłuchał naszych przypuszczeń, ale skwitował je tylko suchym: „mало prawdopodobne”. Kiedy znaleźliśmy się w podziemiu, obejrzał wykonany przez nas otwór. Zwłoki ptaków nie zrobiły na nim wrażenia. Zresztą zostało po nich już niewiele, jakby rozkład następował w przyspieszonym tempie. Upewnił się



tylko, że to, na czym stoimy, pochodzi z dziewiętnastego stulecia i rzucił pod moim adresem krótkie:

- No, kolego studencie, do pracy. Tylko proszę nie uszkodzić tego, co pod spodem.

Cegła po cegle, zaczęliśmy z Benkiem odkrywać posadzkę. Naszym oczom zaczęła ukazywać się zapyłona, granatowa powierzchnia. Starałem się unikać dotykania jej, niestety, kilkakrotnie moje palce musnęły pokryte glazurą płytki. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że są zimniejsze niż otaczające nas ściany.

Dyrektor z Jemiółowskim wymieniali od czasu do czasu uwagi na temat piwnicy. Po kwadransie pracy, dostrzegliśmy pod ceglami coś w rodzaju pakunku. Dyrektor ożywił się wyraźnie. Powoli usunęliśmy otaczające znalezi-sko cegły. Naszym oczom ukazała się paczka z prawie czarnego papieru, formatu mniej więcej dużego zeszytu. Zauważyłem, że leży dokładnie na środku sali, ale nie powiedziałem tego głośno. Może trzeba było. Dyrektor wyjął z kieszeni koszułki miękki pędzel i zaczął szybko usuwać kurz oraz resztki pyłu i zaprawy.

- No, jak ładnie – mruczał cały czas.- Mamy małą sensacyjkę...

Pakunek miał na sobie okrągłą lakową pieczęć z napisem „Schloßmuseum Marienburg”. Papier nasączony był prawdopodobnie tłuszczem lub woskiem. Dyrektor delikatnie chwycił paczkę i podniósł ją. W miejscu, gdzie leżała, dostrzegłem ubytek w granatowej glazurze. Spojrzałem na Benedykta. Chyba nie zwrócił na to uwagi, zapatrzony w trzymaną przez dyrektora paczkę.

- Co to może być? – zapytał.

- Chyba jakieś dokumenty – odparł dyrektor.- Pieczęć muzealna z czasów niemieckich. Ot i wyjaśniła się tajemnica. Niemcy zostawili przesyłkę dla przyszłych pokoleń.

Spojrzał na mnie z wyższością, jakby chcąc powiedzieć: „Tu nie ma żadnych duchów, za dużo czytałeś

bajek w dzieciństwie, chłopcze”. Ale ja wiedziałem swoje. Odrzekłem:

- Wątpliwy sposób ukrywania notatek dla potomności.

Dyrektor zignorował mnie. Wtedy to naprawdę zacząłem go nie lubić. Odezwał się za to do Jemiółowskiego:

- Chodźmy do mojego biura, panie Benedykcie. Zobaczymy, co jest w środku.

Opuściliśmy piwnicę. Po wyjściu na dziedziniec uderzyło nas gorące powietrze skwarного popołudnia. Już po kilku chwilach byłem cały spocony.

Biuro dyrektora mieści się w północnym skrzydle zamku średniego. Znaleźliśmy się tam po kilku minutach. Wraz z Benedyktem siedliśmy przy biurku. Dyrektor wyjął z szafy aparat i załadował świeży film. Wręczył mi go, mówiąc:

- Będzie pan robił dokumentację fotograficzną.

Był to całkiem niezły Nikon z zoomem. Najpierw zrobiłem trzy zdjęcia zamkniętej paczki i zbliżenie na napis na pieczęci. Potem dyrektor wręczył nam styropianowe maseczki na twarz. Pokazał, jak się ich używa, a potem wyjął z szuflady komplet lateksowych rękawiczek. Nalożył je i delikatnie, ostrym nożem podciął pieczęć, umożliwiając otworzenie pakunku bez łamania jej. Wewnątrz znajdowała się gruba, skórzana teczka. Pstryknąłem. Dyrektor ostrożnie odsłonił jej zawartość. Były to kartki papieru, lekko popękane na brzegach ze starości. Nie były poźółkle. Na nich, nieco pochylłym pismem zapisane były niemieckie słowa.

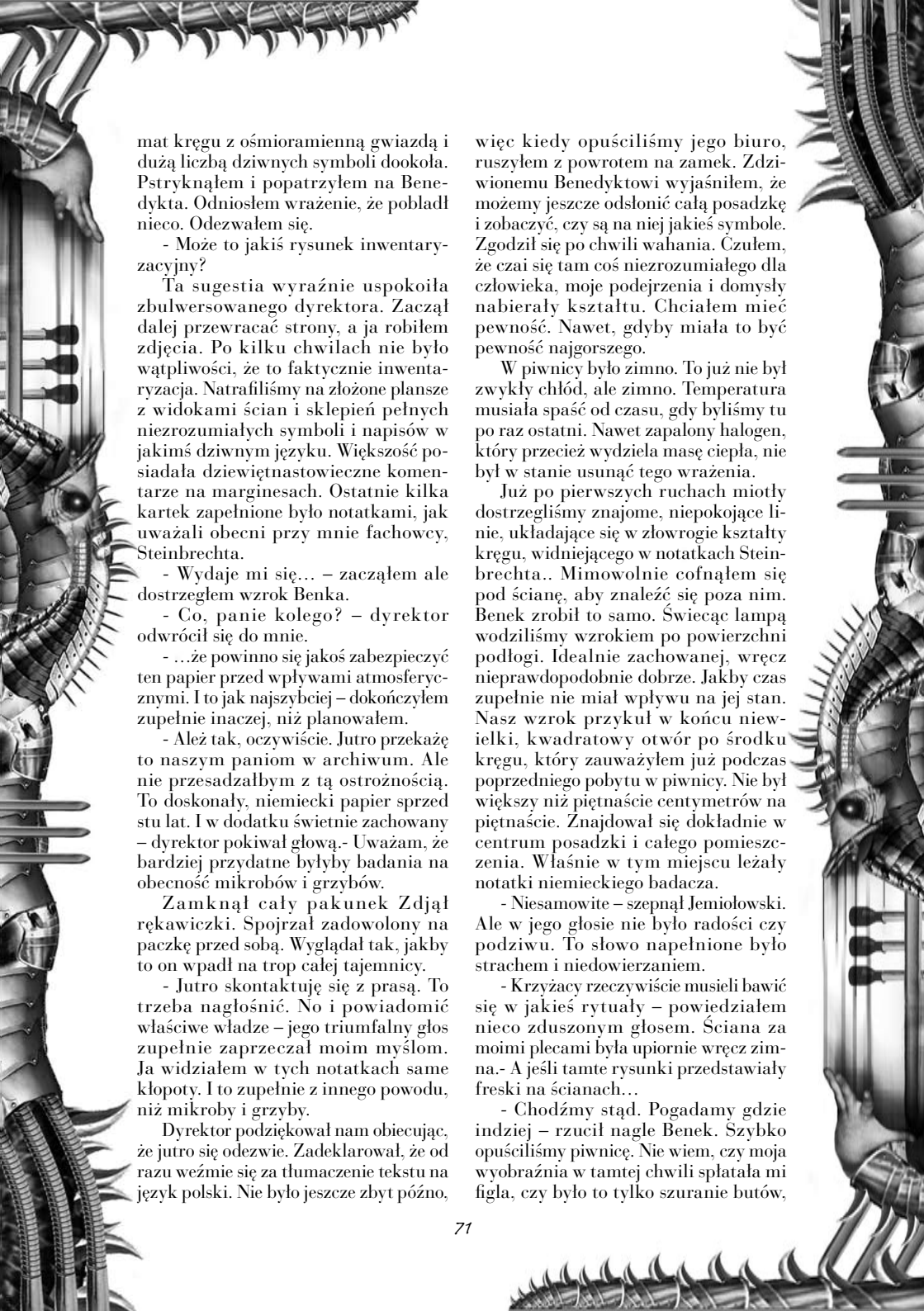
- No pięknie! – dyrektor klasnął w dłonie.- Poznaję pan charakter pisma, panie Benku?

- Steinbrecht – przytaknął zagadnięty - Oryginalne zapiski.

Robiłem zdjęcia raz po raz, w miarę, jak dyrektor przewracał kolejne strony. Jednak już przy piątej zatrzymał się z niedowierzaniem.

- Co to jest? Jakiś podręcznik okultyzmu?

Na papierze widniał wyraźnie sche-



mat kręgu z ośmioramienną gwiazdą i dużą liczbą dziwnych symboli dookoła. Pstryknąłem i popatrzyłem na Benedykta. Odniosłem wrażenie, że pobladł nieco. Odezwałem się.

- Może to jakiś rysunek inwentaryzacyjny?

Ta sugestia wyraźnie uspokoiła zbulwersowanego dyrektora. Zaczął dalej przewracać strony, a ja robiłem zdjęcia. Po kilku chwilach nie było wątpliwości, że to faktycznie inwentaryzacja. Natrafiliśmy na złożone plansze z widokami ścian i sklepień pełnych niezrozumiałych symboli i napisów w jakimś dziwnym języku. Większość posiadała dziewiętnastowieczne komentarze na marginesach. Ostatnie kilka kartek wypełnione było notatkami, jak uważali obecni przy mnie fachowcy, Steinbrechta.

- Wydaje mi się... - zacząłem ale dostrzegłem wzrok Benka.

- Co, panie kolego? - dyrektor odwrócił się do mnie.

- ...że powinien się jakoś zabezpieczyć ten papier przed wpływami atmosferycznymi. I to jak najszybciej - dokończyłem zupełnie inaczej, niż planowałem.

- Ależ tak, oczywiście. Jutro przekażę to naszym paniom w archiwum. Ale nie przesadzałbym z tą ostrożnością. To doskonały, niemiecki papier sprzed stu lat. I w dodatku świetnie zachowany - dyrektor pokiwał głową. - Uważam, że bardziej przydatne byłyby badania na obecność mikrobow i grzybów.

Zamknął cały pakunek Zdjął rękawiczki. Spojrzał zadowolony na paczkę przed sobą. Wyglądał tak, jakby to on wpadł na trop całej tajemnicy.

- Jutro skontaktuję się z prasą. To trzeba nagłośnić. No i powiadomić właściwe władze - jego triumfalny głos zupełnie zaprzeczał moim myślom. Ja widziałem w tych notatkach same kłopoty. I to zupełnie z innego powodu, niż mikroby i grzyby.

Dyrektor podziękował nam obiecując, że jutro się odezwie. Zadeklarował, że od razu weźmie się za tłumaczenie tekstu na język polski. Nie było jeszcze zbyt późno,

więc kiedy opuściliśmy jego biuro, ruszyłem z powrotem na zamek. Zdziwionemu Benedyktowi wyjaśniłem, że możemy jeszcze odsłonić całą posadzkę i zobaczyć, czy są na niej jakieś symbole. Zgodził się po chwili wahania. Czulem, że czai się tam coś niezrozumiałego dla człowieka, moje podejrzenia i domysły nabierały kształtu. Chciałem mieć pewność. Nawet, gdyby miała to być pewność najgorszego.

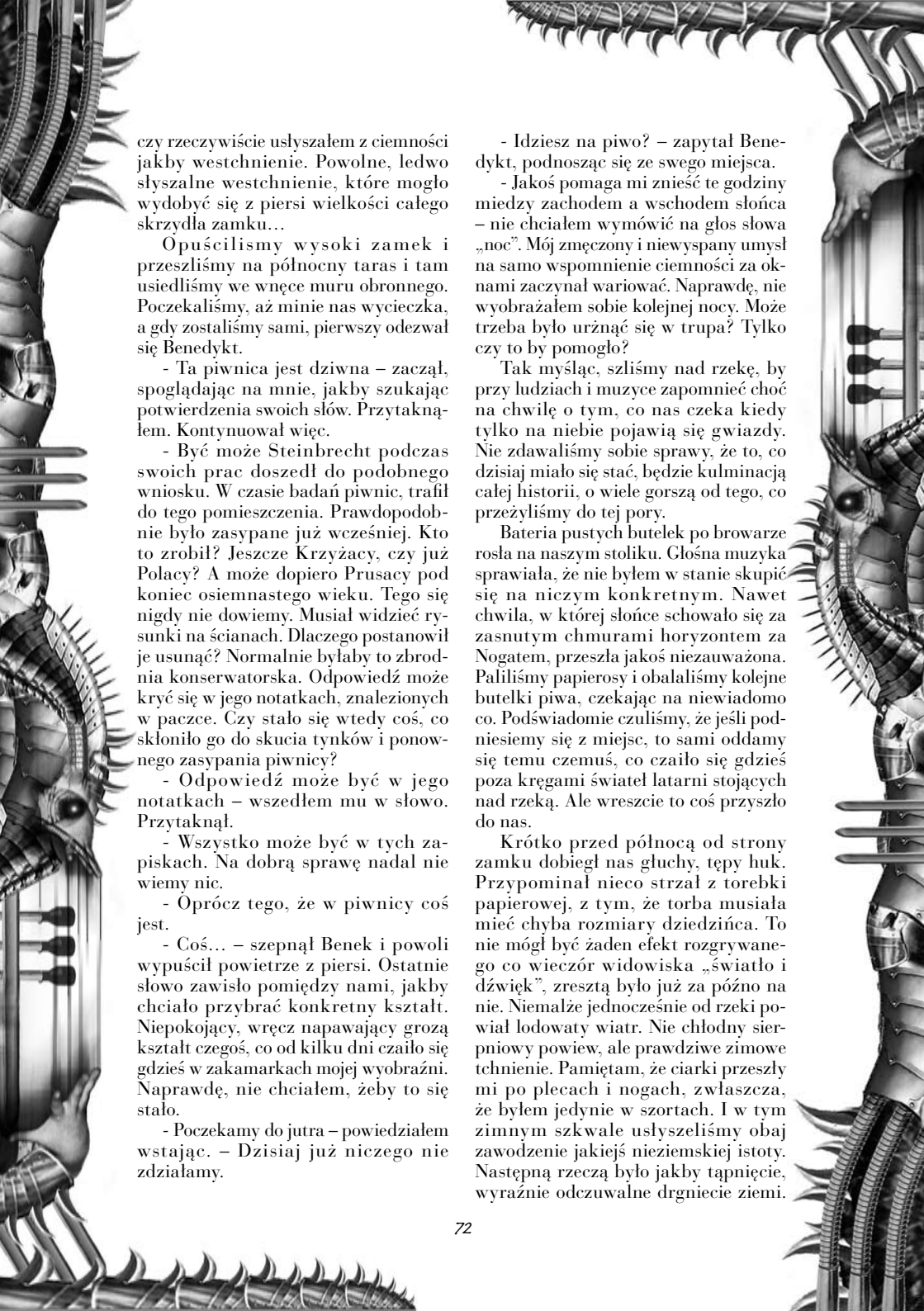
W piwnicy było zimno. To już nie był zwykły chłód, ale zimno. Temperatura musiała spaść od czasu, gdy byliśmy tu po raz ostatni. Nawet zapalony halogen, który przecież wydzielą masę ciepła, nie był w stanie usunąć tego wrażenia.

Już po pierwszych ruchach miotły dostrzeżliśmy znajome, niepokojące linie, układające się w złowrogie kształty kręgu, widniejącego w notatkach Steinbrechta.. Mimowolnie cofnąłem się pod ścianę, aby znaleźć się poza nim. Benek zrobił to samo. Świecąc lampą wdziliśmy wzrokiem po powierzchni podłogi. Idealnie zachowanej, wręcz nieprawdopodobnie dobrze. Jakby czas zupełnie nie miał wpływu na jej stan. Nasz wzrok przykuł w końcu niewielki, kwadratowy otwór po środku kręgu, który zauważyłem już podczas poprzedniego pobytu w piwnicy. Nie był większy niż piętnaście centymetrów na piętnaście. Znajdował się dokładnie w centrum posadzki i całego pomieszczenia. Właśnie w tym miejscu leżały notatki niemieckiego badacza.

- Niesamowite - szepnął Jemiolowski. Ale w jego głosie nie było radości czy podziwu. To słowo napelnione było strachem i niedowierzaniem.

- Krzyżacy rzeczywiście musieli bawić się w jakieś rytuały - powiedziałem nieco zduszonym głosem. Ściana za moimi plecami była upiornie wręcz zimna. - A jeśli tamte rysunki przedstawiały freski na ścianach...

- Chodźmy stąd. Pogadamy gdzie indziej - rzucił nagle Benek. Szybko opuściliśmy piwnicę. Nie wiem, czy moja wyobraźnia w tamtej chwili spletała mi figla, czy było to tylko szuranie butów,



czy rzeczywiście usłyszałem z ciemności jakby westchnienie. Powolne, ledwo słyszalne westchnienie, które mogło wydobyć się z piersi wielkości całego skrzydła zamku...

Opuściliśmy wysoki zamek i przeszliśmy na północny taras i tam usiedliśmy we wnęce muru obronnego. Poczekaliśmy, aż minie nas wycieczka, a gdy zostaliśmy sami, pierwszy odezwał się Benedykt.

- Ta piwnica jest dziwna – zaczął, spoglądając na mnie, jakby szukając potwierdzenia swoich słów. Przytaknąłem. Kontynuował więc.

- Być może Steinbrecht podczas swoich prac doszedł do podobnego wniosku. W czasie badań piwnic, trafił do tego pomieszczenia. Prawdopodobnie było zasypane już wcześniej. Kto to zrobił? Jeszcze Krzyżacy, czy już Polacy? A może dopiero Prusacy pod koniec osiemnastego wieku. Tego się nigdy nie dowiemy. Musiał widzieć rysunki na ścianach. Dlaczego postanowił je usunąć? Normalnie byłaby to zbrodnia konserwatorska. Odpowiedź może kryć się w jego notatkach, znalezionych w paczce. Czy stało się wtedy coś, co skłoniło go do skucia tynków i ponownego zasypiania piwnicy?

- Odpowiedź może być w jego notatkach – wszedłem mu w słowo. Przytaknął.

- Wszystko może być w tych zapiskach. Na dobrą sprawę nadal nie wiemy nic.

- Oprócz tego, że w piwnicy coś jest.

- Coś... – szepnął Benek i powoli wypuścił powietrze z piersi. Ostatnie słowo zawisło pomiędzy nami, jakby chciało przybrać konkretny kształt. Niepokojący, wręcz napawający grozą kształt czegoś, co od kilku dni czaiło się gdzieś w zakamarkach mojej wyobraźni. Naprawdę, nie chciałem, żeby to się stało.

- Poczekamy do jutra – powiedziałem wstając. – Dzisiaj już niczego nie zdziałamy.


- Idziesz na piwo? – zapytał Benedykt, podnosząc się ze swego miejsca.

- Jakoś pomaga mi znieść te godziny między zachodem a wschodem słońca – nie chciałem wymówić na głos słowa „noc”. Mój zmęczony i niewyspany umysł na samo wspomnienie ciemności za oknami zaczynał sobie kolejnić. Naprawdę, nie wyobrażałem sobie kolejnej nocy. Może trzeba było urządzić się w trupa? Tylko czy to by pomogło?

Tak myśląc, szliśmy nad rzekę, by przy ludziach i muzyce zapomnieć choć na chwilę o tym, co nas czeka kiedy tylko na niebie pojawią się gwiazdy. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to, co dzisiaj miało się stać, będzie kulminacją całej historii, o wiele gorszą od tego, co przeżyliśmy do tej pory.

Bateria pustych butelek po browarze rosła na naszym stoliku. Głośna muzyka sprawiała, że nie byłem w stanie skupić się na niczym konkretnym. Nawet chwila, w której słońce schowało się za zasnutym chmurami horyzontem za Nogatem, przeszła jakoś niezauważona. Paliliśmy papierosy i obalaliśmy kolejne butelki piwa, czekając na niewiadomo co. Podświadomie czuliśmy, że jeśli podniesiemy się z miejsc, to sami oddamy się temu czemuś, co czaiło się gdzieś poza kręgami światła latarni stojących nad rzeką. Ale wreszcie to coś przyszło do nas.

Krótko przed północą od strony zamku dobiegł nas głuchy, tępy huk. Przypominał nieco strzał z torebki papierowej, z tym, że torba musiała mieć chyba rozmiary dziedzińca. To nie mógł być żaden efekt rozgrywanego co wieczór widowiska „światło i dźwięk”, zresztą było już za późno na nie. Niemalże jednocześnie od rzeki po wiał lodowaty wiatr. Nie chłodny sierpniowy powiew, ale prawdziwe zimowe tchnienie. Pamiętam, że ciarki przeszły mi po plecach i nogach, zwłaszcza, że byłem jedynie w szortach. I w tym zimnym szkwałe usłyszeliśmy obaj zawodzenie jakiejś nieziemskiej istoty. Następną rzeczą było jakby tąpnięcie, wyraźnie odczuwalne drgniecie ziemi.



Wiem, że Benedykt również je czuł. Otrzeźwiałem niemal natychmiast, adrenalina zawrzała w moich żyłach. Wycie zdawało się wyrażać radość i złowieszczą rozkosz. W tawernie umilkła muzyka, ogłuszając nas nagłą ciszą na kilka chwil. Żarówki zaczęły pękać, jedna po drugiej. Kobiety z piskiem strachu zrywały się ze swoich miejsc.

- Tadek, idziemy – Jemiołowski zerwał się z miejsca. – To coś dzieje się na zamku.

Popędziłem do bramy. W całkowitej ciemności potknąłem się raz czy dwa. W końcu ujrzelśmy błyski latarek strażników, biegających po przedbramiu. Benedykt zatrzymał jednego.

- Co się stało? – rzucił.

- Coś strzeliło na zamku. Poszliśmy sprawdzić, ale chwilę potem zgasło całe światło. Siadły wszystkie alarmy. Nie możemy nawet zadzwonić po elektryków, bo telefony też siadły.

- A komórki? – zapytałem.

Wszyscy trzej wyciągnęliśmy swoje aparaty. Moja wskazywała zupełny brak zasięgu. W niewielkim świetle latarki zobaczyłem drżenie strachu w oczach strażnika.

- Koledzy mówili, że od kilku dni coś łązi w nocy po zamku. To znaczy, nikt tego nie widział, ale wszyscy to jakby czuli w kościach – mężczyzna ruszył z nami ku bramie, gdzie gromadzili się pozostali pracownicy ochrony. Już z daleka słyszeliśmy odgłosy rozmów. Kiedy dotarliśmy na miejsce, ktoś poświecił nam prosto w twarz.

- Dobry wieczór – odezwał się Benek, zasłaniając dłonią oczy. – Co tak huknęło?

- Nie wiemy. Szef zmiany poszedł sprawdzić i spytać dyrektora.

- To dyrektor jest jeszcze w zamku?

- Zgłaszał, że zostanie, bo ma jakąś pilną robotę.

Benek trącił mnie w ramię.

- Idziemy.

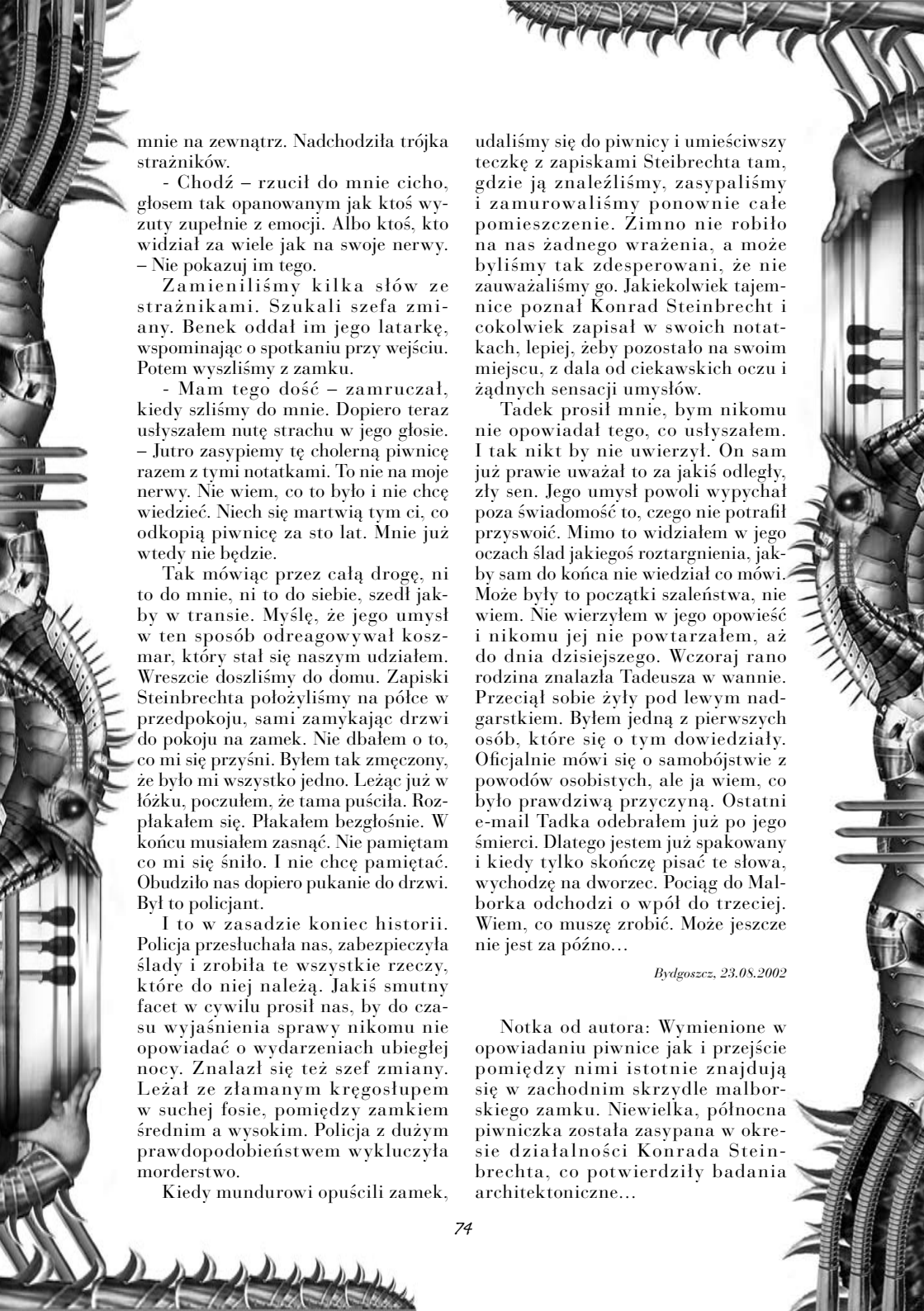
Przeszliśmy most i nie bacząc na słowa strażników ani na propozycje pożyczania latarki, ruszyliśmy do biura. W drzwiach spotkaliśmy szefa zmiany.

Kiwał się, jakby był zamroczony. Nie miał latarki. Dostrzeżliśmy jej blask z wnętrza budynku. Minął nas bez słowa i niemalże stoczył się z drewnianych schodków. Prawie po omacku weszliśmy do środka. Kierowaliśmy się ku światłu latarki. Gdzieś na progu mojej świadomości słyszałem głęboki oddech. Nie, to było jak dyszenie pełne złowrogiej satysfakcji. Mogło należeć do jakiegoś psychopaty, który właśnie dokonał zbrodni i napawał się jej widokiem.

Latarka leżała w progu gabinetu dyrektora. W samym pomieszczeniu panował rozgardiasz, jakby przeszedł przez nie gwałtowny przeciąg. I zimno przyprowadzające o ból skóry. Karty z zapiskami Steinbrechta leżały tu i tam, plansze z rysunkami spoczywały pod ścianami. Przy biurku siedziała jakaś postać. Podniosłem latarkę i poświeciłem w jej kierunku. Światło tylko na krótko oświetliło twarz dyrektora, zanim latarka wypadła mi pomiędzy bezwładnych palców. Upadając na dywan zgasła, ale zapamiętałem dobrze widok, który przez sekundę ujrzałem.

Przy biurku siedział dyrektor. Sino-blady z zamarzniętym szronem we włosach i sopelkami lodu na krótkiej brodzie. Jego półotwarte usta pełne były ściętej od zimna krwi a oczy zamglone i niewyraźne. Na twarzy zamarł strach. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić, co mogło tak przestraszyć pragmatycznego dyrektora. Jego koszula cała była obsypana szronem. Mężczyzna był martwy. Musiał być martwy.

Błysnęło światło. Benek odnalazł latarkę. Unikając świecenia w stronę biurka, chodził po pokoju, zbierając notatki Steinbrechta. Podawał mi je, a ja, niemal bezwiednie układałem je jedna na drugiej. Nie wiem jak to długo trwało. Przez cały czas bałem się patrzeć na ciemną sylwetkę dyrektora ale raz po raz spoglądałem nań i odwracałem wzrok od tego okropnego widoku. W końcu Benek zebrał wszystkie notatki i arkusze i delikatnie wyprowadził



mnie na zewnątrz. Nadchodziła trójka strażników.

- Chodź - rzucił do mnie cicho, głosem tak opanowanym jak ktoś wyzuty zupełnie z emocji. Albo ktoś, kto widział za wiele jak na swoje nerwy. - Nie pokazuj im tego.

Zamieniliśmy kilka słów ze strażnikami. Szukali szefa zmi- any. Benek oddał im jego latarkę, wspominając o spotkaniu przy wejściu. Potem wyszliśmy z zamku.

- Mam tego dość - zamruczał, kiedy szliśmy do mnie. Dopiero teraz usłyszałem nutę strachu w jego głosie. - Jutro zasypimy tę cholerną piwnicę razem z tymi notatkami. To nie na moje nerwy. Nie wiem, co to było i nie chcę wiedzieć. Niech się martwią tym ci, co odkopią piwnicę za sto lat. Mnie już wtedy nie będzie.

Tak mówiąc przez całą drogę, ni to do mnie, ni to do siebie, szedł jak- by w transie. Myślę, że jego umysł w ten sposób odreagowywał kosz- mar, który stał się naszym udziałem. Wreszcie doszliśmy do domu. Zapiski Steinbrechta położyliśmy na półce w przedpokoju, sami zamykając drzwi do pokoju na zamek. Nie dbałem o to, co mi się przyśni. Byłem tak zmęczony, że było mi wszystko jedno. Leżąc już w łóżku, poczułem, że tama puściła. Roz- płakałem się. Płakałem bezgłośnie. W końcu musiałem zasnąć. Nie pamiętam co mi się śniło. I nie chcę pamiętać. Obudziło nas dopiero pukanie do drzwi. Był to policjant.

I to w zasadzie koniec historii. Policja przesłuchiwała nas, zabezpieczyła ślady i zrobiła te wszystkie rzeczy, które do niej należą. Jakiś smutny facet w cywili prosił nas, by do cza- su wyjaśnienia sprawy nikomu nie opowiadać o wydarzeniach ubiegłej nocy. Znalazł się też szef zmiany. Leżał ze złamanym kręgosłupem w suchej fosie, pomiędzy zamkiem średnim a wysokim. Policja z dużym prawdopodobieństwem wykluczyła morderstwo.

Kiedy mundurowi opuścili zamek,

udaliśmy się do piwnicy i umieściwszy teczkę z zapiskami Steinbrechta tam, gdzie ją znaleźliśmy, zasypaliśmy i zamurowaliśmy ponownie całe pomieszczenie. Zimno nie robiło na nas żadnego wrażenia, a może byliśmy tak zdesperowani, że nie zauważaliśmy go. Jakiegolwiek tajem- nice poznał Konrad Steinbrecht i cokolwiek zapisał w swoich notat- kach, lepiej, żeby pozostało na swoim miejscu, z dala od ciekawskich oczu i żadnych sensacji umysłów.

Tadek prosił mnie, bym nikomu nie opowiadał tego, co usłyszałem. I tak nikt by nie uwierzył. On sam już prawie uważał to za jakiś odległy, zły sen. Jego umysł powoli wypychał poza świadomość to, czego nie potrafił przyswoić. Mimo to widziałem w jego oczach ślad jakiegoś roztargnienia, jak- by sam do końca nie wiedział co mówi. Może były to początki szaleństwa, nie wiem. Nie wierzyłem w jego opowieść i nikomu jej nie powtarzałem, aż do dnia dzisiejszego. Wczoraj rano rodzina znalazła Tadeusza w wannie. Przeciął sobie żyły pod lewym nad- garstkiem. Byłem jedną z pierwszych osób, które się o tym dowiedziały. Oficjalnie mówi się o samobójstwie z powodów osobistych, ale ja wiem, co było prawdziwą przyczyną. Ostatni e-mail Tadeka odebrałem już po jego śmierci. Dlatego jestem już spakowany i kiedy tylko skończę pisać te słowa, wychodzę na dworzec. Pociąg do Mal- borka odchodzi o wpół do trzeciej. Wiem, co muszę zrobić. Może jeszcze nie jest za późno...

Bydgoszcz, 23.08.2002

Notka od autora: Wymienione w opowiadaniu piwnice jak i przejście pomiędzy nimi istotnie znajdują się w zachodnim skrzydle malbor- skiego zamku. Niewielka, północna piwniczka została zasypana w okre- sie działalności Konrada Stein- brechta, co potwierdziły badania architektoniczne...

NADCHODZĄ

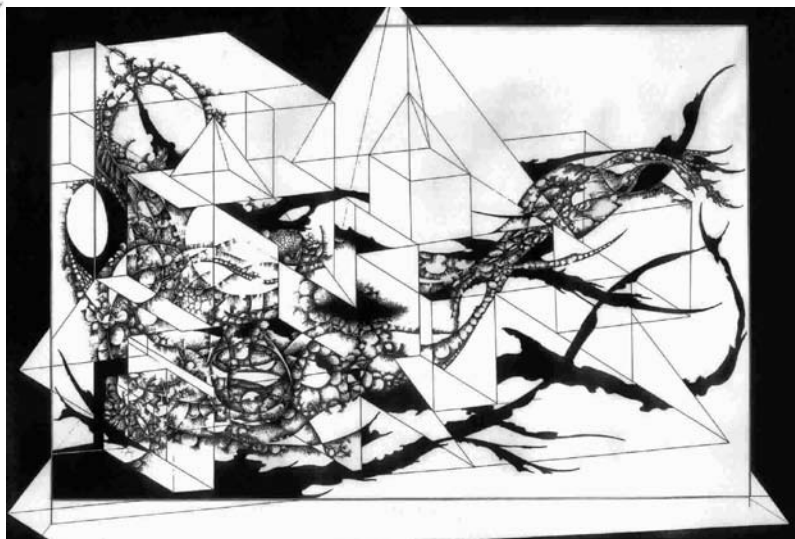
Tuż przed śmiercią chciałbym jeszcze spisać, w kilku może nie do końca zrozumiałych słowach, powód, dla którego to robię oraz swoje przemyślenia i ostatnią prośbę. Nigdy wam o tym nie wspominałem, moje drogie dzieci, ale macie jeszcze jednego brata. Nie przyszedł na ten świat z łona waszej matki, jednak to ja go spłodziłem dwie i pół dekady temu. Jest, również jak wy, człowiekiem z mojej krwi, no może nie do końca... ale może zacząć od samego początku.

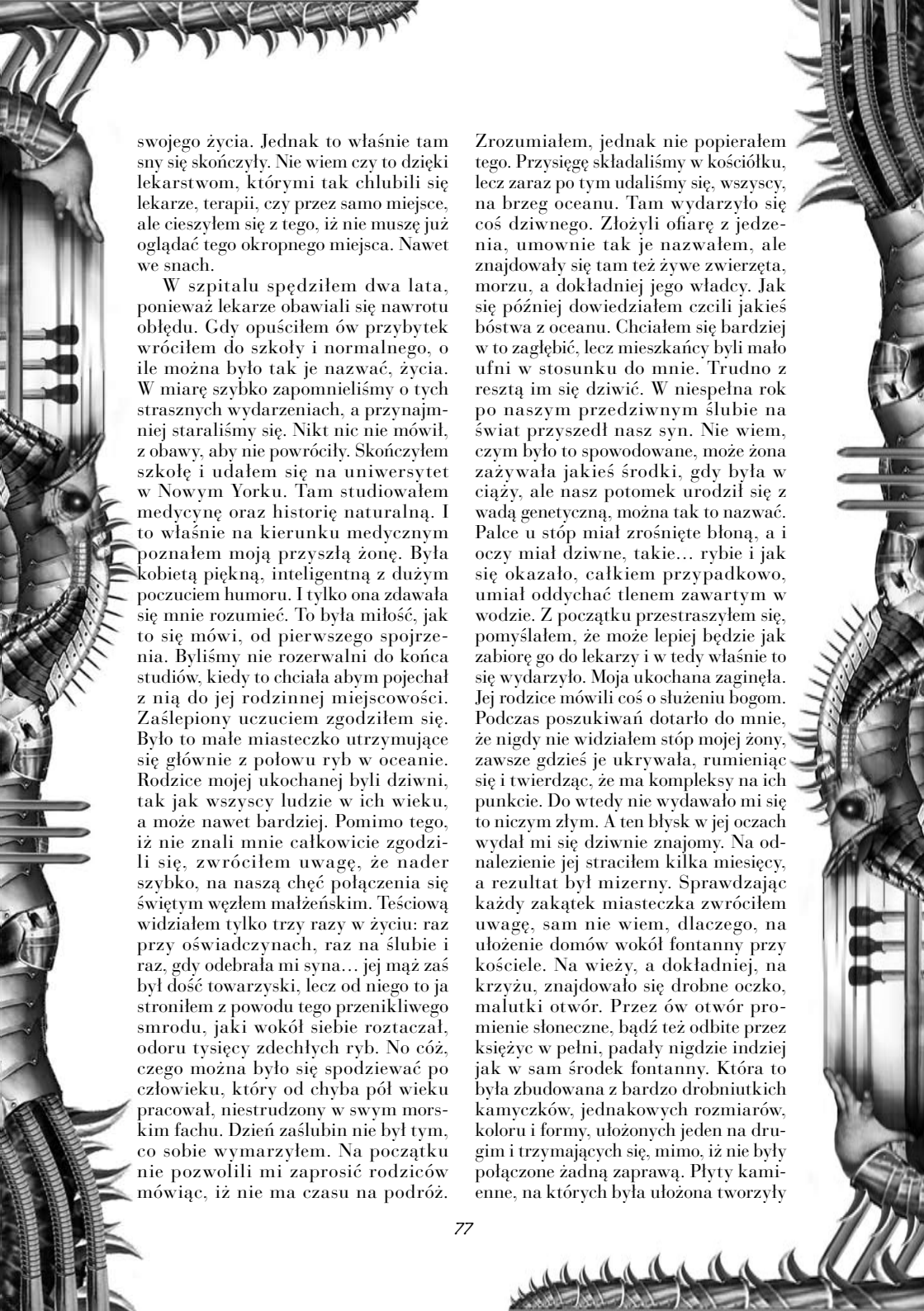
Już jako młody chłopiec okazywałem się nie rozumiały dla rówieśników, dlatego też jak sami wiecie nie miałem oraz nie mam zbyt wielu przyjaciół. Jednak mnie to nie przerażało, byłem zdolnym uczniem, a w domu pochłaniałem książki jedną za drugą. Rodzice i tym samym wasi dziadkowie, zastanawiali się czy jest ze mną wszystko w porządku. Nie wiedziałem jak ich zapewnić, że było. No, bo było, do czasu. Miałem chyba trzynaście lat, gdy po raz pierwszy to dostało się do moich snów. Myślałem, że to przez te wszystkie książki, lecz dopiero, gdy uświadomiłem sobie, iż nie czytałem żadnych woluminów o tak niepojętej zawartości przeraziło mnie to do szpiku kości. Obrazy tak potworne powtarzały się, co noc. Monumentalne budowle nie opuszczały mojej głowy nawet za dnia. Próbowalem przenieść tak jak je pamiętałem na kartki papieru. Większość z nich została zniszczona, gdy lekarze zabrali mnie do sanatorium. Tak to nazywali rodzice, jednak było to nic innego jak szpital dla umysłowo chorych. Gdzieś wśród swoich starych książek powinienem mieć kilka egzemplarzy, które udało mi się ocalić, a teraz żałuję, że nie spłonęły wraz z resztą. Ale wszystko po kolei. Każdej nocy zaraz po tym, gdy zasypiałem przenosiłem się gdzieś do jakiegoś nieznanego mi miasta. Miasta nie zbudowanego ludzką ręką. Żaden mężczyzna nie byłby w

stanie tego dokonać. Bloki, z których Egipcjanie budowali piramidy nie mogły być porównywane rozmiarami czy masą, z tymi, z których zbudowane były te masywne, sam nie wiem jak je nazwać, budynki. Owe miasto umieszczone było jakby pod wodą lub pod ziemią. Wszystkie moje ruchy były spowolnione, ale nie z powodu ciężaru mojego ciała. Jeśli chodzi o percepcję to również nie było się, czym chwalić. Może wpływ na to wszystko miało to, iż to był sen, obrazy wytworzone przez moją własną chyba już chorą podświadomość, czy wyobraźnię, a może nie. Wszystko wskazywałoby na to, że to miasto pochłonęły najgłębsze morza gdyby nie to, iż bez żadnych problemów mogłem oddychać powietrzem. Jednak wracając do tego, co było najbardziej przerażające. Budowle przyjmowały najrozmaitsze kształty, których nawet najwspanialszy filozofowie czy matematycy nie potrafiliby nazwać. Od najprostszych brył geometrycznych po coś, czego ja sam nie byłem i nadal nie jestem w stanie sklasyfikować. Kształty przechodziły z jednych w drugie budowla mająca za podstawę owal, przeobrażała poszczególne, kolejne, swoje części w stożek, czy sześcian, szczyt natomiast był czymś w rodzaju pięciokąta, jednak patrząc z innych stron wydawało się, iż jest to siedmio lub nawet ośmiokąt. W każdej budowli kąty wkleśłe przemieniały się w rozwarte. Oko ludzkie nie jest w stanie tego dostrzec w całej okazałości, a rozum nie jest w stanie tego pojąć. No, bo w końcu jak to możliwe? Może geometria nie była moją najmocniejszą stroną w szkole, jednak mimo tego nawet ja wiedziałem, że coś takiego nie ma prawa istnieć. Miasto to powtarzało się w mych snach wiele razy, a do tego ja miałem możliwość spacerowania i podziwiania tego, co sam zechciałem. Pomimo, iż było to ciągle sny – a może właśnie nie – w pewnym sensie miałem

władzę nad nimi, to znaczy nad moją własną osobą. Nie mogłem tylko zrobić jednego, opuścić tych od dawna nie zamieszkiwanych ruin. To, co się stało jednej nocy podczas projekcji snu było nie uniknione. Prędzej czy później musiałem to uczynić. Mniej więcej na środku usytuowany był budynek, który w naszych, to jest ludzkich kulturach, mógłby uchodzić za świątynię. Trudno było mi ustalić jak wysoki był sam w sobie, jednakże patrząc na niego wydawało się jakby nie miał końca. Piał się w górę i w górę, zupełnie jak budowle gotyckie. W ścianach znajdowały się otwory o przeróżnych kształtach, były to zapewne okna. Ż tym, że znajdowały się na tyle wysoko, iż nie byłem w stanie przez nie zajrzeć do środka. Od frontu znajdowały się ogromne, kamienne drzwi. Dokładnie zamknięte. Na nich zaś wyrze były jakieś niesamowite, dziwne i zarazem obrzydliwe znaki wokół okropnie przerażającej płaskorzeźby przedstawiającej, zaryzykowałbym stwierdzenie, pół człowieka – pół rybę. Oblicze to było tak brzydkie, że miało chyba odstraszać potencjalnych chętnych do zbadania świątyni. Jednak ten, kto wyrzył na drzwiach

tą przestrożę nie wziął pod uwagę jak fascynująca może się okazać dla zwykłych śmiertelników będących kolekcjonerami lub badaczami antycznych budowli. Jako właśnie taki młody i ciekawy świata dzieciak nie mogłem się powstrzymać. Drzwi ani drgnęły, więc postanowiłem poszukać innej drogi, aby się tam dostać. Gdy tak obchodziłem świątynię dookoła, zauważyłem promień wpadający do środka przez niewielkich rozmiarów szczelinę pomiędzy kamiennymi bryłami. Staralem się wydrążyć większy otwór, lecz nie na wiele to się zdało. Doszedłem do wniosku, że jest to jedyna możliwość zajrzeć do środka. Przyłożyłem, więc oko do takiej dziury, jaka była, a to, co spostrzegłem wyprowadziło mnie z równowagi psychicznej na długi czas. Płaskorzeźba nie oddawała w pełni okropności tego, co ujrzałem. Dziwna, wydawałoby się, lepka masa z łuskami pokrywającymi całe... ciało (?) ... para skrzydeł wyrastających gdzieś z tyłu korpusu, ogromne łapy, z wielkimi pazurami i te ślepie. Masa ta przelewała się i nie utrzymywała stałego kształtu. To wydarzenie opisane rodzicom przyczyniło się do mojego pobytu w szpitalu, w którym straciłem kilka lat






swojego życia. Jednak to właśnie tam sny się skończyły. Nie wiem czy to dzięki lekarstwu, którymi tak chlubil się lekarze, terapii, czy przez samo miejsce, ale cieszyłem się z tego, iż nie muszę już oglądać tego okropnego miejsca. Nawet we snach.

W szpitalu spędziłem dwa lata, ponieważ lekarze obawiali się nawrotu obłąd. Gdy opuściłem ów przybytek wróciłem do szkoły i normalnego, o ile można było tak je nazwać, życia. W miarę szybko zapomnieliśmy o tych strasznych wydarzeniach, a przynajmniej staraliśmy się. Nikt nie nie mówił, z obawy, aby nie powrócili. Skończyłem szkołę i udałem się na uniwersytet w Nowym Yorku. Tam studiowałem medycynę oraz historię naturalną. I to właśnie na kierunku medycznym poznałem moją przyszłą żonę. Była kobietą piękną, inteligentną z dużym poczuciem humoru. I tylko ona zdawała się mnie rozumieć. To była miłość, jak to się mówi, od pierwszego spojrzenia. Byliśmy nie roztaczalni do końca studiów, kiedy to chciała abym pojechał z nią do jej rodzinnej miejscowości. Zaślepiiony uczuciem zgodziłem się. Było to małe miasteczko utrzymujące się głównie z połowu ryb w oceanie. Rodzice mojej ukochanej byli dziwni, tak jak wszyscy ludzie w ich wieku, a może nawet bardziej. Pomimo tego, iż nie znali mnie całkowicie zgodzili się, zwróciłem uwagę, że nader szybko, na naszą chęć połączenia się świętym węzłem małżeńskim. Teściową widziałem tylko trzy razy w życiu: raz przy oświadczeniach, raz na ślubie i raz, gdy odebrała mi syna... jej mąż zaś był dość towarzyski, lecz od niego to ja stroniłem z powodu tego przenikliwego smrodu, jaki wokół siebie roztaczał, odoru tysięcy zdechłych ryb. No cóż, czego można było się spodziewać po człowieku, który od chyba pół wieku pracował, niestrudzony w swym morskim fachu. Dzień zaślubin nie był tym, co sobie wymarzyłem. Na początku nie pozwolili mi zaprosić rodziców mówiąc, iż nie ma czasu na podróż.

Zrozumiałem, jednak nie popierałem tego. Przysięgę składaliśmy w kościółku, lecz zaraz po tym udaliśmy się, wszyscy, na brzeg oceanu. Tam wydarzyło się coś dziwnego. Złożyli ofiarę z jedzenia, umownie tak je nazwałem, ale znajdowały się tam też żywe zwierzęta, morzu, a dokładniej jego władcy. Jak się później dowiedziałem czcili jakieś bóstwa z oceanu. Chciałem się bardziej w to zagłębić, lecz mieszkańcy byli mało ufni w stosunku do mnie. Trudno z resztą im się dziwić. W niespełna rok po naszym przedziwnym ślubie na świat przyszedł nasz syn. Nie wiem, czym było to spowodowane, może żona zażywała jakieś środki, gdy była w ciąży, ale nasz potomek urodził się z wadą genetyczną, można tak to nazwać. Palce u stóp miał zrosnięte błoną, a i oczy miał dziwne, takie... rybie i jak się okazało, całkiem przypadkowo, umiał oddychać tlenem zawartym w wodzie. Z początku przestraszyłem się, pomyślałem, że może lepiej będzie jak zabiorę go do lekarzy i w tedy właśnie to się wydarzyło. Moja ukochana zaginęła. Jej rodzice mówili coś o służeniu bogom. Podczas poszukiwań dotarło do mnie, że nigdy nie widziałem stóp mojej żony, zawsze gdzieś je ukrywała, rumieniąc się i twierdząc, że ma kompleksy na ich punkcie. Do wtedy nie wydawało mi się to niczym złym. A ten błysk w jej oczach wydal mi się dziwnie znajomy. Na odnalezienie jej straciłem kilka miesięcy, a rezultat był mizerny. Sprawdzając każdy zakątek miasteczka zwróciłem uwagę, sam nie wiem, dlaczego, na ułożenie domów wokół fontanny przy kościele. Na wieży, a dokładniej, na krzyżu, znajdowało się drobne oczko, małe otwór. Przez ów otwór promienie słoneczne, bądź też odbite przez księżyc w pełni, padały nigdzie indziej jak w sam środek fontanny. Która to była zbudowana z bardzo drobnutkich kamyczków, jednakowych rozmiarów, koloru i formy, ułożonych jeden na drugim i trzymających się, mimo, iż nie były połączone żadną zaprawą. Płyty kamienne, na których była ułożona tworzyły



kształt gwiazdy pięcioramienną, na rogach, której mieściły się kościółek i cztery domy z dziwnymi, odrobinę podobnymi do tych z świątyni ze snu, symbolami wrytymi na drzwiach. W tamtym momencie w mojej głowie, sam nie wiem skąd, może z tych setek przeczytanych w życiu książek, pojawiło się coś okropnego. Już wiedziałem, co to jest. Jednak nie próbowałem sobie, za nic w świecie, wyobrazić jak straszne i potężne istoty mogą w tym miejscu, przy sprzyjających okolicznościach i warunkach, pojawić się. Myśl o tym sprawiła, że pobiegłem po syna i skoro moja żona nie żyła lub służyła bogom, jak twierdzili moi teściowie, to chciałem, chociaż jego uratować. W tym miejscu wkroczyła matka zaginionej, nie pozwalając mi na to. Stwierdziła, że gdy będzie on na tyle dojrzały to nawiąże z mną kontakt. Ponieważ miała za sobą kilku wyrośniętych przyjaciół, mieszkańców miasteczka, zrezygnowałem. Wyjechałem tego samego dnia i już nigdy ich nie widziałem.

Wróciłem tu do domu i do rodziców. Ostatniego roku mojego życia nikomu nie opowiadałem, aż do dziś. Dwa lata później spotkałem waszą matkę i zakochałem się w sobie. Równie szybko jak pobraliśmy się pojawiło się nam potomstwo. Lata mijały, a ja coraz mniej myślałem o wydarzeniach z tamtego miasteczka. Oczywiście moja żona, a wasza matka, nic nie wiedziała o zajęciach po uniwersytecie. Żyło się nam dobrze, sami to przyznacie, do czasu, kiedy to moja ukochana zachorowała. Było to mniej więcej tydzień po tym jak otrzymałem pierwszy list od mojego dorosłego już syna. Wraz z chorobą zaczęły się kolejne sny. Może nie tak przerażające jak te, które śniły mi się, gdy byłem dzieckiem, lecz na swój sposób również okropne. Matka czuła się z dnia na dzień coraz gorzej, a ja nie wiedziałem jak jej pomóc. Lekarze orzekli zapalenie opon mózgowych. Zaledwie po pół roku zmarła we śnie. A listy od mojego pierwszoroznego przychodziły jeden za drugim. Opisywał

w nich siebie, swoje życie z dziadkami w miasteczku oraz ogromną chęć poznania mnie. Ja tym czasem przeżywałem katordzę odbywającą się każdej nocy. Sny jasno i otwarcie mówiły mi, że coś wielkiego się zbliża. Planety, gwiazdy ich specyficzny układ, szum fal i głębiny morskie, budowle z piekła rodem i ta... ogromna, ciągle zmieniająca kształt masa, która – rękę dałbym sobie uciąć – patrzyła mi prosto w oczy, a wokół mnie pobrzmiwał ten okropny, sznyderczy śmiech. Powstający sam nie wiem gdzie, może w mojej głowie. Przekaz ze snów był czytelny, zbliża się godzina i dzień Księżyca, kiedy to słońce znajdzie się w skorpionie. Owego dnia wszystkie gwiazdy na niebie zblakną, księżyc już nigdy więcej nie odbije ni jednego promienia słonecznego, a wszystkie słońca staną się czarne i będzie to godzina ich wschodu. Oceany zaleją każdy kontynent, z ziemi wydobywać się będzie ogień w czystej postaci, który zaleje to, co stworzone. I wtedy to będziemy widzieć, jeżeli ktoś przeżyje potop wody i ognia, ich niesamowicie okropne i przerażające ciała stworzone jakby z czegoś, co nie stworzyła ziemia. Staniemy przed ich obliczem i szaleństwo nas pochłonie. Żywioty przyjdą im z pomocą i panować będą po wszechczas. A co gorsza wiem, i tylko ja to wiem, że ten dzień się zbliża, a śmierć jest nieunikniona.

Rozumiecie, mam nadzieję, teraz moje drogie dzieci przyczyny mojego postępowania. Nie mogę patrzeć na dzień apokalipsy, który jest dużo okropniejszy od dnia sądnego przepowiedzianego w biblii, gdyż przeżyłem go dziesiątki razy w moich snach. Jestem już stary i może lekarze mieli rację mówiąc, iż jestem obłąkany, jednak wiem, co nastąpi... mam do was tylko jedną prośbę, w środę to jest dwudziestego pierwszego przyjeżdża mój syn, pierworodny, chciałbym abyście przyjeśli go jak członka rodziny, ja sam nie będę w stanie. Żegnajcie moi drodzy i módlcie się abym się mylił...

(grudzień 2002 r. – styczeń 2003 r.)

WAMPIR Z LOVLISY

I SPOTKANIE

Promienie odbijane przez księżyc ledwo przedostawały się przez zachmurzone niebo. Jedyne światło w tym miejscu dawała przygasająca już oliwna lamp uliczna. W cieniu ściany z kamienia słychać było ciche odgłosy szamotaniny. Błysk lśniącego ostrza i zadławiony krzyk kobiecy. Ostatnie, co pamiętam ze snu to postać mężczyzny pochylającą się nad swoją ofiarą.

Rano zjadłem w pośpiechu śniadanie, przejrzałem gazetę sprzed kilku dni i wyszedłem. Miejsce wyglądało zupełnie jak w moim śnie. To tu została brutalnie zabita młoda kobieta. Zadziwiające jest to, iż choć złapano mordercę to nikt z konkurencyjnych gazet nie próbował się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. Ja będę pierwszy. Napiszę artykuł taki, którego inni dziennikarze będą mi zazdrościć. Znajomości w policji pomoga mi w tym, tak jak już nieraz bywało.

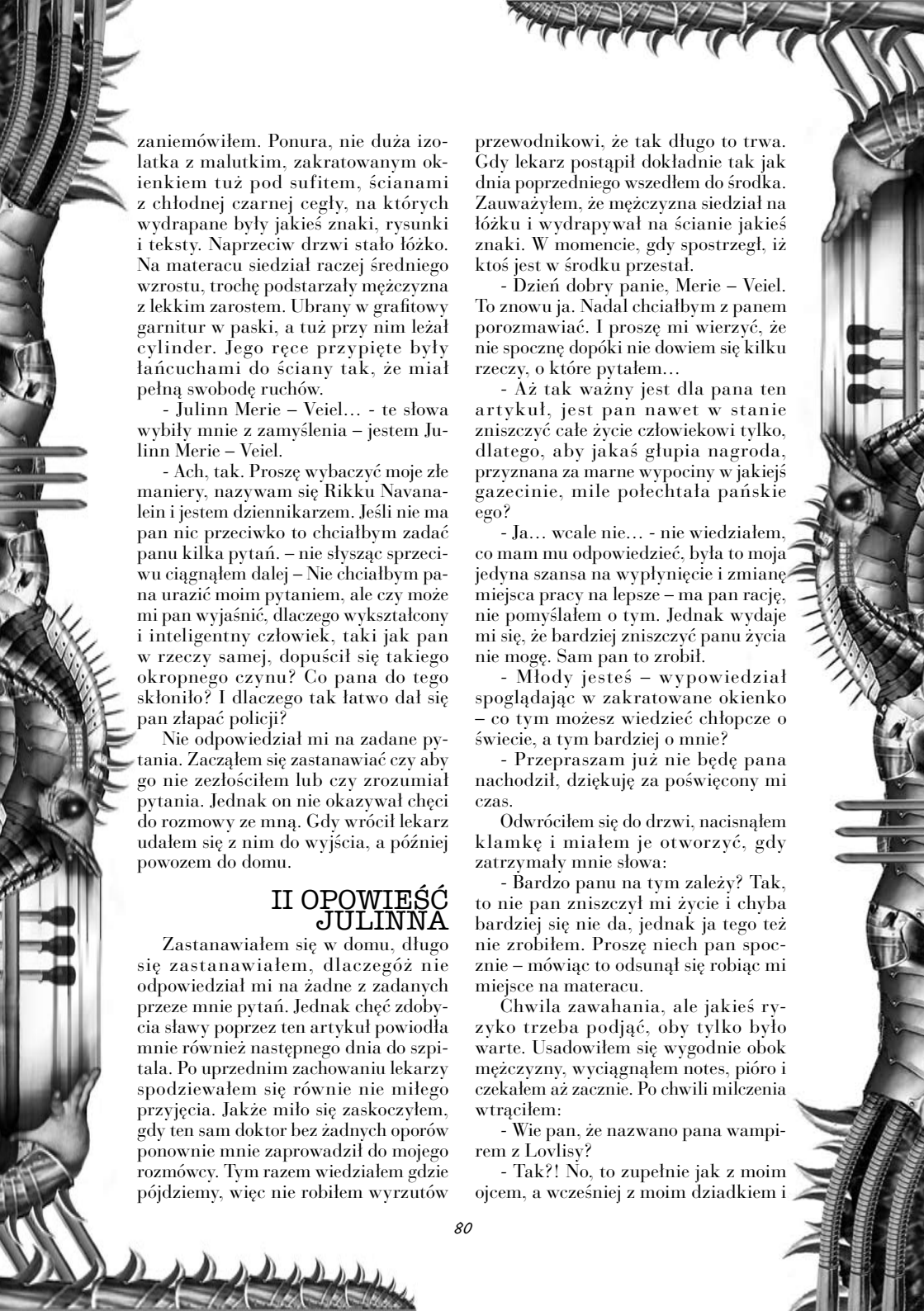
Z raportu policyjnego dowiedziałem się, że morderca o dziwo nie znajduje się w więzieniu, lecz w szpitalu psychiatrycznym na peryferiach miasta Lovlisa. Nigdy nie lubiłem tego miejsca, bo choć mamy już połowę dziewiętnastego stulecia to metody stosowane tam przerażały mnie za każdym razem, gdy o nich słyszałem, a teraz przyjdzie mi się tam udać. Kolejną i zarazem ostatnią naprawdę ważną informacją, którą znalazłem w raporcie, było to, iż ofiara znaleziona została z dużym ubytkiem krwi i dwiema ranami. Jedną kłutą, od której najprawdopodobniej umarła, i jedną ciętą w okolicy szyi. Koroner donosił, że gdyby kobieta nie zgineła od rany brzucha, to z pewnością wykrawiliby się na śmierć, z powodu przycięcia tętnicy szyjnej, nim otrzymałaby jakąkolwiek pomoc.

W drodze do szpitala rozmyślałem nad całym tym wydarzeniem, tym, co znalazłem w raporcie i robiłem notatki. Woźnica był młody i widać niezbyt

doświadczony, a do tego droga była w nienajlepszym stanie, co utrudniało mi sporządzanie zapisków w moim notesie. Jednak podróż nie trwała zbyt długo, a na uprzejmość młodzieńca nie mam, co narzekać.

Lekarze natomiast już nie byli tacy mili, ale nie można im się dziwić, w końcu tyle czasu przebywają razem z ludźmi podupadłymi na rozumie, a to nie łatwa sztuka. Muszą mieć nerwy ze stali, za to odbija się to na ludziach takich jak ja. Bardzo współczuję rodzinom tych lekarzy. Oprócz tego, że nie byli zbyt grzeczni wobec mnie, to również bardzo odradzali mi wizytę w izolatce tego mężczyzny, zarazem coraz mocniej zaciekawiając mnie. W końcu jeden z nich, w dezaprobie swoich kolegów, zgodził się mnie tam zaprowadzić. Szliśmy wzdłuż pokoi różnych wariatów, krzyki i dziwne hałasy dobywające się zza drzwi sprawiały, że przez całe moje ciało przechodziły ciarki. Korytarz był długi i gdy po kilku minutach marszu w milczeniu właśnie chciałem się zapytać jak długo będziemy jeszcze szli, prowadzący mnie lekarz przystanął i zaczął szukać odpowiedniego klucza do drzwi. Gdy się otwarły byłem podekscytowany tym, co miałem za nimi ujrzeć. Jednak to, co za nimi się znajdowało rozczarowało mnie i lekko rozdrażniło. Schody w dół prowadzące gdzie... do podziemi? Znajdowały się tam izolatki dla najmniejbezpiecznych pacjentów. I w końcu stanęliśmy przed drzwiami z numerem trzysta siedem. To za nimi przebywał mężczyzna, którego tak pragnąłem ujrzeć i przeprowadzić z nim rozmowę. Po otwarciu zamka lekarz stwierdził, że pacjent przywiązany jest do łóżka i nic mi nie jest w stanie zrobić, a on sam wróci za pół godziny, aby sprawdzić jak mi idzie.

Naciśnąłem dużą, mosiężną klamkę i otworzyłem drzwi. To, co ujrzałem wchodząc do środka sprawiło, że



zaniemówilem. Ponura, nie duża izolotka z malutkim, zakratowanym okienkiem tuż pod sufitem, ścianami z chłodnej czarnej cegły, na których wydrapane były jakieś znaki, rysunki i teksty. Naprzeciw drzwi stało łóżko. Na materacu siedział raczej średniego wzrostu, trochę podstarzały mężczyzna z lekkim zarostem. Ubrany w grafitowy garnitur w paski, a tuż przy nim leżał cylinder. Jego ręce przypięte były łańcuchami do ściany tak, że miał pełną swobodę ruchów.

- Julinn Merie – Veiel... - te słowa wybiły mnie z zamyślenia – jestem Julinn Merie – Veiel.

- Ach, tak. Proszę wybaczyć moje złe maniery, nazywam się Rikku Navanalein i jestem dziennikarzem. Jeśli nie ma pan nic przeciwko to chciałbym zadać panu kilka pytań. – nie słysząc sprzeciwu ciągnąłem dalej – Nie chciałbym pana urazić moim pytaniem, ale czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego wykształcony i inteligentny człowiek, taki jak pan w rzeczy samej, dopuścił się takiego okropnego czynu? Co pana do tego skłoniło? I dlaczego tak łatwo dał się pan złapać policji?

Nie odpowiedział mi na zadane pytania. Zacząłem się zastanawiać czy aby go nie zezłościłem lub czy zrozumiał pytania. Jednak on nie okazywał chęci do rozmowy ze mną. Gdy wrócił lekarz udałem się z nim do wyjścia, a później powozem do domu.

II OPOWIEŚĆ JULINNA

Zastanawiałem się w domu, długo się zastanawiałem, dlaczegoż nie odpowiedział mi na żadne z zadanych przeze mnie pytań. Jednak chęć zdobycia sławy poprzez ten artykuł powiodła mnie również następnego dnia do szpitala. Po poprzednim zachowaniu lekarzy spodziewałem się równie nie miłego przyjęcia. Jakże miło się zaskoczyłem, gdy ten sam doktor bez żadnych oporów ponownie mnie zaprowadził do mojego rozmówcy. Tym razem wiedziałem gdzie pójdziemy, więc nie robiłem wyrzutów

przewodnikowi, że tak długo to trwa. Gdy lekarz postąpił dokładnie tak jak dnia poprzedniego wszedłem do środka. Zauważyłem, że mężczyzna siedział na łóżku i wydrapywał na ścianie jakieś znaki. W momencie, gdy spostrzegł, iż ktoś jest w środku przestał.

- Dzień dobry panie, Merie – Veiel. To znowu ja. Nadal chciałbym z panem porozmawiać. I proszę mi wierzyć, że nie spocznę dopóki nie dowiem się kilku rzeczy, o które pytałem...

- Aż tak ważny jest dla pana ten artykuł, jest pan nawet w stanie zniszczyć całe życie człowiekowi tylko, dlatego, aby jakaś głupia nagroda, przyznana za marne wypociny w jakiejś gazecie, mile polechła pańskie ego?

- Ja... wcale nie... - nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć, była to moja jedyna szansa na wypłynięcie i zmianę miejsca pracy na lepsze – ma pan rację, nie pomyślałem o tym. Jednak wydaje mi się, że bardziej zniszczyć panu życia nie mogę. Sam pan to zrobił.

- Młody jesteś – wypowiadając spoglądając w zakratowane okienko – co tym możesz wiedzieć chłopcze o świecie, a tym bardziej o mnie?

- Przepraszam już nie będę pana nachodził, dziękuję za poświęcony mi czas.

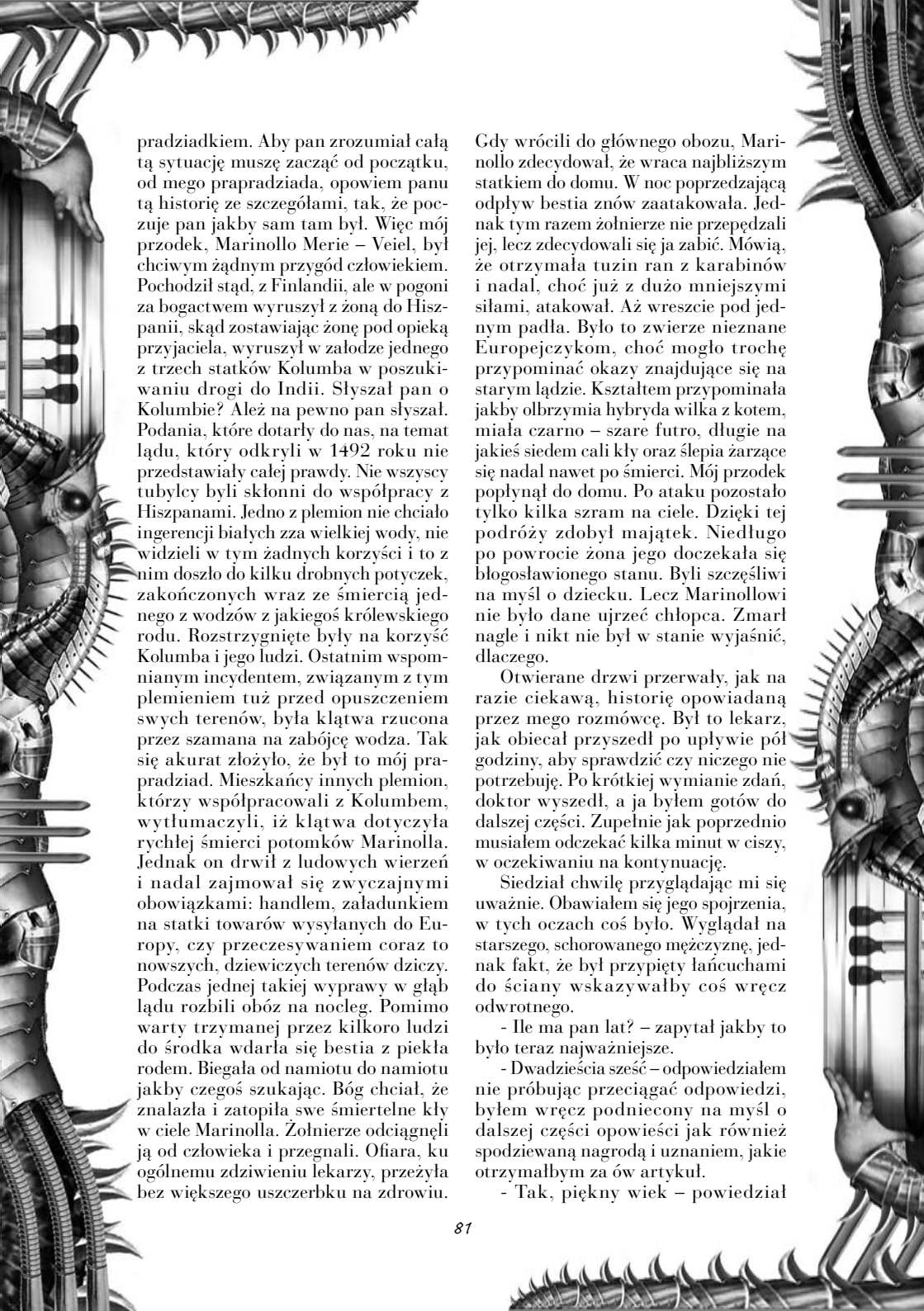
Odwróciłem się do drzwi, nacisnąłem klamkę i miałem je otworzyć, gdy zatrzymały mnie słowa:

- Bardzo panu na tym zależy? Tak, to nie pan zniszczył mi życie i chyba bardziej się nie da, jednak ja tego też nie zrobiłem. Proszę niech pan spocznie – mówiąc to odsunął się robiąc mi miejsce na materacu.

Chwila zawahania, ale jakieś ryzyko trzeba podjąć, oby tylko było warte. Usadowiłem się wygodnie obok mężczyzny, wyciągnąłem notes, pióro i czekałem aż zacznie. Po chwili milczenia wtrąciłem:

- Wie pan, że nazwano pana wampirem z Lovlisy?

- Tak?! No, to zupełnie jak z moim ojcem, a wcześniej z moim dziadkiem i



pradziadkiem. Aby pan zrozumiał całą tą sytuację muszę zacząć od początku, od mego prapradziada, opowiem panu tą historię ze szczegółami, tak, że poczuje pan jakby sam tam był. Więc mój przodek, Marinollo Merie – Veiel, był checiwym żadnym przygód człowiekiem. Pochodził stąd, z Finlandii, ale w pogoni za bogactwem wyruszył z żoną do Hiszpanii, skąd zostawiając żonę pod opieką przyjaciela, wyruszył w załozę jednego z trzech statków Kolumba w poszukiwaniu drogi do Indii. Słyszał pan o Kolumbie? Ależ na pewno pan słyszał. Podania, które dotarły do nas, na temat łądu, który odkryli w 1492 roku nie przedstawiały całej prawdy. Nie wszyscy tubylcy byli skłonni do współpracy z Hiszpanami. Jedno z plemion nie chciało ingerencji białych zza wielkiej wody, nie widzieli w tym żadnych korzyści i to z nim doszło do kilku drobnych potyczek, zakończonych wraz ze śmiercią jednego z wodzów z jakiegoś królewskiego rodu. Rozstrzygnięte były na korzyść Kolumba i jego ludzi. Ostatnim wspomnianym incydentem, związanym z tym plemieniem tuż przed opuszczeniem swych terenów, była kłątwa rzucona przez szamana na zabójcę wodza. Tak się akurat złożyło, że był to mój prapradziad. Mieszkańcy innych plemion, którzy współpracowali z Kolumbem, wytłumaczyli, iż kłątwa dotyczyła rychłej śmierci potomków Marinolla. Jednak on drwił z ludowych wierzeń i nadal zajmował się zwyczajnymi obowiązkami: handlem, załadunkiem na statki towarów wysyłanych do Europy, czy przeczesywaniem coraz to nowszych, dziewiczych terenów dziczy. Podczas jednej takiej wyprawy w głąb łądu rozbili obóz na nocleg. Pomimo warty trzymanej przez kilkoro ludzi do środka wdarła się bestia z piekła rodem. Biegala od namiotu do namiotu jakby czegoś szukając. Bóg chciał, że znalazła i zatopila swe śmiertelne kły w ciele Marinolla. Żołnierze odciągnęli ją od człowieka i przegnali. Ofiara, ku ogólnemu zdziwieniu lekarzy, przeżyła bez większego uszczerbku na zdrowiu.

Gdy wrócili do głównego obozu, Marinollo zdecydował, że wraca najbliższym statkiem do domu. W noc poprzedzającą odpływ bestia znów zaatakowała. Jednak tym razem żołnierze nie przepędzali jej, lecz zdecydowali się ją zabić. Mówią, że otrzymała tuzin ran z karabinów i nadal, choć już z dużo mniejszymi siłami, atakował. Aż wreszcie pod jednym padła. Było to zwierze nieznane Europejczykom, choć mogło trochę przypominać okazy znajdujące się na starym łądzie. Kształtem przypominała jakby olbrzymia hybryda wilka z kotem, miała czarno – szare futro, długie na jakieś siedem cali kły oraz ślepia żarzące się nadal nawet po śmierci. Mój przodek popłynął do domu. Po ataku pozostało tylko kilka szram na ciele. Dzięki tej podróży zdobył majątek. Niedługo po powrocie żona jego doczekała się błogosławionego stanu. Byli szczęśliwi na myśl o dziecku. Lecz Marinollowi nie było dane ujrzeć chłopca. Zmarł nagle i nikt nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego.

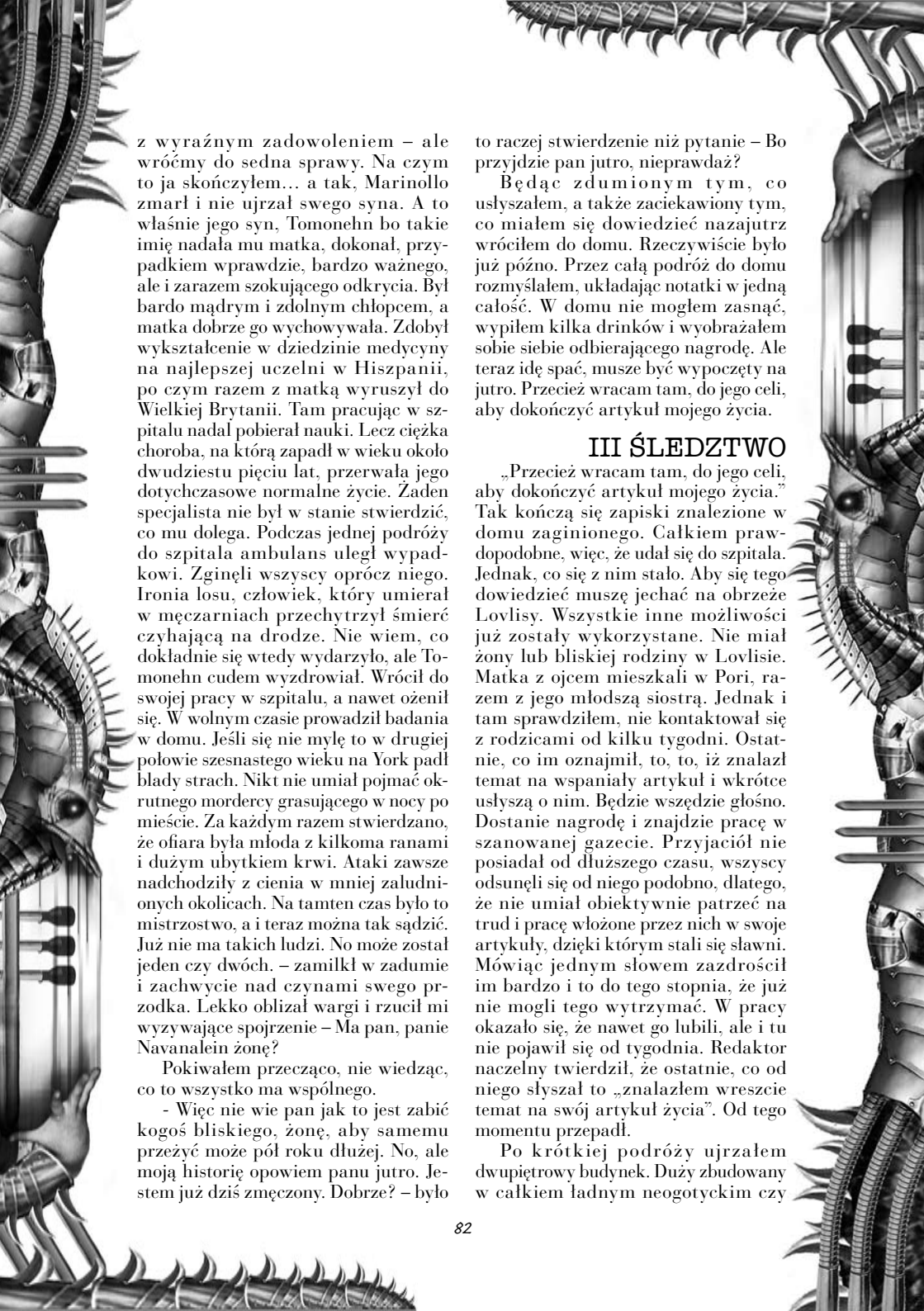
Otwierane drzwi przerwały, jak na razie ciekawą, historię opowiadaną przez mego rozmówcę. Był to lekarz, jak obiecał przyszedł po upływie pół godziny, aby sprawdzić czy niczego nie potrzebuje. Po krótkiej wymianie zdań, doktor wyszedł, a ja byłem gotów do dalszej części. Zupełnie jak poprzednio musiałem odczekać kilka minut w ciszy, w oczekiwaniu na kontynuację.

Siedział chwilę przyglądając mi się uważnie. Obawiałem się jego spojrzenia, w tych oczach coś było. Wyglądał na starszego, schorowanego mężczyznę, jednak fakt, że był przypięty łańcuchami do ściany wskazywałby coś wręcz odwrotnego.

- Ile ma pan lat? – zapytał jakby to było teraz najważniejsze.

- Dwadzieścia sześć – odpowiedziałem nie próbując przeciągać odpowiedzi, byłem wręcz podniecony na myśl o dalszej części opowieści jak również spodziewana nagroda i uznanie, jakie otrzymałbym za ów artykuł.

- Tak, piękny wiek – powiedział



z wyraźnym zadowoleniem – ale wróćmy do sedna sprawy. Na czym to ja skończyłem... a tak, Marinollo zmarł i nie ujrzał swego syna. A to właśnie jego syn, Tomonehn bo takie imię nadała mu matka, dokonał, przypadkiem wprowadzie, bardzo ważnego, ale i zarazem szokującego odkrycia. Był bardo mądrym i zdolnym chłopcem, a matka dobrze go wychowywała. Zdobył wykształcenie w dziedzinie medycyny na najlepszej uczelni w Hiszpanii, po czym razem z matką wyruszył do Wielkiej Brytanii. Tam pracując w szpitalu nadal pobierał nauki. Lecz ciężka choroba, na którą zapadł w wieku około dwudziestu pięciu lat, przerwała jego dotychczasowe normalne życie. Żaden specjalista nie był w stanie stwierdzić, co mu dolega. Podczas jednej podróży do szpitala ambulans uległ wypadkowi. Zginęli wszyscy oprócz niego. Ironia losu, człowiek, który umierał w męczarniach przechytrzył śmierć czyhającą na drodze. Nie wiem, co dokładnie się wtedy wydarzyło, ale Tomonehn cudem wyzdrowiał. Wrócił do swojej pracy w szpitalu, a nawet ożenił się. W wolnym czasie prowadził badania w domu. Jeśli się nie mylę to w drugiej połowie szesnastego wieku na York padł blady strach. Nikt nie umiał pojąć okrutnego mordercy grasującego w nocy po mieście. Za każdym razem stwierdzano, że ofiara była młoda z kilkoma ranami i dużym ubytkiem krwi. Ataki zawsze nadechodziły z cienia w mniej zaludnionych okolicach. Na tamten czas było to mistrzostwo, a i teraz można tak sądzić. Już nie ma takich ludzi. No może został jeden czy dwóch. – zamilkł w zadumie i zachwycie nad czynami swego przodka. Lekko oblizał wargi i rzucił mi wyzywające spojrzenie – Ma pan, panie Navanalein żonę?

Pokiwałem przecząco, nie wiedząc, co to wszystko ma wspólnego.

- Więc nie wie pan jak to jest zabić kogoś bliskiego, żonę, aby samemu przeżyć może pół roku dłużej. No, ale moją historię opowiem panu jutro. Jestem już dziś zmęczony. Dobrze? – było

to raczej stwierdzenie niż pytanie – Bo przyjdzie pan jutro, nieprawdaż?

Będąc zdumionym tym, co usłyszałem, a także zaintrygowany tym, co miałem się dowiedzieć nazajutrz wróciłem do domu. Rzeczywiście było już późno. Przez całą podróż do domu rozmyślałem, układając notatki w jedną całość. W domu nie mogłem zasnąć, wypilem kilka drinków i wyobrażałem sobie siebie odbierającego nagrodę. Ale teraz idę spać, muszę być wypoczęty na jutro. Przecież wracam tam, do jego celi, aby dokończyć artykuł mojego życia.

III ŚLEDZTWO

„Przecież wracam tam, do jego celi, aby dokończyć artykuł mojego życia.” Tak kończą się zapiski znalezione w domu zaginionego. Całkiem prawdopodobne, więc, że udał się do szpitala. Jednak, co się z nim stało. Aby się tego dowiedzieć muszę jechać na obrzeże Lovlisy. Wszystkie inne możliwości już zostały wykorzystane. Nie miał żony lub bliskiej rodziny w Lovlisie. Matka z ojcem mieszkali w Pori, razem z jego młodszą siostrą. Jednak i tam sprawdziłem, nie kontaktował się z rodzicami od kilku tygodni. Ostatnie, co im oznajmił, to, to, iż znalazł temat na wspaniały artykuł i wkrótce usłyszą o nim. Będzie wszędzie głośno. Dostanie nagrodę i znajdzie pracę w szanowanej gazecie. Przyjaciół nie posiadał od dłuższego czasu, wszyscy odsunęli się od niego podobno, dlatego, że nie umiał obiektywnie patrzeć na trud i pracę włożone przez nich w swoje artykuły, dzięki którym stali się sławni. Mówiąc jednym słowem zazdrościł im bardzo i to do tego stopnia, że już nie mogli tego wytrzymać. W pracy okazało się, że nawet go lubili, ale i tu nie pojawił się od tygodnia. Redaktor naczelny twierdził, że ostatnie, co od niego słyszał to „znalazłem wreszcie temat na swój artykuł życia”. Od tego momentu przepadł.

Po krótkiej podróży ujrzałem dwupiętrowy budynek. Duży zbudowany w całkiem ładnym neogotyckim czy

renesansowym stylu; nigdy nie byłem mocny z architektury. W okna, jak to w szpitalu dla umysłowo chorych bywa, wstawione są kraty, które z w dodatku szarymi ceglami wzbudzają dość niemiłe i groteskowe odczucia. Po przeczytaniu notatek dziennikarza nastawiony byłem na niezbyt miłe przywitanie ze strony lekarzy. W środku spotkałem tylko jednego z nich. Jednak nie był ubrany w fartuch, lecz w zwyczajny garnitur, najwyraźniej dopiero, co przybył do pracy. Okazał się być miłym starszym mężczyzną. Po krótkiej rozmowie, w czasie, której wypilem zaproponowaną mi herbatę, dowiedziałem się, że nie ma i nigdy nie było tu pacjenta, o którym czytałem. Nie byłbym inspektorem gdybym nie sprawdził izolatki. Zejście do niej trwało chwilę – droga pasowała do części notatek, które odnalazłem. Gdy znalazłem się w środku, wszystko wyglądało zupełnie jak w opisie dziennikarza; łóżko, małe zakratowane okienko tuż pod sufitem, łańcuchy służące najwyraźniej do przypinania nimi ludzi do ścian oraz dziwne rysunki z napisami. Jestem w stu procen-

tach przekonany, że to miejsce zostało odwzorowane w artykule. Gdy doktor oznajmił mi, że ostatnio nie było tu nikogo z zewnątrz, oprócz mnie oczywiście, uległem całkowitej dezorientacji. Nie było żadnych innych śladów, oprócz zapisanych szaloną opowieścią kartek znalezionych w mieszkaniu zaginionego, że był tutaj, więc opuściłem to przyprowadzające o ciarki miejsce.

Śledztwo zostało niewyjaśnione i cała ta sprawa zamknięta. Już niedługo ulegnie przedawnieniu. Jednak teraz, gdy tak rozmyślam i wspominam ów szpital, jest jedna rzecz, która nie daje mi spokoju. To dziwnie przeszywające spojrzenie mężczyzny, który był tam lekarzem. Oczy miał przerażające, ale to nie wszystko. Wyglądał na starego, zmęczonego i schorowanego, co zupełnie nie współgrało z widoczną witalnością, jaka od niego tryskała. W końcu lekarze stosują różne medykamenty, więc...

Inspektor Joahn Drukon
Kom. Policji w Lovlisie
13 lutego 1897r.

(Luty – Marzec 2003r.)




KATASTROFA W TAJDZE

Dziennik ekspedycji L. Kulika w 1927 roku, na teren syberyjskiej tajgi w poszukiwaniu meteorytu spisany przez M. Vinpunova.

I PRZED WYPRAWĄ

Dziś, po raz pierwszy zobaczyłem załogę ekspedycji złożoną niemal wyłącznie z samych Rosjan, jak już zdążyłem się zorientować, byłem tam jedynym obcokrajowcem. Lecz znajomość języków obcych, takich jak angielski, niemiecki, no i oczywiście rosyjski pomogły mi w porozumieniu się z resztą ekipy. A dosyć bliskie sąsiedztwo naszych krajów oraz wiedza, która może okazać się przydatna sprawiała, że odnosiłem się do mnie z dużym szacunkiem i obdarzali mnie niesamowitym wręcz uczuciem przyjaźni. Przygotowania do tej wyprawy, w głąb mroźnego państwa Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, trwały blisko dwadzieścia lat. Były to niesamowicie trudne lata. Obecnie jest rok 1927, a my dopiero teraz, po wielkiej wojnie, która pochłonęła tysiące, jeśli nie miliony istnień, a także spowodowała nienawiść do innych państw i problemy wewnętrzne, to jest wojny domowe i interwencyjne mające na celu wywalczenie niepodległości, z którymi Sowieci borykali się przez kilka długich lat, zdołaliśmy zebrać potrzebne nam fundusze, zapasy oraz odpowiednich ludzi na tą ekspedycję. Wstrząs, jakiego dokonał meteoryt spadając w 1908 roku na niedostępne terytorium tajgi syberyjskiej, nie spowodował, jak niektórzy się spodziewali, wyścigu naukowców z całego świata, w poszukiwaniu tej kosmicznej skały, a także zniszczeń, jakich dokonała. Wbrew pozorom naukowcy z ameryki, którzy w tych czasach poszukiwali przeróżnych skarbów ziemskich jak i cywilizacyjnych, nie kwapili się zbyt, aby wybierać się do ZSRR i w głąb jego tajemnic. Ale wróćmy do naszej grupy naukowców biegłych w

swoich dziedzinach. Mylnie mogłoby się wydawać, iż myśliciele wschodu nie są tak dobrze wykształceni jak ludzie z zachodu, czy nowego świata, jakim zwykło się zwać Amerykę. Wręcz przeciwnie, trzeba im przyznać profesjonalizm w tym, co robili. A wiedzą dorównywali a czasami nawet przewyższali naukowców angielskich, niemieckich czy amerykańskich. Wszystkich było nas siedmiu. Dwóch mineralogów, wśród nich znajdował się dowódca ekipy i chyba najbardziej, poza mną oczywiście, zainteresowany całym tym wydarzeniem członek załogi – Kulik, jeden biolog, botanik, przybyły w poszukiwaniu śladów jakiegokolwiek bytności organizmów roślinnych na planetach, z których pochodziły spadające na ziemię odłamki, dwóch geologów do pomocy przy rozpoznawaniu gleby, jeden medyk, na wypadek jakichś problemów zdrowotnych no i ja Mikkua Vinpunov, archeolog. Mój tytuł naukowy w tej dziedzinie nie przyda mi się chyba na nic, jednak za nic w świecie nie mogłem opuścić takiego wydarzenia. Starałem się o przydzielenie mnie do tej wyprawy przez ponad półtora roku i w końcu, po przedstawieniu wielu argumentów udało się. Jestem z siebie dumny, a jeszcze bardziej będę, gdy przyniosę chwałę memu uniwersytetowi w Lovlisie oraz całej Finlandii. Dzięki temu odkryciu mam zamiar zaistnieć na arenie międzynarodowej i wydaje mi się, że może się to udać. Mieszkając od urodzenia na Półwyspie Skandynawskim przygotowany byłem do trudów ekspedycji, wiedziałem, jakie mrozy panują w tajdze i jak się do nich przygotować. Miałem ze sobą wszystkie potrzebne nam rzeczy. Jednak najważniejszą rzeczą, jaką zabrałem jest gruby dziennik, w którym mam zamiar prowadzić notatki z wyprawy i który może pomóc mi w mojej dalszej karierze naukowej. A kto wie może kiedyś opublikuje go




jako książkę i zdobędę sławę również jako pisarz. Oprócz wiedzy teoretycznej z najpotrzebniejszych dziedzin posiadam również dobrą, jak na profesora, sprawność fizyczną. Właściwie jestem dosyć młody jak na tytuł naukowy, który posiadam i dlatego uważam, że od strony fizycznej nic mi nie brakuje. Tak zaczyna się przygoda mojego życia, wreszcie znalazłem powód, dla którego przyszedłem na ten świat. I chcę wywiązać się z zadania mi powierzonego najlepiej jak potrafię.

II PODRÓŻ

Pomimo swego, jak myślałem, dobrego przygotowania do ekspedycji nie przypuszczałem, że droga będzie taka trudna i nieprzystępna. Z początku podróżowaliśmy pociągiem, jednak później musieliśmy zmienić środek transportu na ciężarówkę, którą to jechaliśmy blisko dwa miesiące bez większych przerw, aż w końcu, dzięki dodatkowym informacjom od tubylców, późną jesienią dotarliśmy do rzeki Podkamienna Tunguska. Tam odpoczęliśmy przez kilka dni. Było nam to niezwykle potrzebne. Wszyscy już wiedzieliśmy, jaki trud musimy ponieść w związku z tą wyprawą i możliwości odkrycia naszego meteorytu. Po trzech dniach przeprowadziliśmy się na drugi brzeg rzeki i dalej ciężarówką przebyliśmy w siedem dni kolejne kilka set kilometrów. Ostatecznie dotarliśmy do jedynej zamieszkałej miejscowości w tym rejonie, Kieżma. Od tej pory musieliśmy już przeprowadzać się saniami, a później nawet pieczo, z całym zaopatrzeniem i sprzętem, który zabraliśmy ze sobą, niesionym na własnych barkach, ponieważ teren ten trudno było przejść pieczo, a co dopiero saniami. W tych dniach poznałem dopiero, co to prawdziwa szkoła życia, odstawiająca w przedbiegach wszystkie niewygody służby wojskowej, czy jakichkolwiek innych niedogodności. Jednak, nie zawędrowaliśmy tak zbyt daleko, kiedy to prawie wszyscy uczestnicy wyprawy odmówili dalszej drogi. Tylko ja i Kulik za wszelką cenę chcieliśmy dotrzeć

na miejsce jak najszybciej. Oficjalnym powodem, dla którego reszta załogi nie chciała podążać dalej była nadchodząca zima. Stwierdzili, że przeczekają ją w znalezionej niedaleko faktorii Wanawara. Ale ja wiedziałem, że to była tylko część, mała część, prawdy. Nasi panowie naukowcy, wydawałoby się ludzie inteligentni i nie zabobonni, zlekli się tego, co usłyszeli od miejscowych, w pozostającym w tyle mieście Kieżma oraz od pracowników, których z rzadka mijaliśmy na trasie prowadzącej do miejsca upadku meteorytu. Pomimo, iż Ewenkowie, miejscowi przewodnicy, odmówili prowadzenia dalszej ekspedycji wierząc w legendę, że jakiś bóg za horyzontem niszczy śmiółków ogniem, Kulik i ja wyruszyliśmy dalej. W lutym, czyli w samym środku zimy, dotarliśmy do góry Szachorma, skąd mogliśmy ujrzeć po raz pierwszy w całej okazałości obszar zniszczonej, przez upadający tam meteoryt, tajgi. Obraz, którego byliśmy świadkami, owładnął nas do reszty, jednak nie mogliśmy prowadzić dalszej wyprawy we dwóch w środku zimy, więc wróciliśmy do zniszczonej faktorii odkrytej jakiś czas temu. Tam przeczekaliśmy zimę i po długich namowach udało się nam przekonać resztę ekipy, aby ruszyła z nami. Wyruszyliśmy z początkiem wiosny. Przebyliśmy niezbyt duży obszar, kiedy to cała ekipa zdecydowała, że słusznym rozwiązaniem będzie zrezygnować z pieszej wędrówki na rzecz podróżowania tratwą. Płynęliśmy rzeką Czambą, następnie Chuszmą, a później Czurgimą, aż w końcu 30 maja 1928 roku u ujścia Czurgimy do Chuszmy założyliśmy swoją bazę, z której to mogliśmy już prowadzić piesze wyprawy do odkrycia, wśród całkowicie zmasakrowanej tajgi, miejsca, w którym upadł meteoryt. Tysiące, jak nam się zdawało, kilometrów zwalonych drzew wskazywało ułożeniem swoich pni oraz korzeni epicentrum wybuchu. Musiał to być prawdziwy kolos, olbrzym z poza ziemi, albo bardzo niewielka część spłonęła podczas przekraczania




orbitę, albo był tak ogromny, iż nie byłibymy w stanie sobie wyobrazić czegoś takiego. Ku naszemu zdziwieniu w miejscu, które, po dokładnych badaniach, obraliśmy za miejsce upadku skały, było kilkukilometrowe bagno nazwane, później, przez nas Bagnem Południowym. Aby dziennik był wiarygodny podaję tutaj współrzędne naszego odkrycia, a więc mokradła znajdują się na 600 55 min. szerokości północnej i 1010 57 min. długości wschodniej. Jest to największy podtopiony obszar ziemi, jaki kiedykolwiek miałem okazję zobaczyć. Nigdy nie przypuszczalbyśmy, że coś tak potężnego może istnieć, a tym bardziej tutaj, w środku dzikiej, nie odkrytej jeszcze przez ludzi tajgi. Jednak już po krótkich oględzinach miejsca, które uważaliśmy za niemożliwe do osiągnięcia, stwierdziliśmy, iż nie ma tu ciała niebieskiego, które upadło dwadzieścia lat temu. Niemożliwością jest, aby tak po prostu zniknął, lub ktoś go zabrał. Wróciliśmy, więc do obozu i tam właśnie wpadliśmy na, chyba najbardziej logiczne, wytłumaczenie tego niecodziennego zjawiska. Osobom czytającym ten dziennik może wydać się to oczywiste, ale my wtedy nie braliśmy tego rozwiązania pod uwagę. Tak, więc jedyne, co mogło się zdarzyć to, nie ma, co się ludzi, to, że meteoryt zapadł się pod powierzchnię błota. A nadmiar ziemi zakrył go całkowicie. Tej nocy nic nie spaliśmy. W obozie panowały niezbyt zgodne nastroje. Nikt, oprócz mnie i Kulika, nie chciał ruszać ponownie do miejsca upadku tego diabelskiego kamienia. W ich oczach tliły się płomyki strachu i pomału opanowującego ich szaleństwa. Nie mieli zamiaru, aby bóg, z legend Ewenków, mieszkający za horyzontem uznał ich za śmialków, którzy zamierzają przeszkadzać mu w jego panowaniu na tym terytorium, bądź też w kradzieży tego, po co tu przybyliśmy – meteorytu. Uważali, że skoro upadł w tym miejscu i nie pozostał na powierzchni to tak ma być i oni nie będą ingerować w to, co się stało. Nie chcieli słuchać o nagrodach i chwale, jaką by

otrzymali gdyby wrócili z tym znaleziskiem do Moskwy. Doszli do wniosku, że rezygnują z wyprawy i wracają do domów, nawet, jeśli grozi to im niezbyt miłymi konsekwencjami. To była ich ostateczna decyzja. Ale ja widziałem to szaleństwo w oczach i drżące wargi na samą myśl o ponownej podróży w tamto miejsce. Za dużo nasłuchali się opowieści tych starych ludzi mieszkających w Kieźmy. Wylękli się bajek, jak małe dzieci słuchające opowiadań dziadka. Mi to nie przeszkadzało, chwala, jaka przypadnie na dwóch odkrywców będzie jeszcze większa niż na siedmiu. I tu nasze drogi się rozeszły. Oni mieli w planach powrócić rzeką do Kieźmy, a następnie ciężarówką z powrotem na zachodnie terytorium Związku Radzieckiego. My mieliśmy inne plany. Nazajutrz rano mieliśmy wyruszyć z całym niezbędnym nam ekwipunkiem na bagno.


III BAGNO POŁUDNIOWE

Gdy obudziliśmy się o świcie reszty ekipy już nie było, zostaliśmy sami we dwóch. Wydawało się to nam, co najmniej dziwne, ale cóż, mówili wcześniej, że wracają do domu. My nadal podtrzymywaliśmy swoją decyzję dotyczącą pozostania w tym nieprzyjaznym dla człowieka miejscu. Więc zaczęliśmy dzień od sytego śniadania, wiedzieliśmy, że przez długi czas może nie nadarzyć się okazja, aby coś sobie przyrządzić, wzięliśmy ze sobą, oczywiście, kanapki, ale jak każdy wie chleb nie jest w stanie zastąpić kawałka przypieczonego mięsa, czy jakiegokolwiek innej ciepłej strawy. Plan naszej dzisiejszej podróży na teren bagna był dosyć prosty. Dotrzeć tam w miarę szybko, dokonać dokładnych oględzin miejsca i stwierdzić czy nasze przypuszczenia odnośnie zatonięcia meteorytu są prawdziwe. Podczas pieszej wędrówki na miejsce śmiałośmy się z opowieści o bogu mieszkającym za horyzontem. Przecież ta historia jest naprawdę niesamowicie naciągana. No,



ale ludzka wyobraźnia jest w stanie tak nastraszyć człowieka, że to jest nie do pomyślenia. Nawet nie spostrzeżliśmy się, kiedy dotarliśmy na miejsce. Poprzwracane drzewa nadal leżały wokół bagna. Wyglądało to zupełnie tak jakby w jego środek uderzyło coś naprawdę dużego z ogromną siłą. Fala uderzeniowa po upadku była chyba dużo silniejsza od samego zderzenia. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego. Na jedną rzecz zwróciłem uwagę, część drzew na północnym brzegu była tak jakby „odsunięta” na bok. Zupełnie tak jakby ktoś przesunął sobie patyczki w jedną i drugą stronę. Nie widać tam żadnej drogi czy nawet szlaku, więc nie mogło to być spowodowane w ten sposób. Być może meteoryt tak nietypowo upadł, bądź też, wspomniana wcześniej przeze mnie, fala uderzeniowa poderwała pnie i odrzuciła je na bok. Ale nie to jest najważniejsze. Przybyliśmy tu w poszukiwaniu kosmicznej skały i znajdziemy ją choćby nie wiem, co. Zeszliśmy na dół, bliżej mokradeł. Kulik miał ze sobą łopatę, za pomocą, której to chcieliśmy przekonać się jak głębokie one są. I czy rzeczywiście meteoryt mógł się zanurzyć pod ich powierzchnią. Po długim i męczącym odrzucaniu błota z jednej strony na drugą doszliśmy do wniosku, iż to bagno jest na tyle głębokie, że nie mamy szans tak tego sprawdzić i jednocześnie bardzo możliwe okazało się to, iż ogromny kamień leżał gdzieś na dnie. Zaczęło się ściemniać, a jako że po ciemku nic nie zdołamy zrobić i do tego jeszcze możemy mieć problemy z powrotem zdecydowaliśmy, że wrócimy do obozu, a nazajutrz z rana znowu wybierzemy się na bagno. Droga powrotna nie była już tak fajna jak ta wcześniejsza. Pomimo, iż nie było zupełnie ciemno to o mało nie zabłądziliśmy. Już myśleliśmy, że będziemy musieli nocować pod gołym niebem, w tej guszy, przy niebezpiecznych zwierzętach oraz przy nieznośnym mrozie. Jednak sami nie wiemy jak do tego doszło odnaleźliśmy drogę do obozu. Nie wiem czy było to zrządzenie losu, czy

przypadek, ale bardzo się cieszę, że tak się stało. Jeszcze tylko szybko zjedliśmy i poszliśmy spać, a że byliśmy niesamowicie zmęczeni zasnęliśmy praktycznie mówiąc od ręki. W nocy obudziło mnie coś niepokojącego. Jak gdyby ujadanie wielkiego psa, wydało mi się to dziwne, ponieważ nie mieliśmy ze sobą zwierząt, a i w okolicy nie było żadnych osad. W gruncie rzeczy nie było to takie zwykłe ujadanie, jakie słyszy się, na co dzień w mieście. Był to przerażający, chrapliwy i głęboki, przeciągający się głos. Próba wyobrażenia sobie zwierzęcia, które mogło wydawać z siebie takie odgłosy zmroziła mnie na kilka minut. Dopóki nie ocknałem się widząc lunę nad lasem. Spojrzałem na Kulika, ale on spał. Coś mi nie pasowało. Po pierwsze, od czego mogło się zapalić na takim zimnie i bez żadnego słońca. Przeczuwałem w tym ingerencję jakichś ludzi. Po drugie, gdy jest ogień to musi być dym i smród. Ale ja nie wiedziałem ani jednego ani nie czułem drugiego. Próbowałem sobie to wytłumaczyć w ten sposób, że je stem rozbudzony i nie wszystkie moje zmysły nie działają jeszcze jak powinny. Postanowiłem obudzić Kulika, nie wybaczyłby mi gdybym tego nie zrobił. Jednak, gdy on wstał, luno już nie było, a ja nie byłem pewien czy mi się tylko zdawało, czy może to był sen. Po krótkiej chwili zasnęliśmy ponownie. Następnego ranka postąpiliśmy podobnie jak dnia poprzedniego. Śniadanie, a po nim półtora godzinna wędrówka do bagna. Ponownie spróbowaliśmy sprawdzić jak głębokie ono jest, z tym, że tym razem w innym miejscu. Trzy kolejne godziny kopania zniechęciły mnie do poszukiwań w ten sposób. I tu nastąpiła rzecz, której nie powinienem nigdy w życiu, a przynajmniej nie w tych okolicznościach robić. Postanowiłem sprawdzić miejsce, w którym poprzewracane drzewa podsuwane były na boki. Umówiłem się z Kulikiem, że wrócę w to miejsce przed zmrokiem. Błędem było rozdzielanie się jednak nie myślałem, że grozi mi coś niebezpiecznego na tym terenie. Właściwie to chciałem sprawdzić tylko



tą zadziwiającą anomalię w najbliższym otoczeniu. Wziąłem ze sobą swój plecak i ruszyłem przed siebie. Owe „odsunięte” drzewa były niesamowitym zjawiskiem. Długie na chyba pięćdziesiąt czy może nawet siedemdziesiąt metrów, leżały jedno obok drugiego, jak gdyby ktoś z niezmierną łatwością próbował zrobić sobie przejście do bagna lub z niego. Nie widziałem żadnych śladów i doszedłem do wniosku, iż to nie mogło być zrobione przez człowieka, ale musiał to być efekt upadku meteorytu. Jednak nie dawałem za wygraną i brnąłem dalej, aż dotarłem do dużego głazu kończącego mój „szlak”. Wokół głazu leżały już normalnie, jeśli można tak nazwać, drzewa, które z całą pewnością legły podobnie do swoich towarzyszy bliżej bagna. Lekko zmęczony tą wędrówką, spocząłem pod głazem, aby posilić się i odpocząć. Wiem, że to, co przeczytacie na dalszych stronach mego dziennika może wydać się wam szalone, ale ja naprawdę to przeżyłem i nie mam ochoty, aby się to powtórzyło.

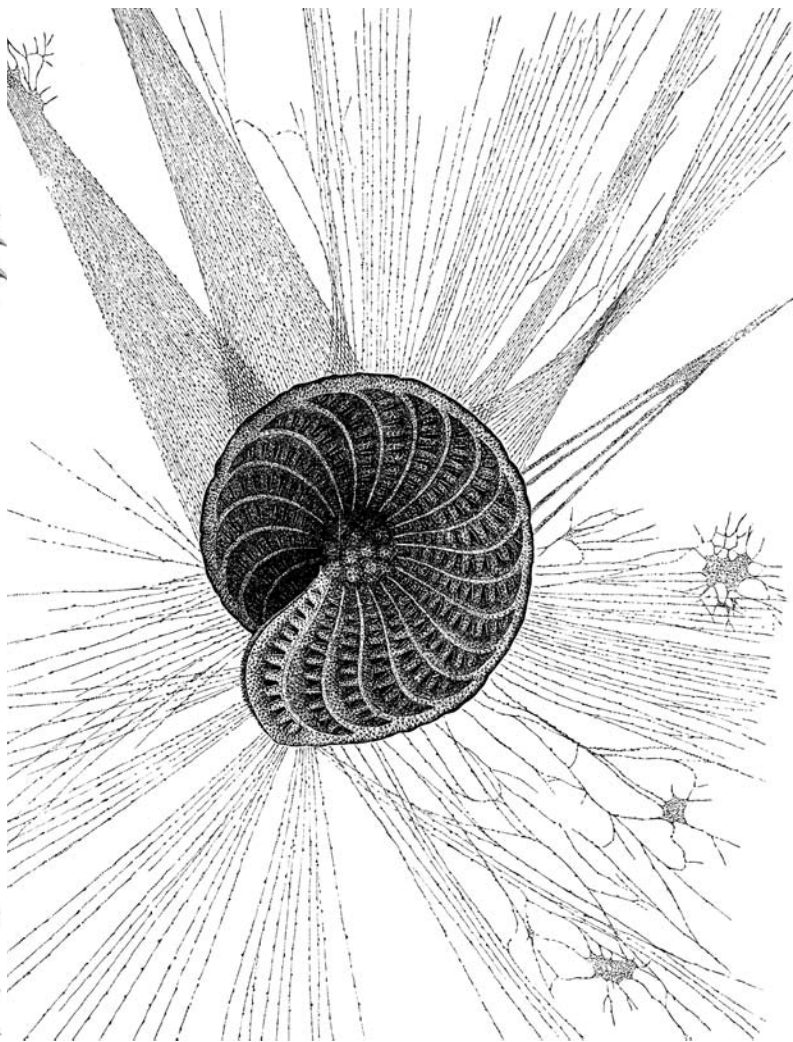
IV ZA HORYZONTEM

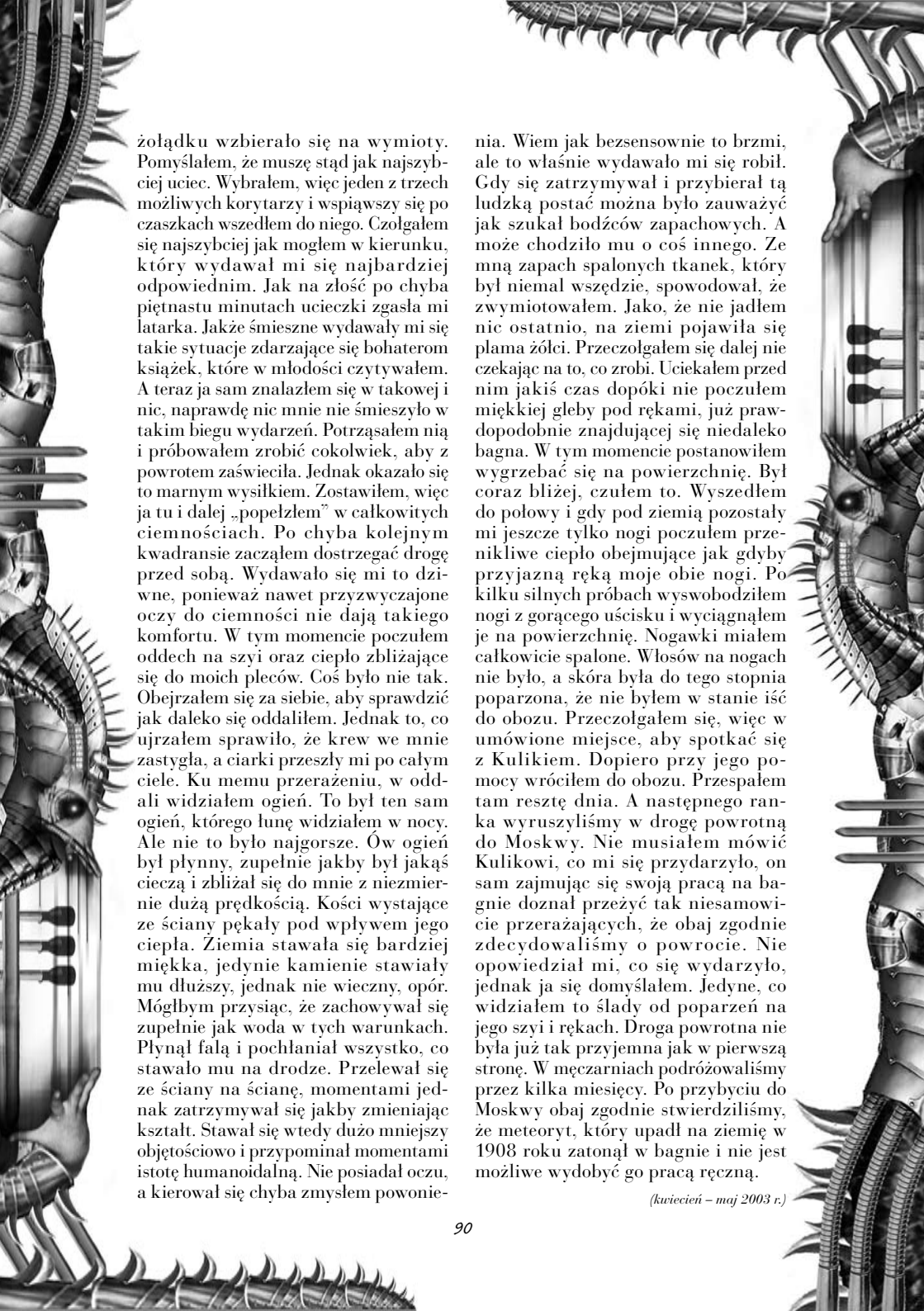
Usiadłem oparty o głaz i przymknąłem oczy, aby odpocząć chwilę i przygotować się do drogi powrotnej do bagna i miejsca, w którym umówiłem się z Kulikiem. Jednak, gdy otworzyłem powtórnie oczy spostrzegłem, że moje nogi ugrzęzły w ziemi. Jak to możliwe, nic nie czulem, a ziemia jest na tyle twarda, że nie powinienem ze swoim ciężarem zapadać się. Adrenalina uderzyła mi do głowy. Ogarnęła mnie panika, gdy dotarło do mnie, że nie mogę oswobodzić nóg. Nagle z much ust wydobył się krzyk, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem. Nie wiedziałem, że człowiek jest w stanie wydobyć coś takiego z siebie. Jednak już po chwili zrozumiałem, że krzyk nie nie da. Byłem na tyle daleko, że Kulik, pochłonięty pracą, nie był w stanie usłyszeć mnie. Zamknąłem, więc usta przy niewielkiej pomocy ręki. Próbowałem się obrócić, ale to nic nie dawało. Gdy nagle poczułem jakiś

mocny uścisk na łydkach. Przeraziłem się i znowu krzyknąłem. Coś mnie wciągało pod ziemię pomimo tego, że z całych sił się temu opierałem. Jaką to musi mieć siłę. Co to jest i co gorsza, co zamierza ze mną zrobić. Myśli te nie dawały mi spokoju. W tym momencie poczułem tylko jedno silne pociągnięcie i znalazłem się cały pod ziemią. Ku mojemu zdziwieniu na głębokości jakichś dziesięciu stóp, tak przypuszczam, znajdowały się wydżążone korytarze, niemające chyba końca. Rozejrzałem się natychmiast wokół by sprawdzić, co mnie wciągnęło, jednak nie było nikogo. Byłem tu sam. Jak to dobrze, że latarkę nosiłem zawsze przy sobie, przyczepioną do paska spodni. W takim momencie jak ten byłem niezmiernie szczęśliwy z mojego przygotowania. Przycisnąłem czarny, malutki guziczek i korytarz rozjaśnił się w mgnieniu oka. Położyłem się na brzuchu i zacząłem czołgać się jednym z korytarzy. Jak żałuję, że kompasu nie miałem przy sobie, wiedziałbym wtedy, w jakim kierunku idę. Najważniejsze teraz jest jednak wydostać się z tego miejsca. Powinienem kierować się w stronę bagna, tam, bowiem ziemia jest mniej ubita i tam widzę możliwość wydobycia się z mego jakże przerażającego lochu. Czołgając się natrafiłem na kamienie wychodzące z ziemi mi na spotkanie, a przynajmniej tak myślałem dopóki nie skierowałem promienia latarki na nie. Okazały się być kośćmi. Ten obraz zachcił mnie do szybkiego poruszania się dalej w kierunku bagna. Miałem nadzieję tylko, że kierunek, który obrałem był właściwy i korytarz nie zakręca po drodze. A tego ostatniego nie mogłem być pewny, ponieważ w ciemności nie miałem żadnego punktu odniesienia. Po półgodzinnym czołganiu w glinie, ziemi i błocie dotarłem do jakiegoś pseudo grotu. Wysoka na jakieś piętnaście stóp, szeroka natomiast na około trzydzieści może nawet czterdzieści stóp. Aby tam zejść musiałbym zeskokczyć. Jak, że nie miałem jak się obrócić upadłbym na głowę bądź w najlepszym wypadku

na chroniące ją ręce. Ale nie miałem innego wyjścia. Mocno się podciągnąłem i po chwili poczułem jak twarda jest ziemia na dole tej niby groty. Przez chwilę zbierałem się z niej, ale jak już wstałem poczułem się od razu lepiej mogąc stać na nogach i wyprostować się. Rozejrzałem się po ścianach świecąc przy tym latarką. Obraz, jaki ukazał się moim oczom był chyba najokropniejszy,

jaki do tej pory widziałem. Czaszki różnorakich zwierząt wkomponowane w ściany, a na środku znajdował się wydrążony rów, w którym leżały resztki jeszcze nie całkiem obrane, czy też obgryzione z mięsa. Ale to, co najbardziej mną wstrząsnęło, to, że wśród czaszek zwierzęcych znajdowały się również ludzkie. Smród dobywający się w rowu na środku groty powodował, że w moim





żołądku wzbierało się na wymioty. Pomyślałem, że muszę stąd jak najszybciej uciec. Wybrałem, więc jeden z trzech możliwych korytarzy i wspiały się po czaszkach wszedłem do niego. Czołgałem się najszybciej jak mogłem w kierunku, który wydawał mi się najbardziej odpowiednim. Jak na złość po chyba piętnastu minutach ucieczki zgasła mi latarka. Jakże śmieszne wydawały mi się takie sytuacje zdarzające się bohaterom książek, które w młodości czytywałem. A teraz ja sam znalazłem się w takowej i nie, naprawdę nie mnie nie śmieszyło w takim biegu wydarzeń. Potrząsałem nią i próbowałem zrobić cokolwiek, aby z powrotem zaświeciła. Jednak okazało się to marnym wysiłkiem. Zostawiłem, więc ja tu i dalej „popelzłem” w całkowitych ciemnościach. Po chyba kolejnym kwadransie zacząłem dostrzegać drogę przed sobą. Wydawało się mi to dziwne, ponieważ nawet przyzwyczajone oczy do ciemności nie dają takiego komfortu. W tym momencie poczułem oddech na szyi oraz ciepło zbliżające się do moich pleców. Coś było nie tak. Obejrzałem się za siebie, aby sprawdzić jak daleko się oddaliłem. Jednak to, co ujrzałem sprawiło, że krew we mnie zastygła, a ciarki przeszły mi po całym ciele. Ku memu przerażeniu, w oddali widziałem ogień. To był ten sam ogień, którego lunę widziałem w nocy. Ale nie to było najgorsze. Ów ogień był płynny, zupełnie jakby był jakąś cieczą i zbliżał się do mnie z niezmiernie dużą prędkością. Kości wystające ze ściany pękały pod wpływem jego ciepła. Ziemia stawała się bardziej miękka, jedynie kamienie stawiały mu dłuższy, jednak nie wieczny, opór. Mógłbym przysiąc, że zachowywał się zupełnie jak woda w tych warunkach. Płynął falą i pochłaniał wszystko, co staowało mu na drodze. Przelewał się ze ściany na ścianę, momentami jednak zatrzymywał się jakby zmieniając kształt. Stawał się wtedy dużo mniejszy objętościowo i przypominał momentami istotę humanoidalną. Nie posiadał oczu, a kierował się chyba zmysłem powonie-

nia. Wiem jak bezsensownie to brzmi, ale to właśnie wydawało mi się robił. Gdy się zatrzymywał i przybierał tą ludzką postać można było zauważyć jak szukał bodźców zapachowych. A może chodziło mu o coś innego. Ze mną zapach spalonych tkanek, który był niemal wszędzie, spowodował, że zwymiotowałem. Jako, że nie jadłem nic ostatnio, na ziemi pojawiła się plama żółci. Przeczolgałem się dalej nie czekając na to, co robi. Uciekałem przed nim jakiś czas dopóki nie poczułem miękkiej gleby pod rękami, już prawdopodobnie znajdującej się niedaleko bagna. W tym momencie postanowiłem wygrzebać się na powierzchnię. Był coraz bliżej, czułem to. Wyszedłem do połowy i gdy pod ziemią pozostały mi jeszcze tylko nogi poczułem przenikliwe ciepło obejmujące jak gdyby przyjazną ręką moje obie nogi. Po kilku silnych próbach wyswobodziłem nogi z gorącego uścisku i wyciągnąłem je na powierzchnię. Nogawki miałem całkowicie spalone. Włosów na nogach nie było, a skóra była do tego stopnia poparzona, że nie byłem w stanie iść do obozu. Przeczolgałem się, więc w umówione miejsce, aby spotkać się z Kulikiem. Dopiero przy jego pomocy wróciłem do obozu. Przespałem tam resztę dnia. A następnego ranka wyruszyliśmy w drogę powrotną do Moskwy. Nie musiałem mówić Kulikowi, co mi się przydarzyło, on sam zajmując się swoją pracą na bagnie doznał przeżyć tak niesamowicie przerażających, że obaj zgodnie zdecydowaliśmy o powrocie. Nie opowiedział mi, co się wydarzyło, jednak ja się domyślałem. Jedyne, co widziałem to ślady od poparzeń na jego szyi i rękach. Droga powrotna nie była już tak przyjemna jak w pierwszą stronę. W węczarniach podróżowaliśmy przez kilka miesięcy. Po przybyciu do Moskwy obaj zgodnie stwierdziliśmy, że meteoryt, który upadł na ziemię w 1908 roku zatonał w bagnie i nie jest możliwe wydobyć go pracą ręczną.

(kwiecień – maj 2003 r.)

AUTOR NIEZNANT

CTHULU

Metal. Krew. Ból. Tylko to pamiętał. I migoczący neon z napisem „Zbawienie”. Paczkę najtańszych papierosów, jakieś syntetyczne wino.

I ta dziwka. W sumie było mu jej szkoda. Cóż za żałośnie tanie sposoby, aby zagłuszyć jątrzący się ból w środku. Otworzył oczy, ale nadal nic nie widział. Strach przed tym, że został oślepiiony, minął, gdy pokój zalala mdła czerwień zapalającego się neonu. ZBAWIENIE. Tak, ZBAWIENIE. Zajełbiście dobrze powiedziane.

Było ich chyba trzech, nieważne. Mógł być nawet jeden. Wiedział że znajdą go i tak. Nie musieli używać noktowizorów, wszczepów podsłuchowych, pluskiew, netrunerów i tego całego gnoju.

Po prostu tu weszli, zastrzelili prostytutkę, a jego skatowali do nieprzytomności. Wiedział, że jeszcze go nie zabiją. Nie chcą. Chcą się pobawić. Musi przecież wiedzieć, że Oni są dużo silniejsi od niego, że musi odpokutować, zapłacić za to co zobaczył. I że nie ma z nimi absolutnie żadnych, ale to żadnych szans.

Był policjantem. Nazywał się Raynold Samir, w policji był wykwalifikowanym specjalistą od porwań. Jego chlebem powszednim było odzyskiwanie ukochanych pociech bogatych tatusiów – polityków, bankierów, korporacyjnych waśniaków z łap ohydnych, plugawych porywaczy, pedofili, wariatów. I wtedy też było tak samo. Jeden z radnych miasta zwrócił się do niego o pomoc w odzyskaniu zaginionej córeczki. Śliczny, czteroletni aniołek o krótkich, czarnych włoskach i wielkich, brązowych oczach. Sam stracił dzieci, wiedział jaki to ból. Jak o wiele lepiej smakuje potem whisky. Jak przestają boleć pięści po rozbijaniu luster. Pewnie dlatego się tym zajmował. Śledztwo było długie, żmudne i po pewnym

czasie poszlaki zaczęły prowadzić n gdzie. Nie mógł namierzyć porywaczy. Żądanie okupu przyszło do domu nagrane na płycie cd, na której nie było żadnych odcisków palców, sama płyta była też dyskiem no-name, bez logo żadnej firmy ani sklepu. Głos był przetworzony komputerowo. Cała sprawa zaczęła śmierdzieć, i to bardzo niemiło. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że żądanie okupu jest tylko zmyłką, zaś dziecko ma być wykorzystane dla zupełnie innych celów. Napewno nie dla pieniędzy.

Mijały dni. I w końcu znalazł trop. Tnasake. Ktoś znalazł rozbity ciężarówkę tej firmy pełną zamrożonych dziecięcych ogranów. To było normalne. Nikogo nie dziwił nielegalny handel organami, dziecięce snuff movies, i tego typu ohydztwa w które zamieszane były różne dosyć znaczące korporacje. Do tego, postanowił jeszcze raz dokładnie przeanalizować cd z rządaniem okupu. Zaniósł płytkę do zaprzyjaźnionego właściciela studia nagraniowego, gdzie na profesjonalnym sprzęcie, po wielokrotnym oczyszczeniu i prze-filtrowaniu głosu wyodrębnili jeden dźwięk. Szum fal, nabrzeże.

Postanowił włamać się do magazynu portowego Tsnake wieźwca Arasaki i przeszukać jego piwnice. Coś mówiło mu, że tam właśnie znajdzie wszystkie odpowiedzi. Włamanie się nie było większym problemem. Wystarczyło ściągnąć od zaprzyjaźnionego neturnnera dokładne plany budynku, znaleźć lukę w zabezpieczeniach i wejść do piwnic. Na początku nic nie znalazł. Były ogromnym labiryntem, w którym zabłądziłby od razu, gdyby nie wydrukowane plany. I dopiero po pół godzinie usłyszał głosy. Jednostajne mamroczenie. I ciche kwilenie, jakby małego pieska. I coś jeszcze.

Jednostajny, basowy dron, który mimo tego, iż był cichy, zaczął wwiercać mu się w czaszkę niczym młot pneumatyczny. To szło spod ziemi. Piętro niżej. Nerwowo przeszukiwał całą podłogę, szukając wejścia do podziemii.

I w końcu zobaczył to. Przez kratkowany otwór wentylacyjny. I w chwili, gdy to zobaczył, już wiedział, że nie zapomni tego do końca życia. Pilnujący wszystkich wejść i wyjść z pomieszczenia nafaszerowani cyborgizacjami strażnicy. Dziwne, pokraczne, namalowane na ścianach symbole. I oni. Zamaskowani, w czarnych habitach, intonujący

jedną przeciągłą, niską, przeraźliwie monotonną

pieśń.

Zobaczyć też dziecko.

Nagie, przykute do ściany,

otoczone równomierną

konstelacją symboli. I coś, co wypelzało

spomiędzy jego nóg, spowijające całe pomieszczenie obrzydliwą, cuchnącą luną dziwnego pyłu. To coś żyło, i było bardziej czarne niż mrok magazynu. Oni go też zobaczyli. Od razu. Ich syntyat-kówki od razu zeskanowały i przechowały jego twarz. Nie

musiały rozlegać się strzały. Nie musieli go gonić. Wiedział, że z ich technologią nie będzie dla nich żadnym problemem znaleźć go i zabić; nie przeszkodziło mu to jednak spieszyć stamtąd szybciej, niż biegał kiedykolwiek. Wiedział, że kiedy przyjdzie rano do pracy, już będą czekały na niego głuche telefony, groźby, dziwne

spojrzenia, zwolnienie. Za bardzo znał życie. Wiedział, że wdepnął w porządne gówno.

Nie pamiętał co napisał ojcu tej dziewczynki w mailu. Chyba, że się nie udało. I że nie chce żadnych pieniędzy. I że musi wyjechać z miasta. Gdy tak siedział zmasakrowany i zalany krwią na podłodze hotelu ZBAWIENIE, paląc papierosa, już wiedział co ma zrobić. Patrzył na trupa młodej, ślicznej szesnastoletniej dziewczyny, z którą za 40 eurodolarów kochał się tak jak po raz pierwszy z własną żoną, jeszcze wtedy, gdy byli dopiero szczęśliwymi, naiwnymi małolatami. I wiedział co ma

robić. Nie będzie już więcej uciekał przed tymi skurwysynami. I przed tym dziwnym gównem z zaświatów,

którym dysponują. Zna parę osób.

Zna adresy paru nielegalnych serwerów, które kiedyś, jeszcze jako policjant, namierzał i likwidował. Przypomniawsobie o paru nieformalnych organizacjach, o których przeczytał w policyjnych tecz-kach. Ogarnięty nową nadzieją i euforią, zapomniał o bólu. Nie będą go straszyć i niszczyć, jak robią z większością ludzi w tym pieprzonym betonowo – metalowym ulu.

Stawi im czoła w ostatnim, samobójczym pojedynku. Wie, że nie ma szans; mimo wszystko umrze z godnością. Przy okazji wykańczając jak najwięcej tych skurwieli i czarnego, wijącego się mackowatego gówna, które za pomocą

ciała biednej dziewczynki przywleki tutaj.



BARTOMIEJ 'MAPETA' MACHUTA

WSZYSTKO DLA SZTUKI

UWAGI

Ten scenariusz przeznaczony jest do rozebrania w systemie Zew Cthulhu dla 3-4 Badaczy. Ważne jest by przynajmniej jeden Badacz był ochroniarzem lub kimś tego pokroju. Miejscem akcji przynajmniej jest Nowy Orlean w dzisiejszych czasach, lecz po kilku przeróbkach można to zmienić.

AKT 1

Do Badacza-ochroniarza przychodzi mężczyzna i przedstawia się jako Iwan Stark. Badacz lub Badacze przy udanym teście na wiedzę mogą rozpoznać w nim znanego pisarza powieści grozy. Będzie on chciał wynająć Badaczy jako ochronę na okres tygodnia, lecz nie będzie chciał wyjawiać przyczyny zapotrzebowania na ochronę. Jeśli Badacze zgodzą się Iwan poda im swój adres i poprosi żeby przyjechali następnego dnia o dziewiątej.

WYJAŚNIENIA

Iwan Stark to wzięty pisarz o nietypowej metodzie na zdobywanie weny. Iwanowi, pisze się, bowiem najlepiej, gdy ma wysoki poziom adrenaliny we krwi albo jest "na haju". Dlatego uprawia prawie wszystkie możliwe sporty ekstremalne i zażywa narkotyki. Lecz ostatnio znalazł lepszą metodę na „dreszczyk emocji” zajął się zjawiskami paranormalnymi takimi jak przyzywanie duchów, czytaniem ksiąg okultystycznych itd. I w ten sposób wpadł na ślad kultu Yiga w Nowym Orleanie, niestety kultysty trafili też na niego. Więc gdy Iwan zorientował się, o co chodzi zgłosił się do Badaczy.

AKT 2

Iwan Stark mieszka w starej kamienicy wybudowanej w stylu kolonialnym, przy Bourbon Street we francuskiej dzielnicy. Gdy Badacze przyjadą do pisarza zauważą go przed

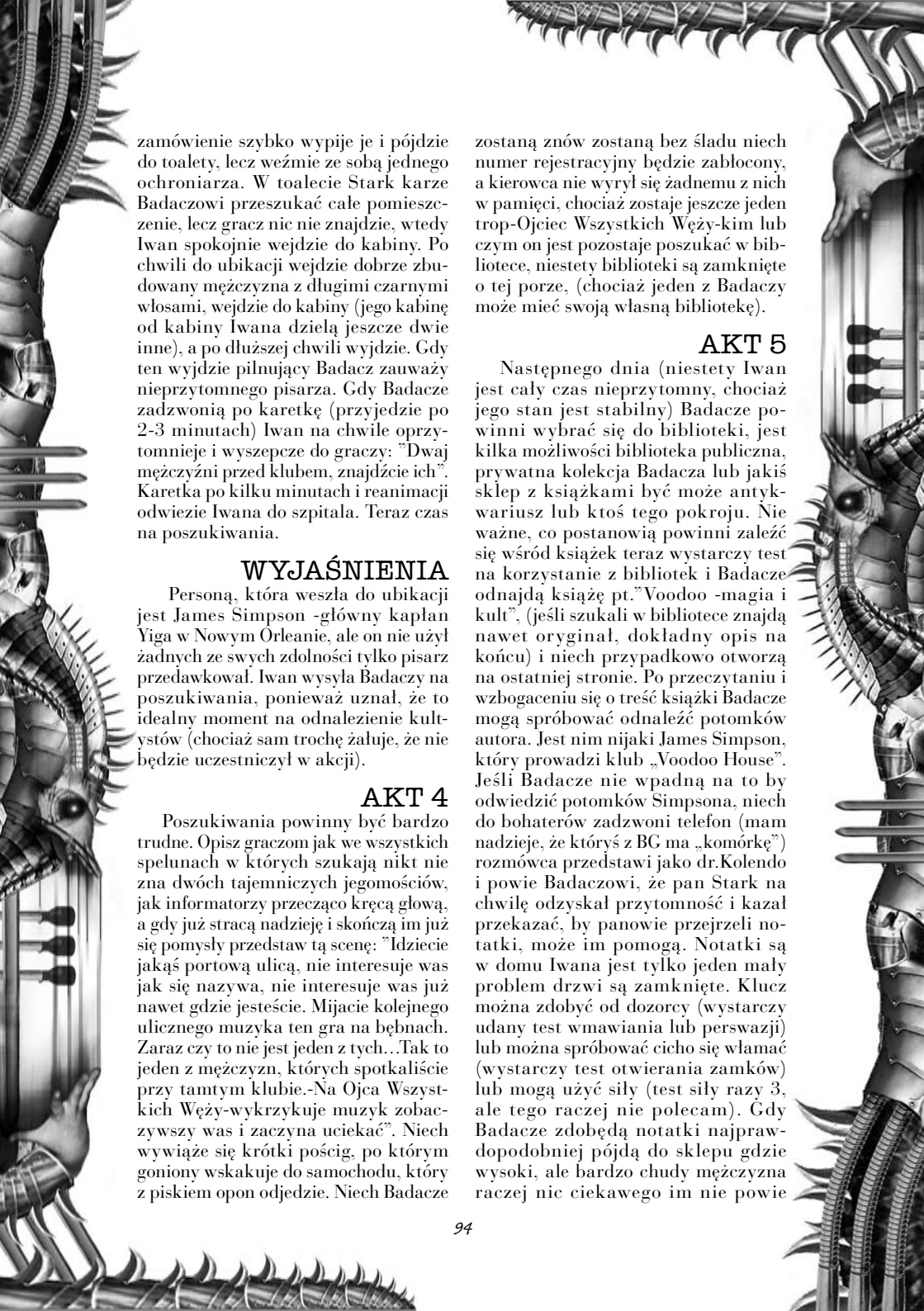
domem z jakimś nastolatkiem, udany test spostrzegawczości pozwoli zauważyć Badaczom jak Iwan wymienia się jakimiś przedmiotami (jednym z nich są pieniądze). Iwan na pytania związane z wymianą odpowie, że udzielał temu chłopakowi pomocnych informacji na temat pisania książek. Dzień minie spokojnie, po za tym, że Iwan zamknie się w pokoju by „pisać”, lecz wieczorem Iwan zażyczy sobie długiego „spaceru” po wszystkich knajpach w mieście. Obok jednej z nich do Iwana podejdzie dwóch mężczyzn rodem z Jamajki i zaczną coś wykrzykiwać w cajuńie (mieszance kilku języków między innymi francuskiego i hiszpańskiego używanym wyłącznie w Nowym Orleanie i okolicach). Jeśli któryś z graczy zna ten język (metodą opcjonalną jest, że wartość tego języka wynosi połowę wartości języka francuskiego) usłyszy: „Twoje dni są policzone teraz spotkasz się z Wielkim”. Po tych słowach dwie postacie szybko ulotnią się nie dając się dogonić. Gdy Iwan to usłyszy cały poblednie i zasugeruje, żeby wpaść do knajpy, obok której miało miejsce spotkanie do „Voodoo House”.

WYJAŚNIENIA

Młody jegomość, z którym spotkał się Iwan to dealer narkotyków, od którego Iwan kupował heroinę, od której jest uzależniony. Natomiast dwóch panów przy „Voodoo House” to nie kto inny jak wyznawcy Yiga.

AKT 3

Klub „Voodoo House” jak sama nazwa wskazuje urządzony jest tak by na każdym kroku goście mieli, do czynienia z kultem Voodoo. Gdy Badacze i Stark dotrą do klubu w środku będzie tylko kilku gości, a w tle będzie leciał jakiś utwór reggae. Iwan szybko usiądzie i zamówi whisky, nie będzie nic mówił. Gdy wreszcie dostanie swoje



zamówienie szybko wypije je i pójdzie do toalety, lecz weźmie ze sobą jednego ochroniarza. W toalecie Stark karze Badaczowi przeszkukać całe pomieszczenie, lecz gracz nie znajdzie, wtedy Iwan spokojnie wejdzie do kabiny. Po chwili do ubikacji wejdzie dobrze zbudowany mężczyzna z długimi czarnymi włosami, wejdzie do kabiny (jegoabinę od kabiny Iwana dzieli jeszcze dwie inne), a po dłuższej chwili wyjdzie. Gdy ten wyjdzie pilnujący Badacz zauważy nieprzytomnego pisarza. Gdy Badacz zadzwonią po karetkę (przyjedzie po 2-3 minutach) Iwan na chwile oprzytomnieje i wyszepta do graczy: "Dwaj mężczyźni przed klubem, znajdźcie ich". Karetka po kilku minutach i reanimacji odwiezie Iwana do szpitala. Teraz czas na poszukiwania.

WYJAŚNIENIA

Personą, która weszła do ubikacji jest James Simpson -główny kapłan Yiga w Nowym Orleanie, ale on nie użył żadnych ze swych zdolności tylko pisarz przedawkował. Iwan wysłał Badacza na poszukiwania, ponieważ uznał, że to idealny moment na odnalezienie kultystów (choć sam trochę żałuje, że nie będzie uczestniczył w akcji).


AKT 4

Poszukiwania powinny być bardzo trudne. Opisz graczom jak we wszystkich spelunach w których szukają nikt nie zna dwóch tajemniczych jegomościów, jak informatorzy przecząco kręcą głową, a gdy już tracą nadzieję i skończy im już się pomysły przedstaw tą scenę: "Idziecie jakąś portową ulicą, nie interesuje was jak się nazywa, nie interesuje was już nawet gdzie jesteście. Mijacie kolejnego ulicznego muzyka ten gra na bębnach. Zaraz czy to nie jest jeden z tych...Tak to jeden z mężczyzn, których spotkaliście przy tamtym klubie.-Na Ojca Wszystkich Węży-wykrzykuje muzyk zobaczysz was i zaczyna uciekać". Niech wywiąże się krótki pościg, po którym goniony wskakuje do samochodu, który z piskiem opon odjedzie. Niech Badacz

zostaną znów zostaną bez śladu niech numer rejestracyjny będzie zablozony, a kierowca nie wyrul się żadnemu z nich w pamięci, chociaż zostaje jeszcze jeden trop-Ojciec Wszystkich Węży-kim lub czym on jest pozostaje poszukać w bibliotece, niestety biblioteki są zamknięte o tej porze, (choć jeden z Badaczy może mieć swoją własną bibliotekę).

AKT 5

Następnego dnia (niestety Iwan jest cały czas nieprzytomny, chociaż jego stan jest stabilny) Badacz powinni wybrać się do biblioteki, jest kilka możliwości biblioteka publiczna, prywatna kolekcja Badacza lub jakiś sklep z książkami być może antykwaremus lub ktoś tego pokroju. Nie ważne, co postanowią powinni zaleźć się wśród książek teraz wystarczy test na korzystanie z bibliotek i Badacz odnajdą książkę pt."Voodoo -magia i kult", (jeśli szukali w bibliotece znajdą nawet oryginał, dokładny opis na końcu) i niech przypadkowo otworzą na ostatniej stronie. Po przeczytaniu i wzbogaceniu się o treść książki Badacz mogą spróbować odnaleźć potomków autora. Jest nim niaki James Simpson, który prowadzi klub "Voodoo House". Jeśli Badacz nie wpadną na to by odwiedzić potomków Simpsona, niech do bohaterów zadzwoni telefon (mam nadzieję, że któryś z BG ma „komórkę”) rozmówca przedstawi jako dr.Kolendo i powie Badaczowi, że pan Stark na chwilę odzyskał przytomność i kazał przekazać, by panowie przejrżeli notatki, może im pomogą. Notatki są w domu Iwana jest tylko jeden mały problem drzwi są zamknięte. Klucz można zdobyć od dozorcę (wystarczy udany test wmawiania lub perswazji) lub można spróbować cicho się włamać (wystarczy test otwierania zamków) lub mogą użyć siły (test siły razy 3, ale tego raczej nie polecam). Gdy Badacz zdobędą notatki najprawdopodobniej pójda do sklepu gdzie wysoki, ale bardzo chudy mężczyzna raczej nie ciekawego im nie powie



(chyba, że zagrażą bronią wtedy coś powie o klubie „Voodoo House”, ale też opowie o wizycie swoim kumpłom i policji). Od „bębniących” nic się nie dowiedzą, a na cmentarzu napisy starł staruszek, który tam sprząta, ale może powiedzieć, że na cmentarz w nocy przychodzi kilku ludzi, najczęściej w pełnię (pełnia jest jutro). Staruszek ma rację, bowiem następnej nocy na cmentarz przyjdzie właściciel sklepu, tym razem będzie bardziej rozmowny. Natomiast po bagnach mogą włóczyć się w nieskończoność (albo jak gwiazdy będą w porządku).

AKT 6

Gdy po wielu perypetiach Badacze postanowią pójść do „Voodoo House”, (lecz nie może być to przypadkowa wizyta) zauważą dwóch mężczyzn, których ścigają, a także długo włosego mężczyznę z toalety (to właśnie jest James Simpson) postanowią zapewne albo pogadać z Jamesem lub z dwoma „złymi” albo wszuć burdę. Gdy postanowią porozmawiać z Jamesem ten najgrzeczniej jak potrafi spróbuje odpowiedzieć na ich pytania, (lecz w większość odpowiedzi brzmi: „Nieestety nie wiem”), a pogaduszki z dwoma panami przy stole nie należą do przyjemnych („Spadaj, bo ci prz.....e), ale można u nich oraz u Jamesa przy udanym teście spostrzegawczości zobaczyć tatuaż z wędem. Po rozmowie z panami, (ale przed ewentualną burdą) do Badacza znów zadzwoni telefon. Rozmową po raz kolejny jest dr. Kolendo i powiadomi, że ich przyjaciel został uprowadzony ze szpitala dwie godziny temu, policje już powiadomiono.

WYJAŚNIENIA

Jedynym wyjaśnieniem może być, kto porwał biednego Iwana, gdy dotychczasowi źli są w barze, odpowiedź jest bardzo prosta przecież kult Yiga to nie tylko trzej ludzie jest ich kilkudziesięciu, a wszyscy chcą pomagać Yigowi i zwalczać „tych, co za dużo wiedzą”.

AKT 7

Bohaterowie zechcą pewnie pojechać do szpitala. Tam zastaną kilku policjantów (między innymi detektywa Risa, który zechce przesłuchać Badaczy) oraz Joshępa Browna -profesora religii świata-który pomagał Iwanowi pisać książki, a także jest jego przyjacielem, („jeśli Iwan miał kogoś takiego jak przyjaciel” -ma w zwyczaju mówić). Mogą dowiedzieć się, że: porywaczom musiał pomagać ktoś z wewnątrz (od detektywa) i że w sali Iwana wymalowane są różne znaki możliwe, że związane z Voodoo (a może z Yigem). Poproszony o przetłumaczenie znaków prof. Brown obiecał analizę na następny dzień. Badacze znów zbici z tropu mogą wybrać się do parku, gdzie spotkają „bębniarza” wybijającego jakiś rytm oraz dziwną książkę, a raczej notes z napisem „Rada Drums”.

Badacze mogą spróbować wykraść ten notes wystarczy udany test zręczności razy 3.

AKT 8

Przy pomocy notesu „Rada Drums” nasi dzielni bohaterowie mogą wreszcie odkryć wiadomości wystukiwane na bębnie. Wszędzie jest taka sama i brzmi: „Spotkanie jutro wieczorem na bagnach”. Badacze mają, więc dwa dni na przygotowanie się. Zechcą zapewne przed pójściem na bagna spotkać się z profesorem Brownem, a tu czeka ich kolejna niespodzianka profesor nie żyje (wstępne oględziny ciała wykazały ukąszenie jadowitego węża). Gdy Badacze odnajdą miejsce spotkania, (jeśli lubisz utrudniać swoim graczom życie każ im wykonać test szczęścia czy nie zgubili się albo czy nie im się nie stało bagna w końcu to niebezpieczne miejsce). Gdy Badacze dotrą na miejsce opisz im polanę otoczoną pochodniami i centralnie położonym ogniskiem. Koło ogniska tańczy około dwudziestu półnagich ludzi otaczających kapłankę z olbrzymim wędem i rytualnym sztyłem. Natomiast po drugiej stronie ogniska (na widoku) leży związany i

wyczerpany (nie jest w stanie chodzić) Iwan. Badacze zapewne będą chcieli go uratować, więc przedstawie ci kilka metod ratowania z ich skutkiem:

-szturm, (jeśli Badacze posiadają broń palną mogą spróbować jednak dosyć ciężko zastraszyć dwadzieścia rozłuszczonych osób uzbrojonych, co prawda w prymitywną, ale zawsze jakąś broń)

-szturm z policją (wszyscy kultysty są aresztowani, ale Iwanowi może przez przypadek coś się stać)

-wykradnięcie po cichu (opisze dwa sposoby: pierwszy to zakradnięcie się i porwanie, a drugi to odwrócenie uwagi kultystów i wykradnięcie Iwana. W pierwszym sposobie wszystko zależy od planu graczy. Natomiast drugi nie przyniesie należytych efektów, ponieważ tylko garstka kultystów pójdzie sprawdzić, co to za hałas w krzakach. Przebieganie się za kultystów nic nie da, ponieważ znają się na wzajem)

EPILOG

Jeśli Badacze (przy pomocy policji) myślą, że rozbili kult Yiga to się mylą na ceremonie nie przyszło wielu kultystów między innymi James Simpson -główny kapłan Yiga. Niestety detektyw Riss ginie tydzień po zakończeniu sprawy (od ukąszenia węża), Iwan Stark po długiej rekonwalescencji w szpitalu i na odwyku porzuca pomysł o napisaniu książki o dziwnej sekcje w Nowym Orleanie. W charakterystykach nie podaje opisu policjantów (oprócz Rissa), a także kultystów, ponieważ nie chciałem ujednolicić postaci, a także pisać kilkunastu charakterystyk miałyoby się to z celem.

Bohaterowie dramatu i nie tylko:

IWAN STARK

S 7, ZR 10, INT 16, MO 1k4, KON 8, WG 9, MOC 12, BC 9, WYK 14, WT 8, P 45

Umiejętności: Język angielski 90%, Ko-

rzystanie z bibliotek 50%, Prowadzenie samochodu 40%, Psychologia 45%, Wspinaczka 55%, Okultyzm 40%, Mity Cthulhu 10%, Język francuski 60%, Cejun 40%

Sztuka: sporty ekstremalne-60%

Opis: Iwan to przeciętnej wysokości brunet, który zrobi wszystko by napisać książkę stąd jego „niewielkie nawyki”. Najczęściej jest pod wpływem narkotyków, lecz gdy nie jest na haju jest miły, energiczny i skłony do zabawy, chyba że ogarnie go wena wtedy potrafi zamknąć się w pokoju i pisać przez wiele tygodni jedząc i pijąc tylko tyle by móc dalej pisać.

JAMES SIMPSON

S 10, ZR 11, INT 15, MO 0, KON 10, WG 10, MOC 15, P 30, BC 12, Wyk 16, PM 15, WT-11

Umiejętności: Farmacja 75%, Język angielski 80%, Mity Cthulhu 28%, Nasłuchiwanie 40%, Otwieranie zamków 25%, Okultyzm 65%, Ukrywanie czegoś 40%, Ukrywanie się 40%, Uderzenie pięścią 60%

Opis: Wysoki, dobrze zbudowany trzydziestoletni mężczyzna z długimi czarnymi włosami. Na klatce piersiowej ma wielki tatuaż z kobrą. Jest sadystą i nienawidzi, gdy ktoś wchodzi mu w drogę. Jest zdolny do wszystkiego, gdy jest zdenerwowany, najczęściej używa swoich zdolności farmaceutycznych by wytworzyć różnego rodzaju trucizny, chociaż do wiedzy węzowych ludzi jeszcze mu daleko to potrafi wytworzyć bardzo trudną do wykrycia truciznę. Swoją wiedzę okultystyczną zdobywał od dzieciństwa czytając książki (które odziedziczył po dziadku), a także wszystkie materiały, które znalazł o magii voodoo.

Czary: Nawiązanie kontaktu z bóstwem/Loa, Przywołanie/Spętanie Bakka, Przywołanie/Spętanie Dziecka Yiga, Stworzenie zombi, Ukrycie duszy, Uśmiercenie, Zaklęcie fetysza, Zaklęcie Gris-Gris, Zaklęcie lalki, Zaklęcie świecy, Zaklęcie Wanga

VOODOO-MAGIA I KULT

Autorem tej krótkiej książeczki jest Bart Simpson żyjący w latach 1898-1958 w Nowym Orleanie. Tą książkę wydał w 1920 roku opisuje ona po krótku kult voodoo w Nowym Orleanie, niestety o magii wspomniano tyle by czytelnik nie dowiedział się zbyt wiele. Na końcu książki jest dziwna historyjka, a może pamiętnik autora (przynajmniej jego fragment), a oto ona:

*„Jest jeszcze jeden kult w moim rodzin-
nym mieście, a jest nim kult Yiga-Ojca
Węży ściśle powiązany z kultem voodoo,
a może to jedno i to samo. Zamierzam
przedostać się do środka i opisać wam ten
kult od środka w następnej książce.”*

Czas na przeczytanie: kilka godzin
Premia do okultyzmu: +1%

NOTATKI IWANA STARKA

Te notatki to przede wszystkim materiały do nowej książki, ale jest pośród nich kartka z kilkoma spostrzeżeniami niestety pismo jest bardzo nie wyraźne i do odczytania tekstu potrzebny jest test języka angielskiego, a oto spostrzeżenia Iwana:

- kultyści porozumiewają się jakimś kodem grając na bębnach.
- wywodzą się spośród wyznawców voodoo
- mają swoją wtykę prawie w każdym miejscu i urzędzie (ciekawe czy moi ochroniarze też do nich nie należą)
- jednym z miejsc spotkań jest pewien sklep we francuskiej dzielnicy o nazwie „Sklep z pamiątkami i akcesoriami voodoo”
- kolejny kod sekty, który odkryłem to zagadkowe napisy na cmentarzu na jednej z krypt (ciekawe jak wiele sposobów komunikowania jeszcze znają)
- śledząc jednego z członków sekty zaprowadził mnie na dziwny rytuał na bagnach niedaleko miasta
- podczas rytuału zauważyłem, że wszyscy członkowie sekty mają na klatce piersiowej tatuaż z wężem lub węzami

JOSHEP BROWN

S 12, ZR 8, INT 15, MO +1K4, KON 10, WG 7, MOC 12, PM-12, BC 14, WYK 18, WT 12, P-60

Umiejętności: Wiarygodność 55%, Korzystanie z bibliotek 60%, Język angielski 90%, Perswazja 40%, Historia(religii) 75%

Opis: Joseph ma ok.1,7m wzrostu i waży 92kg ma słaby wzrok, więc musi nosić okulary. Jest cichy i spokojny, ale zaginięcie Iwana bardzo zasmuciło i jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Nie będzie chciał rozmawiać z Badaczami, lecz zawsze mogą go znaleźć na uniwersytecie w Nowym Orleanie.

RADA DRUMS

Notes zawiera bardzo istotne informacje potrzebne do rozszyfrowania kodu „bębniarzy”. Zawiera listę wyrazów ze sposobem wybijania ich na bębnie. Za pomocą tego notesu można wystukiwać własne wiadomości o ile, któryś z Badaczy potrafi grać na bębnach.

THOMAS RISS

S 12, ZR 12, INT 13, MO +1K4, KON 12, WYG 12, MOC 10, BC 13, WYK 16, WT 12, P 40

Umiejętności: Targowanie się 30%, Wmawianie 40%, Pistolet 50%, Prawo 40%, Perswazja 40%, Psychologia 25%, Spostrzegawczość 35%, Strzelba 40%, Język angielski 80%, Język francuski 40%, Cajun 20%

Broń:

.38 Special: 2s/r, 1k10obr, 15mzb, 6 ammo, zawodność:00

Ithaca kal.12: 1s/r, 4k6/2k6/1k6 obr, 10m/20m/50mzb, 5 ammo, zawodność:00

Opis: Thomas to przystojny trzydziesto trzy letni blondyn o niebieskich oczach. Ma 1,85m wzrostu waży ok. 80kg. Gdy rozmawia z kimś stara się zachować spokój i być w miarę uprzejmym, lecz gdy ktoś go okłamuje wpada w furję. Wydaje mu się, że zna swoje miasto, lecz nie zdaje sobie jak daleko jest od prawdy.

Special thanks for GT



BARTŁOMIEJ 'MAPETA' MACHUTA

CALISTA

UWAGI

Scenariusz do rozegrania w systemie Zew Cthulhu w obecnych czasach. Zawód i liczba Badaczy jest obojętna. By gracze rozpoczęli tę przygodę muszą wybrać się najpierw w rejs statkiem lub dać namówić się na lot samolotem. Gdy ich środek lokomocji znajdzie się gdzieś koło Islandii nastąpi awaria, po której Badacze skończą jako jedyni żywi.

AKT 1

Badacze z tonącego statku (samolotu) nie powinni wyłowić zbyt wiele jedzenia i wody, a tym bardziej broni. Tak, więc Badacze znajdują się w jakiejś szalupie i mija kolejny dzień dryfowania, a zapasów wciąż ubywa. Gdy uznasz za stosowne (niech bohaterowie będą już trochę podłamani swoją sytuacją) na horyzoncie pojawi się statek, który wyłowi zmarzniętych i wyczerpanych Badaczy. Wybawcą Badaczy jest prof. Mark Ficherman (przy udanym teście wiedzy gracze mogą rozpoznać w nim słynnego oceanografa), a statek, na którym nasi bohaterowie się znajdują to „Calista” prywatny statek naukowca, który zawsze służy mu do jego badań. Oprócz profesora na statku znajduje się jeszcze dziesięciu innych członków załogi, a oto najważniejsi członkowie ekspedycji:

Mark Ficherman – ten 53 letni mężczyzna o wciąż czarnych włosach i błękitnych oczach to słynny angielski biolog specjalizujący się w badaniach głębin mórz i oceanów. Gdy nie pracuje zazwyczaj siada i paląc papierosa, i pijąc wino czyta swoją ulubioną książkę „20 tysięcy mil podmorskiej żeglugi”. Do wszystkich ludzi nastawiony jest przyjacielsko i towarzysko jedynym wyjątkiem są kłusownicy na widok, których profesor wpada w furję (nieraz zdarzało się, że swą „Calistą” taranował łódź kłusowników).

John Cromwell – były uczeń profe-


sora Fichera, a obecnie mając 32 lata sam jest profesorem biologii. Ma 182 cm wzrostu, a jego blond włosy idealnie kontrastujące z jego piwnymi oczami nadają mu niecodziennego uroku. Ze wszystkich członków ekspedycji on jedyny zna się z Fichermanem dłużej niż rok. To on zawsze steruje statkiem i to właśnie z nim profesor odbywał wszystkie poprzednie wyprawy.

Wielki” Jimmy Kronos – operator „Małego Jimmego”, małej zdalnie sterowanej łodzi podwodnej z kamerą. (a wszystko to tak skonstruowane by nie został zniszczony przez ciśnienie) za pomocą, której profesor Ficherman bada dno oceanów. Jimmy to roztargniony spec od elektroniki, który jeśli nie zapomni to potrafi zrobić ze sprzętem elektronicznym, co tylko mu się podoba. Kronos to bliski przyjaciel ze studiów Johna tyle, że on chodził na informatykę, a Cromwell na biologię. Jeśli chodzi o elektronikę to profesor i załoga obdarza go całkowitym zaufaniem i nawet gdyby kazał wyłączyć wszystkie komputery i sprzęt elektroniczny na pokładzie to nikt zbytnie nie sprzeciwiałby się przeciw temu.

Greg O’Neil – mechanik. Do ekspedycji dołączył jako ostatni i to tylko, dlatego, że trzy dni przed wyruszeniem w morze silnik „Calisty” się zepsuł. Jest bardzo opryskliwy i grubiański, ale dzięki znajomości mechaniki i żeglugi jest nie zastąpiony na pokładzie.

Reszta załogi to naukowcy i kilku ludzi od „brudnej roboty” w dosłownym znaczeniu tego słowa.

„Calista” to dość spory jacht mieszczący spokojnie 15 osób, przerebiony tak by mógł badać głębiny wód wszystkich mórz i oceanów. Posiada także dobrze zaopatrzoną kuchnię oraz zaplecze elektroniczne. Niestety (dla wszystkich) na pokładzie nie ma ani jednej sztuki broni no może oprócz pistoletu do wystrzeliwania flar. Gdy




badacze odzyskają siły zostaną poinformowani, że niestety muszą poczekać do końca ekspedycji, czyli około tygodnia, a potem zostaną odstawieni do portu w Liverpoolu. Dyskusje na ten temat z Fichermanem nie wchodzą w rachubę, ponieważ profesor za bardzo zapatrzonny jest w swój nowy projekt. Więc Badacze będą mieli dużo czasu by zapoznać się z załogą „Calisty” i zaprzyjaźnić się z nią lub nie.

AKT 2

Rankiem drugiego dnia podróży statek dotrze do celu swojej podróży – 20 mil na południe od wyspy Surtsey. Gdy Badacze obudzą się koło południa na pokładzie będą już wrzały przygotowania do opuszczenia „Małego Jimmego”. Koło godziny 16 odbędzie się uroczysty obiad, po którym zostanie opuszczona łódź podwodna. W pokoju kontrolnym znajdują się Ficherman, Cromwell, Kronos, oraz dwóch innych naukowców i być może Badacze. W ciasnym pokoju, (choć na zewnątrz panuje wszechobecny mróz) jest duszno i gorąco. Potem do wody zostanie wrzucony „Mały Jimmy”, co chwilę przed jego kamerą będzie przepływała jakaś ryba, ale gdy dotrze na głębokość około 100 metrów wszystkim obserwatorom ukaże się nietypowy, a raczej dziwny widok, gdyż przed ich oczami ukażą się jaskinie setki być może i więcej dziur w skale o średnicy około 2-2,5 metra. Opisz Badaczom jak latarka umieszczona na łodzi nie potrafiła rozjaśnić nieprzeniknionych ciemności panujących w jaskiniach, ale ukazując wszystkim kolejną tajemnicę otóż jaskinie w większości wyglądają na topornie wyciosane. Gdy w pokoiku rozlegną się okrzyki o największym odkryciu geograficznym na świecie, „Mały Jimmy” zacznie się kołysać jakby w rytm jakiejś dziwnej muzyki, po czym urwie się z nim kontakt wizualny oraz linka pomocnicza, do której był przymocowany. Tak naprawdę wyprawa Fichermana miała niezłego pecha gdyż wpadła na miasto G’Il-Hoo należące do Istot z

Głębin i to właśnie w tym momencie zaczyna się „prawdziwa” przygoda. Po kilku minutach deputowania na temat zniknięcia łodzi (tylko Jimmy wcześniej wyjdzie by sprawdzić sprzęt podnoszący) do pokoju wparuje Greg chcący się dowiedzieć, co się stało. Gdy otrzyma wyjaśnienia od wszystkich zebranych znacznie namawiać Fichermana by zawrócić do domu, poprze go w tym pomyśle kilku robotników natomiast wszyscy naukowcy włączając w to pomysłowców wyprawy będą chcieli jeszcze zbadać to miejsce. Gdy lina zostanie wyciągnięta z wody można zauważyć, że została przecięta, a raczej rozszarpana. Reszta dnia minie na dyskutowaniu i sprawdzaniu przyczyn wypadku. Gdy Badacze położą się spać poczują jak statek nabiera prędkości, a gdy wybiegną na pokład usłyszą tylko kilka chlupnięć wody, natomiast, gdy dojdą do sterowni (przyszedłoby się trochę w tym miejscu postraszyć naszych „dzielnych” graczy) zastanie ich krajobraz „jak po bitwie”, większość paneli jest zniszczona (między innymi radio) poza tym w kabinie znajdują się krew (ale bez ciała) oraz (przy udanym teście na spostrzegawczość) dosyć sporą ilość wody oraz kilka glonów na podłodze i na panelach. Gdy wszyscy zbiorą się przed sterownią ktoś z załogi stwierdzi, że brakuje nikakiego Franka Harrisa. Stojący na warcie Ingermann oraz Friedrich niczego podejrzanego nie zauważyli. A oto wyjaśnienie powyższych zdarzeń na statku znajduje się trzech kultystów Cthulhu: Ingermann, Friedrich oraz O’Neil, którzy nawiązali kontakt z Istotami z Głębin i opracowali plan pozbycia się natrętów (O’Neil zna odpowiednie do tego czary), ale nasuwa się pytanie skąd kultysty wiedzieli, że znajdują się nad kolonią tych ohydnych morskich istot. Otóż O’Neil wraz z towarzyszami został wysłany przez kapłanów pana R’lyeh by nie dopuścić do odkrycia G’Il-Hoo (w końcu macki Cthulhu sięgają wszędzie). Więc gdy nadeszła noc, a Ingermann i Friedrich stanęli na warcie i pomogli się dostać na pokład



Istotom z Głębin na szczęście zauważył to Harris, który uruchomił silnik i gdy chciał wszczać alarm dopadły go Istoty i porwały go do swojego morskiego królestwa, a stamtąd już nie wróci. Po tym incydencie profesor Ficherman, choć po dłuższym zastanowieniu postanawia wrócić do Anglii, ale nie wie, że Istoty z Głębin tak łatwo sobie nie darują.

AKT 3

W grupie pościgowej, która wyruszyła za „Calistą” znajduje się sześć Istot z Głębin oraz jeden Mieszkaniec Głębin. Następnego ranka każdy na statku będzie miał jakieś zajęcie „Wielki” Jimmy będzie starał się naprawić sprzęt znajdujący się w sterowni, wszyscy profesorowie z wyjątkiem Cromwella będą analizowali nagranie „Małego” Jimmego, natomiast sam Cromwell będzie nadzorował naprawy w sterowni oraz pilnował kursu, a O’Neil, Ingermann i Fredrich zamkną się w kajucie O’Neila i zajmą się obmyśleniem sposobu na sabotowanie statku. Spraw też by gracze mieli ręce pełne roboty, możesz też ukazać któremuś z Badaczy jak O’Neil i reszta zamykają się w kajucie i wymigują się od pracy. Koło drugiej popołudniu tuż przed obiadem do wszystkich obecnych na statku dojdzie odgłos okropnego zgrzytu poczym statek gwałtownie zatrzyma się. Po kilku dłuższych minutach sprawa wyjaśni się, zepsuł się silnik. Wszyscy zaczną narzekać na ten silnik, który już raz się zepsuł przed wyprawą, ale możesz pozwolić Badaczom na test mechaniki, jeśli któremuś z nich się uda poznać prawdziwą przyczynę zatrzymania się silnika otóż został on umiejętnie uszkodzony. Jeśli gracz będzie chciał naprawić silnik stanowczo zaprzeczaj przeciw temu okrutowy mechanik O’Neil, lecz pozwoli sobie asystować. Jeśli asystentowi mechanika powiedzie się kolejny test mechaniki lub spostrzegawczości zauważy on, że O’Neil właściwie nic nie robi by naprawić silnik. Zbliża się noc (jedna z najdłuższych nocy w

życiu Badaczy) statek powoli ogarnia psychoza, coraz częściej dochodzi do kłótni pomiędzy poszczególnymi członkami załogi (możesz sprawić by gracze uczestniczyli w jeden z takich kłótni). Gdy wreszcie nadejdzie noc kultyści Cthulhu wkroczą do akcji. Warta tej nocy składać się będzie z trzech kultystów oraz jednego członka załogi (nie dopuść by byli to Badacze lub któraś z ważniejszych postaci), a w sterowni zostanie profesor Cromwell. Kiedy wszyscy pójdą spać (o ile ktoś po takich przeżyciach może zasnąć) na pokład wejdzie grupa pościgowa Istot z Głębin, szybko unieszkodliwią wartownika – nie kultystę i po krótkiej wymianie zdań z kultystami rozdzielią się (kultyści zejdą pod pokład, a Istoty ruszą do sterowni). W sterowni Cromwell stoczy z góry przegrany pojedynek z mieszkańcami głębin, ale na szczęście dla wszystkich zdąży zaalarmować pozostałych członków załogi (krzykiem albo czymś, co uznasz za stosowne). Badaczy, którzy wylegną ze swojego pokoju zastanie istny chaos i zamęt panujący pod pokładem. Teraz dużo zależy od Ciebie Drogi Strażniku musisz oddać graczom nastrój niepewności (może na przykład zepsuć się światło w końcu O’Neil jest mechanikiem), a także niezgody panującej wśród załogi (nie wszyscy będą chcieli wykonywać rozkazy jakiś głupich rozbitków). Teraz nastąpił czas na akcje, trochę pościgów, może jakaś konfrontacja z kultystami lub potworami ale najlepiej by było gdyby Badacze zbyt wcześnie nie dowiedzieli się o prawdziwej naturze O’Neila, Ingermanna i Fredricha (będą mogli jeszcze z raz pokrzyżować plany naszych herosów). Postaraj się też nie ukazywać prawdziwego oblicza monstrów, które nawiedziły statek aż do ostatecznej konfrontacji (do odegrania niebezpieczeństwa grożącego graczom używaj też innych zmysłów, a nie tylko wzroku Badaczy niech usłyszą jakieś ryki za rogiem albo niech najpierw dojdzie do nich odór wstrętnych potworów, a jak już koniecznie chcesz używać obrazu

to niech nasi bohaterowie widzą tylko cień czegoś rzucany przez migoczące światło). Jak już wspomniałem wcześniej Badacze nie powinni mieć swojej „niezawodnej, zawsze działającej broni na wszystkie rodzaje potworów i nie tylko” (zepsuło by to klimat przygody), mogą mieć co najwyżej skromną broń białą. A teraz kilka pomysłów na które mogą wpaść gracze:

- Wywołanie pożaru: najlepiej do tego przyda się trochę benzyny oraz flara (ale o nią będzie trzeba nieźle powalczyć), do chwilowego zatrzymania pochodu stworów lub do likwidacji mieszkańców głębin idealne ale ogień może z łatwością się rozprzestrzenić, a poza tym ogień nie wystraszy Istot z Głębin (choć może je zaciekawić) więc będą nadal kontynuowały swoje małe polowanie.

- Walka wręcz: powodzenia!!! (żaden BN nie zgodzi się na takie rozwiązanie)

- Zabarykadowanie się: raczej głupi pomysł ale zdarza się (a głupi dlatego, że przeciętna Istota z Głębin jest silniejsza od człowieka nie mówiąc już o Mieszkańcu Głębin, a poza tym jeśli kultysty są na zewnątrz może nagle zacząć płonąć część statku w której ukrywają się Badacze)

- Najgroźniejszym z przeciwników graczy jest Mieszkaniec Głębin ale ma on jedną wadę ze względu na swoje rozmiary ma trudności z poruszaniem się korytarzami podpokładem (Badacze mogą go zabić do jakiegoś ciasnego pomieszczenia gdzie najprościej w świetle zaklinowałby się), więc gdyby Badacze mieli problemy możesz delikatnie zasugerować im tą małą podpowiedź.

EPILOG

Jeśli gracze jakimś cudem wyjdą z tej opresji cało (mam nadzieję, że i „Calisto” też) i dotrą w końcu do jakiegoś cywilizowanego miejsca to w nagrodę za upór i wytrwałość możesz im przyznać po 1k6 PP. Jeśli któryś z profesorów przeżyje ekspedycję niestety umrze z nie wyjaśnionych przyczyn kilka godzin po zejściu na ląd. Także materiały zdobyte

w czasie wyprawy badawczej nie ujrzą światła dziennego.

PRZECIWNICY

Mieszkaniec Głębin

S 20, KON 20, BC 23, MO +2k6, INT 13, MOC(PM) 16, ZR 13, WT 21

Broń:

Macki 35%, obrażenia 1k6 + mo

Pancerz:

Brak, jednak stwory są odporne na większość fizycznych obrażeń, z wyjątkiem uszkodzeń organu mózgowego. Jakiegokolwiek uszkodzenie „mózgu” istoty powoduje natychmiastową śmierć. Udana trafienie Mieszkańca Głębin daje 10% szans na uszkodzenie tego właśnie organu. Elektryczność, ogień i magia zadają stworzeniu normalne obrażenia.

Czary: 2k6 czarów, które uznasz za stosowne by wystarczająco wystraszyć „dzielnych” Badaczy

Utrata Poczytalności: Ujrzanie Mieszkańca Głębin powoduje utratę 0/1k8 PP.

Więcej na temat tego potwora w Xiedze Bestyj na stronie 29.

ISTOTY Z GŁĘBIN

S 14, KON 11, BC 17, MO +1k4, INT 13, MOC 10, ZR 11, WT 14

Broń:

Pazury 25%, 1k6 + mo obrażeń

Oszczęp myśliwski* 25%, 1k6 + mo

*zadaje podwójne obrażenia w przypadku trafienia krytycznego.

Pancerz:

1 punkt skóry i łusek

Utrata Poczytalności:

0/1k6 PP za ujrzanie Istoty z Głębin.



BARTŁOMIEJ 'MAPETA' MACHUTA

PRZYSTANEK GREENHILL

UWAGI

Scenariusz przeznaczony jest dla 2-4 Badaczy. W tym scenariuszu nie występują istoty z Mitów ani nic takiego, jest to przygoda kryminalna świetna do rozegrania pomiędzy jedną, a drugą walką z Cthulhu. Przygoda rozgrywa się w szkockim miasteczku Greenhill w południowych Górach Kaledońskich. Jedynym skupiskiem ludzi w okolicy jest miasto Witchtown ok.40 mil na północny-zachód. Jeśli komuś nie pasuje miejsce akcji może je w każdej sytuacji, ale tak by akcja rozgrywała się w górskim miasteczku. Wszystkie zdarzenia rozgrywają się podczas zimy, ważne jest też by badacze jechali samochodem, wymyśl też sensowny powód tej przejażdżki. Ważne też jest by jeden z Badaczy znał się na medycynie, choć nie jest to konieczne.

AKT 1

„Jedziecie już kilka godzin powoli ogarnia was i wasz samochód mrok.... Zbliża się noc trzeba znaleźć jakieś miejsce na postój. Jedziecie jeszcze kilkanaście minut by znaleźć postój, gdy zaczyna padać śnieg, który w krótkim czasie przeradza się w ogromną śnieżycę i wtedy zauważacie światła to oznacza tylko jedno miasto – jedyna szansa na odpoczynek tej nocy.”

I tak oto nasi dzielni bohaterowie docierają do Greenhill. Niestety nikt nie wita Badaczy, ulice są opustoszałe, a jedynym świadectwem, że ktoś tu mieszka są światła w oknach. W miasteczku nie ma motelu, ani nawet baru, więc Badacze nie zaznają tak szybko miłego, ciepłego łóżka. Bohaterowie powinni skierować się na posterunek policji (oprócz komisariatu jedynymi publicznymi miejscami jest mały kościół oraz mały sklep spożywczy.), a tam zastanie ich jeden posterunkowy, o imieniu Charles Francis, który będzie chwilową jedynym punktem informa-

cyjnym w mieście, może powiadomić Badaczy, że: wszystkie drogi są zasypane (oprócz tej, którą przybyli Badacze, lecz i w najbliższym czasie zostanie zasypana), do sprawdzenia dróg został już wysłany funkcjonariusz Willson, jedynym miejscem gdzie mogą przenocować jest farma Watsonów, drogi zostaną odblokowane najwcześniej za dwa dni (jeżeli śnieżycy ustąpi). Gdy badacze zechcą opuścić posterunek niech usłyszą komunikat z radia policyjnego (jeśli lubisz testy karz Badaczom wykonać rzut na nasłuchiwanie) „Do wszystkich posterunków w okolicy 50 mil od Witchtown, z miejscowego sanatorium uciekł Derek Smith jest niebezpieczny i niech, każdy przeszuka swój rewir z bronią, powtarzam jest niebezpieczny i niech...”. Droga do dom Watsonów jest co prawda niedługa, ale przy obecnych warunkach atmosferycznych jest bardzo uciążliwa. Farma położna jest na zachodnich obrzeżach Greenhill, składa się z dwóch budynków gospodarnych i niewielkiego domu mieszkalnego. Henry i Jenny Watsonowie z miłą chęcią przenocują bohaterów i nakarmią ich (za darmo, choć z miłą chęcią przyjmą „napiwek”). Po za tym małżeństwo Watsonów uwielbia opowiadać swoją historię, a także różne opowiadania.

AKT 2

Następnego dnia o godzinie 9 graczy obudzi pan Watson zapyta czy, któryś z Badaczy jest lekarzem lub zna się dobrze na medycynie. Jeśli któryś zgłosi się Jenny zaprowadzi go do salonu, a tam będą już czekali pan Watson i komisarz Keith (dowódca posterunku policji). Wytlumaczą badaczowi, że nad ranem znaleziono ciało Johna Willsona (funkcjonariusza, którego wysłano by sprawdzić przejeżdżność dróg). Po krótkiej rozmowie zaprowadzą Badacza na

AKT 3

komisariat (na dworze wciąż panuje śnieżyca), tam zastaną dwóch (ostatnich) policjantów (Charlesa Francisa i Adama MacLeoda), potem komisarz zaprowadzi Badacza i pana Watsona do małego pokoju, stanowiącą w tej chwili małą kostnicę. Na stole leży nagie ciało Willsona z otwartą klatką piersiową (utrata 0/1k6 PP), poza tym w pomieszczeniu panuje odór rozkładającego się ciała. Z sekcji zwłok można stwierdzić, że: sprawca musiał być dobrze zbudowanym mężczyzną, ponieważ otworzenie klatki piersiowej wymagało nie przeciętnej siły, klatkę piersiową otworzono za pomocą jakiegoś ostrego, a za razem ciężkiego przedmiotu (być może łopata), na palcach denata widać ślady prochu, więc najprawdopodobniej strzelał ze swojej broni, po za tym zwłoki mają połamane obie nogi i prawą rękę (na tej znaleziono ślady prochu), pod paznokciami ofiary znajduje się ludzki naskórek (najprawdopodobniej napastnika) (znalezienie śladów prochu i naskórka wymaga testu spostrzegawczości). Badacze po sekcji zwłok albo będą czekać na rozwój wypadków albo zechcą opuścić miasteczko (drogi są zablokowane, a na piechotę podczas śnieżyicy daleko nie zajdą) lub rozpoczną własne dochodzenie (niestety zbyt wiele się nie dowiedzą, od policji mogą dowiedzieć się tylko tyle, że Willsona najprawdopodobniej zabił uciekinier z sanatorium). Koło południa do domu Watsonów zawita Sam Keith z wiadomością by mieszkańcy zabezpieczyli dom, a każdego sprawnego ochotnika proszą by zjawił się na komisariacie wieczorem w celu przygotowania oblavy na mordercę. W międzyczasie bohaterowie mogą zajrzeć do sklepu pana Kirka Adamsa. Właściciel sklepu to czterdziestoletni mężczyzna z kruczo czarnymi włosami. W jego sklepie można znaleźć artykuły życia codziennego (nie ma mowy o broni czy amunicji). Pan Adams jest niewyczerpanym źródłem miejscowych plotek.

Wieczorem, jeśli badacze przyjdą na posterunek czeka ich niespodzianka oto są jedynymi ochotnikami (oprócz nich na komisariacie jest jeszcze Keith). Keith jako broń, może zapewnić graczom tylko pałki (uciesz się, gdy Badacze będą mieli jakąś broń). Teraz mają poczekać na Francisa i MacLeoda. Po dłuższej chwili na posterunku zjawi się Charles z konającym (liczne rany kute i cięte, utrata 0/1k4+1 PP) MacLeodem. Posterunkowy Francis jest załamany i kuląc się w rogu zaczyna płakać (nic nie da się z niego wyciągnąć). Badaczom pozostaje tylko wyjść z Samem na dwór. Na dworze zapadł już zmierzch, ale śnieżyca nie straciła ani trochę na swojej sile. Gdy Badacze wyjdą tylko z budynku zauważą ciągnący się ślad krwi. Jeśli za nim podążą dotrą do kałuży krwi (tutaj znaleziono MacLeoda) dalej zauważą krwawe ślady butów, gdy za nimi podążą dojdą do ciała (według komisarza to zbiegły wariat, utrata 0/1k4 PP) z wbitym siekierą w szyję. Tak oto badacze i policja Greenhill schwytają uciekiniera z pensjonatu dla obłąkanych w Witchtown, ale kto zamordował tego groźnego wariata. Badacze mogą zauważyć (udany test spostrzegawczości) ślady butów prowadzące do głównej drogi ale tam mieszącej się z innymi śladami (osoba, która zostawiła te ślady lekko kuleje na prawą nogę). Tej nocy komisarz Keith proponuje badaczom wizytę w swoim domu. Dom Sama Keitha to duży jednopiętrowy budynek w centrum miasteczka obok małego sklepu. W domu komisarza, badacze zastaną bibliotecznię gdzie komisarz przetrzymuje ważniejsze informacje o miasteczku i jego mieszkańcach, okaże się też, że Sam Keith jest burmistrzem Greenhill. Burmistrz proponuje Badaczom współpracę, gdyż jego ludzie są albo martwi albo niezdolni do służby (Francis). Jeśli Badacze rozpoczną współpracę z komisarzem czeka ich dużo szperania w bibliotece „miejskiej” (to znaczy bibliotece w domu Keitha).

Badacze wzbogaceni o wiadomości z biblioteki burmistrza i być może o historyjki Watsonów, powinni teraz trochę powęszyc. Oto kilka zdarzeń, które mogą spotkać Badaczy i pomóc im w odkryciu prawdziwego zabójcy, czyli Jenny Watson:

-Badacze mogą zajrzeć do pana Collera i z nim porozmawiać o jego młodszym bracie (Dereku Smithcie) niestety pan Coller nie będzie chciał rozmawiać o „czarnej owcy” w rodzinie. John Coller będzie na tyle wścickły, że trudno by go nie posadzić o zabójstwo

-Badacze wracając do domu Watsonów, przy udanym teście spostrzegawczości zauważą zakrwawioną siekierę przy szopie Watsonów. Jenny i Henry przyznają, że siekiera należy do nich ale nie używali jej od kilku miesięcy.

-Bohaterowie przeglądając bibliotekę Sama (on pójdzie do komisariatu) poczuć dym. Tak to dom Keitha się pali, bohaterowie i mieszkańcy Greenhill niestety nie uratują domu (i biblioteki). Sam Keith od tego zdarzenia będzie spał na komisariacie.

-Następnego dnia po pożarze domu Keitha miasteczkiem wstrząśnie kolejne zdarzenie oto został zamordowany Henry Watson. Na całym ciebie widnieją liczne rany (ok. 30) zadane najprawdopodobniej nożem (utrata 0/1k4+1 PP). Jenny była wtedy w szopie, przynajmniej tak twierdzi.

-Telefon do sanatorium w Witchtown powiadomi Badaczy (przy udanym teście wiarygodności), że z Sanatorium Witchtown pensjonariusze uciekali tylko 14 grudnia co 10 zaczynając od roku 1940.

-Jeśli Badacze zechcą odwiedzić dom Brucea zastaną w nim ciało 60-cio letniego staruszka (zmarł 14.12.2000 roku).

EPILOG

Dwa dni po aresztowaniu Jenny Watson (Hower) śnieżnica mija i Badacze mogą wyruszyć w dalszą drogę tylko czy aby tu nigdy nie powrócą. Miasteczka Greenhill i Witchtown mają swoje

tajemnice i na pewno te zdarzenia nie są ostatnie.

BOHATEROWIE DRAMATU I NIE TYLKO

Historie Watsonów

„-Oh pamiętasz Henry zimę 30 lat temu kiedy się spotkaliśmy, ty byłeś lekarzem, a ja miałam wypadek samochodowy jadąc z Witchtown do Greenhill. To, że siedzę tutaj i rozmawiam z wami zawdzięczam mojemu ukochanemu lekarzowi, który cudem uratował mi życie.

-O to nie było nic szczególnego po prostu jechałem do Witchtown po niezbędne medykamenty, a gdy wracałem zauważyłem przewrócony samochód, a że miałem akurat pod ręką wszystko czego potrzebowałem z łatwością poradziłem sobie z ranami Jenny, gorzej było z jej złamaną nogą jeszcze do dziś lekko utyka. Pamiętam to jak wczoraj to wszystko zdarzyło się 14 grudnia 1970 roku, a pogoda była tylko trochę lepsza od tej dzisiejszej”

„-Ojej ta pogoda przypomina mi tą ogromną burzę śnieżną sprzed dziesięciu lat pamiętasz ją może Jenny.

-Hmm...Ach tak ta burza zniszczyła prawie wszystko w promieniu stu mil od Witchtown.

-Nawet nas nie ominęła ta katastrofa wszyscy musieliśmy odbudować swoje domy, no może oprócz Leana.”

„-Opowiedzieć wam coś o Witchtown, więc legendę o tym miejscu. Legenda mówi nam o wiedźmie, która żyła w tych okolicach ale spalili ją zimą roku 1000. Potem w tamtym miejscu powstał kult wiedźm około roku 1500 ale został szybko wypieniony, no i w tamtym miejscu powstało miasto Witchtown, które zawdzięcza swoją nazwę wiedźmom żyjących w tamtych okolicach było to chyba w 1863 roku. No ale miałam mówić o wiedźmie Elizabeth Hower bo tak nazywała się pierwsza z czarownic. Urodziła się podobno w roku 500 i żyła 500 lat zanim odkryli ją okoliczni ludzie, a była najpiękniejszą

kobietą jaka urodziła się w Szkocji miała długie blond włosy i błękitne oczy, które zniewalały każdego kto w nie spojrzał. Lecz pewien młodzieniec o imieniu Jeffrey Niel oparł się jej wdziękowi i spalił ją na stosie ale ta zapowiedziała swój powrót na przełomie tysiącleci."

KILKA CIEKAWYCH INFORMACJI Z BIBLIOTEKI BURMISTRZA

-Derek Smith mieszkał w Greenhill od 1998 do 1999 kiedy to trafił do sanatorium w Witchtown. Trafną diagnozę przeprowadził dr. Watson. W Greenhill mieszka jeszcze brat Dereka, John Collier, który zmienił nazwisko 17 marca 2000.

-Fragment z „Greenhill Times”: 14 grudnia 1940 roku z sanatorium Witchtown uciekło pięcioro pensjonariuszy. Dyrektor zakładu Jeffrey Niel zapowiada, że póki żyje nikt już nie ucieknie z pensjonatu. 17 grudnia Jeffrey Niel ginie w nie wyjaśnionych okolicznościach.

-Fragment z „Greenhill Times”: 14 grudnia 1970 z sanatorium w Witchtown zbiegło troje z pensjonariuszy. To już kolejna ucieczka z sanatorium po ucieczkach z 1950 i 1960 roku. Kirk MacGregor, Greg Adams i Jenny Hower najprawdopodobniej udali się w kierunku Greenhill.

-„Greenhill Times” zawiesiło swoje działanie po śmierci właściciela gazety Edwarda Lewisa, zamordowanego przez Kirka MacGregora 17 grudnia 1970.



-MacGregor zmarł 27 stycznia 2000 w sanatorium Witchtown, natomiast Hower i Adamsa nigdy nie złapano.

-Badacze mogą znaleźć kartę jednego z pacjentów dr. Henrego Watsona, która przypadkowo (???) znalazła się w bibliotece Keitha: Lean Bruce ur. 14.12.1940, przez pierwsze dziesięć lat życia nie zachorował ani razu, dopiero w swoje dziesiąte urodziny zemdlął i musiał leżeć przez cały dzień, objawy dziwnej choroby ustąpiły następnego dnia. Dziwna choroba pojawia się zawsze co dziesięć lat w dniu urodzin Leana (w między czasie nie choruje ani razu), ostatni zanotowany atak choroby nastąpił 14.12.1990 roku.

JENNY HOWER ALIAS JENNY WATSON

S 8, ZR 12, INT 14, MO 0, KON 10, WG 8, MOC 14, BC 9, WYK 12, WT 9, P 20

Umiejętności: Język Angielski 60%, Psychologia 40%, Otwieranie zamków 30%, Farmacja 20%

Opis: Jenny Hower to 63 letnia staruszka ukrywająca się pod nazwiskiem Watson i obok męża, który nic o niej nie wie. Hower wydaje być się bardzo miłą i niegroźną siwą staruszką i nie nic bardziej mylnego tak naprawdę to psychopatyczna morderczyni zdolna do wszystkiego. Historia Jenny tak naprawdę zaczyna się gdy trafiła do zakładu psychiatrycznego w Witchtown w wiosną 1940, a uciekła z niego 14 grudnia tego samego roku wraz z dwójką towarzyszy. Po wydostaniu się z zakładu trójka rozdzieliła się, a Hower jadąc skradzionym samochodem miała wypadek, z którego wydostał ją dr. Henry Watson. Uciekiniarka uznała za świetny pomysł uwiedzenie doktora z którym wyszła za mąż w styczniu następnego roku. Do dziś żyje w miasteczku Greenhill wraz z mężem udając miłą staruszkę.

Special thanks for Hadesa, Setha & Qraziego

ZŁO ZAWSZE PRZYCHODZI Z LASU

WSTĘP

Na potrzeby wielu przygód, a w szczególności tych do Zewu Cthulhu, często wykorzystuje się wierzenia ludów nie raz dla nas bardzo egzotycznych. Voo Doo, panteon bóstw starożytnego Egiptu czy barbarzyńskie praktyki wymarłych cywilizacji Ameryki Południowej, są wciąż powtarzającymi się tematami dziesiątek przygód. Sądzę jednak, że nie trzeba sięgać aż tak daleko. Jeszcze tysiąc lat temu, gdy zachodnia Europa uznawała chrześcijaństwo za jedyną, prawdziwą religię, na ziemiach polskich wciąż oddawano cześć siłom natury, otaczającej przyrodzie czy poszczególnym bóstwom. Temat ten idealnie nadaje się do stworzenia ciekawej historii dziejącej się w latach sześćdziesiątych XX wieku gdzieś, gdzie mogły choć w niewielkim stopniu zachować się pradawne obyczaje naszych przodków, a wszystko to ma miejsce w czasach działalności Wydziału X...

PROLOG

„Gałęzie niespokojnych drzew zdawały się tańczyć na wietrze, tłukąc się co chwila o przednią szybę pędzącego samochodu. Atakowany przez rozczapierzone badyle pojazd, sunął prawie bezszelestnie. Stukot silnika zagłuszało zawrodenie wiatru tulającego się po pobliskich wzniesieniach. Co jakiś czas słychać było grzmoty, a błysk piorunów rozświecał las, ukazując na kilka sekund potęgę żywiołu. Bębniące po dachu krople deszczu zharmonizowane z piskiem wycieraczek, zlewały się w umyśle kierowcy, wywołując senne halucynacje. Nie widział już drzew i krzewów, ale drapieżne gidie usiłujące pochwyć go tysiącem pelzających macek. Wirujące na wietrze liście uśmiechały się do niego szyderczo, rzucając się co chwila na maskę samochodu. Czuł jak z każdą minutą jego skronie pulsują coraz bardziej, rozsadzając z bólu ociężałą

głowę. Zdawało mu się nawet, że słyszy trzask pękającej czaszki. Powoli tracił kontrolę nad brnącym przez błoto pojazdem. Przesuwając się, rozmazane obrazy wyglądały znajomo, co dodawało mu otuchy. „Jeszcze tylko jeden zakręt” -Pomyślał, gdy nagle jaskrawe światło błyskawicy oślepiło go na kilka sekund. W rozprasających się ciemnościach dostrzegł przed sobą czyjeś błyszczące ślepie. Szarpnął gwałtownie kierownicą i próbując okiełznać miotającą się maszynę, uderzył w pobliskie drzewo. Bezwładne, martwe ciało osunęło się powoli na siedzenie pasażera. Las ucichł. Słychać tylko było młodą sarnę, która jakby nie zdając sobie sprawy z tego co uczyniła, żarliwie skrobała mokre jeszcze żdzbla trawy.”

WPROWADZENIE

Towarzysze oderwani od swoich codziennych obowiązków szybkim krokiem zmierzają w kierunku gabinetu pułkownika Brzozy, zastanawiając się nad przyczyną ich nagłego wezwania. Nie wiedzą jeszcze o tragicznej śmierci jednego z agentów Wydziału, niejakiego Józefa Kozłowskiego, który zginął w wypadku samochodowym podczas prowadzenia śledztwa. Zwiernik informuje ich, że miało to miejsce niedaleko miasteczka Kołtycze, a sprawa dotyczyła zaginięcia w ostatnich latach kilku osób w tamtejszej okolicy. Cała historia jest o tyle dziwna, że zniknęły przeważnie młode dziewczyny w wieku piętnastu, szesnastu lat. Nie jest wykluczone, że śmierć pracownika Wydziału X ma jakiś związek z prowadzonym przez niego dochodem, choć wstępna sekcja zwłok potwierdziła, że przyczyną zgonu były obrażenia wewnętrzne spowodowane tragicznym wypadkiem. Towarzysze otrzymują rozkaz wyjaśnienia niespodziewanej śmierci Kozłowskiego oraz niedokończonego śledztwa.

ZŁOTE PRZESTRZENIE

„Ze wszystkich stron otaczały ich porośnięte pszenicą pola. Kołyszące się na wietrze lany zbóż sprawiały wrażenie wzbudzonych, morskich fal, usiłujących zatopić w złotokłosych odmętach pędzący samochód. Szum piętrzących się bałwanów i radosny świergot ptaków, napawały podróżnych błogim spokojem i działały usypiająco. Otulone zielonym dywanem łąki, zdawały się ciągnąć w nieskończoność, a pobliskie, pokryte kwieciami wzniesienia, prowadziły wprost ku bezchmurnym błękitom. Buchający z nieba żar odurzał swoim tchnieniem rozległe przestrzenie i tylko chłodny wiatr, nie dając za wygraną tańczył, unosząc w powietrze bez troskie puchy. Nawet pobliski ciemny las wydawał się wyjątkowo spokojnie...”


Towarzysze przyjadą do miasteczka czym wzbudzą ogromne zainteresowanie tubylców. Nie przejmując się tym faktem będą sunąć powoli główną ulicą przypatrując się pobliskim budynkom. Już na pierwszy rzut oka stwierdzą, że miejscina ta niczym nie odróżnia się od setek podobnych do niej polskich miasteczek. Niskie, szare domki, zadbane ogrody i oparte o płoty tutejsze plotkary to widok, który nie wzbudzi żadnych podejrzeń.

Centrum Kołtycz to bar mieszczący się przy remizie strażackiej. Szkoła Podstawowa im. Wandy Wasilewskiej oraz miejscowa komenda milicji. Obok, na niewielkim wzniesieniu stoi mały, drewniany kościółek z przyległym do niego starym cmentarzem. Zmęczeni podróżą towarzysze podjadą pod komendę, z której wyjdzie im naprzeciw około pięćdziesięcioletni milicjant. Zdenerwowany całą sytuacją przywita się z nimi niechętnie, po czym zaprosi do środka. Poprowadzi ich przez długą, ciemną korytarz wprost do małego pokoiku, który okaże się jego gabinetem. Niewielkie pomieszczenie zawałone jest stertą służbowych papierów. Stare, na wpół spróchniałe już pulki uginają się pod ciężarem segregatorów, których

część, widocznie z braku miejsca, znajduje się na podłodze. Pod jedną ze ścian stoi drewniane biurko, a na nim maszyna do pisania, obecnie służąca do podpierania ułożonych w kupkę dokumentów. Funkcjonariusz przeprosi za bałagan przysuwając podróżnym krzesła. Towarzysze powinni w tym momencie zażądać raportu w sprawie niewyjaśnionych zaginięć oraz śmierci Kozłowskiiego. Okaże się jednak, że zawieruszyło się gdzieś w tym bałaganie i milicjant będzie musiał opowiedzieć co wie o tych tajemniczych sprawach.

OPOWIEŚĆ MILICJANTA

Agent Kozłowski do Kołtycz przyjechał dwa dni temu służbowym samochodem. Nie przyszedł najpierw do mnie, ale do pobliskiego baru. Widocznie chciał się czegoś dowiedzieć o tutejszych mieszkańcach i postanowił zaczerpnąć informacji u samego źródła. Jak zdążyłem się dowiedzieć ludzie stronili od niego i nie chcieli nic mówić. Nie jest to niczym dziwnym, ponieważ miejscowi nie są przyjaźnie nastawieni do obcych, a już na pewno nie do mundurowych...nie...hmmm...nie był w mundurze, ale miał coś takiego...no nie ważne. Czulo się, że jest jakaś szczyła. No więc, był w tym barze i próbował się czegoś dowiedzieć. Dopiero po czwartej kolejce ludziom zaczęły rozwiązywać się języki, a właściwie jednemu-Zbysz-kowi...to znaczy towarzyszkowi Biernackiemu. To stary pijak i nie można wierzyć w te jego bajki o...hmmm...leśnym potworze (milicjant uśmiecha się głupkowato, drapiąc się przy tym w głowę). No więc, jak już mówiłem pił...to znaczy BYŁ w barze i niczego się nie dowiedziawszy, przyszedł do mnie. Powiedziałem mu kto i kiedy dokładnie zaginał, a on stwierdził, że zaraz z rana wyruszy zbadać okolice. Nie wiem o co mu chodziło, a ja nie pytałem, bo i po co, w końcu to nie była moja sprawa. Rano widziałem tylko jak jego samochód wyjeżdżał z miasta w kierunku wsi Bagienko. Roztrząskany



pojazd znalazłem następnego dnia rano, czyli wczoraj, niestety towarzyszy Kozłowski już nie żył. Jedyne co mogłem zrobić to osobiście zawieźć jego ciało do naszego doktora. On po stwierdzeniu zgonu odesłał zwłoki do stolicy. Co do przyczyn wypadku, to moim zdaniem wszystkiemu winna jest ta straszna burza, która rozpętała się wczoraj wieczorem. Tylko dlaczego tak pędził? Musiał jechać sporo ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Jego samochód prawie owinał się wokół drzewa, zresztą do teraz ten wrak tam stoi... Zaginięcia to osobna historia. Wszystko zaczęło się zanim zostałem oddelegowany do Kołtycz... hmmm... przynajmniej tak twierdzą miejscowi. Cała ta sprawa jest naprawdę dziwna. Otóż mniej więcej raz na trzy lata w mieście lub jego okolicznych wsiach znika bez wieści młoda dziewczyna, najczęściej w wieku piętnastu, szesnastu lat. Sam brałem udział w dwóch poszukiwaniach, a mówi się nawet o dziewięciu zaginięciach. Nigdy nie odnaleziono żadnych zwłok, więc sprawa ta jest prawdziwą zagadką dla milicji. Nigdy też nie aresztowano żadnych podejrzanych. Najbardziej niepokoi mnie to, że ostatnie zniknięcie miało miejsce ponad dwa i pół roku temu...


DOCHODZENIE

Zapewne Towarzysze zechcą poprowadzić własne dochodzenie w miasteczku, niczego ciekawego jednak się nie dowiedzą, no może oprócz wyssanej z palca historii Biernackiego o leśnym potworze i to tylko wtedy gdy postawią mu coś mocniejszego. Większość tutajszych mieszkańców ma własną opinie na temat tych zaginięć (od porwań pedofila po fantastyczne historie z szatanem w roli głównej). W końcu Towarzysze postanowią bliżej przyjrzeć się temu co zostało z samochodu Kozłowskiego. Wrak znajduje się trzy kilometry od miasta, na polnej, biegnącej przez las drodze w kierunku wsi Bagienko. Gdy dojadą na miejsce zobaczą, jak ktoś przy nim majstruje, a kiedy zauważą

nadjeżdżający pojazd, wsiądzie na wóz i zacznie uciekać. Otwarty bagażnik i rozsypana w nim ziemia wskażą na to, że uciekinier wyciągnął coś z samochodu. Towarzysze prawdopodobnie ruszą za nim w pościg. Ślady doprowadzą ich do Bagienka. Wieś ta to zapadła dziura. Kilkanaście małych chałup zgromadzonych wokół niewielkiego placu, a na jego środku ogólnie dostępna studnia. Wszędzie roznosi się odór zwierzęcych odchodów, a między nogami pałęta się cały domowy inwentarz. Od czasu do czasu słychać tylko rżenie koni i szczekanie wiejskich kundli. Ludzie, jakby przestraszeni, będą unikać dociekliwych spojrzeń Towarzyszy. Wszelkie próby dowiedzenia się czegokolwiek o tajemniczym uciekinierze, niewyjaśnionych zaginięciach i śmierci Kozłowskiego zakończą się fiaskiem. Mieszkańcy będą sprawiać wrażenie co najmniej nieufnych, unikać wszelkich rozmów, a zapytani będą twierdzić, że nic nie widzieli, nic nie słyszeli. Zniechęceni agenci najprawdopodobniej wrócą do Kołtycz. Tam dowiedzą się o kolejnym zniknięciu młodej dziewczyny, niejkiej Anieli. Wraz z kilkudziesięcioosobową ekipą bezzwłocznie wyruszą na jej poszukiwania.

POSZUKIWANIA

Wszyscy biorący udział w zorganizowanej na dość szeroką skalę akcji poszukiwawczej, zostaną podzieleni na kilkusobowe grupy (Towarzysze powinni stanowić jedną z nich). Zostanie umówione miejsce spotkania (w komendzie za trzy godziny), po czym wszyscy rozejdą się zwanym krokiem w ustalonych kierunkach. Najwięcej będzie zmierzać w stronę pobliskiego jeziora, które dość często odwiedzane jest przez tutejszą młodzież. Towarzysze, jako jedyni poza milicją dysponując samochodem, za zadanie będą mieli jednak sprawdzenie dróg dojazdowych do miasta. Bezustanne jeżdżenie w kółko zdaje się nie mieć sensu, szczególnie gdy zacznie się ściemniać. Tracąc już powoli nadzieję trafienia na jakikolwiek ślad za-



ginionej, Towarzysze zauważą na drodze dojazdowej do Bagienka skręcające w las ślady wozu. Wsiadłszy z samochodu skierują swoje kroki między drzewa wzdłuż zostawionych na leśnej ściółce śladów. Po kilkudziesięciu metrach znajdą pusty wóz. Zaprzęgnięty do niego koń będzie sprawiać wrażenie mocno podenerwowanego, jak gdyby wyczuwał wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo. W oddali wśród olbrzymich, pierwotnych drzew zauważą bijącą w przestworze lunę. Prawdopodobnie wyruszą więc w ciemny bór kierując się w stronę jaskrawej poświaty. Przedzierać się będą przez bujne gąszcze i krzewiny, których cieniutkie jak ostrze noża gałązki wbijać się będą w nieosłonięte karki, uszy i dłonie. Zmęczeni i poranieni, w końcu dojdą do niedużej polany, a ich oczom ukaże się...

RYTUAŁ


„Wokół wielkiego ognia stało sześciu na wpół nagich mężczyzn. Ich oświetlone twarze zdawały się tkwić w bezruchu, tylko z lekko rozchylających się warg wydobywały się ciche, zagłuszane przez buchające ognisko dźwięki. Unoszące się w powietrzu błędne ogniki rozwidniały pokrytą kamiennymi posągami polanę. Martwe rzeźby o zniekształconych obliczach rzucały długie cienie na stojące w bezwładzie postacie. Błyszczące oczy zebranych white w utkany gwiazdami, bezkresny przestwór, nagle zwróciły się ku staremu dębowi. Wyrwane z letargu nagie konary rzuciły się gwałtownie w ich stronę. Gdy byli już na tyle blisko, by ugodzić ofiary odskoczyły niespodziewanie, jakby poczuły zagrożenie strzelających w górę płomieni. Nie dając jednak za wygraną, miały się gniewnie na wietrze czekając na okazję, by powtórnie zaatakować. Do drzewa przywiązana była naga kobieta, której białe ciało zaczęło pokrywać się leśnymi insektami. Plugawe robaki pełzały po niej wgrzając się w delikatną skórę. Mniejsze chrząszcze i mrówki wchodziły do jej nosa i uszu. Za każdym razem, gdy próbowała krzyczeć sine usta

napelniały się robactwem, a drewniane macki owijały się wokół aksamitnej szyi. Po chwili wyciekająca spod kory żywica zaczęła oblepiać jej nagie ramiona, by wkrótce pokryć resztę zakrwawionego ciała.”

Towarzysze bez chwili zawahania zapewne ruszą na pomoc bezbronnej ofierze. Za pomocą służbowej broni uda im się zastraszyć zdezorientowanych uczestników tego pogańskiego obrzędu, w których rozpoznają mieszkańców odwiedzonej już przez nich pobliskiej wsi - Bagienka. Rzucą się ku nagiej dziewczynie i spróbują wyrwać ją ze szponów starego dębu. Nie jest to jednak łatwe, ponieważ lepkie ciało ofiary będzie wyslizgiwać im się z rąk, a pełzające po nim robaki zaczną oblażyć i tak poranione już ręce Towarzyszy. W końcu uda im się wyszarpać przytomną jeszcze, młodą kobietę. Wtedy to czerwony kur zgaśnie, pozostawiając tylko wirujący na wietrze deszcz iskier. Z leśnych głębin zaczną wydobywać się ciche, ledwie dosłyszalne dźwięki, a z czarnej otchłani wyłonią się błyszczące, nabierające coraz większych rozmiarów punkciki. Po chwili te małe, srebrzyste odrobinki przekształcą się w żarzące się, pełne nienawiści, demoniczne ślepie. Kilkanaście par mściwych oczu będzie zbliżać się coraz szybciej, by w końcu ruszyć do ataku. „Cóż żeście uczynili?” - zapyta z przerażeniem jeden z obecnych tu mieszkańców wsi. Wkrótce zebranych na polanie ukaże się stado ogromnych, zajadłych dzików, które mimo swych małych nóg będą nacierać na nich coraz prędzej. Przerażeni, zaczną uciekać. Jeśli Towarzysze spróbują zastrzelić zbliżające się leśne potwory przyniesie to mizerne efekty. Jeden z nich weźmie dziewczynę na ręce i rzuci się do ucieczki w głąb lasu, a z oddali dobiegną ich krzyki i jęki rozszarpanych mężczyzn.

W OTCHŁANI LASU

Zmęczeni ucieczką nie zatrzymają się jednak ani na chwilę. Poczują jak konary mijanych drzew będą próbować



pochwycić ich w śmiertelnym uścisku, a błoto oblepiac będzie ociążałe nogi zapadające się w gąbczastą ziemię. Tracąc powoli nadzieję na dotarcie do zostawionego przed lasem samochodu zdadzą sobie sprawę, że coraz bardziej zagłębiają się w bezkresną otchłań lasu. Nagle zza sylwetek starych, przybierających dziwne kształty drzew wyłoni się majestatyczny obraz porośniętego mchem, zardzewiałego czołgu. Towarzysze zaskoczeni widokiem niemieckiej maszyny z pewnością zatrzymają się i słysząc coraz głośniejsze ujadanie wilków, postanowią skorzystać z nieoczekiwanego zesłanego schronienia. Resztkami sił otworzą zapieczony właz, by po chwili z odgłosem darcia metalu o metal, odkryć zalaną w mroku czelusć. Nachylając się nad nią jeden z Towarzyszy bezskutecznie próbować będzie dostrzec zarys wnętrza. Nagle ich uszy przeszyje nieludzki, piskliwy skrzek oraz stłumiony trzepot skrzydeł. Na nic zdają się próby uchylenia przed niezidentyfikowanym niebezpieczeństwem. W jednym momencie twarz Towarzysza pokryta zostanie chmurą, wbijających się ostrymi pazurami nietoperzy. Próbując odgonić włochate stwory, straci on równowagę i upadnie na grząską ziemię tłukąc się dotkliwie. Wgryzające się w twarz upiory wyszarpywać będą kawałki okrwawionej skóry, by po chwili odlecieć ukazując w blasku księżycowego światła poranioną twarz nieszczęśnika. Wkoło nastanie przerażająca cisza będąca tylko wstępem do zbliżającego się zewsząd niebezpieczeństwa. Na czołg wskoczy ogromnych rozmiarów, zwabiony zapachem świeżej krwi wilk, a z głębi lasu wydobywać się będą skomlenia dzikich bestii. Towarzysiom pozostanie jedynie paniczna ucieczka w przeciwnym kierunku. Mimo, że najłatwiejszą do upolowania ofiarą jest , młoda dziewczyna, wilki jakby tego nie dostrzegając całkowicie będą ją ignorować. Biegący co sił

w nogach Towarzysze, niekiedy tylko przystający, by celnym strzałem ugodzić rozwścieczone wilki, niespodziewanie trafią na znajomą im polanę. Goniące ich drapieżniki, jakby czując respekt przed kamiennymi posągami przystaną na skraju lasu, bacznie obserwując ruchy swych przyszłych ofiar. Wśród martwych ciał zobaczą opartego o wielki, stary dąb jednego z uczestników odbywającego się tu niedawno pogańskiego rytuału. Ujrawszy wbiegających Towarzyszy, a w szczególności młodą dziewczynę, na jego wykrzywionej od bólu twarzy, pojawi się lekki uśmiech. Niedowierząc swym zamglonym oczom zawoła „Jest jeszcze dla nas nadzieja!”, po czym zacznie wyjaśniać...

RADY STARCA

Tak, mamy jeszcze nadzieję na ratunek. Wy i moja wieś możecie zostać jeszcze ocaleni. Wystarczy że weźmiecie ode mnie ten nóż i dokończycie to, co myśmy zaczęli. Jeśli chcecie przeżyć oddajcie Jego własność. To jest ostatnia dla was nadzieja. Wilki was nie wyręczą... ona nie może zostać splamiona Jego złem. Tylko wy możecie ją Jemu poświęcić. Musicie to zrobić do wschodu słońca, w przeciwnym wypadku moja wieś razem z Nim i z wami zginie.

WYBÓR OSTATECZNY

Trudną decyzję mają do podjęcia Towarzysze. Złożywszy w ofierze Aniełę przeżyją, a wraz z nimi zło mieszkające w tym przerażającym lesie. Poświęcając swe życie, walcząc z dzikimi bestiami dla ratowania tej niewinnej osoby skarzają na zagładę nie tylko siebie, ale także drżące tu złe moce. Wybór zostawiam Twoim Graczom. Mam nadzieję, że podejmą prawidłową decyzję, a czas na to mają tylko do pierwszych promieni wschodzącego słońca. Potem wilki w desperackim, ostatnim już ataku zagryzą znajdujących się na polanie Towarzyszy.

EPILOG

„Nie byłem zadowolony, kiedy zadzwonili do mnie z „prośbą” o nieoficjalne zbadanie sprawy Bagienka, ale jako jedyny stróż prawa w okolicy, postanowiłem profesjonalnie podejść do sprawy i odwiedzić ten zacofany zakątek. Szlag mnie jednak trafiał na myśl, że przez kilku żółtodziobów z Warszawy za kilka dni miało mi się zwalić na głowę wojsko. Sam nie wiem, czego miałem nadzieję dowiedzieć się od mieszkańców wsi, nigdy bowiem nie rozmawiali z obcymi, nie wspominając już o miejscowej milicji. Całe szczęście, że chociaż ta dziewczyna odnalazła się cała i zdrowa, choć historię, którą nam opowiedziała trudno racjonalnie wytłumaczyć. Mimo, że dzień zapowiadał się raczej deszczowy, wsiadłem do służbowego gruchota i rusyłem w kierunku zapadłej dziury. Gdy wjeżdżałem pod ostatnie wzniesienie dzielące cywilizację od zapomnianej przez Boga pipydowy, nie wiedzieć czemu, prowadząca do celu droga nagle skończyła się. Ujrzałem przed sobą pokrytą zielonym haftem otchlań. Nie przypominałem sobie, żebym wcześniej widział to miejsce, ale nie zastanawiałem się wtedy nad tym. Wyszedłem z wozu i zacząłem przedzierać się przez gęste zarośla. Bujna roślinność pochłonęła wszystko. Wiedziałem jednak, że jestem prawie na miejscu i za chwilę powinienem zobaczyć znajomą wieś. Odetchnąłem więc z ulgą i przyspieszyłem kroku. Po kilku minutach stałem już na szczycie wzniesienia i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zamiast Bagienka zobaczyłem ogromne, powleczone dziewiczym lasem przestrzenie i zasnuć mgłą doliny. Nie zauważyłem najmniejszego śladu cywilizacji tylko zarośnięty chaszczami ciemny bór. Jakby nie powstała tu ludzka noga, a wszystkie zdarzenia pokryto pyłem zapomnienia. Ale co mnie to obchodziło? „Niech wojskowi się tym martwią” – Pomyślałem i czym prędzej opuściłem to przerażające miejsce.”

KILKA SŁÓW WYJAŚNIEN

Początki przedstawionej powyżej historii sięgają dramatycznej dla narodu polskiego daty. Pierwszego dnia września roku 39-tego, zachodnią granicę naszego państwa przekroczyły hitlerowskie wojska. Pustosząc miasta i wsie na swej drodze, zaledwie po kilku dniach dotarli do Kołtycz. Małe, okoliczne wsie zostały ograbione pozostawione na pastwę zbliżającej się zimy. Tylko jedna wioska znalazła sposób na skuteczną obronę przed najeźdźcą. Zapomniane już gdzie indziej pradawne rytuały naszych przodków, ostały się w pamięci mieszkańców Bagienka, choć nawet oni sami nie zdawali sobie sprawy z wielkiej mocy jaką zaczęli dysponować. Szybko została podjęta decyzja o odprawieniu jednego z ceremonialów, mającego zapewnić wsi bezpieczeństwo. Wtedy to złożona została pradawnym bogom lasu pierwsza ofiara. Pierwotna magia zapewniała ochronę przez cały okres trwania wojny. Problemy nastały dopiero wraz z jej zakończeniem. Słusznie obawiając się, że to co przyzwali, z powodu braku hitlerowskiej krwi obróci się przeciw mieszkańcom Bagienka, zmuszeni byli oddawać co pewien, określony przez gwiazdy okres ofiarę z niewinnej dziewczyny. Odizolowani przeżyli dwadzieścia lat, gdy jeden z agentów Wydziału X zaczął węszyć w sprawie powtarzających się niewyjaśnionych zaginięć. Towarzysz Kozłowski był jednym z bardziej doświadczonych pracowników Wydziału, więc nie potrzebował zbyt wiele czasu na rozpracowanie tajemniczej zagadki. Nie zdążył się jednak z nikim podzielić swoimi spostrzeżeniami. Gdy wracał samochodem, z wykopanym na polanie posągim w bagażniku, mającym posłużyć jako dowód, bezlitosny las zadbał by nikomu nie zdradził poznanej tajemnicy.

JERZY 'CIERZY' CICHOCKI

TAJEMNICA PANA STEWARTA

Cthulhu 1890

Poniżej przedstawiam uniwersalną, jak mi się zdaje, przygodę. Uniwersalną, bo z powodzeniem można ją rozegrać we wszystkich podstawowych okresach Zewu Cthulhu (1890, 1920, 1990). Pisząc ten scenariusz, wyobrażałem sobie dziewiętnastowieczną Nową Anglię. Nie jest to popularna epoka wśród polskich graczy, ale mam nadzieję, że zadowoli wszystkich tych, którzy czuli się pominięci przez brak publikacji do ich ulubionego okresu, a reszta Strażników odnajdzie w scenariuszu ciekawe elementy, które wykorzysta na swój sposób.


HERBATKA Z MLEKIEM I CIASTECZKA

Miejscem akcji naszej opowieści jest małe portowe miasteczko Nowej Anglii o nazwie Blueport. Ongiś ważny punkt przeładunkowy na przemysłowej trasie z północy na południe Stanów, rozwinął się dzięki dogodnej pozycji na szlaku kupieckim z Afryką i Indiami. Jego znaczenie zaczęło jednak słabnąć wraz z zakończeniem Wojny Secesyjnej. Teraz, po trzydziestu latach, jest to jeden z licznych jemu podobnych rybackich portów, w którym pojawienie się większego zagłowca jest dużą sensacją. Od dłuższego jednak czasu na miasto i jego okolice pada cień. Od kilku lat po sąsiadujących hrabstwach krąży nienazwany morderca. Co jakiś czas opinię publiczną poraża wiadomość o zaginięciu kolejnej ofiary. Na jej miejscu pozostaje jedynie kałuża krwi i parę kości...

Christopher Stewart jest jednym z bardziej poważanych mieszkańców Blueport. Dorobił się na handlu z Południem, a dziś zatrudnia w swym sklepie już kilka osób. Ostatnio zaczęły go jednak trapić pewne problemy, co wyraźnie odbija się brakiem humoru na jego

zwykle uprzejmej twarzy. Z pewnością nie może go niepokoić stan finansów, o czym zaświadcza jego pracownicy. Kondycja finansowa pana Stewarta jest w dobrym stanie. Nie mogą być to także problemy rodzinne, ponieważ ponad pięćdziesięcioletni bogacz jest samotny. Co prawda, najbliżsi przyjaciele wiedzą o jego wcześniejszych staraniach celem zdobycia ręki kilku dam z sąsiednich miejscowości. Jakiś czas temu przestał się tym jednak interesować, pomimo nieustającej z nimi korespondencji.

Nie mogąc dłużej znieść jego milczącej udręki, w kręgu miejscowej elity zaczęto szeptać o podjęciu jakiejś interwencji, aby wyrwać pocziwinę z chandry i przywrócić śmietance towarzyskiej Blueport. W tym miejscu na scenę wkraczają Badacze Tajemnic. Przedstawiona sytuacja pozwala im wprowadzić na wiele sposobów, warto jednak zwrócić uwagę na krąg, w jakim będą się poruszać postacie graczy. Jeśli Strażnik Tajemnic podejmie wraz z drużyną decyzję, że najwłaściwiej będzie ją wprowadzić z pozycji pracowników Stewart Store, niedzielnego popołudnia pojawi się w sklepie dżentelmen w towarzystwie damy. Przedstawią się jako reprezentanci "społeczności Blueport zatroskanej złym stanem pana Stewarta". Nie było go na mszy, a Badacze uświadomią sobie, że od dnia jego ostatniej wizyty w sklepie (podczas których to dogląda inwentarzu i pracy podopiecznych) minęły dwa dni. Goście zauważą, że nie wypada im nachodzić pana Stewarta w jego własnym domu bez uprzedniego zaproszenia z jego strony, co jest w ścisłym zwyczaju tych sfer. Jednakowoż wielce właściwym wydaje się owej damie i dżentelmenowi, aby Badacze, tudzież pracownicy sklepu, zatroskali się o zdrowie właściciela i pracodawcy, uciekając się nawet do drobnego fortelu – to jest udać się do jego posiadłości z



pytaniem o nowe zaopatrzenie, aby nie wydać się zbyt śmiałymi.

Bardziej zawile, choć równie prosto, będzie wyglądała sytuacja, jeśli Badacze Tajemnic zdecydują się wcielić w postaci z wyższych kręgów miasteczka. Na jednym z wieczorków kulturalnych, na którym zabraknie pana Stewarta (o czym nie zapomni zawiadomić listownie przez swego posłańca), dyskusje zdominuje dziwne ostatnimi czasy zachowanie wyżej wspomnianego. Mistrz Gry będzie miał nie lada zadanie przedstawiając spotkanie i odgrywając kolejnych, wielce dystygowanych bohaterów niezależnych; koniec końców, otoczenie powinno wymóc na postaciach graczy postanowienie, iż to oni zdecydują się odnaleźć przyczynę złego nastroju szanowanego obywatela Blueport.

Tak czy owak, pan Stewart wydaje się być pocieszony przybyciem niespodziewanych gości, choć z jego twarzy nie znikła troska, a posturą przypomina raczej zmęczonego życiem starca, aniżeli dumnego wcześniej i krzepkiego mimo wieku dżentelmena. Zaprosi Badaczy na angielską herbatę, podczas której zwierzy się ze skrywanej tajemnicy.


OPOWIEŚĆ CHRISTOPHERA STEWARTA

Stewart zaczął swoją kupiecką karierę trzydzieści lat temu. Jak już wspomniano, zysk przyniosła mu wymiana towarów z południem. Jedni na wojnie tracą, inni zyskują. Christopher Stewart należał właśnie do tych ostatnich. W trakcie rozmowy okazało się jednak, że podróże do Georgii, Missisipi, czy Luizjany nie ograniczyły się tylko i wyłącznie do interesów handlowych. Młody kupiec zaczął przejawiać niezwykle zainteresowanie kulturą i tradycją indiańską, a także murzyńską. Wkrótce jego wozy, obok towarów handlowych, zaczęły transportować do rodzinnej posiadłości niezwykle eksponaty...

Szybko rosnące zyski, pozwoliły

Stewartowi na dalsze poszukiwania i pogłębianie wiedzy. Wojna się skończyła, mógł więc bezpieczniej podróżować. Niebawem nawiązał szerokie kontakty z osobami, które podzielały jego zainteresowania. Szybko wykrystalizowała się czwórka przyjaciół, których ciekawość i upór w dążeniu do odkrycia Praw przetrwały wszystko inne. W 1874 roku złożyli sobie tajną przysięgę, wedle której zobowiązywali się do poszukiwania zagadek świata, a wszystko czego się dowiedzą, nie pozostanie tajemnicą w obrębie ich czwórki. Przy tym przyrzekali wspierać się na wszelkie sposoby, jeśli któryś z nich będzie potrzebował pomocy. Od tamtej pory mało się spotykali, poświęcając czas na podróże, nierzadko poza teren Stanów Zjednoczonych. Z tego okresu pozostała jednak bogata korespondencja, o której Stewart rozpowiadał plotki, jakoby listy pochodziły od jego starych przyjaciółek (stąd i wyjazdy do kobiet jego życia były raczej przykrywką dla mroczniejszych praktyk).

Kilka lat temu, jeden z przyjaciół powrócił bardzo szczęśliwy z długiej wyprawy po Afryce. Natychmiast zebrał pozostałą trójkę, aby podzielić się z nimi swoim niezwykłym odkryciem. Jack Robertson, bo to o nim mowa, gorączkowo opowiadał, jakoby gdzieś na pustkowiu Czarnej Kontynentu odnalazł niezwykłego pustelnika – Tawilmura, który zaofiarował mu poznanie wszystkich Praw Natury, wiedzę o przeszłości i przyszłości, w zamian za niewielką cenę. Robertson nie chciał jednak zdradzić jej wartości. Przez cały czas trzymał zebranych w podziemiach swego domostwa, gdzie mieściła się najróżniejsza aparatura, wykorzystywana w jego błuźnierczych eksperymentach. Niebýt zdrowy widok gospodarza, a także nienaturalny zapach, z którym opowiadał o podróży po Afryce lekko wystraszyły resztę dżentelmenów, toteż nie wzięli na poważnie jego relacji i czym prędzej opuścili posiadłość licząc, że przyjaciel szybko wróci do zdrowia po trudnym wyjeździe. Od tamtej pory



minęło równo dziesięć lat. Bóg wezwał już przed swe oblicze dwóch z Tajemniczonych, a od ostatniego Stewart dawno nie otrzymał żadnej wiadomości. Kupiec obawia się, że cały trud jego życia przepadnie równie szybko, jak wspólna inicjatywa czwórki znajomych. Toteż wielce rad byłby, gdyby ktoś dowiedział się o losach Jacka Robertsona, ostatniego po Stewarcie z wielkiej czwórki.

PRAWDZIWY SEKRET PANA STEWARTA

Christopher Stewart ukrywa całą prawdę i przy udanym teście psychoanalizy można zauważyć, że niepokoi go coś jeszcze. Wszelkie próby wydobywania z niego dodatkowych informacji spełzną jednak na niczym. Tymczasem spotkanie u Robertsona przed dziesięcioma laty, miało nieco inny przebieg. Jack Robertson spotkał w Afryce, jak część z Was zapewne się domyśla, wyznawcę Yog-Sothotha, a nie wykluczone, że i wcielenie samego boga. Ten zaferował mu moc spoglądania pomiędzy różne wymiary i poznananie faktów z przeszłości i przyszłości. Cena, jaką miała za to otrzymać Wszechrzecz w Jedności, została zrećennie ukryta wśród obietnic potęgi. A jest nią oczywiście możliwość krótkotrwałego przedzierania się Yog-Sothotha do naszej przestrzeni i pożeranie ludzi. Stąd wypadki, które opisano na początku.

Strażnik Tajemnic powinien zawczasu przygotować kilka wiadomości prasowych z różnych lat i miejsc, opisujących przerażające wypadki znikania ludzi w niewyjaśnionych okolicznościach (na miejscu pozostaje zazwyczaj drobna kałuża krwi). Postacie graczy powinny zostać zaznajomione z faktem, który straszy mieszkańców Nowej Anglii, choć trzeba zaznaczyć, że jest to zjawisko odnotowywane raz, może dwa razy na rok. W tym czasie giną w ten sam sposób ciała kilku obywateli jednej miejscowości.


Abym uzyskać moc, jaką Robertsonowi zaferował Zewngtrzn Bóg, trzeba było odprawić skomplikowany rytuał

otwierający mentalną bramę. Sam nie był w stanie przygotować zaklęcia, toteż podzielił się swoją tajemnicą ze wspomnianymi już przyjaciółmi. Ci zwiertrzyli szansę odkrycia wszystkich Prawd, jakich od lat poszukiwali i w jakim celu powołali do życia swój pakt. Podczas ceremonii ich krew złączyła się w jedną na klepsku podziemi domu Jacka Robertsona.

Podział daru na cztery osoby nie mógł satysfakcjonować żadnego z czwórki. Okazało się, że zyskali niewielką moc spoglądania w niedaleką przeszłość i przyszłość. Yog-Sothotha to jednak nie interesowała. Zaczął swoje łowy. Pojawiał się rzadko, bo rzadko też było stać czarowników na wpatrywanie się w inne wymiary. Nie mieli w sobie tak wielkiej esencji magicznej. Wkrótce zmarł pierwszy z przyjaciół. Okazało się, że wybiegi w niedaleką przyszłość były dla niego tak przerażające, że jego słaba psychika nie wytrzymała. Robertson i Stewart poczuili przypływ energii. Okazało się, że moc, która początkowo była rozdzielona między cztery osoby, skupiała się w żywych członkach rytuału. Niedawno, dokładnie dziesięć lat po bluznierczej ceremonii, kupiec dowiedział się o śmierci drugiego z tajemnej czwórki. Od kilku dni symuluje chorobę, aby przekonać kogoś, żeby odwiedził Robertsona. Stewart planuje wyposażyć posłańców w zatrutą nalewkę i liścik od "zatroskanego przyjaciela". Tym samym pragnie skupić w sobie całą potęgę dostępną po odprawieniu rytuału.

JACK ROBERTSON

Tymczasem rywal Stewarta do otrzymania pełnego daru Yog-Sothotha okazał się bardziej przebiegły. Podczas ostatnich podróży w czasie dokładnie przyjrzał się najbliższej przyszłości. Domyśla się więc zdrady i zna rolę Badaczy. Postanowił jednak nie zdradzać swej wiedzy i przez ten czas przygotowywał się na przyjazd postaci graczy oraz do zemsty na Christopherze Stewarcie.



Miasteczko, w którym mieszka Robertson, oddalone jest o niecałe czterdzieści kilometrów od Blueport. Oprócz jazdy konnej, do dyspozycji bohaterów pozostaje linia kolejowa (ceny usług znajdują się na stronach 254 i 255 w podręczniku podstawowym). Gospodarz nie będzie zaskoczony wizytą. Stwierdzi, że otrzymał wcześniej od Stewarta stosowne uprzedzenie. Ucieszy się także z nalewki (choć wie, że jest zatruta) i natychmiast przeczyta list. Przez cały czas Robertson będzie starał się być bardzo uprzejmy, zaoferuje u siebie nocleg i będzie odpowiadał na każde pytania (od kiedy poda nalewkę, nie będzie też krył prawdy, której nie przekazał wcześniej kupiec).

Niezależnie od pory dnia, czy to do obiadu, czy do podwieczorka, gospodarz zaoferuje postaciom graczy przywieziony przez nie alkohol. Z powodu licznych wyjazdów i całkowitego oddania się poszukiwaniu zakazanych tajemnic, nigdy nie założył rodziny i mieszka sam. Działanie trucizny jest powolne i stopniowe (moc wynosi 19). Po kilku minutach, spędzonych na rozmowie z gospodarzem, zaczną tracić jasność wzroku. Po kilku następnych dojdą długotrwałe skurcze mięśni. Wypicie całego kieliszka spowoduje śmierć, miejmy więc nadzieję, że Badacze odstawią trunek. Działanie specyfiku nie trwa jednak dłużej niż dwadzieścia – dwadzieścia pięć minut. W tym czasie czarownik postara się przenieść wszystkie ciała do podziemi swej rezydencji. Jeśli wszyscy Badacze ulegną działaniu trucizny, będą mogli jedynie biernie śledzić to, co wydarzy się przez najbliższe minuty...

Ściany piwnicy Robertsona pozostawiane są wysokimi półkami i stołami pokrytymi skomplikowaną aparaturą. To, co jednak przyciąga wzrok bohaterów to bezkształtna masa, powstająca ze środka klepiska. Początkowo galaretowaty korpus, coraz bardziej zaczyna przypominać antropomorficzną sylwetkę, groteskowo upodabniając się do człowieka o obwisłej skórze. W

niewytłumaczalny sposób krew, która spłynęła podczas ceremonii z nadgarstków czterech ówczesnych przyjaciół, przyswalała do życia plugawy pomiot boga (możesz dla niego użyć cech synów Yog-Sothotha, Almanach Potwórow s. 53). Postacie graczy mogą się stać jego kolejnym posiłkiem.

WARIANT OPCJONALNY

Z tego scenariusza możesz także uczynić dramat, informując graczy o zawartej w nalewce truciznie. W tej wersji Christopher Stewart postara się przekonać BG do zabicia Robertsona, przez podanie mu alkoholu. Spróbuj wymyślić przekonujący powód – dawny znajomy rzekomo nastaje na życie kupca, jest złym czarownikiem stojącym za przypadki ostatnich zaginięć (morderstw) w Nowej Anglii itp. Taka opcja przeznaczona jest głównie dla graczy, którzy odgrywaliby postacie sklepikarzy w zakładzie pana Stewarta. Chwila, w której Robertson – znając zawartość karafki – podaje bohaterom trunek, powinna być bardzo emocjonująca.

EPILOG

Jeśli Badacze Tajemnic poradzą sobie z "niewymowną grozą" może ich czekać jeszcze wiele problemów. unicestwienie pomiotu Wszechrzeczy w Jedności i Jedności we Wszechrzeczy może na bohaterów ściągnąć gniew boga. Po wyjściu z podziemi na ich drodze stanie zapewne Jack Robertson. A jeśli pokona Christophera Stewarta (albo vice versa), zadaniem Badaczy może się stać ocalenie Nowej Anglii przed koszmarem, który potężny już wówczas czarownik ześle na jej mieszkańców. W mieszkaniu Robertsona znajdują się rzadkie księgi. Może w którejś z nich odnajdą instrukcję do odwrócenia rytuału, aby zapobiec dalszym łowom Yog-Sothotha. Tak więc "Tajemnica pana Stewarta" może być wyjściem dla większej kampanii.

Dla porządku poniżej podaje współczynniki obu dzentelmenów. Strażnik Tajemnic ma wolny wybór w

wybraniu dla nich zakłęb, pamiętajcie jednak, żeby nie tworzyć z nich półbogów!

CHRISTOPHER STEWART

Dwulicowy czarownik, poszukiwacz Prawd

S 7, ZR 11, INT 15, Pomysłowość 75%,
KON 7, WG 12, MOC 21, Szczęście 99%,
BC 9, P 13, WYK 18, Wiedza 90%

mo: -1k4

Wytrzymałość: 8

Umiejętności: Mity Cthulhu 27%,
Nasłuchiwanie 33%, Okultyzm 39%,
Perswazja 39%, Spostrzegawczość 53%,
Wmawianie 39%

JACK ROBERTSON

Czcziciel Klucza i Bramy

S 7, ZR 9, INT 18, Pomysłowość 90%,
KON 9, WG 14, MOC 22, Szczęście 99%,
BC 9, P 11, WYK 17, Wiedza 85%

mo: -1k4

Wytrzymałość: 9

Broń:

Nóż 49% (1k4+2+mo)

Umiejętności: Mity Cthulhu 31%,
Nasłuchiwanie 27%, Okultyzm 26%,
Perswazja 41%, Spostrzegawczość 51%,
Wmawianie 30%



Andrew D. Chumbley

MARCIN 'SZYD: WEŁNICKI

POCZTÓWKA Z PARYŻA

Rozbudowany szkic przygody.

AKT I

Scenariusz przeznaczony jest dla dowolnej liczby graczy. Jest on przeznaczony dla doświadczonych graczy (a przynajmniej dość inteligentnych). Gracze zaczynają dowolnym miesiącem w Stanach w roku 1924.

WPROWADZENIE

Jeden z bohaterów dostaje pocztą list. Jest to zaproszenie po odbiór "własności" Badaczy (notatnika niejakiego Schuberta von Hindebracha). W kopercie oprócz listu znajduje się mały medalion (z wrytym znakiem).

- Udany test spostrzegawczości stwierdzi, że pod znakiem jest jakaś inskrypcja, w łaciński.

- Udany test łaciny pozwoli rozczytać napis:

*"Nie ten jest umarły, kto spoczywa wiekami.
Nawet śmierć może umrzeć wraz z dzwonnymi cunami."*

- Udany test Mitów Cthulhu udowodni, że jest to cytata z Necronomiconu.

- Udany test okultyzmu stwierdzi, że znak wryty na medalionie jest dziwną wersją okultystycznego symbolu ochronnego.

Dodatkowo test sztuki udowodni, że medalion pochodzi z XV wieku.

Medalion właściwie jest tylko ozdobiakiem i nie jest potrzebny w tej przygodzie (jednakże muszę zaznaczyć, że scenariusz ten może być częścią kampanii, a wtedy medalion jest potrzebny).

W liście podany jest adres: Paryż, ul. Św. Maksymiliana, kawiarnia Lesotho. "Rozpoznam was po Mieczu Św. Augustyna."

Bohaterowie mogą poszukać informacji w bibliotece:

- Miecz Św. Augustyna to mały krzyżyk, noszony za życia przez w.w. św.

- Miecz znajduje się w Bostonie, w przy-

watnej galerii sztuki sir Henryego Charlstone'a.

- Schubert to niemiecki archeolog żyjący w XVIII w., zmarł podczas wyprawy do Egiptu.

Bohaterowie powinni wyruszyć do Bostonu.

BOSTON

Po dotarciu do Bostonu, okaże się, że Henry nie żyje, a jego zbiory zostaną przeniesione do Narodowego Muzeum w Chicago. Teraz znajdują się w magazynie 8 (informacje te można znaleźć na wiele sposobów, dlatego zostawiam to woli Strażnika). Bohaterowi powinni zwiędzić biuro Henryego- znajdują tam adres magazynu 8 i (po teście spostrzegawczości) małą karteczkę z napisem:

'Luc. V. 451

Św. Aug. 671

Św. Mar. 137 '

Badacze powinni udać się do magazynu-znajduje się tam wiele eksponatów, zapakowanych w skrzynie. Najpierw trzeba się zająć strażnikami (może eter?). Trudno będzie znaleźć mały krzyżyk. Na szczęście liczba podana powyżej to numer skrzyni zawierającej krzyżyk. Badacze muszą uciekać- ktoś zawiadomił policję.

AKT II

PARYŻ

Gdy Badacze znajdą się na miejscu, jednego z nich potrafi wysoki, gburowaty facet, w garniturze mówiąc: "Nie mieszajcie się w to". Potem odejdzie.

Jeżeli Badacze pójdą do kawiarni Lesotho i położą w widocznym miejscu Miecz Św. Augustyna, kelner poda im kartkę:

Spotkajcie się ze mną na Starym Ryнку jutro o godz 900

PIER

Na rynku jest tłoczno, ale Pier odnajduje Badaczy bez trudu. Przedstawia się jako Pier Bronte, profesor historii. "Nawet nie wiecie co znalazłem"-prowadzi graczy do pobliskiej kawiarni. Opowiada o tym jak w Schlusburgu znaleziono notatnik w jakimś kościele i jak Pier przywiózł go z Niemczech. Z pierwszych stron wyczytał, że ma on coś wspólnego z Atlantydą, wspomina też imię Ebona. Niestety reszta jest zaszyfrowana i może Badacze będą mogli ją odszyfrować. Pier znalazł także starą mapę-"Mapa jest szczegółowa, ale niestety nie wiem z jakiego rejonu świata pochodzi. Mam ją przy sobie- sięga do marynarki- Ale, ale zamówię coś do picia". Wstaje, rusza do baru. Badaczy dobiegają głosy- jeden z nich należy zdecydowanie do Piera.

- Przecież mówilem że nie potrzebuję bolonów.... nie naprawdę dziękuję, ja.... co pan uuuuuuhhhhhhh...

Pier zatacza się w stronę Badaczy, całą pierś pokrytą ma krwią. Sprzedawca balonów ucieka. Pier chce coś powiedzieć, ale z ust wydostaje mu się tylko bulgot. Podaje graczom kartkę po czym upada, podnosi się wżawa, wszyscy myślą, że to bohaterowie go zabili. Pier nie ma już przy sobie mapy. Gracze muszą uciekać. Na szczęście nikt nie zapamiętał ich twarzy, zachowania czy pochodzenia- na razie.

Kartka:

*Goniec na C5; Biała Wieża
St. Teodor, Juliusz Riepoue, Liwiusz
Francise Plaza i Le Crebillion, "Heroldowie
Dnia Czwartego"
Claude-Jolyot, "Ludzka utuda"*

To najtrudniejszy punkt gry, więc jeżeli gracze sobie nie radzą, Strażnik powinien zastosować test INTx3. Można także podrzucić kilka tropów w mieszkaniu P. Bronte.

Wiadomości do zdobycia:

-Goniec na C5 to Firma kurierska na Croyone Plaza 5. Jeżeli zgłoszą się

po przesyłkę dla pana "Biała Wieża" dostaną paczkę. Zawartość paczki poniżej. (Książka telefoniczna, panorama firm)

-St. Teodor- biblioteka świętego Teodora, Juliusz Riepoue- autor książki "Liwiusz. w książce znajduje się fragment (przerysowanej) mapy i informacje jak dostać się do Lomminar Sanctum (które notabene znajduje się teraz wewnątrz kościoła św. Józefa z Tracji)- schowka z notatnikiem. (zdrowy rozsądek, kojarzenie, kreatywność, a poza tym biblioteka [dla utwierdzenia]).

-są to ulice. Na ich skrzyżowaniu znajduje się antykwarjat. Antykwarjusz poproszony o książkę "HDC" da Badaczom pudełko a w nim dziwny nóż, (plan miasta).

-Claude-Jolyot to artysta a jego nowa wystawa to "Ludzka utuda". Na jednej z prac przyklejony jest fragment inkantacji (po łacinie)-. (archiwum prasowe, biblioteka, gazety).

W paczce:

Metalowy stempel (z symbolem półokręgu i Legisso Lomminar)- jest to klucz do Sanctum, podwójne bilety na Dijon Parade (z dopiskiem: od Kriependorfa) stara, wyrwana kartka

Fragment inkantacji:


*"...by Shennli Kharagha unieszkodliwić
trzeba białą świecę zapalić przy jego
leżu (...) i przemówić w ten sposób:*

*"Khara...Muuništ.....Khara Ghmar...
Shennli Lomminar (...)"*

Kartka (napisana łaciną):

*"...I dzielny rycerz podniósł miecz,
a iskry poczęły lecieć, że mroki nocy
rozświeciły i rzekł Jungen (...) a
wznosił go wysoko że nieba dosięgnąć
mogłby (...) i błyszczał na niebie i
migotał (...) i zaklinał: "tu jest moc i ja
jej użyję (...) a mógł i gwiazd, i słońca, i
księżycą dotknąć (...)"*

Podczas poszukiwań wskazane jest



napuścić na Badaczy kilkakrotnie kultystów od Markusa- od tak by utrzymać dynamizm. Markus to dość bogaty archeolog, w Paryżu przebywa pod nazwiskiem Kriependorf.

DIJON PARADE

Bal w centrum Paryża, który odbędzie się 4 dni po znalezieniu biletów przez Badaczy. Brigitte Dijon to bardzo bogata, niedawno owdowiała kobieta. Urządziła ona bal właściwie bez okazji, po to tylko by pokazać jak jest bogata. Można tam spotkać śmietankę towarzyską Paryża.

Niestety (dla Badaczy) zainteresuje się nimi niejaki Markus Kreith, czarnoksiężnik, którego zbiry zabiły Pier-a. Teraz potrzebny mu już tylko dziennik (schowany w Sanctum). Zabawi się więc z Badaczami.

Gdy bal się rozpocznie, Markus będzie mamił graczy wizjami:

- niektórzy z gości mają zakrwawione, brutalnie pocięte twarze
- zamiast wina w kieliskach znajduje się żółć
- za graczami będą podążać cienie itd.

Powoduje to utratę 1K3/1K6 PP.

Badacz który ma pieczęć będzie miał dodatkową wizję, a badacz, który posiada miecz nie będzie miał żadnej (jeżeli to jedna i ta sama osoba to wizja i tak nastąpi)

WIZJA

Sala balowa nagle staje się pusta. Jest tylko badacz i jakaś postać po drugiej stronie pokoju.

Robi się straszliwie zimno, podłoga zamarza, a nogi Badacza wraz z nią. Postać śmiejąc się podchodzi bliżej- ma strasznie oszpeconą twarz (to Markus bez zaklęcia maskującego) [0/1PP].

-Oddaj mi pieczęć.- mówi postać- Nie wiesz z czym masz doczynienia.

Badacz nie może się ruszyć.

- I tak oddacie mi drogę do Lomminaru, ginąć u jego stóp. Teraz ciesz się swoim życiem. Niedługo dobiegnie końca.

Postać odchodzi, a bohater budzi się z transu w sekundę po wesciu w niego.

Dalsza część balu przebiega normalnie (bohaterowie spotkają Markusa pod postacią dr. Kriependorfa, który zanudzać ich będzie odkryciami powiązań między Aztekami, a Atlantydą[prawdziwa nuda, bo nawet nie poparta sensownymi dowodami]).

LOMMINAR SANCTUM WERSJA I

Ta wersja dotyczy przygody prowadzonej jako część kampanii.

W jednej ze ścian kościoła im. Józefa z Tracji (wewnątrz oczywiście), tuż za ołtarzem znajduje się wklęsłe miejsce które przypomina znaną wcześniej pieczęć. To właśnie ona otwiera przejście (nagły blask i wejście pojawia się tuż obok).

Wejście prowadzi krętymi schodami w dół, jakby w otchłań. Wszystko oprócz schodów spowite jest w ciemności (nawet gdyby świecił reflektorem). Po kilku minutach Badacze dojdą do okrągłego (r= ok 3m) kawałka podłogi coś jakby półpiętro. Na okręgu wypisane jest Shennli Kharagha (test 1/2 Spostrzegawczości). Tu trzeba wypowiedzieć inkantację (jeżeli ktoś wejdzie wcześniej pojawi się jasnoniebieska zjawia, która uniesie niefortunnego badacza do góry i wysię z niego życie (proses można przerwać[trwa on 3 rundy] odpowiadając inkantację. Za kolek zaczynają się znów schody. Zobaczenie ducha powoduje 1K3/1K6 PP.

Wręście po kolejnych minutach schodzenia bohaterowie dojdą do kaniennej ściany, u której podstawy wyżeźbiony jest łuk (a na nim słowa w łacine: "miejsce poza magią"-wymaga to testu Spostrzegawczości i ł. łaciny). Jest on na tyle duży by pomieścić pod sobą kilka osób. Pod nim znajduje się notes. Gdy bohaterowie go podniosą wypadnie z niego kartka. W tym momencie zjawi się Markus, wydzierając notes. Następnie będzie chciał zabić Badaczy czarami- jedyny ratunek to schować się pod łukiem. Jeżeli Badacze się nie schowają- no cóż....mam

nadzieje że karty wypełniali lekko i ołówkiem. Jeżeli będą na tyle mądrzy, Markus zawali na łuk część ściany, a podczas ucieczki zniszczy ducha obornego.

Na kartce znajduje się adres:

Keystone Street, Vancouver, dr. Charles Swenson

Ale to już inna historia...

LOMMINAR SANCTUM WERSJA II

To wersja dla pojedynczej przygody.

Do podniesienia notesu wszystko jest tak samo. Na łuku zapisane jest także: Łuk rozerwalny jest, gdy ludzką duszę otchłań pochłonie. Następnie po schodach przyjdzie Markus, a wraz z nim jeden "pomocnik". Obaj uzbrojeni są w pistolety (Lugery) [w tej wersji Markus wie, że tu jego czary zdadzą się na nic].

Markus "poprosi" o oddanie notesu. Bohaterowie mogą go: a) oddać b) zaatakować Markusa (który po stracie więcej niż połowy Wt skoczy w bezdenną otchłań (przynajmniej wydawało się że bezdenną) lub c) nie oddać i umrzeć d) rzucić się w otchłań

Jeżeli Badacze oddadzą notes Strażnik powinien zasugerować skok w otchłań. Gdy pierwsza osoba skoczy, otchłań się "rozjaśni", a całe schody zatrzęsą się.

Jeżeli Markus będzie zagrożony skoczy w otchłań.

OTCHŁAŃ

Bohater najpierw spada przez kilkanaście sekund (co wydaje się wiecznością), następnie miękko ląduje. Okazuje się, że wylądował na kapeluszu wielkiego grzyba. Wokół niego rozpościera się las takich roślin.

Rośliny zaczynają powoli gnąć (łuk został zniszczony), do zniknięcia otchłani pozostało kilka godzin. Bohaterowie muszą się śpieszyć by odnaleźć

notes i/lub Markusa (wylądowali w różnych miejscach). Widok Otchłani kosztuje graczy K3/K6 PP.

Otchłań zamieszkują przeróżne stworzenia, ale najliczniejsze są zastępy Skrzydlatych Dzieci Nocy.

Gdy będzie już blisko zniszczenia otchłani nad głowami Badaczy (gdzie wcześniej panowały ciemności) przewinie się słońce, księżyc i gwiazdy. By wyjść trzeba wznieść w górę Miecz. Jeżeli tak się staje bohaterowie pojawiają się w losowym miejscu na ulicach Paryża.

PODSUMOWANIE

Nie podałem w tym scenariuszu statystyk, czarów, pominąłem też prawie wszystkie opisy i część mniej ważnych wydarzeń. Najmniej napisałem o otchłani- niech Strażnicy sami ją dopracują, by nadać tej przygodzie wyjątkowy charakter.

MIECZ

Na razie miecz chroni tylko przed iluzją- trzeba go naładować (ale to już inna...)

UCIECZKA

Ucieczkę można urozmaicić. Duch ochronny został zniszczony, coś za stworzenia wyjdą z mroku?



JERZY 'CIERZY' CICHOCKI

CTHULHU MONSTER

“Śmiech daje więcej energii niż strach”

Potwory i spółka

Cthulhu Monster to tytuł, który nie powinien dziwić. Wszak Wielki Przedwieczny kojarzony jest powszechnie z przerośniętą kałamarnicą. Umieśniane bydle ze skrzydłami, które samym pojawieniem się zniszczyłyby świat, nie wysilając się nad użyciem żadnej nadnaturalnej mocy. Ale nie jest to esej poświęcony naturze pana R'lyeh. Uproszczenia dotyczą wszystkich bogów i potężnych istot z tego prostego powodu, że ludzki umysł nie jest w stanie ich zrozumieć. Dlatego Azathoth przez Ziemian uznawany jest za bezmyślnego idiotę, a Nyarlathotep za sprawcę wszelkiego zła, porównywanego do chrześcijańskiego szatana. Ich działań nie można ująć w racjonalne ramy, a egzystencji opisać w żadnym ze znanych języków. To trochę tak, jak przedstawianie Jedyne Boga Ojca w postaci dziadka z brodą. Trafia do wyobraźni i symbolizuje Jego rolę w odróżnieniu do niematerialnej formy Przyczyny, Absolutu. Ambicją autora wcale nie jest zmiana tych poglądów, czy ogólnie panujących stereotypów, bo dumny ze swego pochodzenia, współczesniczy w zbiorowej świadomości! Wręcz przeciwnie, przewrotnie proponuję tym skromnym tekstem pójść nieco dalej i podejść do Mitów Lovecrafta z przymrużeniem oka. Proponuję rozegrać sesję Cthulhu Monster!

CTHULILLA

Od niepamiętnych czasów w życiu człowieka gości strach. Nic zatem dziwnego, że wraz z pojawieniem się kina, zaczęto przelewać swe fobie na ruchomy obraz. Okazuje się na przykład, że istnieje teoria jakoby “Godzilla” był manifestem ekologicznym przeciw zanieczyszczaniu środowiska i wylęcaniem odpadów do wody. Potwór z

głębin obudzony smrodem miał wyjść na powierzchnię, żeby dać ludziom nauczkę i przywrócić wszystko do porządku. Takich teorii znaczenie pewnie całe mnóstwo, jak choćby podtekst erotyczny w opowiadaniach o wampirach itd.

Problem polega na tym, że dziś nie ma już popytu na gatunek tzw. monster movies, bo jedynie co wzbudzą to śmiech. Attack of Giant Ants mógł śiać przerażenie czterdzieści lat temu, kiedy skutki promieniowania po wybuchu bomby atomowej były nie do końca poznane. King Kong pochodzi z okresu, gdy wiele zakątków świata nie było jeszcze poznanych. Teraz gatunek jest już popłuczynami po dawnej świetności i dziś szuka się źródeł inspiracji w genetyce czy kosmicznej otchłani.

W Cthulhu Monster wracamy do korzeni! Otóż zachęcam do zrobienia krótkiej przerwy między strasznymi sesjami, przesyconymi prądną tajemnicą. Apeluję, aby wkleić z powrotem rozdział “Panteon Mitów” i, przede wszystkim, wypisać w notatniku Strażnika Tajemnic statystyki każdego boga i wykuć je na pamięć! Na kolejnej sesji będziemy, bowiem, trzaskać bohaterów [HPLa] prądem.

BLOB W PROSZKU (INSTANT)

Przygody w Cthulhu Monster znacznie różnią się od regularnych sesji ZC. Różnica polega na budowie scenariusza i, rzecz jasna, odmiennym klimacie gry. Przyjrzyjmy się zatem temu, jak powinien wyglądać przebieg sesji i jak zbudować fabułę w CM.

Po pierwsze, gracze wcielają się w bohaterów rodem z czarno-białych filmów. Twardych wyjadaczy, najlepiej z doświadczeniami wojennymi, twardo stąpającymi po ziemi realistami, którzy nie wierzą w żadne bajki, dopóki nie zobaczą potwora na własne oczy. A

ponieważ w Cthulhu Monster spotykają go niemal na samym początku przygody, szybko przechodzi w nich metamorfoza. W tej chwili stają się silnymi jednostkami, prawdziwymi reprezentantami homo sapiens, na barkach których leży ratowanie świata (najczęściej Stanów Zjednoczonych bądź Japonii) przed zagładą ze strony bezmyślnego potwora (potworów).

Ważne, abyście zwrócili uwagę na to, żeby bestia pojawiła się na początku sesji. Za wprowadzenie może posłużyć normalny dzień z życia bohatera, w którym jedzie kolejką do pracy, kiedy w mieście pojawia się potwór. Przeraził pasażerowie wyglądają przez okna kolejki naziemnej, przez które widać masywną nogę deptającą część zabudowań. Chyba każdy przywołuje sobie na myśl tego typu sceny? Zawiązanie drużyny w tej chwili jest o wiele mniej banalne niż

w zwykłym ZC! Bohater dzwoni do ukochanej, rodziny, kumpli, czy widzieli wiadomości, czy nie im nie jest. Jeśli się nie znają, może ich połączyć katastrofa tejże kolejki – razem będą pomagać wychodzić poszkodowanym, być może jeden drugiemu uratuje życie?

Ten punkt programu determinuje nam całą późniejszą rozgrywkę, więc jest najtrudniejszy i wymaga najwięcej poświęcenia. Trzeba się zastanowić nad wyborem bestii. Czy będzie to istota z głębin, spod ziemi, z przestworzy, a może z laboratorium? Czy będzie samotnym najeźdźcą, czy może na miasto spadnie jakaś plaga, jak np. pożeracze ciała? Podręcznik podstawowy do ZC wypełniony już jest istotami, które mogą posłużyć nam za typowe potwory. Cthulhu – potwór z głębin, cthonianie pod ziemią, Tsathoggua wdrapujący

się na iglicę Empire State Building... Pamiętajmy jednak, aby nie nazywać potworów! To zadanie dla prasy bulwarowej ze świata gry, albo pierwszych odruchów postaci graczy. Po tym, jak wybierzemy pochodzenie przerażacza lub większej ich ilości, trzeba pomyśleć nad ich wyglądem. Istnieje tu prosta zasada. Jeśli potwór zagraża samotnie – musi nadrabiać straszny wyglądem bądź możliwościami. Najlepiej, żeby był olbrzymi, posiadał kleszcze lub coś w tym stylu. Jeśli atakujemy bohaterów rojem, istoty mogą być rozmiaru ludzi lub nawet mniejsze. Kończymy na dodaniu

nietypowych właściwości – wielu głów, kończyn, zianie ogniem, trzecie oko z laserem, ale na pewno nie magię, teleportację itp.

Wymyśliłszy potwora, z wywieszonym jeźdźcem naszkicowaliśmy jego wygląd, wypisaliliśmy współczynniki, modyfikatory, ukryte zdolności,

wyobraziliśmy jego wejście na ulicę. Sesja się zaczyna, puszczaemy z taśmy krzyki kobiet, bohaterowie lamentują: "O Boże, co robić, to nas zje!", a chipsy schodzą jak nigdy. Wszyscy mają uśmiechnięte gęby, dopóki nie wypróbują kopniaków, łopat, granatów, wreszcie czołgów a ten bydlak nadal będzie chodził.

No właśnie. Sesje typu Cthulhu Monster nie trzymają w napięciu. Nie ma tu tajemnic, czających się w ciemnych uliczkach kultystów itd. Brak zaskoczenia, bo Mistrz Gry odkrył wszystkie karty na początku. Jak utrzymać zainteresowanie graczy? Po pierwsze, bohaterowie muszą się czuć zaszczuci. Gdzie się nie pojawią, wkrótce wylądnie tam łapa, ogon czy wiązka dematerializująca naszego potwora (wartości WT różnych struktur znajdują się na stronie 54 podstawki

CZTERY ŚWIETE ZASADY CTHULHU MONSTER

1. **Wszystkie** potwory powinny być na pierwszym planie;
2. **Rezygnuje się** z tajemnicy i niedopowiedzenia na rzecz prostoty;
3. **Strach** (Punkty Pocztyalności) zamieniony na terror (punkty wytrzymałości);
4. **Zwycięstwo** jest jak najbardziej w zasięgu ręki, a odnalezienie sposobu zabicia potwora powinno być celem przygody.

HOW TO CREATE A CTHULHU MONSTER¹

Na potrzeby CM wyróżnimy 4 rodzaje potworów: obcy, bestie, laby i krwiożercze rośliny. Pierwsi reprezentują potwory z nadnaturalnymi właściwościami, nie pochodzącymi w żaden sposób z rozwoju ewolucji czy sztucznych procesów. To po prostu istoty z innego świata (Marsjanie Wellsa). Bestie to przerośnięte zwierzęta (wszelkie gigantyczne mrówki, żółwie i inne). Laby to produkty szalonych naukowców lub efekty uboczne badań, które wyszły spod kontroli (blob). Krwiożercze rośliny to... no cóż, to właśnie one!

OBCY

współczynniki: rzuty beginner/średni-level/master; średnia b/ś-l/m

S: 1k6x10/2k4x10/2k8x10; 30/40/80
KON: 1k6x10/2k4x10/2k8x10; 30/40/80
BC: 1k8x10/1k10x10/3k6x10; 40/50/90
INT: 1k3x5/1k4x5/1k6x5; 7-8/10/15
MOC: 1k3x10/1k4x10/1k6x10; 15/20/30
ZR: 1k3x5/1k4x5/1k6x5; 7-8/10/15
Szybkość 10, WT: 100
mo: +3k8

Broń: Niszczenie przedmiotów myślą, atak udany, jeśli na tabeli porównawczej uda mu się pokonać WT przedmiotu lub istoty przeciw swej MOCy.

Zioniecie ogniem 70%, zasady jak przy obrażeniu przez ogień.

Zmiażdżenie, 40%, zabija.

Pancerz: 5 punktów skorupy.

BESTIE

współczynniki: rzuty beginner/średni-level/master; średnia b/ś-l/m

S: 1k8x10/1k10x10/2k10x10; 40/50/100
KON: 1k4x10/1k6x10/1k10x10; 20/30/50
BC: 1k10x10/2k6x10/2k10x10; 50/60/100
INT: 1k3x5/1k4x5/1k6x5; 7-8/10/15
MOC: 1k10/1k10x2/1k6x5; 5/10/15
ZR 1k10/1k10x2/1k6x5; 5/10/15
Szybkość: 10, WT: 80
mo: +3k6

Broń: Zmiażdżenie 40%, zabija.

Pazury 80%, 2k8 obrażeń.

1. Tytuł jest celową parafrazą nazwy artykułu z Dragon Magazine, dotyczącego tworzenia potworów do D&D.

Ugryzienie 60%, 1k10 obrażeń
Pancerz: 4 punkty twardej skóry.

LABY

współczynniki: rzuty beginner/średni-level/master; średnia b/ś-l/m

S: 1k10x10/2k6x10/2k10x10; 50/60/100
KON: 1k6x10/2k4x10/2k8x10; 30/40/80
BC: 2k6x10/2k8x10/2k10x10; 60/80/100
INT: 1k10/1k10x2/1k6x5; 5/10/15
MOC: 1k10/1k10x2/1k6x5; 5/10/15
ZR: 1k10/1k10x2/1k6x5; 5/10/15
Szybkość 10 WT 60
mo: +4k8

Broń: Miażdżenie 60%, obrażenia = mo.

Pancerz: Brak pancerza. Broń kłuta i palna nie zadaje mu żadnych obrażeń, cięża działa normalnie, jest niepalny. Elektryczność zadaje mu podwójne obrażenia.

KRWIOŻERCZE ROŚLINY

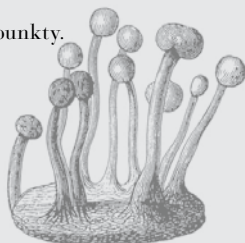
współczynniki: rzuty beginner/średni-level/master; średnia b/ś-l/m


S: 1k6x10/2k4x10/2k8x10; 30/40/80
KON: 1k3x10/1k4x10/1k6x10; 15/20/30
BC: 1k6x10/2k4x10/2k8x10; 30/40/80
INT: 1k4x5/1k6x5/1k4x10; 10/15/20
MOC: 1k3x10/1k4x10/1k6x10; 15/20/30
ZR: 1k4x5/1k6x5/1k4x10; 10/15/20
Szybkość 5 WT 50
mo: +2k8

Broń: Oplatanie 30%, żeby się wyzwolić trzeba wygrać na tabeli porównawczej test Sił. Zadaje 1k10 obrażeń w każdej rundzie.

Biczowanie 50%, 2k6 obrażeń. Przy trafieniu istnieje 10% szansy, że wpuści do organizmu ofiary jad (działa jak chlorowodan).

Pancerz: 2 punkty.





edycji 5.5). Po drugie, włączamy odliczanie. Jeśli postacie graczy nie wymyślą sposobu na przepędzenie intruza w określonym czasie, świat przestanie istnieć. A jaki będzie to sposób. Wszystko zależy od MG i rodzaju potwora, ale powinien być jak najbardziej filmowy. Jeśli będzie to np. bestia z morza, trzeba ją zapędzić do jakiegoś miejskiego zbiornika wodnego, po czym zrzucić na nią linie wysokiego napięcia lub coś w tym stylu. Dużo fajniej, musi być finał godny Cthulhu Monster! Po trzecie agenci potwora w ludzkich skórach. Albo będzie to obłąkany zoolog, który postanowi oswoić bestię i pokazywać je w ogrodach całego świata, albo jakiś fanatyk, który zauważy w monstrum zapowiadanego mesjasza. Takie osoby będą za wszelką cenę przeszkadzać w działaniach bohaterów.

A GDZIE MITY?

Mity nie stanowią w CM ważnego tła. Owszem, wszystko powinno być gdzieś połączone z uniwersum Lovecrafta (np. błąb powstał w laboratorium ze strzępów shoggotha, a godzilla to inne wyobrażenie Wielkiego Przedwiecznego), ale nie jest to wiedza w żaden sposób przydatna bohaterom. Wskazówki co do pozbycia się potwora mogą także szukać w księgach, a finałem może być rytuał odbyty przy udziale setek mieszkańców zagrożonego miasta.

Nadal pozostaje to jednak setting Zewu Cthulhu przy użyciu mechaniki Chaosium. Tak jest, nic nie trzeba zmieniać. Potwory powinny mieć tak stworzoną charakterystykę, żeby były mięczak nie rozłożył go na łopatki, z drugiej strony powinno dać się go zabić. Jedyne co traci nieco na znaczeniu to Punkty Pocztylności. Gdyby utrzymać związane z nimi zasady w mocy, już na początku cała drużyna stałaby się klientami Arkham Asylum! Jedyne co można brać pod uwagę to reguły tymczasowego obłąd. Krótkotrwały, kilkuminutowy szok jest okay.

NA ROZGRZEWKĘ

Oto opis kilku filmów, które mogą stanowić inspirację pod pierwsze sesje Cthulhu Monster. Milego polowania!

NIGHT OF THE DEMON

W tym filmie z 1957 roku okolicie terroryzuje demon, który pojawia się znikąd. W pewnym, w powietrzu ukazuje się obłok pary, z której wychodzi potwór i podąża za ofiarą. Za tym przerażającym zjawiskiem stoi czarnoksiężnik, który posiadał wiedzę na temat przywoływania demona ze Stonehenge za pomocą starożytnych run (sic!). Bestia wygląda jak przerośnięty krokodyl i nie da się z nią wygrać w walce wręcz (choć można zmusić ją do ucieczki). Jedyнным sposobem na zakończenie przerażających morderstw jest skierowanie uwagi demona na samego czarnoksiężnika, a jest to możliwe tylko za pomocą owych run. Ofiarą potwora stają się osoby, którym czarnoksiężnik wręczył kartkę z zapisanym symbolem. Zadaniem Badaczy będzie oddać karteczkę czarnoksiężnikowi tak, żeby przyjął ją dobrowolnie (może być np. ukryta w książce). Ale uwaga! Czarnoksiężnik świadom jest tych zabiegów i dopóki bohaterowie nie wyprowadzą go w pole, nie będzie nic przyjmować.

RELIKT

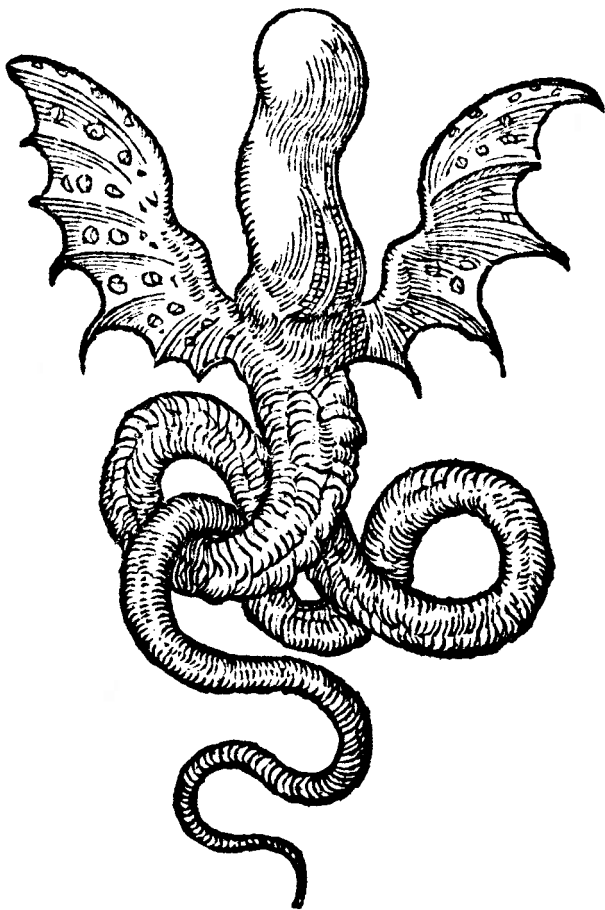
Film z 1997 roku, który doskonale wkomponowuje się w gatunek kiczu, choć jest mniej zabawny niż pierwowzory z lat '50/'60. Do muzeum etnograficznego trafia przesyłka, w której z pozoru nic się nie znajduje. Jednak liście, którymi wypchana była skrzynia, posiadają dziwne właściwości genetyczne. Kto- lub cokolwiek zje liście, przeobraża się w potwora. Kod genetyczny ofiary miesza się ze związkami dziwnej rośliny i staje się potworem z mitycznych opowiadań jakichś Indian. A ponieważ może funkcjonować tylko dzięki związkowi, który z braku owych liści, odnajdywany jest jedynie w ludz-

kim mózgu, zaczyna się istne polowanie. Muzeum zostaje zamknięte i poddane kwarantannie. Badacze oczywiście znajdują się w środku. Zwykła broń palna na nic się nie zda. Tu trzeba potężnej dawki ładunków wybuchowych...

BEGGINING OF THE END

Produkcja z 1956. Do licha, cóż to były za lata, te pięćdziesiąte! Wszystko zaczyna się klasycznie. Zaparkowany samochód, dwoje kochanków i kadr z wrzeszczącą kobietą. Co ich zaatakowało nie wiadomo, ale musiało być to coś

straszego, skoro wywołało w niej takie przerażenie, a później jesteśmy świadkami zniszczeń jakie powstały w mieście. A wszystko to spowodowały... wielkie koniki polne! Przerośnięte, żadne krwi owady będą się przegryzać w głąb kraju, dopóki ktoś ich nie powstrzyma. Sposób na to wskazuje choćby ten film, w której bohater wykorzystuje sprzęt grający, z którego dochodzą dźwięki imitujące koniki. Zwabione swymi odgłosami wpadają do stawu...



JERZY 'CIERZY' CICHOCKI

ANATOMIA KOSZMARU

Kanibal v2.0

W trzecim numerze Arkham Couriera [nr 1(03)/2003] pojawił się tekst "Hannibal kanibal". Przed ukazaniem się nowego zeszytu dochodziły do mnie sygnały o tym, że zin ma wyjść na dniach. Trwało to, jak wiemy, nie dni a lata. Zdążyłem więc zapomnieć, że wśród przyjętych do wydania materiałów znalazł się właśnie ten.

Artykuł napisałem przy okazji scenariusza, który przygotowywałem dla swojej drużyny. Chciałem wykorzystać ghoule, jednak to, co znalazłem w podręczniku, nie odpowiadało mojej koncepcji. Zapisałem luźne refleksje, poszerzone o informacje jakie odszukałem to tu, to tam, i wysłałem do redakcji AC. Pomyślałem, że może kilka zawartych tam sugestii przyda się innym Strażnikom.

Spojrzałem na swoje słowa na nowo, gdy otworzyłem nadesłane pocztą pismo. Nie poruszyłem wielu kwestii – pomyślałem. Zaczętych wątków nie wykorzystałem do końca. Paru spraw nauczyłem się też dopiero po napisaniu pierwszej wersji. Zebrane od nowa – po lekturze tekstu – myśli, skłoniły mnie do napisania uzupełnienia "Hannibala kanibala". Do stworzenia niejako drugiej jego wersji, bardziej kompleksowego spojrzenia na problem ghoulu w Zewie Cthulhu. Postanowiłem przy tym, tam gdzie to możliwe, sięgnąć po konsultacje naukowe. Nieocenionej pomocy udzielili mi uczestnicy forum Akademii Medycznej w Warszawie oraz członkowie grupy pl.sci.biologia. W czasie prac korzystałem także z przewodnika medycznego Brytyjskiego Stowarzyszenia Lekarzy, pt. Lekarz domowy.

Punktem wyjścia do napisania pierwszego tekstu było odmienne spojrzenie na ghoule przedstawione w podręczniku podstawowym. Lektury baśni arabskich oraz opowiadań Lina Cartera nie pozwoliły mi myśleć o tych istotach

jako prymitywnych padlinożercach. Takie podejście legło także u podstaw tej aktualizacji. Nowy punkt widzenia pojawił się też po przeczytaniu dodatku The Realm of Shadows wydawnictwa Pagan Publishing. Choć było to dawno, suplementu nie mam przy sobie i trudno mi wyciągnąć teraz zawarte w nim wnioski, bez wątplenia odbija się w moim artykule sposób widzenia autorów tego dodatku.

Zamieszczony poniżej obraz pozeraczy trupów nie jest w żaden sposób autoryzowany i różni się z oficjalną wykładnią gry. Pewną ewolucję w podejściu do tej rasy prezentują dopiero niedawno wydane materiały, jak wspomniane już The Realm of Shadows, czy przygoda Briana M. Sammonsa Closed Casket opublikowana przez Chaosium w serii Fright Night, pt. Secrets. Zachęcam do lektury tych pozycji wszystkich, którzy w grze uznają jedynie owoce dzieł mistrzów literatury z kręgu Cthulhu (sam w wielu miejscach staram się zachować oryginalne intencje twórców, żeby to wszystko miało ręce i nogi).


I. POCHODZENIE

Extreme Pestilence

W artykule "Hannibal kanibal" stawiam w pewnym fragmencie pytanie:

"A może nie do końca są odrębną rasą? [...] sam Honore-Balfour nazywa ich <podludźmi>."

Z tego ustępu wynika, zwłaszcza z wyjaśnień autora Cultes des Goules [Księga Strażnika, s. 16], twierdzenie o kolosalnym znaczeniu. Balfour wiąże pochodzenie pozeraczy trupów z ludźmi. Sous-hommes nazywa tych, którzy stali się ghoułami w wyniku kanibalizmu, tj. kiedy człowiek zjadł człowieka [por. H. P. Lovecraft, Model Pickmana, s. 15 [w:] Przypadek Charlesa Dextera



Warda, Warszawa 2003: "Według niego te psiopodobne stwory wyewoluowały z ludzi."]. Można więc zastanawiać się, czy rasa ta istniałaby, gdyby nie homo sapiens. Wątpliwości nakazują sądzić, że materiał genetyczny człowieka jest niezbędny do powstania tych istot.

Powyższy problem wiąże się z kolejnym zagadnieniem, jakim jest sam proces powstawania ghoulu. François Honore-Balfour przedstawił już jeden sposób. Nie rozwiązuje to jednak trudności, jaką jest odpowiedź na pytanie, kiedy możemy mówić jeszcze o kanibalu, a kiedy już o ghoulu? Jak to się dzieje, że istnieją osoby, które przyznały się do zjedzenia, po wyczerpaniu zapasu prowiantu, współtowarzysza wyprawy? Zdecydowały się na tak odrażający krok, by samymi nie paść ofiarami głodu. Z pewnością pozostawiło to w ich psychice niezatarty ślad, ale dziś nie przypominają postaci o przykurczonym sylwetce z podobnym do psiego pyskiem.

Ghoulami nie wydawali się być także dwaj niemieccy homoseksualiści, którzy całkiem niedawno zyskali ponurą sławę, szokując jednocześnie opinię publiczną w kraju i zagranicą. Niemcy ci zaczęli filmować spotkanie w swoim mieszkaniu, w czasie którego doszło do współkanibalizmu. Jeden z nich odciał i zjadł penisa swego przyjaciela, po czym poćwiartował i zamroził ciało, kiedy wykrwawiło się do końca. Być może transformacji ulega dopiero teraz, w areszcie.

Co się stanie, jeśli nieświadomie zjemy ludzkie mięso? Opisano przypadki dorabiania się na handlu szcztakami, jakby były zwykłym mięsem, na terenach dotkniętych kryzysem wkrótce po I wojnie światowej. Kupujący nie dostrzegali różnicy i proceder trwał dość długo... Odnosnie smaku, opisywane w następnym akapicie plemiona, spożywające ciała w celach czysto rytualnych, określały ich smak jako bardzo delikatny, podobny do mięsa goryla. Z kolei Issai Sagawa, który jako student zwabił swoją koleżankę do domu, gdzie ją zamordował i odgryzł pierś, relacjonował

jej smak jako podobny do surowego tuńczyka. Nie dość, że facet nie wydawał się być ghoulum, to po krótkim pobycie w szpitalu psychiatrycznym został "wrażliwym" literatem. Skoro nie można o tych wielu wymienionych przypadkach powiedzieć, żeby stanowiły warunek do przetransformowania w ghoul, to jak go szukać w świadomym kanibalizmie?


Wreszcie tubylecy Papui-Nowej Gwinei, ostatni żyjący kanibale. Ich zdjęcia mieliśmy okazję oglądać nie raz w kolorowych pismach. Czy ich sylwetki odbiegały wyraźnie od ludzkiej anatomii, tak jak przedstawia ghoulu podręcznik podsztatowy ZC? Być może szybko pozbywali się (w wiadomy sposób) jednostek, które tylko zaczęły przypominać pożeraczy trupów, licząc tym samym na przejście cech spożywanych ofiar.

Kiedy więc dochodzi do transformacji we wspomnianych przez Balfoura podludzi? Jak wygląda ten proces? Myślę, że odpowiedzią na pytania jest analiza przypadków choroby kuru i Creutzfeldta-Jakoba.

THE LOATHLY FEEDERS

W latach dwudziestych XX wieku dwaj niemieccy neuropatolodzy, panowie Hans Gerhard Creutzfeldt i Alfons Jakob, opisali chorobę, która wzięła nazwę od ich nazwisk. Po blisko pięćdziesięciu latach wiadomo już było, że jej przyczyną jest tajemniczy wirus, mniejszy od najmniejszych dotąd znanych.

W tym samym stuleciu, w latach pięćdziesiątych, dr Carleton Gajdusek wraz ze swym zespołem przeprowadził intensywne badania wirusologiczne w wielu odizolowanych zakątkach świata. W ich wyniku odkrył kuru – chorobę występującą w górach Papui-Nowej Gwinei u członków plemienia Fore, zwaną od jednego z objawów "śmiejącą się śmiercią". Wykazano, że ta nieuleczalna choroba roznosiła się poprzez rytualny kanibalizm, uprawiany w dowód szacunku dla zmarłych krewnych.



źródłem choroby było wirusopodobne białko, tzw. prion, w najwyższym stężeniu występujący w mózgu, a spożywanie tej części było pewnym wyróżnieniem, dostępnym najbliższej rodzinie. Wyciągnięty z rozłupanej czaszki mózg gotowano w bambusowym cylindrze, a następnie zjadano, bądź rozsmarowywano na skórę. Tak więc wystarczył jeden zarażony ośrodek (a każdy gram mózgu mógł zawierać ogromne ilości szkodliwych prionów), aby w wyniku przestrzegania odwiecznych obyczajów wirus przeniósł się na inne plemiona. Przenikał do organizmu przez uszkodzone śluzówki i przewód pokarmowy. Po długim okresie inkubacji – od kilkunastu miesięcy aż do 40 lat – rozpoczynał się powolny proces umierania, dla którego charakterystyczne były zaburzenie równowa-

gi, drżączka (“kuru” znaczy drżenie), przymusowy płacz i śmiech. W końcu następowała śmierć głodowa lub wskutek zachłystowego zapalenia płuc, jeśli ktoś podał nieszczęśnikowi trochę wody. W wyniku epidemii umierało czasem dziewięćdziesiąt procent mieszkańców osad. Czy w podobny, krótszy sposób mogła wyglądać transformacja w ghoul?

Wspomniana na początku choroba Creutzfeldta-Jakoba przypomina kuru. Do 1985 r. odkryto przyczynę tylko kilku przypadków tej choroby. Mianowicie rozwinęła się ona w wyniku błędnych działań medycznych – przeszczepienia rogówki i wykonywania badań elektrofizjologicznych elektrodami igłowymi, wkłuwanymi do mózgu chorego. Skąd biorą się pozostałe przypadki – nie było wiadomo...

GHOUL FEEDING

Obraz Richarda Uptona Pickmana

“To nie była zwykła interpretacja artysty, raczej pandemonium krystalicznie czystego obiektywizmu. Właśnie to, na niebios! On nie był fantastą czy romantykiem. Nie próbował nawet pokazać przetrawionych, pryzmatycznych efemeryd czy marzeń, ale zimny, sardoniczny, stabilny, mechanicznie utrwalony świat horroru, który on sam widział w pełni, jasno, rzetelnie i niezachwianie. [...] jedno było pewne: Pickman był pod każdym względem całkowitym, aż do bólu, naukowym realistą. [...] gdy spojrzaleś w odpowiedniej perspektywie, zdawało się, że w każdej chwili może porzucić ofiarę i poszukać czegoś bardziej soczystego. [...] Jak żyję, nigdy nie widziałem takiego realizmu włożonego w płótno.” (H. P. Lovecraft “Model Pickmana”)

Ten niezwykły obraz jest tak obrażający, że nie chciało go przyjąć Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie. W tej chwili płótno pocięte przez Joe Minota, dawnego kolegi Pickmana z Klubu Twórców, przechowuje ojciec Richarda, w Salem.

Jest to obraz dużych rozmiarów, przedstawiający przykurczoną, psopodobną sylwetkę, nadgryzającą czaszkę przytrzymywanych ludzkich zwłok. Dzieło wydaje się tak realistyczne, że obserwatorowi może się zdać, iż istota zaraz wyskoczy z ram i zaatakuje wszystkich w pobliżu. Osoby, które miały okazję przyglądać się płótnu podczas krótkiego okresu wystawiania zarzekają się, iż do ich uszu dochodziły osobliwe odgłosy jakby uczt.

Każdy Badacz, który wybierze się, by zobaczyć oryginał, będzie miał okazję poznać cechy charakterystyczne ghoulu. W magiczny sposób zaklęty w pędzel Pickmana dowie się także o sprawach, które nie wynikają bezpośrednio z obrazu (np. o zachowaniach). Takie informacje przydadzą się dopiero podczas konfrontacji z pożeraczami trupów. Zdobyta wiedza przekłada się na język mechaniki gry w taki sposób, że posiadająca ją postać gracza będzie mogła powtórzyć każdy test (w tym np. rzut na obrażenia) stosowany w relacjach z ghoułami.

Mity Cthullu: +2%. Utrata Punktów Poczytalności: -1/-1k4.

KWAS DEZOKSY- GHOULONUKLEINOWY

Powyższe wprowadzenie było nam niezbędne do zrozumienia teorii powstania ghoulu, którą za chwilę przedstawię. Zanim to jednak nastąpi, warto jeszcze przypomnieć sobie, że istnieją wirusy, które potrafią modyfikować DNA. Najbardziej znanymi spośród nich są retrowirusy (np. HIV, hepatitis C), które posiadają odwrotną transkryptazę. Dzięki temu mogą syntezować DNA na matrycy własnego RNA. Wreszcie wspomnijmy o przyczynie obaw wywołanych przez genetyczną modyfikację żywności. Poza oczywistym niedoinformowaniem społeczeństwa, strach ten wynika z błędów w procesie biotechnologicznym. Np. soja, którą wzbogacono genami orzeszków ziemnych powodowała uczulenie u osób z alergią na te orzeszki.

Po co to wszystko przytoczyłem? Informacje te pozwalają wysunąć hipotezę, że ghouł powstaje na skutek przemian w DNA człowieka! Kwasy nukleinowe, do których zalicza się DNA, to wielkocząsteczkowe związki występujące we wszystkich żywych komórkach. Odgrywają zasadniczą rolę w przekazywaniu cech dziedzicznych (kod genetyczny) i kierowaniu syntezą białek. Dla osób, które starają się wprowadzać do przygód elementy urealnijające świat przedstawiony (jeśli np. w drużynie znajduje się gracz prowadzący postać biologa, patologa itp.), zacytuję fragmenty definicji kwasu dezoksyrybonukleinowego (DNA) z Encyklopedii WIEM. Jest to:

Polimer złożony z nukleotydów składających się z zasady azotowej (adenina – Aguanina – Gcytozyna – C lub tymina – T), cukru pentozy – dezoksyrybozy oraz reszty kwasu fosforowego; nukleotydy łączą się przez pentozę i resztę kwasu fosforowego tworząc nici, które w DNA wiązaniami wodorowymi łączą się w pary (A-G, C-T), tworząc spiralny łańcuch; część odcinków DNA jest nośnikiem informacji genetycznej.

[...]

Cząsteczka DNA składa się z dwóch równoległych łańcuchów polinukleotydowych tworzących podwójną spiralę, przy czym układ zasad w jednym łańcuchu warunkuje kolejność zasad w drugim (tzw. komplementarność zasad), co ma podstawowe znaczenie przy replikacji DNA, czyli powstawaniu nowej cząsteczki DNA, które poprzedza podział jądra (mitoza, mejoza).

Synteżując teraz poprzednio poznane wiadomości, spróbujmy wyobrazić sobie następującą sytuację: Ofiara kanibala była nosicielem wirusa. Nie musi być to koniecznie wspomniany retrowirus – na potrzeby gry fabularnej można wymyślić tego typu twór biologiczny – ważne, by modyfikował DNA gospodarza. Może np. wpływać na pomieszanie kolejności zasad w łańcuchach polinukleotydowych, przyczyniając się do tworzenia nowych polimerów i zmiany przekazywanej informacji genetycznej. Wirus, podobnie jak w przypadku chorób kuru i Creutzfeldta-Jakoba, przenosi się różnymi drogami do organizmu zżerającego ciało nosiciela. Istnieje niewielkie ryzyko, iż kanibal posiada tak unikalną strukturę komórek, że zareaguje na zmodyfikowane mięso żywiciela tak, jak osoba uczulona na orzeszki we wcześniejszej dygresji na temat rekombinowanej żywności. W tym momencie rozpoczyna się proces przemiany kanibala w ghoul.

Oczywiście może się to wydawać niezwykle skomplikowane i mało prawdopodobne, by trafiły na siebie akurat dwie osoby spełniające te kryteria. Z drugiej strony pozwoliłoby to wyjaśnić niewielki przyrost ghoulu w ciągu tysięcy lat, dzięki czemu nie słyszymy o nich na lewo i prawo!

BEYOND RE- ANIMATOR

Kanibalizm nie jest jedynym sposobem, w jaki powstają ghoule. Poznając charakter zachodzących w DNA zmian, szczególnie dociekliwi naukowcy mogą



Februarij 2004 Linka

odkryć sposób sztucznego tworzenia pożeraczy trupów. Oczywiście ten sposób zarezerwowany jest tylko dla gry we współczesnych czasach. Zewnętrzna ingerencja w kod genetyczny człowieka mogłaby przypominać choćby kultowe zastrzyki Reanimatora. Wołę już nie przedstawiać scenariusza, w którym ów "ghoulowy" wirus zyskał możliwość przenoszenia się drogą powietrzną...

Zostawmy jednak sytuację, w której to człowiek przeobraża się w ghoul. Wiemy, że pożeracze współpracują z wiedźmami. Czarownice wykorzystują m.in. owoc zbliżenia ghoulu z ludzkimi kobietami. Jeśli kobieta jest świadoma gwałtu, próbuje zapewne usunąć ciążę. Jeśli jednak stało się to pod przykryciem iluzji, albo za pomocą uroków wiedźmy? Jakaś nierozważna dziewczyna mogła być także porwana i zmuszona do prokreacji, nawet wiele razy. Wreszcie istnieją odrażające kultury, które mogą spółkować z pożeraczami zwłok z własnej woli.

Należy sądzić, że powstała z tego związku istota będzie nieco inna od zdefiniowanego przez François Honore-

Balfoura sous-homme. Zapewne różnić się będzie od rasy przedstawionej w podręczniku podstawowym wyglądem, jak i najważniejszymi współczynnikami. Każda komórka embriona zawiera informację genetyczną niesioną przez 46 chromosomów – po 23 od każdego z rodziców. Zobaczmy, co na ten temat pisze przewodnik Brytyjskiego Stowarzyszenia Lekarzy:

"Chromosomy zawierają łańcuchy mniejszych cząstek zwanych genami. Pojedynczy gen odpowiada za rozwój właściwej dla niego cechy dziecka (decyduje np. o kolorze włosów). Poszczególne grupy genów decydują o zakresie i poziomie inteligencji [...]"

Co noworodek odziedziczy po kim, pozostaje już w rękach Opatrzności. Rzadko kiedy dochodzi jednak do rozstrzygnięcia tych kwestii. O określonej porze roku i dnia po narodzinach przy kołysce zjawia się wiedźma, której dziecko zostało przeznaczone. Możemy się tylko domyślać, do czego jest jej potrzebne. Z pomocą przychodzi fragment z Shaggai Lina Cartera:

"Eibon used <a decoction of the Black Lotus... steeped in the bile of mantichores and the spittle of ghouls taken by stealth in nighted gulfs below the Peaks of Throk> in conjunction with focusing his consciousness <upon the abhorrent and dreaded Sign of Koth> to send his astral body across infinity."

Być może więc potomstwo ludzi i ghoulu jest przez wiedźmy wykorzystywane jako źródło składników potrzebnych do sporządzania czarów. Kto wie jednak jaką wiedzę i siłą dysponowałaby taka osoba, gdyby została odpowiednio przez staruchy wychowana? "Pickman pokazał, co z nimi działo się dalej... Jak rosła... Wtedy zacząłem dostrzegać straszliwe zależności w obliczach szkicowanych przez niego ludzkich i nieludzkich postaci. Potrafił pokazać wszystkie stopnie degradacji między człowieczeństwem a całkowitym odczłowieczeniem." [Model..., s. 15.] Inny fragment może być interpretowany na dwa sposoby – przedstawione w nim ghoulu są potomstwem wiedźmy lub wiedźma wywodzi się z rasy pożeraczy: "Jedno płótno pokazywało cały ich pierścień, otaczający powieszoną czarownicę na Gallows Hill. Jej martwe oblicze było niezmiernie podobne do ich twarzy." [Model..., s. 14.] O funkcjach społecznych i wykorzystywaniu przez ghoulu magii powiemy w innym miejscu.

Jeśli możliwe jest zapłodnienie ludzkiej kobiety przez ghoulu, dlaczego inaczej ma być w przypadku kontaktów wewnątrz rasy? Efekt związku między dwójką pożeraczy także powinien różnić się charakterystyką od podczłowieka powstałego w wyniku kanibalizmu.

Warto też zastanowić się nad konsekwencjami ugryzienia przez ghoulu, jeśli ofierze uda się uciec. Wirus modyfikujący

przeniknąłby wraz ze śliną przez ranę i zapoczątkował proces podobny do tego, który dotyka kanibala o nieszczęśliwej strukturze komórek. W opisie dziwnych pożeraczy trupów autorzy podręcznika podstawowego wskazują tylko na możliwość i okres przemiany człowieka w ghoulu. Na potrzeby omawianej sytuacji załóżmy, że Badacz, który zostanie ranny w wyniku walki z pożeraczem ma szansę jedną na sto, iż stanie się ofiarą przeobrażenia. Przemiana może nastąpić po kilkunastu miesiącach do kilkudziesięciu lat, jak w przypadku wspomnianego Richarda Uptona Pickmana.

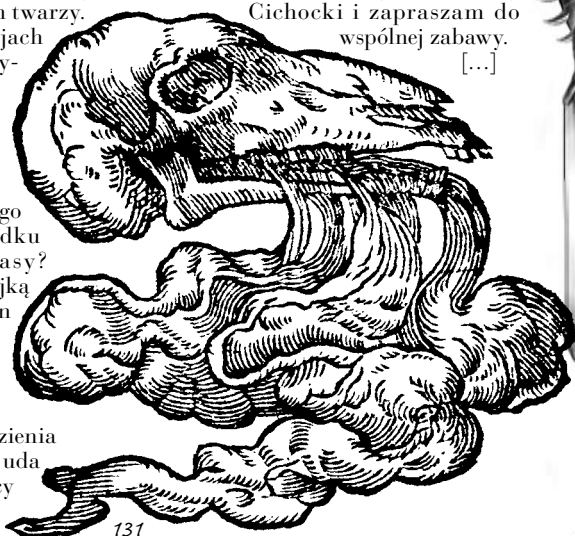
Na koniec ustalmy, iż można pozostać ghoulu w Krainach Snu, podczas gdy ziemskie ciało przeminie. W *The Peaks beyond Throk* Lin Carter wspomina Zorada Ethana:

"Zorad Ethan became a Dreamlands ghoule after his death."

Oto koniec pierwszej części "Hannibala kanibala" w uzupełnionej wersji 2.0. Przedstawiłem w niej różne możliwości powstania ghoulu. W następnym rozdziale opiszę budowę i sposoby maskowania się pożeraczy trupów, a później proces żywienia, charakterystykę społeczną oraz miejsce i aktywność rasy w uniwersum Mitów Cthulhu. Nazywam się Jerzy

Cichocki i zapraszam do wspólnej zabawy.

[...]



WYWIAD Z LYNENM WILLISEM I BRIANEM SIMMONSEM

przeprowadził i przetłumaczył Jerzy 'Cierzy' Cichocki

W numerze poświęconym konwencjiom w Zewie Cthulhu nie może zabraknąć wypowiedzi ludzi związanych z Chaosium! Na początek zapytaliśmy jedną z ikon ZC, Lynna Willisa, o historię, teraźniejszość i przyszłość gry. Następnie kilka słów na temat prowadzenia tego systemu w Stanach Zjednoczonych powie jeden z najpracowitszych freelancerów Chaosium, Brian Sammons.

Jerzy Cichocki: Jak zacząłeś współpracować nad Zewem Cthulhu? Na czym polegała twoja rola?

Lynn Willis, współtwórca gry, producent linii: Za stworzenie gry prawie całkowicie odpowiedzialny jest Sandy Petersen. W ciągu lat starałem się dopełnić zasady, odpowiedzieć na pewne dręczące pytania i poszerzyć podręcznik podstawowy o czary, księgi Mitów i inne składniki. Moja praca polegała na "wypełnianiu luk".

JC: Co myślisz o dzisiejszej kondycji ZC? Jak gra zmieniła się od czasu jej powstania?

LW: Wierzę, że zachowaliśmy oryginalną prostotę gry. Trzymaliśmy się konwencji detektywistycznej i wykorzystywaliśmy ją jako środek do lovecraftowskiego horroru przez dwie dekady. Każdy ma inne pojęcie na to, co jest "lovecraftowskim horrorem", niemniej gracz sprzed dziesięciu lub dwudziestu lat mógłby bez problemu wziąć udział w dzisiejszej sesji.

Istnieje za to duża różnica w tym, jak traktowana jest nieczytelność. Wierniejsza prezentacja chorób umysłowych wydaje się być uzasadniona, szczególnie kiedy udowodniono, jak łatwo niektóre choroby reagują na właściwe lekarstwa. Trzymamy teraz rękę na pulsie, żeby dodawać wszelkie nowe komentarze na temat wszelkich form obłądki. Nie zmusza to graczy do zmiany sposobu,

w jaki odgrywają swoje postacie [i ich postępujące szaleństwo], ale dokładne informacje – a nie po prostu lista fobii – jest dla nich teraz dostępna, kiedy tylko będą jej potrzebować.

JC: Jak idzie interes Chaosium w czasach, kiedy monopolistą jest Wizards of the Coast?

LW: Nie widać za wielu zmian w tych czasach. Na pewien sposób, rozprzestrzenianie się d20 oznacza nawet możliwość poszerzenia rynku. Jednak jeśli jedyne co ktoś robi, to tworzenie pod d20, to doprowadzi do zuniformowania wszechświata (oczywiście Wizardsi zostali wchłonięci przez Hasbro, ale, jakby nie patrzyć, linia WotC nadal jest reklamowana pod nazwą Wizards of the Coast).

[Zastanawiający jest w tym świetle wątek z linii dyskusyjnej Strange Aeons, na której otwarcie mówi się o kłopotach finansowych Chaosium. Brian Sammons twierdzi, że w wydawnictwie zalega mnóstwo dobrych tekstów i gotowych do druków dodatków, ale brak jest funduszy na ich wydanie. Chaosium czeka na zyski z opublikowanych tytułów i dopiero wtedy sięga po następne – przyp. cierzy]

JC: Co zmieniło wydanie ZC na d20?

LW: Chcemy mieć możliwość wydawania na d20. W ten sposób będziemy mogli dostarczyć dobre tytuły do graczy znających zasady d20, a nie tylko adaptować materiał z BRP [Basic Rule System; mechanika Chaosium – przyp. cierzy]. Pulp Cthulhu będzie tylko namiastką tego, co jesteśmy w stanie zrobić.

JC: Co planujecie w przyszłości, jeśli chodzi o suplementy do ZC. Czy zamierzacie wydawać tylko reedycje, jak Arkham lub Dunwich, czy weźmiecie się za coś nowego? A jak już pojawi się coś

nowego, to czy mamy spodziewać się podręczników z podwójną mechaniką [także do d20] czy osobnych z zasadami BRP i d20?

LW: Oto plany na najbliższy rok. Część może się zmienić, ale mamy nadzieję, że wszystko wyjdzie tak, jak tu nakreśle.

- Keeper's Companion 2 [już się ukazał – przyp. cierzy]
- Secrets of Japan
- Miskatonic University
- Cthulhu Dark Ages [w dniu, kiedy piszę te słowa jeszcze się nie ukazał, ale dodatek zapowiedziany jest na stronie Chaosium na 15 sierpnia 2003 – przyp. cierzy]
- Secrets of San Francisco
- Pulp Cthulhu

Pulp Cthulhu został napisany głównie z myślą o graczach d20, ale posiada również statystyki pod BRP. Reszta wymienionych dodatków poza KP2 także jest dual started. Ukazą się także nowe edycje publikowanych poprzednio: H. P. Lovecraft's Arkham, H. P. Lovecraft's Kingsport, H. P. Lovecraft's Dreamlands oraz pierwsze Keeper's Companion. Pierwsze trzy tytuły będą zawierać podwójne statystyki.

W kategorii beletrystyki pojawią się takie tytuły jak Disciples of Cthulhu II, The White People and Other Stories (drugi tom z trylogii Arthura Machena) oraz The Tsathoggua Cycle. Reprinty opowiadań to m.in. Encyclopedia Cthulhiana i The Yellow Sign.

Miskatonic University zostanie wydane prawdopodobnie w twardej oprawie i stanie się core bookiem. Wciąż się nad tym zastanawiamy. Nie będzie to reprint wcześniejszej wersji M.U. Napisanej wspólnie z Sandym Antunesem, choć parę stron może się powtórzyć. "Core book" definiujemy jako: (1) podręcznik z tyłoma ważnymi informacjami, że wydaje nam się, iż każdy Strażnik znać winien, (2) książka, którą za wszelką cenę postaramy się utrzymać w druku i dostępną dla ST. Rynek premiuje nowe tytuły, a nie reprinty, więc utrzymywanie takiego podręcznika rok

po roku, po produkcji, jest trudniejsze niż by się mogło wydawać.

M.U. przedstawia wiele danych na temat uniwersytetu i podaje tyle informacji o Mitach, że nie wyobrażam sobie innej strategii dla tego podręcznika.

JC: Co chcesz przekazać polskim graczom, dla których ZC jest jednym z najpopularniejszych systemów?

LW: Amerykanie czują duży respekt dla Polaków i dla wszystkiego co przeszli. Teraz, kiedy Polska zdobywa coraz silniejszy głos w Europie i na świecie, składamy najszczerze gratulacje!

Dziękuję za rozmowę i za mile słowa!



Jerzy Cichocki: Fani Zewu Cthulhu w Polsce dużo czasu poświęcili na dyskusje dotyczące konwencji na sesjach. Mówiono na temat ukazywania istot Mitów w przygodach, wykorzystywania czarów przez Badaczy itd. Czy te kwestie poruszane są wśród graczy w Stanach?

Brian Sammons, autor wielu dodatków Chaosium, jeden z najaktywniejszych subskrybentów oficjalnej listy dyskusyjnej CoC, Strange Aeons: Lubię ZC przede wszystkim za klimat tajemnicy na sesjach. Uwielbiam zwodzić swoich graczy. Jak dla mnie, wątek śledczy jest tym, co utrzymuje mnie przy tworzeniu na potrzeby ZC. Poszukuje fabuły, która jest na pierwszy rzut oka zagmatwana, ale którą da się rozwiązać w rozsądnym czasie. Uważam, że tajemnica w grze jest nawet ważniejsza niż horror. Ale nie zrozum mnie źle, nadal kocham straszyć moich graczy.

Wolę utrzymywać nadnaturalny horror na niskim poziomie, przynajmniej do finału przygody. Uwielbiam wykorzystywać wskazówki, które wskazują na coś nadprzyrodzonego, a okazują się być fałszywe. Używam śladów i przelotnych obecności potworów aż do suspensu, w którym odkrywam Wielkie Objawienie. Nie mam nic przeciwko umożliwianiu Badaczom do-

brego przyjrzenia się Nieopisanemu na końcu gry, tak jak często dzieje się to w opowiadaniach HPLa (i co doprowadza tych o słabym charakterze do przepaści szaleństwa). Jednak nigdy nie ukazuje pełnego obrazu bestii i nie mówię: "O, widzisz ghoul". Staram się przedstawić istotę najlepiej jak potrafię za pomocą wymyślnych opisów. Kiedy, z kolei, prowadzę D&D lub inne gry nigdy nie sięgam po tak wyszukane metody (może faworyzuje ZC?). Po prostu pokazuję graczom rysunek z Księgi Potworów. Ale w ZC nigdy nie wydawało mi się to w porządku.

JC: Wątek detektywistyczny, to już wiemy. Czy występuje tu jednak Brudny Harry czy komisarz Magrait?

BS: Staram się sprowadzać walkę do minimum, aż do końca przygody. Czasem wprowadzam modyfikacje i uderzam bohaterów nagłym atakiem w środku sesji, kiedy najmniej się tego spodziewają. W końcu, nie mogę pozwolić, aby czuli się zbyt pewnie. Jednakże wszystko, co robię, musi mieć przyczynę. Żadnych losowych potworów.

W "finałowej scenie" przygody, puszczam wszelkie wodze. Uderzam w postaci graczy wszystkim, czym mam, i oczekuję po nich tego samego. Wtedy powstaje 75% strat w czasie całej gry. Pozostałe 25% zdarza się tu i ówdzie, ale końcówka zawsze jest prawdziwym horror show. Moi gracze dobrze już to wiedzą, więc nie decydują się na ostateczny ruch, dopóki nie są

naprawdę gotowi. Dobrze ich wyuczyłem [śmiech].

JC: A co z błuźnierczymi księgami, artefaktami i rytuałami?

BS: Staram się utrzymywać magię na niskim poziomie, jako że nie chcę bandy potężnych biegających dokoła. Jeśli Badacze znają jakieś czary, to są to przeważnie odmiany zaklęć kontaktu lub przyzwania i nie są zbyt chętni do ich wykorzystania. Co ważne, nigdy nie mówię im, że mają "Wezwanie aniołów nocy". Piszę krótki opis czaru tak, jakbym go sobie wyobrażał w księdze Mitów (z mnóstwem archaizmów wśród słów) i każe im dojść do tego, co to może być. Często staram się celowo ich zmylić w zidentyfikowaniu zaklęcia i daję to mnóstwo zabawy. Jestem prawdziwym skurczybykiem [śmiech].

JC: Najbardziej pamiętna sytuacja z sesji Cthulhu?

BS: Jedną z nich to kiedy troje ludzi próbowało uporać się z czarem "zamiany umysłu" (zapomniałem nazwy), który jest przewidziany tylko dla dwóch osób. Nigdy nie podaję graczom kosztu czaru (Punktów Magii i Poczytalności) i każe im przekonać się o niej na własną rękę [śmiech].

Ponadto, nie lubię posługiwać się "wielkimi" księgami Mitów. Wolę podrzucać mniej znane i mniej potężne tomy. Poważniejsze księgi zachowuję na naprawdę ważne odkrycia, jako że one silnie strzeżone.

Dziękuję za rozmowę.



JERZY 'CIERZY' CICHOCKI

CULTS ACROSS (POST)AMERICA

Świat nie zmienił się nagle. Ludzie jeszcze dobrze pamiętają jak było przed Katastrofą i dopiero to wywołuje prawdziwego doła. Ale w duchu dopowiadają sobie: "Tak musiało się skończyć". Imperialistyczna polityka prezydenta, wywołująca coraz więcej niezadowolenia na Starym Kontynencie, rosnąca siła antyglobalistów, coraz głośniejsze ruchy "New Age", antyrządowe zamieszki w krajach skostniałej demokracji, w których wygrywał pieniądz i nieludzki kapitalizm, ruchy separatystyczne, kolejne przypadki zamachów, nieustający werbunek do organizacji terrorystycznych...

Można by tak kontynuować tę wyliczankę w nieskończoność. Gdzieś, kiedyś musiało nastąpić przekroczenie punktu przegięcia. No cóż, stało się to nie tak dawno, skoro wszyscy to pamiętają, w Ameryce, jak wskazuje tytuł, i przy udziale Mitów, jak nie trudno się domyślić (czytasz w końcu *Arkham Couriera* a nie *Bravo!*). Pewien jeszcze bardziej szajbnięty odłam arabskich ekstremistów, który pomylił Allaha z Azathothem a dźihad z walką przeciw ludzkości skończył zabawę. Przy użyciu wiedzy tajemnej stworzyli broń biologiczną, jakiej świat nie widział. A jak zobaczył, to...

Cults Across (Post)America to tytuł nawiązujący do gry planszowej firmy *Atlas Games*, w której gracze prowadzą fanatycznych kultystów w wyścigu do tronu świata. Ameryka to kraj wolności słowa i czynu. Kraj, w którym ludzie często urzeczywistniają swoje chore pomysły. Do czego posunęliby się jego mieszkańcy, gdyby nagle wszelkie ramy prawne przestały obowiązywać? Gdyby strzegący ich funkcjonariusze stracili motywację do działania? Witamy w post-Ameryce!


...ILEŚ TAM DNI POZNIEJ

No więc dobrze. Wiemy, że świat (Ameryka), pogrążył się w chaosie.

Przy użyciu szeroko zakrojonej akcji z uczestnictwem członków z całego świata, terroryści posłużyli się wirusem o kryptonimie MC (Mity Cthulhu, a co?). W większości przypadków, jego działanie zabijało ludzi po paru dniach. Co silniejsze organizmy potrafiły jednak przeciwstawić się skubańcowi, co wcale nie zbawiło ocalałych. Wirus modyfikował kod genetyczny tych pechowców, dzięki czemu prze kolejnych kilka dni przechodzili męczarnie przeobrażając się w hybrydy wybranej rasy (możesz nawet przekarikować podręcznik podstawowy i zatrzymać w losowych momencie bestiariusza, żeby określić typ napotkanego przeciwnika – widziałeś kiedyś taki prosty generator spotkań w RPG?)

Okay, czyli na umówiony sygnał terroryści rozpylają ten syf w wielu miejscach kraju (a wystarczyła naprawdę odrobinka – wirus rozmadzał się w zaskakującym tempie w powietrzu) i co dalej? Co z rządem? Co z najlepszą armią na świecie? Ja nie chcę umierać! No, podobno gdzieś, a jakimś bunkrze na Zachodnim Wybrzeżu działa cały czas sztab naukowców, który opracowuje szczepionkę. Ale czy zdążą, zanim wirus do nich trafi? A może to tylko plotka? Miejmy nadzieję, że Twoi Badacze przekonają się o tym sami.

A co z resztą świata? Przecież gdzieś musi być jakaś cywilizacja! No dobra, idźmy na wschód, do Europy. Pamiętasz co pisałem o tych wszystkich antyglobalistach, lewicującej młodzieży etc.? No to już wiesz, że mają się czym zająć. Z czasem dojdzie do twoich uszu informacja, że w stronę Stanów wysłano kontyngent ONZ lub Zbrojnych Sił Zjednoczonej Europy. Ale nie dawaj temu wiary. Ludzie muszą się pocieszać. Afryka? Afryka od kilkunastu lat weszła na drogę samodzielnosci, a w całym procesie ważną rolę odgrywa Liga Państw Arabskich, która z nieukrywaną



satysfakcją patrzy na upadek kraju, który przez tyle lat upokarzał czarny ład. W zasadzie to wszyscy już głośno mogą mówić o tym, jaką ulgę sprawiła im wiadomość, że żandarm świata przestał istnieć i nie będzie się już mieszał do ich spraw.

SETTING

Bezradność administracji prezydenckiej doprowadziła społeczeństwo do stanu wrzenia. Ludzie wzięli sprawę w swoje ręce. Zaczęły się zamieszki. Początkowo policja stawiała opór, na ulice wyszło wojsko, jednak szybko służby prewencyjne zauważyły, że sytuacja jest beznadziejna, wirus zaczął postępować i strach udzielił się wszystkim. Prezydent, jak to miał w zwyczaju w takich sytuacjach, zachował się jak struś i uciekł do swojej tajnej rezydencji. Ponoć nie żyje, ale kto to wie. Telewizja przestała działać, radio nie funkcjonuje, internet upadł. To, czego nie dokonała biologia, dokonali ludzie.

Zaczęły się kradzieże, rozboje, nastały czasy wszystkich przeciw wszystkim. Pieniądz stracił na znaczeniu, na ulicy zaczął obowiązywać handel wymienny. Ponieważ produkcja stanęła, na wartości zyskały towary deficytowe – amunicja, paliwo, żarcie. [Zacznij zwracać baczną uwagę na zapas amunicji, upływ paliwa z baku i zapas konserw!] Dlatego mało kogo stać na poruszanie się inaczej, niż o własnych nogach, a w ruch, zamiast broni palnej idą maczety, katany, sprężynowce. Nikt za to nie weźmie od ciebie najnowszego plazmowego, stucalowego telewizora, bo co najwyżej podepnie ci go do dupy. [W większości przypadków możesz używać cennika z podstawki do określenia równowagi dóbr w wymianie. Jeśli ktoś chce zamienić coś, co kosztowało 30 dolarów, to będzie oczekiwać przedmiotów o łącznej wartości także około 30 zielonych. Ostatecznie kieruj się zdrowym rozsądkiem.]

Miasta zaczęły przypominać pola bitew. Ludzie barykadowali swoje mieszkania. Nikt nikomu nie ufa, bo jak tylko

się obrócisz, zaraz zniknie twoja konserwa, koszuła, baterie. Sprawa wygląda jeszcze beznadziejniej, jeśli dorzucimy, że obcych wcale nie łatwo rozpoznać. Modyfikacje zachodzą głęboko w ciele nosiciela i zmiany objawiają się tylko w krytycznych sytuacjach [jeśli oglądałaś(eś) *The Thing*, wiesz o co chodzi]. Jedynym sposobem na pewne stwierdzenie infekcji jest próba krwi. Jednak nie wszyscy dają się poddać próbie. Strach przed samym sobą jest tak silny, że ludzie wolą pozostawać nieświadomi do końca. Ponoć zdarzają się już tak paskudne hybrydy, że potrafią zmieniać kształty. Tzn. że wchodzą między skupiska ludzi, wyglądając jak człowiek, by przekształcić się podczas walki i wrócić do kamuflażu, kiedy będzie po sprawie.

Różnie też bywa z okresem przeobrażania. Z początku zarażony związa się z bólu, ale agresja i nienawiść do zdrowych tak mu się udziela, że jest w stanie przegryźć się przez drzwi [wysoki wskaźnik Siły], za to rozwała się takich jedną kulka [niska Wytrzymałość]. Gorzej jest jak proces transformacji ulegnie zakończeniu. Wtedy to coś rzadko przypomina już człowieka. Pół biedy, jeśli okaże się, że na twojego kumpla padł materiał genetyczny istot z głębin. Zapytany, zdąży wyartykułować odpowiedź na pytanie jak to jest, kiedy powietrze przelatuje ci w skrzelach między żebrami. Zdąży, zanim instynkty nie wezmą nad nim góry i urwie ci głowę. W każdym razie mutant, mutantowi nie równy [Strażnik może dowoli wymyślać hybrydy i określające je charakterystyki oraz cechy specjalne, czary itp.].

TEN OBCY I TEN SWOJ

Brak reguł to też reguła. Wszelkie standardy lichy wzięło, więc teraz zależy od ciebie co uznajesz za dobre, a co za złe. W grupie łatwiej jest przeżyć, to jasne. Grupa, która na dodatek wyróżnia w swoim działaniu jakąś filozofię, cementuje więzi między członkami. W

dobie, kiedy nikt cię nie sprawdza, filozofia jaką sobie wymyślisz może być naprawdę chora. I to staje się niebezpieczne.

Kraj przemierzają dziesiątki grup, które nawijają o nadchodzących Przedwiecznych, o konieczności skorzystania z UFOArki, albo o mądrości, jaka może spłynąć na ocalonych tylko wtedy, gdy zaufają kosmicznym komunistom. Jedni są pokojowo nastawieni, inni nie bardzo. Jedni wynieśli na światło dzienne zakazaną wiedzę, inni dopiero teraz dowiadują się o istnieniu błuźnierskich ksiąg. Są i zradkalizowani chrześcijanie i inni wyznawcy "starych" religii, którzy odseparowani od swych stolic wyznaniowych szerzą nową, nie zawsze dobrą, nowinę (kara za grzechy!).

Wszystko sprowadza się do jednego. Wszyscy są nieźle pierdolnięci i Punkty Poczytalności możesz wyrzucić do kosza. Oswój swoich Badaczy z chorobami psychicznymi. Dziś nikt się już nie wstydi nerwowych tików, rozmowy z wymagowanymi kumplami, czy obgryzania tynku ze ścian. Uwagę zwraca się za to na przynależność.

A podział nie kończy się na obcych (hybrydy) i swoich (zdrowi ludzie). O, nie! Tu wchodzą w grę jeszcze ostrzejsze konflikty – polityczne, religijne, światopoglądowe. Można oczywiście pozostać niezrzeszonym. Jest to jakieś wyjście, o ile mieszkasz na odludziu. Przynależność do któregoś kultu, albo organizacji posiadającej dostęp do innego, niż objawionego, źródła daje jedynak wymi-

erne korzyści. Może dostaniesz zasoby potrzebne do przeżycia? Nauczysz się cennego czaru? Dostaniesz się do strzeżonego schronienia? To, co dajesz w zamian, zależy już od konkretnych ludzi – może będziesz musiał wejść do patrolu, oddać swoje zasoby na rzecz wspólnej kasy, albo dziecko na ofiarę?

Chcesz przeżyć? Ufaj tylko sobie.

POSŁOWIE

CA(P)A to RPG akcji. Różni się konwencją od typowego *ZC*, choć nie zaprzeczam, że i tu zmieści się detektywistyczna przygoda. Jednak wymyśliłem ten setting głównie z myślą o survival horror, w którym trzeba będzie np. przedostać się na drugi koniec miasta, żeby wydrzeć Necronomicon konkurencyjnemu kultowi, będącemu w posiadaniu jedynego w okolicy egzemplarza. Nie chciałem wykorzystywać poważnej, klaustrofobicznej, apokaliptycznej koncepcji *End Times*, czyli settingu osadzonego po powrocie Przedwiecz-

nych. Myślałem raczej o momencie, w którym wszystko do tego zmierza. Bohaterowie tych przygód powinni mieć świadomość nieuchronnego końca, może zdają sobie sprawę, że już zaczynają mutować. Jednak żyją jeszcze w świecie, którym rządzą ludzie, w którym może dojść do zabawy w opuszczonym bloku, z dużą ilością wyniesionej z rozgrabianego supermarketu whiskey.

Milej
zabawy.
Teraz
nowego
znaczenia
nabiera
hasło:
The time
is near.

JACEK 'PICKMAN' BUJKO

MORR

Ziemska Pomniejsza Śmierć,
Łowca Niezwykłości, Bohater Niezależny

Morr został stworzony na Początku Świata gdy powstał czas, przestrzeń, Bogowie i ich słudzy. Jest podległy Prawdziwej Śmierci. Nie jest jedyny, istnieją też inne Pomniejsze Śmierci (odbierające dusze innym rodzajom istot) lecz on, jako odbierający dusze niezwykłym istotom, jest jednym z potężniejszych. Te niezwykle istoty to na przykład bardzo dołbi lub bardzo źli ludzie, niezwykle doświadczone istoty, potężne nadnaturalne takie jak wysokorangowi garou, większość wampirów (wampiry traktuje jak coś w rodzaju dłużnika, oszukali oni Śmierć Ludzi więc jego obowiązkiem jest ten dług odebrać), potężniejsi magowie, niektórzy łowcy, część odmieńców, potężne żmijowe pomioty (tacy jak na przykład Mroczna Triada: Gorgul, Raza i Fek, oni zostaną obsłużeni przez niego) i wiele innych. Zdarzało mu się nawet odebrać należność od paru mumii (mumie traktuje jako naprawdę smakowity kąsek).

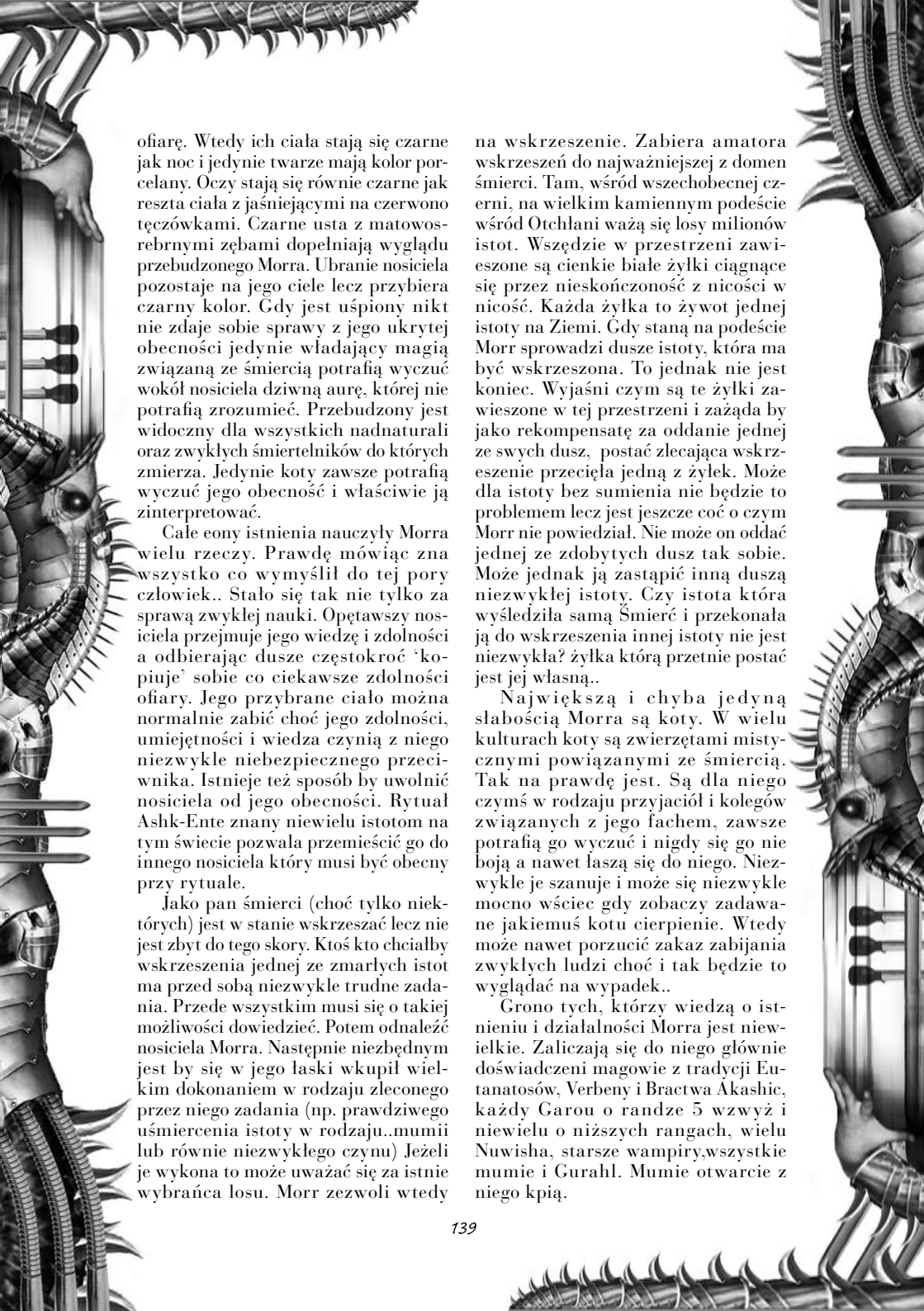
Jego praca nie polega na ściganiu ofiar i zabijaniu ich. On tylko stawia się na miejscu zgonu ofiary po czym wydobywa z niej istotę świadomości nazwaną przez niego duszą (wygląda jak niewielka białoniebieska gwiazdka

którą utrzyma kilka cm nad swoją dłońią aż dotrze do swojej domeny gdzie dusza zostaje umieszczona w pewnego rodzaju Hall of Fame). Zawsze wie kiedy istota ma umrzeć. Jego zadaniem jest być obecnym przy zgonie lub, gdy istota jest zbyt potężna by tak po prostu dać się zabić lub nie umrze śmiercią naturalną, zorganizowanie jej śmierci. Zorganizowanie to na przykład nasłanie na istotę innych istot by ją uśmierciły lub, gdy wszystkie inne bezpośrednie sposoby zawiodą, zabicie tej istoty w pojedynkę. Jest mu przykazane by śmierć tej wyjątkowej istoty była jak najbardziej 'naturalna' czyli by nie było śladu jego ingerencji. Jednak od każdej zasady jest wyjątek. Jak już zostało wspomniane Morr jest istotą wielce potężną. Gdy bierze sprawę w swoje ręce to

pewnym jest, że istocie pozostało niewiele czasu. Jego moc polega głównie na tym, że jest istotą eteryczną.

Nie posiada własnego ciała. Opętuje wybranego przez siebie osobnika gdy ten jest w chwili śmierci i przejmuje jego ciało. Nie jest wybredny, nie ma żadnej zasady co do wybierania nosicieli. To istoty w różnym wieku, różnej płci i rasy. Wszyscy ci opętanci żyją dawnym życiem do chwili gdy Morr wyczuwa następną





ofiare. Wtedy ich ciała stają się czarne jak noc i jedynie twarze mają kolor porcelany. Oczy stają się równie czarne jak reszta ciała z jaśniejącymi na czerwono tęczęwkami. Czarne usta z matowosrebrnymi zębami dopełniają wyglądu przebudzonego Morra. Ubranie nosiciela pozostaje na jego ciele lecz przybiera czarny kolor. Gdy jest uśpiony nikt nie zdaje sobie sprawy z jego ukrytej obecności jedynie władający magią związaną ze śmiercią potrafią wyczuć wokół nosiciela dziwną aurę, której nie potrafią zrozumieć. Przebudzony jest widoczny dla wszystkich nadnaturali oraz zwykłych śmiertelników do których zmierza. Jedynie koty zawsze potrafią wyczuć jego obecność i właściwie ją zinterpretować.

Cale eony istnienia nauczyły Morra wielu rzeczy. Prawdę mówiąc zna wszystko co wymyślił do tej pory człowiek.. Stało się tak nie tylko za sprawą zwykłej nauki. Opętawszy nosiciela przejmuje jego wiedzę i zdolności a odbierając dusze częstokroć 'kopiuje' sobie co ciekawsze zdolności ofiary. Jego przybrane ciało można normalnie zabić choć jego zdolności, umiejętności i wiedza czynią z niego niezwykle niebezpiecznego przeciwnika. Istnieje też sposób by uwolnić nosiciela od jego obecności. Rytuał Ashk-Ente znany niewielu istotom na tym świecie pozwala przemieścić go do innego nosiciela który musi być obecny przy rytuale.

Jako pan śmierci (choć tylko niektórych) jest w stanie wskrzeszać lecz nie jest zbyt do tego skory. Ktoś kto chciałby wskrzeszenia jednej ze zmarłych istot ma przed sobą niezwykle trudne zadania. Przede wszystkim musi się o takiej możliwości dowiedzieć. Potem odnaleźć nosiciela Morra. Następnie niezbędnym jest by się w jego łaski wkułił wielkim dokonaniem w rodzaju zleconego przez niego zadania (np. prawdziwego uśmiercenia istoty w rodzaju..mumii lub równie niezwykłego czynu) Jeżeli je wykona to może uważać się za istnie wybrańca losu. Morr zezwoli wtedy

na wskrzeszenie. Zabiera amatora wskrzeszeń do najważniejszej z domen śmierci. Tam, wśród wszechobecnej czerni, na wielkim kamiennym podeście wśród Otchłani ważą się losy milionów istot. Wszędzie w przestrzeni zawieszono są cienkie białe żyłki ciągnące się przez nieskończoność z nicości w nicość. Każda żyłka to żywot jednej istoty na Ziemi. Gdy staną na podeście Morr sprowadzi dusze istoty, która ma być wskrzeszona. To jednak nie jest koniec. Wyjaśni czym są te żyłki zawieszono w tej przestrzeni i zażąda by jako rekompensatę za oddanie jednej ze swych dusz, postać zlecająca wskrzeszenie przecięła jedną z żyłek. Może dla istoty bez sumienia nie będzie to problemem lecz jest jeszcze coś o czym Morr nie powiedział. Nie może on oddać jednej ze zdobytych dusz tak sobie. Może jednak ją zastąpić inną duszą niezwyklej istoty. Czy istota która wysłodziła samą Śmierć i przekonała ją do wskrzeszenia innej istoty nie jest niezwykła? żyłka którą przetnie postać jest jej własną..

Największą i chyba jedyną słabością Morra są koty. W wielu kulturach koty są zwierzętami mistycznymi powiązanymi ze śmiercią. Tak na prawdę jest. Są dla niego czymś w rodzaju przyjaciół i kolegów związanych z jego fachem, zawsze potrafią go wyczuć i nigdy się go nie boją a nawet łaszą się do niego. Niezwykle je szanuje i może się niezwykle mocno wściec gdy zobaczy zadawane jakiemuś kotu cierpienie. Wtedy może nawet porzucić zakaz zabijania zwykłych ludzi choć i tak będzie to wyglądać na wypadek..

Grono tych, którzy wiedzą o istnieniu i działalności Morra jest niewielkie. Zaliczają się do niego głównie doświadczeni magowie z tradycji Eutanatosów, Verbeny i Bractwa Akashic, każdy Garou o randze 5 wzwyż i niewielu o niższych rangach, wielu Nuwisha, starsze wampiry, wszystkie mumie i Guraahl. Mumie otwarcie z niego kpią.

JANEK

MRRROCZNA KSIĄŻKA

Zachaczka

Postaciom udaje się wejść w posiadanie jakiegoś mało znanego i niezbyt potężnego woluminu okultystyczno-cthulhowego, czy też czyjegoś pamiętnika. Może badacz odziedziczył po szalonym dziadku spory księgozbiór, drużyna wykradła tomiszcze cthulhtystom, albo ktoś znalazł dziwne dzieło na wycieraczce przed domem owinięte w poranną gazetę? Mniejsza o to jak to się stało. Ot, przeciętna księga pełna opisów macek i bluźnierczych, ociekających śluzem stworów (he, he). Ma jednak pewną wadę. Wpędza posiadacza w szaleństwo (he, he, standard). No dobra ma

dwie wady. Jest nawiedzona (he?). Tu właściwie powinienem skończyć i dać Ci, czytelniku wolną rękę. Ale zostało jeszcze kilka kwestii do poruszenia.

Czasami emocje gromadzą się w przedmiotach. Kolejni właściciele zostawiają część siebie, swoje emocje: miłość, nienawiść, strach. Niekiedy nawet dusze. Dzieła o Mitach obciążą z taką ilością szaleństwa, szaleńców i rzeczy poza ludzkim pojmowaniem, że musiało to odcisnąć swe piętno na pliku kartek wciśniętych między dwie tekturki. Nadało mu pozory życia. Zdarza się, że zawartość wypelza do naszego świata i broi jak złośliwy poltergeist. Zastanawiałeś się kiedyś dlaczego niektóre przedmioty znajdujesz rano w innym miejscu niż je zostawiłeś? Albo te dziwne sny. Nie, to nie może być twoja kserówka Necronomiconu. To przecież zwykła książka.

Fatalna pomyłka. ONA karmi się Twoim szaleństwem, grozą którą wywołuje. A jeśli pragnie pojąć Twoją duszę? Wciągnąć Cię w koszmar którym jest? Opanować, aż staniesz się bezwolnym sługą? Słowo pisane jest subtelne. Być może nigdy nie zorientujesz się co jest przyczyną dziwnych wydarzeń. Tyle się przecież tych ksiąg znajduje. I nie. Ale to nie są Harlequiny. W tomach opisujących mity tkwi COŚ. Jak się tego pozbyć? HA! Przecież żaden bibliofil nie spali swego księgozbioru. Spróbuj zresztą poznać, które dzieło jest nawiedzone. A może wieszystkie?

Milej lektury.

Uwaga: niech książka kariatę się szaleństwem dopisuje sobie strony/maluje ilustracje itp.

DE NATVRA
DAEMONVM
IO. LAURENTII. ANANIAE
TABERNATIS
THEOLOGI
LIBER. TERTIVS



VERVM ad responsa demonū, quod attinet, semper hoc proprium habebat, quod aut dubia, aut perobscura erant, quō homines inextricabilibus perplexitatibus involuerent; ut nec hinc patet: ibi, re dibus, non morieris in bello, & non Apulus Carolus vincet. Neque hoc naturæ oraculorum, quasi aliter reddi non possent, adscribendum, ut multi ex antiquis, falso sibi persuaserunt, sed demonum, partim fraudi, partim vero inscitia: & si enim plurimum verum cognitione ingenijq. acumine præcellenti, præditi sunt, & ob proprias rerum ideas, quæ in ipsorum essentia fonte insunt, quibique, eos nunquam in potestate esse Theologi asserunt: non tamen propterea, verum contingentium, determinatarum, certamque veritatem assequi possunt, aut quod Angelis (ut Scotus inquit) prohibeantur. ait namque satis dedecere,

MACIEJ 'LEVIR' BANDELAK

I GWIAZDY STANEŁY W PORZĄDKU...

Jak wszyscy gracze i Mg interesujący się Zewem wiedzą, gdy Gwiazdy staną w Porządku ludzkość - delikatnie mówiąc - będzie miała przesrane. Nikt nie chce by tak się stało, (poza kultystami oczywiście), i jakoś zawsze ta nieliczna grupa Badaczy Tajemnic znajdzie sposób by oddalić zagrożenie na kolejne 'n' dni, miesięcy lub lat.

Prognozy na czas po nadejściu Wielkich Przedwiecznych nie są zbyt optymistyczne. Zniszczenia i pożogi będą na porządku dziennym, ludzkość przestanie istnieć. Ale czy musi się spełnić aż tak czarny scenariusz?

Otóż niekoniecznie. Mistrzowie Gry chcący uatrakcyjnić swe sesje powinni pomyśleć nad nieco mniej drastycznym rozwiązaniem, które przedstawię poniżej.

Zacznijmy jednak od tego, że jakoś nikt nie kwapi się do tego by wreszcie Wielcy Przedwieczni przybyli (względnie obudzili się ci, którzy już są), no bo po co? Świat trafia szlag i koniec przygód w tym systemie. Ale przecież można inaczej. Więc przyjmijmy, że...

GWIAZDY STANEŁY W PORZĄDKU ...

... czyli jak opisać armageddon.

Opisanie przybycia Wielkich Przedwiecznych to niezwykle trudna sztuka i rozwiązań tu tyle ilu Mistrzów Gry decydujących się coś takiego wprowadzić. Mogę więc co najwyżej podać swoje spostrzeżenia i wskazówki na ten temat. Zacznijmy od tego iż opis nie powinien być zbyt krótki, (to zbyt wiekopomna chwila by poświecić jej dwa zdania) i nie za długi, (wiekopomna czy nie ale po pół godzinie może się już znudzić). Opis ma być w sam raz, a ile wynosi to "w sam raz" to już każdy Mg musi określić sam, biorąc pod uwagę cierpliwość swoich graczy

i swą własną. Następnie wymyślimy sobie koncepcję opisu. Od nas zależy, czy będziemy skupiać się na przedstawieniu szczegółów anatomicznych przybywających stworzeń, czy też raczej weźmiemy na warsztat atmosferę i całą mistyczną otoczkę. Kolejne zagadnienie dotyczy tego, czy mamy zamiar opisać to, co aktualnie dzieje się w miejscu przebywania Badaczy, czy też raczej zaprezentujemy im globalne spojrzenie na przybycie szanownych gości. Oczywiście można opisać i to, i to - wtedy jednakże należy zachować odpowiednie proporcje.

Kiedy już mamy koncepcję możemy przystąpić do ubierania jej w słowa. Unikajmy zbyt częstego używania słów: "prerażające", "niesamowite", "bluźniercze" itp. Wystarczy zaznaczyć na początku i dodawać od czasu do czasu, (lecz rzadko) bowiem gracze doskonale wiedzą, że to co się dzieje, to nie bajka dla grzecznych dzieci. (Zresztą jeśli chodzi o opisy samych Przedwiecznych to skorzystajmy z książek Lovecrafta). Nie podawajcie też wszystkiego na tacy (... Wielki Przedwieczny Król w Żółci właśnie łupi wasze miasto...), raczej poprzestańcie na opisie bez podawania nazwisk [gracze niech się domyślają, (przez tą krótką chwilę), z kim mają przyjemność]. Poza tym wykorzystajcie fakt zaskoczenia tym, że Przedwieczni nadchodzą, to że Mg przyciągnie ich uwagę ma gwarantowane (... co?!!! Gwiazdy stanęły w porządku?!!! Teraz?!!! Jak to?!!!).

A CO PO WIELKIM BUM?

Droży Mg, to że Wielcy nadeszli wcale nie musi oznaczać końca świata. Nie zapominajcie o tym, że Przedwieczni są inteligentniejsi od ludzi kilkakrotnie, a nawet przeciętny imbecyl stwierdzi,

że władanie martwą planetą nie jest najlepszym pomysłem. Jak więc ma wyglądać świat po...?

Najprościej będzie to chyba wytłumaczyć tak: Weźcie grupkę kultystów kryjącą się w jakimś zapomnianym miejscu i odprawiającą rytuały i pomnożcie ją globalnie. Niech role się odwrócą. Niech ci "normalni" teraz się ukrywają, szczuci przez kultystów i pomniejsze potworki. Na świecie niech krew leje się strumieniami (ale nie poprzez chaos lecz uporządkowane ceremonie), niech powstają bluźniercze budowle jak grzyby po deszczu, niech architektura miast zmieni się z uporządkowanej zwartej zabudowy w nieco chaotyczną i dziwną. A to wszystko niech się dzieje pod jurysdykcją Wielkich Przedwiecznych, którzy jednak dla bezpieczeństwa swych obywateli nie będą pokazywać się osobiście zbyt często.

A JAK W TYM WSZYSTKIM ZNAJDZIE SIĘ MIEJSCE DLA BADACZY?

Coż, generalnie pomysłów na przycięcie w takim otoczeniu widzę bez liku. Można walczyć z podziemia, szukając artefaktów, słabych stron Wielkich, prowadzić wojnę partyzancką. Można

działać zupełnie otwarcie, udając kultystów swobodnie przemieszczając się po świecie. Można też być i samymi kultystami eksterminującymi niedobitki tych, którzy nie chcą się nawrócić. Można... tak wymieniać i wymieniać, myślę jednakże, iż każdy Mg znajdzie wiele ciekawych pomysłów.

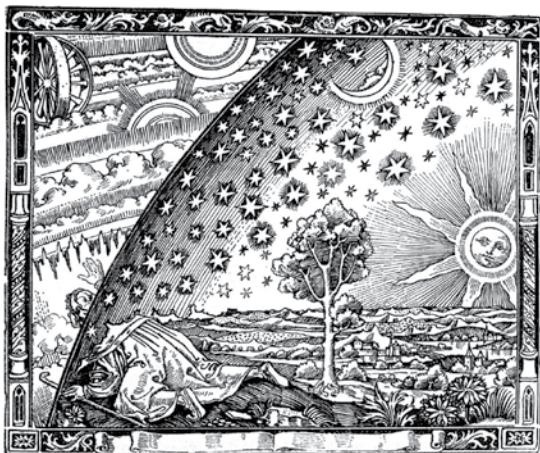
A CO NA TO POCZYTAŁNOŚĆ?

No tak... poczytalność... czyli to, co sprawia, że pozostajemy przy zdrowych zmysłach.

Wedle surowych reguł podręcznika raczej nikt nie przeżyłby zdrowym takiego najazdu Przedwiecznych, ani też nie mógłby funkcjonować w nowych warunkach. Wynika z tego, że można grać tylko "psychicznymi". Jednak zasady są po to by je łamać (no, albo przynajmniej naginać). Kwestię poczytalności można rozwiązać na kilka sposobów. I znów nie wiadomo, który byłby najlepszy. Można uznać, że Badacze żyjący w takim otoczeniu są na tyle przyzwyczajeni do okropieństw, że poczytalność im już nie spada. Można wprowadzić jakiś specyfik, który umożliwi utrzymywanie delikwenta przy zdrowych zmysłach przez jakiś czas i sprawia, że jeśli Badacz chce sobie przypomnieć coś drastycznego, to zwyczajnie nie pamięta.

Można stwierdzić, że Wielcy Przedwieczni dzięki swojej mocy potrafią utrzymywać ludzi przy zdrowych zmysłach (w końcu na co im sami szaleńcy). I znów można wymyślić jeszcze parę innych rozwiązań...

Mam nadzieję, że zachęciłem was do zmierzania się z rzeczywistością po przybyciu Przedwiecznych, gdyż myślę że jest to na tyle ciekawy, (a zupełnie nieeksploatowany), temat, iż warto się nim zająć.



MACIEJ 'LEVIR' BANDELAK

SYRENY I TRYTONY W PRAWDZIWYM ŚWIECIE

Howard Phillips Lovecraft miał niesamowitą wyobraźnię. Stworzył cały panteon istot niezwykłych i przerażających. Otóż nie tak do końca, bowiem niektóre istoty zostały przez niego stworzone na podstawie rzeczywistych wyobrażeń a nawet faktycznych widoków pochodzących z naszego świata. W opowiadaniu "Widmo nad Innsmouth" Lovecraft opisał tytułowe miasteczko leżące na wybrzeżu stanu Massachusetts, jego mieszkańców i istoty pochodzące z podwodnego miasta Y'ha-nathlei, które nazwał Pth'thya-i'yi. Wygląd tych istot najprawdopodobniej nie wziął się z nieograniczonej wyobraźni samotnika z Providence, a z rzeczywistej istoty - samej w sobie niezwykle tajemniczej - a mianowicie od...syreny morskiej. Syreny są tylko w bajkach i legendach. Taka opinia panuje na świecie. Ale udokumentowane fakty przeczą tej opinii nadając legendom o syrenach i trytonach prawdziwe oblicze. Wymieniona wyżej syrena morska, z wyglądu której czerpał natchnienie Lovecraft została znaleziona w roku 1165 w jednej ze świątyń w prefekturze Wakayama. Była to humanoidalna istota z ludzką głową, kończynami górnymi i torsem, natomiast od pasa w dół miała długi rybi ogon pokryty łuskami. Syrena (bądź jej męski odpowiednik - tryton) przewijała się w zbyt wielu kulturach by uznać ją za twór czysto fantastyczny. W Europie w starożytnej Grecji Homer w Odysei pisał o tych pięknych pół kobietach-pół rybach, które kusily hipnotycznym śpiewem. W kulturze germańskiej mówi się o ondynach również kobietach o rybich ogonach. Chińczycy uważali wodnych ludzi za dzieci Jenty, brata Żółtego Cesarza (może to

był po prostu Król w Żółci) i tutaj także mamy ludzi z rybim ogonem. Jak świat długi i szeroki na przestrzeni dziejów ludzie "ładowi" spotykali się z syrenami. Oto kilka przykładów:

- 15 czerwca 1625 roku załoga statku pływającego niedaleko wybrzeży Ameryki dostrzegła w morzu syrenę, która od pępka w górę, z przodu i z tyłu, wyglądała jak kobieta. Miała bardzo białą skórę i długie, czarne włosy. Pod powierzchnią wody widać było jej ogon podobny do ogona morświna, lecz cętkowany jak u makreli
- W roku 1643 niejaki Georges Fournier w swym dziele Hydrografia napisał, że kilka lat temu rybacy będący blisko Belle-Ile spostrzegli w morzu Człowieka Morskiego(...). Miał on wielką, zupełnie białą czuprynę(...)i brodę opadającą na brzuch. Ramiona robiły wrażenie zbyt krótkich (...). Oczy były wielkie i srogie, skóra ani biała, ani czarna, lecz wydawała się jakby rudawa.
- W roku 1868 u wybrzeży wysp Bahama załoga okrętu (nazwa zaginęła gdzieś w kartach historii) zauważyła wodną istotę wielkiej urody(...). Błękitne włosy spływały jej na ramiona(...). Dolna część jej ciała, jak zauważono patrząc w wodę, zakończona była szerokim i rozdwojonym ogonem.
- 3 stycznia 1957 roku niejaki Eric de Bisschop płył na tratwie zrekonstruowanej zgodnie ze starą polinezyjską techniką na trasie z Tahiti do Chile. W pewnym momencie jeden z załogantów ujrzał jak wodna istota wyskakuje z wody i chwytą się krawędzi tratwy. Według opisu stworzenie miało włosy przypominające wodorosty i stało wyprostowane na ogonie.



Przypadki zaobserwowania tych istot można by mnożyć, ale co ważniejsze udało się "złowić" kilka tych istot, które dzisiaj można podziwiać w muzeach. Jest to już wspomniana syrena na podstawie której czerpał pisarz inspirację, syrena z Jeziora Biwa oraz tryton z Jeziora Górnego. Wszystkie te szczątki stanowią wielką zagadkę ale nie pozostawiają złudzeń co do tego, że nie są tylko legendami.

Mamy więc dzieci Dagona w całkiem realnym kształcie, wynika z tego możliwość, że i inne istoty które zostały opisane przez Lovecrafta mogły istnieć (bądź nadal istnieją) gdzieś w zakamarkach świata lądowego jak i wodnego. Miejmy tylko nadzieję, że Wielcy Przedwieczni nie są tak prawdziwi jak Pth'thya-i'yi z Y'ha-nathlei.

MACIEJ 'LEVIR' BANDELAK

MIEJSCA KULTU CHTULHU

Istnieją na tym świecie miejsca, które są niezwykle tajemnicze, mroczne, niezbadane (lub zbadane w niewielkiej części). Wszelkiej maści eksploratorzy takich miejsc - badacze, archeologowie, entuzjaści albo nawet przypadkowi ludzie - wszyscy oni co rusz odnajdują odpowiedzi, które rodzą jeszcze więcej pytań, odnajdują jakiś tajemniczy symbol, ukrytą komnatę, niewyjaśnione hieroglify. I wszyscy oni prześcigają się w wymyślaniu fanaberii na temat danego znaleziska. A to symbol oznacza jakieś zjawisko, a to w ukrytej komnacie był skarbiec, a to hieroglify mówią o życiu danej cywilizacji. Wszystko to jest nieprawdą. Ograniczone umysły ludzi nie chcą przyjąć, że w tych miejscach kwitły niesamowite kultury, odprawiano ohydne rytuały a wszystko to w imię Wielkich Przedwiecznych. Zapraszam na wędrowkę po miejscach kultu Chtulhu... (za jakiś czas opublikuję przygodę wykorzystującą opisane w tym cyklu miejsca).


MIEDZY ŚWIATYNIA LALEK A BRAMA SŁONCA

Dwa miejsca na ziemi - Tiahuanaco w Boliwii i Dżibilchaltum w Meksyku dzieli parę tysięcy kilometrów. Według wszelkich kanonów nie było możliwe aby w erze prekolumbijskiej te dwa wielkie ośrodki utrzymywały jakikolwiek kontakt, ba, nawet nie było możliwe by ktoś wiedział o istnieniu drugiego miejsca. Czy aby na pewno? Tylko wprawni Badacze Tajemnic dostrzegą nie tylko możliwość ale nawet i pewność, że te dwa miejsca mają ze sobą wiele wspólnego, a nawet, że w tych miejscach, teoretycznie obce kulturowo cywilizacje, wyznawały tych samych bogów - Wielkich Przedwiecznych!

Przenieśmy się nieco w czasie kiedy to do Dżibilchaltum leżącego nieopodal miasta Merida w Meksyku na półwyspie

Jukatan, dotarła wyprawa badawcza, mająca na celu eksplorację całego kompleksu. Miasto jest jednak tak wielkie, że po dziś dzień zabadana została tylko 1/3 całej aglomeracji. Jednak to wystarczyło by odnaleźć niezbite dowody na to iż niegdyś istniał tu kult Wielkich Przedwiecznych (oczywiście zwykły archeolog będzie się doszukiwał fałszywych teorii, lecz nie obeznany Badacz Tajemnic). Otóż w Dżibilchaltum wznosi się budowla, którą nazwano Świątynią Lalek, nazwano tak od znalezionych tamże **siedmiu groteskowych figurerek**. Dwie z nich miały garby, jedna przedstawiała karła a pozostałe cztery wyobrażały ludzi ze zdeformowanymi brzuchami. Wnikliwy Badacz szybko stwierdzi, że przypominają one kształtem przerażające potwory jakimi są Ghasty (garbate figurki), jednego z Wielkich Przedwiecznych - Tsathogguę (karłowata figurka) oraz Piaseczniki (pozostałe cztery).

Pytanie brzmi, czemu akurat deformacja typu garb bądź karzelkowatość świadczy o kulcie Wielkich Przedwiecznych? Odpowiedź jest bardzo prosta. Dużo starszą od kultury Majów była kultura Olmeków, gdzie kult Przedwiecznych istniał od zawsze. U Olmeków garbaci i karzelki mieli wielkie poważanie (uważano że deformacja dowodzi tego, iż dana osoba zaskarbiła sobie łaski u Przedwiecznego) i często pełnili funkcję kapłanów. W tym, że Wielcy Przedwieczni (za pomocą Olmeków) stworzyli u Majów następne miejsce kultu, należy upatrywać wyjaśnienie tego, iż sama Świątynia Lalek jest tak ustawiona względem kierunków świata, że w momentach zrównania dnia z nocą, wschodzące lub zachodzące słońce zapalało się w jej drzwiach i oknach. Świątynia była więc czymś w rodzaju obserwatorium astronomicznego. Powszecnie zaś wiadomo, że Olmekowie byli wielce zainteresowani astronomią



i jako pierwsi w Ameryce opracowali kalendarz (później przejęty przez Majów). Wiedza jaką Wielek Przedwieczni obdarzyli Olmeków, zapoczątkowała następnie u Majów, którzy poza zdobyciami cywilizacyjnymi przejęli także kult religijny.

A teraz kolejny dowód na to, że macki Cthulhu sięgają nie tylko w czasie ale i w przestrzeni. Przenosimy się kilka tysięcy kilometrów na południe, do Boliwii w rejon jeziora Titicaca. Znajduje się tu jedna z najbardziej zagadkowych starożytnych metropolii Ameryki Południowej - Tiahuanaco. Właśnie tutaj, w miejscu, które teoretycznie nie mogło mieć nic wspólnego (dla niewtajemniczonych) z Dżibichaltum, odnajdujemy zaskakująco podobną budowlę do Świątyni Lalek. Jest to mianowicie Brama Słońca - andezytowy monolit z drzewiowym otworem, w którym ukazuje się słońce w chwili wschodu w momencie zrównania dnia z nocą i z fryzem, uznawanym przez niektórych za kalendarz. Podobieństwo jest tu bardzo uderzające.

Obie budowle posiadają astro-nomicznie zorientowane "drzwi", w których słońce ukazuje się w tych samych dniach w roku. Świątynia Lalek ma dwa symetrycznie rozmieszczone okna, a Brama Słońca - dwie bardzo podobnie położone nisze. Obie budowle zdobią fryzy nieco szersze niż ich podstawy. Nad "drzwiami" w każdej budowlu znajduje się wyobrażenie bóstwa

o podobnym, trójdzielnym kształcie. Centralna część każdej z budowli jest nad "drzwiami" nieco podwyższona; w przypadku Bramy Słońca jest to coś w rodzaju łukowatego zaokrąglenia, natomiast w przypadku Świątyni Lalek - o trapezoidalną bryłę. Ponadto bardzo podobny jest surowy i oszczędny w wyrazie styl obydwu budowli.

Co prawda, są też i różnice, jak chociażby to, że Brama Słońca została wybudowana z jednej, kamiennej bryły, a świątynię zbudowano z wielu mniejszych kamieni i jest ona budynkiem, podczas gdy Brama jest wąskim portalem. Co jednak ważne, ich budowaniu przyświecała ta sama idea, co tłumaczy iż Wielkim Przedwiecznym zależało na jak najszerszym zasięgu swego kultu.

Żeby było jeszcze ciekawiej, należy dodać że istnieje jeszcze jedno podobieństwo. Kamienny obelisk usytuowany jest w stosunku do frontu Świątyni Lalek, tak jak trzy obeliskowe posągi z Tiahuanaco w stosunku do centralnej bramy-platfory Calasasaya.

Wielkim Przedwiecznym widocznie zależało na tym, żeby te dwie obce sobie cywilizacje były jednak czymś połączone. Ale dlaczego? O tym chyba nigdy się nie dowiemy (albo dowiemy się niedługo w przygodzie "Między Bramą Słońca a Świątynią Lalek" ;).


Do zobaczenia za dwa miesiące w kolejnym z tajemniczych miejsc.

MACIEJ 'LEVIR' BANDELAK

MIEJSCA KULTU CHTULHU II

Istnieją na tym świecie miejsca, które są niezwykle tajemnicze, mroczne, niezbadane (lub zbadane w niewielkiej części). Wszelkiej maści eksploratorzy takich miejsc - badacze, archeolodzy, entuzjaści albo nawet przypadkowi ludzie - wszyscy oni co rusz odnajdują odpowiedzi, które rodzą jeszcze więcej pytań, odnajdują jakiś tajemniczy symbol, ukrytą komnatę, niewyjaśnione hi-

eroglify. I wszyscy oni prześcigają się w wymyślaniu fanaberii na temat danego znaleziska. A to symbol oznacza jakieś zjawisko, a to w ukrytej komnacie był skarb, a to hieroglify mówią o życiu danej cywilizacji. Wszystko to jest nieprawdą. Ograniczone umysły ludzi nie chcą przyjąć, że w tych miejscach kwitły niesamowite kultury, odprawiano ohydne rytuały a wszystko to w



imię Wielkich Przedwiecznych. Zapraszam na wędrowkę po miejscach kultu Cthulhu... (za jakiś czas opublikuję przygodę wykorzystującą opisane w tym cyklu miejsca).

W poprzednim numerze DC rozpocząłem cykl o tajemniczych miejscach opism dwóch starożytnych kompleksów budowlanych leżących w Ameryce Środkowej i Południowej. Oczywiście spuścizna Majów, Azteków i Inków pozostawiła całe mnóstwo tego typu miejsc, w których tajemnica goni tajemnicę a badacze solidarnie opuszczają kurtynę milczenia nad odkryciami. Kolejnym z takich miejsc jest Teotihuacan leżące w Ameryce Środkowej...

TEOTIHUACAN - OBRAZ UKŁADU SŁONECZNEGO


Teotihuacan znajduje się w okolicy dzisiejszego miasta Meksyk, stolicy państwa o tej samej nazwie. Jest to ogromny kompleks budowlany podobny do innych tego typu budowli rozsianych po całej Ameryce. Istotną jednak różnicą jest fakt iż w odróżnieniu od innych kompleksów gdzie budowle rozmieszczone zostały w sposób dowolny, tutaj budynki zostały wybudowane wzdłuż szerokiej (40m) i długiej (3km) arterii. I to jeszcze nie wszystko. Jak się okaże w dalszej części tekstu rozkład budynków został zaprojektowany tak by odzwierciedlać położenie planet w Układzie Słonecznym.

Badacz stojący na południowym końcu arterii odnosi wrażenie, iż droga podąża ku niebu. Dzieje się tak dlatego, gdyż sama arteria wznosi się w kierunku północnym pod kątem 30 stopni. Wzdłuż niej na kamiennych platformach posadowione zostały piramidy i świątynie, z których najbardziej znana jest tzw. Cytadela, trzecia co do wielkości budowla Teotihuacan. Tutaj właśnie rozpoczyna swój bieg ta arteria nosząca nazwę Drogi Zmarłych. Biegnie ona dalej obok najbardziej monumentalnej bu-

dowli - Piramidy Słońca, położonej po wschodniej stronie drogi. Z kolei obok Piramidy Słońca o północy, południa i zachodu wzniesione zostały po cztery piramidy. Jednak tylko jedna z nich jest ważna z punktu widzenia Badaczy Tajemnic. Jest nią świątynia Quetzalcoatl. Jej ściany są zdobione głowami węzów z piórami oraz maskami demonicznych istot o wielkich oczach. Wnikliwy Badacz Tajemnic patrząc na te rzeźby od ręki stwierdzi, że wizerunek węża przedstawia jednego z Wielkich Przedwiecznych - Yiga, Ojca Węża, natomiast istoty o wielkich oczach to nikt inny jak Istoty z Głębin.

Co prawda, taki Badacz od razu zada sobie pytanie, co robią wizerunki Istot z Głębin znajdujące się w budowli stojącej w środku kontynentu?. Odpowiedź na to pytanie jest prosta, choć nie łatwa do wydedukowania. Mianowicie niezbyt daleko od miasta znajdowało się jezioro, które wyschło kilkaset lat wcześniej. Znajdowało się tam miasto Istot, które zostało zniszczone przez nie, kiedy jasnym się stało, że jezioro nie przetrwa. Z tej racji mieszkańcy Teotihuacan czcili te Istoty, stąd też rzeźby na ścianach. Lecz nie to jest największą tajemnicą tego miasta.

Amerykański badacz Hugh Harleston Jr. w czasie prowadzonych przez siebie badań założył, że budowniczowie miasta musieli posługiwać się jakąś jednostką miary, po czym ustalili, że wszędzie powtarza się wielokrotność odcinka równego 57 metrom. Na tej podstawie odnalazł najmniejszą jednostkę miary stosowaną w mieście, która wynosiła 1.059 m. Nazwał tę miarę hunab co w języku Majów oznacza jednostka. To był klucz. Wszystko co następnie zmierzono było wielokrotnością tej jednostki. Wkrótce okazało się, że piramida Quetzalcoatl, piramida Słońca i piramida Księżyca mają odpowiednio 21,42,63 hunab - stosunek ich wysokości wynosi 1:2:3, bok rzutu poziomego piramidy Quetzalcoatl równa się jednej stutysięcznej biegunowego promienia kuli ziemskiej.



Jednak nie to było największym zaskoczeniem...

Przy pomocy komputera, Harleston odkrył, że położenie piramid i tarasów Cytadeli odpowiadało przeciętnym odległościom od Słońca poszczególnych planet: Merkurego, Wenus, Ziemi i Marsa. Jeśli przyjąć odpowiednią skalę, odległość Ziemi od Słońca równa się 96 hunab, Merkury leży w odległości 36, Wenus 72, a Mars 144 hunab. Zaraz za Cytadelą sztucznym kanałem, który jest dziełem budowniczym płynię strumień San Juan - odległość od kanału do osi Cytadeli wynosi 288 hunab, o dalsze 520 hunab leżą ruiny nieznannej budowli, tu zaś odległość, w skali, odpowiada odległości dzielącej Słońce od Jowisza. O 1845 hunab dalej, na końcu Drogi Zmarłych, oś piramidy Księżyca wyznacza odległość dzielącą Uran od Słońca. Nie zapomniano również o Neptunie i Plutonie, których odległości (odpowiednio 2880 i 3780 hunab od Słońca) wyznaczają kolejne budowle umieszczone wzdłuż łagodnie wznoszącego się zbocza Cerro Gordo, z 17-stopniowym odchyleniem na wschód od bieguna geograficznego. Tak zaprojektowany model Układu Słonecznego był widoczny w całości z każdego miejsca kompleksu.

Zanim wyjaśnię czemu właśnie tak zostało to wybudowane przejdźmy do jeszcze jednego odkrycia, które spędza sen z powiek badaczom, którzy oczywiście nie mają pojęcia o Wielkich Przedwiecznych, choć akurat w tym przypadku są dość bliscy prawdy.

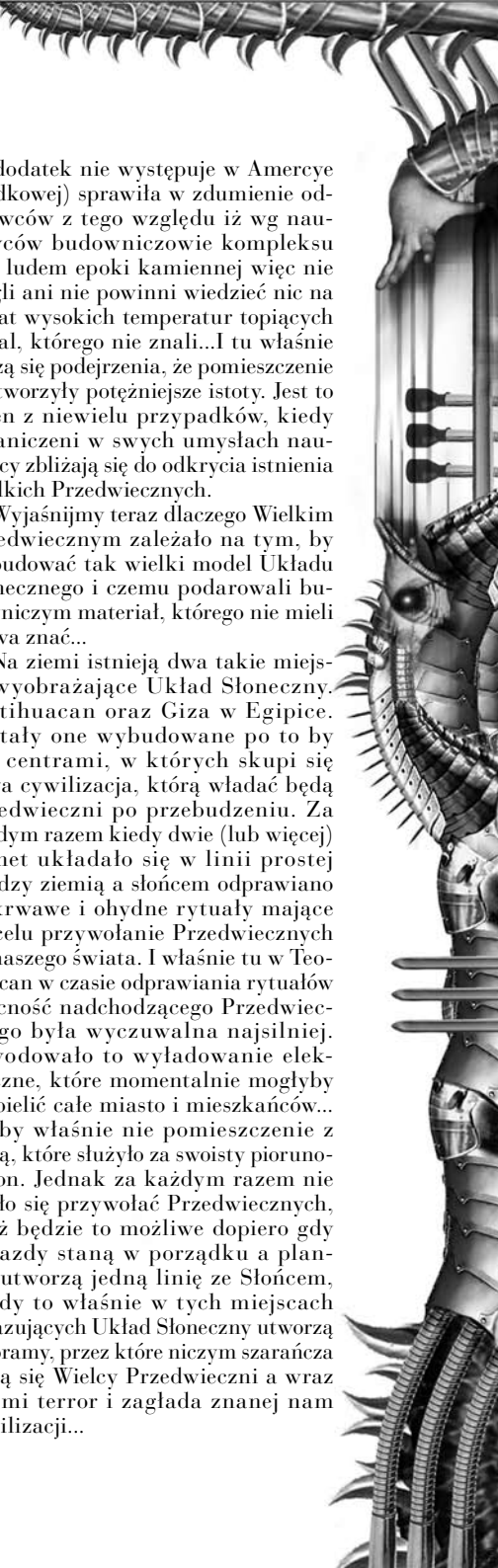
W jednym z pomieszczeń obok Cytadeli odkryto komnatę, która została wyłożona wielkimi płytami miki. Mika - jest to materiał niezwykle elastyczny i odporny na temperaturę 800 stopni Celsjusza. Wykorzystuje się ją w przemyśle elektrotechnicznym jako materiał żaroodporny i izolacyjny tam gdzie mają miejsce wyładowania elektryczne.

Komnata wyłożona miką (a dokładniej jej pewną odmianą, która

na dodatek nie występuje w Ameryce Środkowej) sprawiła w zdumienie odkrywców z tego względu iż wg naukowców budowniczymi kompleksu byli ludem epoki kamiennej więc nie mogli ani nie powinni wiedzieć nic na temat wysokich temperatur topiących metal, którego nie znali...I tu właśnie rodzą się podejrzenia, że pomieszczenie to stworzyły potężniejsze istoty. Jest to jeden z niewielu przypadków, kiedy ograniczeni w swych umysłach naukowcy zbliżają się do odkrycia istnienia Wielkich Przedwiecznych.

Wyjaśnijmy teraz dlaczego Wielkim Przedwiecznym zależało na tym, by wybudować tak wielki model Układu Słonecznego i czemu podarowali budowniczym materiał, którego nie mieli prawa znać...

Na ziemi istnieją dwa takie miejsca wyobrażające Układ Słoneczny. Teotihuacan oraz Giza w Egipcie. Zostały one wybudowane po to by być centrami, w których skupi się nowa cywilizacja, którą władac będą Przedwieczni po przebudzeniu. Za każdym razem kiedy dwie (lub więcej) planet układało się w linii prostej między ziemią a słońcem odprawiano tu krwawe i ohydne rytuały mające na celu przywołanie Przedwiecznych do naszego świata. I właśnie tu w Teotihuacan w czasie odprawiania rytuałów obecność nadchodzącego Przedwiecznego była wyczuwalna najsilniej. Powodowało to wyładowanie elektryczne, które momentalnie mogłyby spopielić całe miasto i mieszkańców... gdyby właśnie nie pomieszczenie z miką, które służyło za swoisty piorunochron. Jednak za każdym razem nie udało się przywołać Przedwiecznych, gdyż będzie to możliwe dopiero gdy gwiazdy staną w porządku a planety utworzą jedną linię ze Słońcem, wtedy to właśnie w tych miejscach obrazujących Układ Słoneczny utworzą się bramy, przez które niczym szarańcza wleją się Wicely Przedwieczni a wraz z nimi terror i zagłada znanej nam cywilizacji...



MACIEJ 'LEVIR' BANDELAK

MIEJSCA KULTU CHTULHU III

Ponownie wracamy do Ameryki Południowej. Tym razem by rozwikłać

ZAGADKA PŁASKOWYŻU NAZCA.

Około 2000 lat temu pewna południowoamerykańska cywilizacja, o której niewiele wiadomo, stworzyła jedno z najbardziej zagadkowych zapisów na ziemi. Płaskowyż Nazca w Peru przypomina stronicę gigantycznego szkicownika. W tworzącej ją czerwonej skale wyryto ponad 100 rysunków przedstawiających rozmaite kształty - od znanych roślin i zwierząt po geometryczne wzory i szeregi prostych linii. Istnieją liczne teorie usiłujące wyjaśnić przyczyny ich powstania, jednak wiele związanych z nimi pytań i wątpliwości nadal pozostaje bez odpowiedzi.


Oczywiście wątpliwości mają tylko ci, którzy nie mają pojęcia o Mitach. W rzeczywistości bowiem, rysunki z płaskowyżu są przekazem od Wielkich Przedwiecznych dla Wielkich Przedwiecznych.

To największe na naszym globie dzieło sztuki graficznej obejmuje położony w Peru, pomiędzy Andami a Oceanem Spokojnym, obszar 520 kilometrów kwadratowych. Już badacze hiszpańscy z XVI i XVII wieku wspominali o liniach na pustyni Nazca, ale świat niewiele wiedział o nich aż do lat dwudziestych naszego stulecia, kiedy to po raz pierwszy opisał je Julio Tello zwany ojcem peruwiańskiej archeologii.

Dopiero w roku 1941, gdy do Nazca udał się dr Paul Kosok, amerykański archeolog z Uniwersytetu Long Island, stały się one przedmiotem poważnych badań i studiów. Dr Maria Reiche, niemiecki matematyk i astronom, poświęciła ponad 40 lat na skatalogowanie i opisanie rysunków oraz próby wyjaśnienia ich znaczenia.

Wszystkie rysunki na pustyni Nazca zostały wykonane w ten sam sposób - przez zebranie czerwonego żwiru z powierzchni pustyni i odsłonięcie jasnożółtej skały stanowiącej podłoże. Wydaje się, że robiono to ręcznie. Nie ma żadnych śladów używania do tych prac zwierząt. Bez względu na kształt, rozmiar czy temat, każdy z tych rysunków tworzy jedną ciągłą linią. Rysunki w Nazca można zaliczyć do dwu szeroko pojmowanych kategorii - są to sylwetki bądź linie, przy czym te drugie albo biegną parami, jak szyny kolejowe, albo tworzą geometryczne wzory. Ponieważ w wielu miejscach linie nakładają się na sylwetki, należy sądzić, że jako pierwsze powstały rysunki figuralne. Są wśród nich liście i gałęzie różnych roślin, postacie zwierząt i ptaków, a także dziwne kombinacje dwóch różnych form, np. sylwetka człowieka z głową sowy, czy ptak z długim wężem w miejsce dzioba. Linie są idealnie proste. Pozostaje tajemnicą, w jaki sposób budowniczowie zdolali zachować taką dokładność przy stosunkowo dużych odległościach. Niektóre linie, przy długości ponad 8 kilometrów, odchylają się o niecałe 2 metry na kilometr. W niewielu miejscach z jednego punktu rozchodzi się promieniście cały szereg linii. Częstokroć linie krzyżują się w sposób przypadkowy, tworząc ogromne prostokąty i trójkąty.

Rysunki w Nazca powstały zapewne między rokiem 500 p.n.e. a 500 n.e. i prawdopodobnie zostały wykonane przez Indian Nazca, którzy zamieszkiwali te regiony Peru przed powstaniem imperium Inków. Byli to rolnicy uprawiający żyzną równinę ciągnącą się wzdłuż wybrzeża Oceanu Spokojnego. Nie pozostawili świadectw pisanych. Całą wiedzę na ich temat czerpiemy z badania grobów i znajdujących się w nich przedmiotów. Zmarli grzebani byli w pozycji



embrionalnej, otaczano ich wielobarwnymi naczyniami oraz przedmiotami codziennego użytku. Wiele cmentarzysk, liczących do 5 tysięcy grobów, zostało splądrowanych, dlatego też informacje o ich zawartości są niepełne. Fragmentaryczna wiedza na temat Indian Nazca nie wyjaśnia, dlaczego wyryli oni na pustyni owe wzory. Jedna z hipotez głosi, że były to pradawne drogi, lecz jest to mało prawdopodobne, wiele z nich kończy się bowiem nagle na szczytach wzgórz. Najpowszechniej akceptowana jest hipoteza dra Paula Kosoka, który uważał, że te sylwetki i linie to "największy na świecie podręcznik z dziedziny astronomii". Dr Reiche podziela ten pogląd, sugerując, że rysunki te określają położenie gwiazd oraz konstelacji w różnych okresach i że używano ich do określania m.in. pory siewu i zbiorów (dziobi niektórych ptaków wskazują punkt wschodu słońca w czasie przesilenia letniego).

Fakt, iż linie można w pełni obserwować jedynie z lotu ptaka, stał się źródłem teorii, że w czasach wykony-

wania linii Nazcowie potrafili latać, a przynajmniej unosić się nad ziemią. Ta fascynująca teoria nie jest całkowicie bezpodstawna, malowidła znalezione na naczyniach przedstawiają bowiem obiekty przypominające w pewnym stopniu zarówno latawce, jak i balony na ciepłe powietrze.

A jak brzmi prawda odsłonięta jedynie dla wąskiego grona prawdziwych badaczy?

Linie układające się w rysunki są w rzeczywistości znakiem rozpoznawczym dla Wielkich Przedwiecznych i ich pomiotów. Zostały one utworzone przez samych Przedwiecznych, którzy przeczuwali już zmierzch ich dominacji oraz wygnanie w nieskończoność. Jednak gdy Gwiazdy ułożą się w porządku, powracający Przedwieczni muszą trafić na planetę, którą opuścili. A to stanie się możliwe dzięki tym rysunkom. Jest to gigantyczny drogowskaz, który ma na celu tylko jedno - wskazać tę planetę jako cel ich podróży...

Prof. Levir, emerytowany Badacz Tajemnic

LISTY DO REDAKCJI

Droga Redakcjo,

Wszystko zaczęło się parę miesięcy temu gdy odwiedził mnie stary znajomy z uniwersyteckich czasów. Pokazał mi liczący sobie kilkaset lat rękopis pamiętnika jakiegoś zapomnianego żeglarza-odkrywcę i kazał go jak najszybciej przeczytać.

Z lektury wynikało, że żeglarz ów podczas swoich rejsów odkrył na Pacyfiku małą niewiadomego pochodzenia wyspę. Nie była to jednak zwykła wyspa, składała się z wielu bloków czarnego granitu o bardzo regularnych kształtach. Gdy zainteresowani tą niezwykle anomalią żeglarze wylądowali na wyspie stało się coś dziwnego, w nocy wybuchł nagły i zupełnie niespodziewany bunt załogi, w wyniku którego kapitan (autor dziennika) został sam na dryfującym statku. Odnaleziony przez

przeplływający w pobliżu okręt, spisał swe dzieje w jedną noc po czym umarł nie dopłynąwszy nawet do portu. Na ostatniej stronie woluminu, widniały dziwne symbole oraz dramatyczny apel „ratujcie mnie...”.

Bardzo mnie ten dziennik zaintrygował, nieznana wyspa...granitowe symetryczne bloki...dziwne inskrypcje i szaleństwo autora rękopisu... Moja dusza odkrywcy domagała się zaspokojenia ciekawości. Zebrałem więc załogę i wkrótce wyruszyłem na, jak mi się z początku wydawało, pozbawioną szansy sukcesu wyprawę. Muszę tu nadmienić, iż jestem człowiekiem bardzo zamożnym więc fundusze nie stanowiły znaczącej przeszkody.

Trzeciego dnia wyprawy na środku oceanu (w okolicach wspomnianych przez dziennik) złapał nas okrutny sz-

torm. Po kilku godzinach rozpaczliwej walki o przetrwanie ocean wreszcie dał za wygraną i nastał spokój. Ku memu zaskoczeniu na horyzoncie ukazała się wyspa, której nie było na żadnych mapach... Podpłynęliśmy zdenerwowani i podnieceni.

Okazało się, że trafiliśmy prosto na tajemniczą wyspę z granitowych bloków. Zakotwiczyliśmy nieopodal i wkrótce ja z sześcioma członkami załogi popłynęliśmy na szalupie w stronę złowieszczej plaży.

Wyspa sprawiała ponure wrażenie, ciemna, kamienna bryła, górowała nad nami sprawiając, że czuliśmy się jak mrówki drepzące pod stopami słonia.

Ku memu zdziwieniu reszta moich towarzyszy odmówiła zejścia na ląd. Widziałem jak się ukradkiem przeżegnali gdy moje stopy dotykały granitowego podłoża. Szybko o nich zapomniawszy, delektując się tajemniczą rzeźbą terenu ruszyłem w głąb wyspy.

Szedłem jak zahipnotyzowany. Odkryłem wejście do jakiejś groty, podniecony myślą, że oto ja pierwszy człowiek wchodzę w tę jamę szedłem przed siebie niemal instynktownie.

Nie będę opisywał co tam widziałem, mogę jedynie powiedzieć, że wyspa była stara, o wiele starsza niż można

to sobie wyobrazić, na ścianach jamy widniały dziwne rysunki podobne do tych z zeszytu żeglarza. Ekstazą napawała mnie myśl, że właśnie mi dane jest widzieć je po raz pierwszy. Ile tam było wiedzy! Im głębiej szedłem tym bardziej przenikałem magia tego miejsca. W końcu doszedłem do końca jaskini. Na ścianie widniała wielka rzeźba przedstawiająca wpatrzone we mnie oko. Nogi ugięły się pod mną. Spojrzenie tego oka przenikało mnie na wskroś. Euforia przenikała mą duszę! Przez tę chwilę zrozumiałem cały wszechświat! Byłem jedynym człowiekiem, który zrozumiał absolut! Ja, nikt inny! JA!!!

CTHULHU FHTAGN R'LYEH!!!!

Po chwili poczułem, że coś jest nie tak, otworzyłem oczy i przypatrzyłem się rzeźbie jeszcze raz. Jeden element jakoś mi nie pasował. Podeszedłem bliżej i spojrzałem na dziwne zadrapanie tuż pod kamienną źrenicą... To nie było zadrapanie... To był napis... Podeszedłem bliżej i przeczytałem: „TU BYŁEM: TONY HALIK...”

Od tego czasu wciąż jestem w szoku. Kupiłem na giełdzie wszystkie odcinki :”Pieprzu i wanilii” i godzinami ślęcząc przed telewizorem szukam ukrytej prawdy... Musi gdzieś tam być...

